

KLAUS
MANN

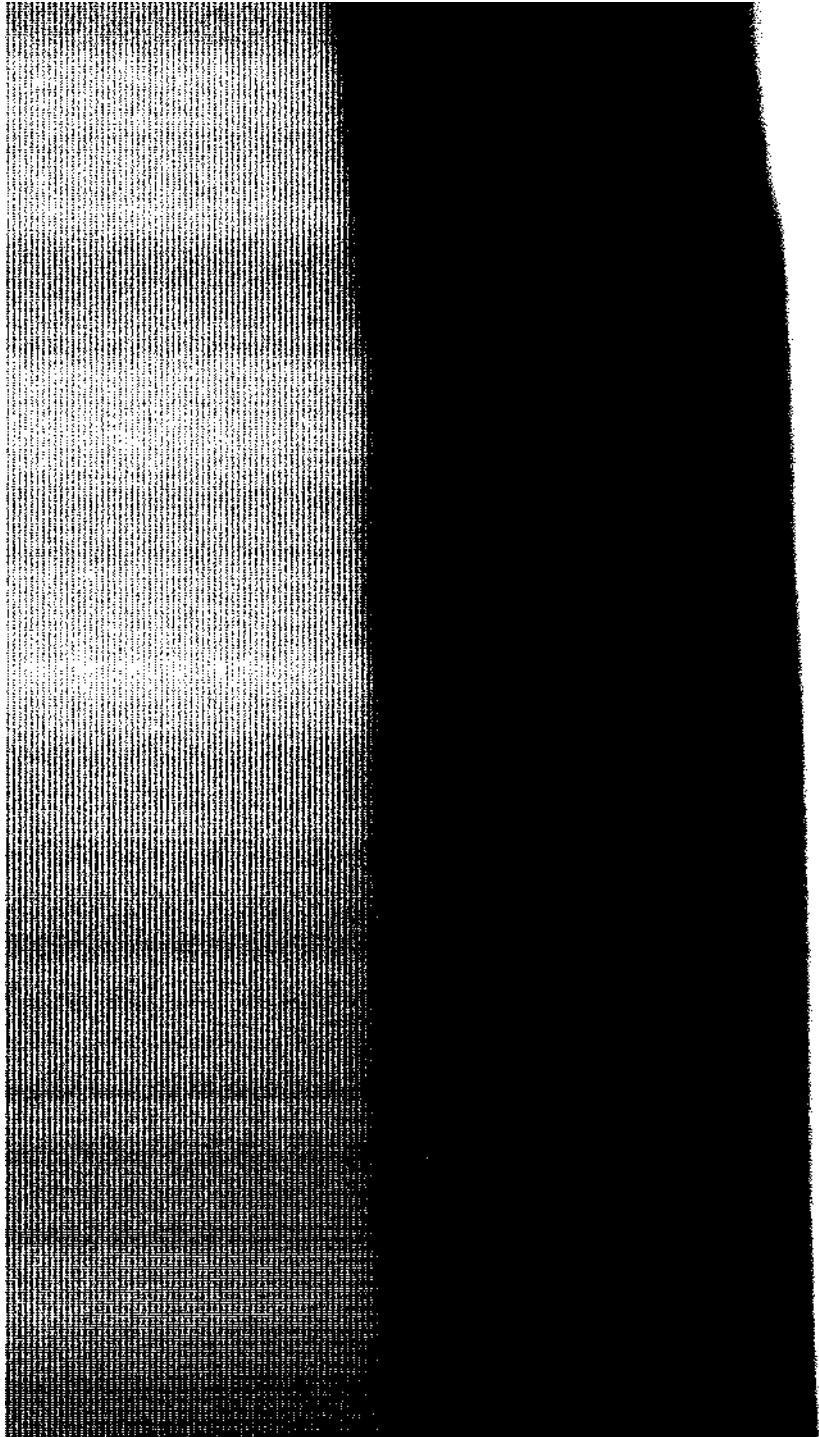


KLAUS MANN
Mefisto

Przełożyła z niemieckiego
Jadwiga Dmochowska

Posłowiem opatrzył
Marek Wydmuch

Wydawnictwo „Książnica”



*Artystce dramatycznej
Teresie Giehse
poświęcam*

Przebaczam aktorowi wszystkie błędy
człowieka. Nie przebaczam człowiekowi
żadnego błędu aktora.

Goethe, *Wilhelm Meister*

PRELUDIUM

1936

— W jednym z ośrodków przemysłowych Niemiec za chodnich skazano podobno ponad ośmiuset robotników, wszystkich na długoletnie więzienie — i to w wyniku jednego tylko procesu.

— Zgodnie z moimi informacjami robotników tych było nie więcej niż pięciuset; natomiast stu innych wcale nawet nie sądzono, tylko zgładzono potajemnie ze względu na ich przekonania.

— Czy płace są naprawdę tak strasznie niskie?

— Nędzne. W dodatku stale je obniżają, a ceny rosą.

— Dekoracja gmachu Opery na dzisiejszy wieczór kosztowała jakoby sześćdziesiąt tysięcy marek. Do tego dochodzi jeszcze co najmniej czterdzieści tysięcy marek innych kosztów, nie licząc strat pośrednich, jakie poniósł skarb państwa, w związku bowiem z przygotowaniem do balu gmach Opery był przez pięć dni zamknięty.

— Mała uroczystość urodzinowa.

— Aż wstręt bierze, że trzeba brać udział w tej komedii.

Dwaj młodzi dyplomaci cudzoziemscy skłonili się z najuprzejmiejszym uśmiechem przed oficerem w galowym mundurze, który rzucił im nieufne spojrzenie zza monokla.

— Cała generalicja się tu zebrała — podjęli rozmowę po chwili, kiedy już byli pewni, że galowy mundur oddalił się dostatecznie.

— Ale wszyscy są entuzjastami sprawy pokoju — dodał złośliwie drugi.

— Jak długo to jeszcze potrwa? — zapytał pierwszy z wesołym uśmiechem kłaniając się maleńkiej i uroczej damie z poselstwa japońskiego, która wkraczała na salę wsparta ramieniem olbrzymiego oficera marynarki.

— Musimy być na wszystko przygotowani.

Urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych przyłączył się do dwóch młodych attaches poselstw cudzoziemskich. Obaj zaczęli od razu chwalić wystawną i piękną dekorację sal.

— Tak, pan prezes ministrów lubuje się w tych rzeczach ~ odrzekł z pewnym zakłopotaniem urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Ale wszystko jest w najlepszym guście — zapewnili go obaj młodzi dyplomaci niemal równocześnie.

— Oczywiście — potwierdził z przymusem przedstawiciel Wilhelmstrasse.

— Tak wspaniałej imprezy towarzyskiej nie można sobie wyobrazić nigdzie poza Berlinem — dodał jeden z cudzoziemców.

Urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych zawahał się sekundę, zanim zdecydował się na uprzejmy uśmiech.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Trzej panowie rozglądali się dokoła i przysłuchiwali balowej wrzawie.

— Imponujące — szepnął w końcu jeden z cudzoziemców, tym razem bez przymieszki sarkazmu, niemal zalękniony, pod wrażeniem przytłaczającego przepychu, jaki go otaczał. Powietrze przesycone światłem i zapachem perfum mieniło się tak silnie, że raziło w oczy. Mrużył je przed tym migotliwym blaskiem z szacunkiem, ale zarazem nieufnie.

„Gdzie ja się właściwie znalazłem? — myślał ów młodzian rodem z jednego z państw skandynawskich. — Miejsce to jest niewątpliwie bardzo piękne i efektownie urządzone, ale równocześnie przejmuje grozą. Ci wystrojeni ludzie okazują wesołość, która nie wzbudza zbyt wielkiego zaufania. Poruszają się jak marionetki, tak dziwnie podrygują, tacy są sztywni. W żrenicach ich coś się czai, nie patrzy im dobrze z oczu, jest w nich równie dużo okrucieństwa jak lęku. U nas w kraju ludzie spoglądają inaczej, z większą życzliwością i swobodą. Śmieją się też inaczej tam u nas, na Północy. Tutaj w śmiechu brzmi zarazem szyderstwo i rozpacz; jest w nim coś bezczelnego, wyzywającego, a przy tym jakaś beznadziejność, przera-

źliwy smutek. Tak nie śmieje się nikt, kto się dobrze czuje we własnej skórze. Tak się nie śmieją mężczyźni i kobiety, którzy wiedzą uczciwe, stateczne życie...”

Wielki bal z okazji czterdziestych trzecich urodzin prezesa Rady Ministrów odbywał się we wszystkich salach i pomieszczeniach gmachu Opery. Strojny tłum poruszał się po obszernych foyers, korytarzach i przedsionkach. Korki szampa strzelały w łóżach, których wyściełane poręcze ozdobione były kosztownymi draperiami; tańczono na widowni, skąd usunięto rzędy krzeseł. Orkiestra umieszczona na uprzątniętej scenie była tak liczna, jak gdyby miała wykonać co najmniej symfonię Ryszarda Straussa. Grała jednakże w zuchwałym bezładzie na przemian marsze wojskowe i utwory jazzowe. Wprawdzie jazz ze względu na swoją murzyńską nieprzystojność był na terenie Rzeszy zakazany, jednak wysoki dygnitarz nie mógł się bez niego obejść w dniu swego święta.

Zgromadzili się tu wszyscy, kto tylko odgrywał jakąś rolę w kraju, nie brakowało nikogo, z wyjątkiem samego dyktatora (kazał się usprawiedliwić silnym bólem gardła i wyczerpaniem nerwowym), a także kilku wybitnych członków partii gminnego pochodzenia — tych nie zaproszono.

Natomiast zauważono wśród obecnych kilku członków rodziny cesarskiej, wielu książąt panujących i prawie całą arystokrację, generalicję Wehrmachtu w komplecie, wielu wpływowych przedstawicieli finansjery i ciężkiego przemysłu, różnych członków korpusu dyplomatycznego, przeważnie reprezentujących mniejsze lub też bardzo odległe kraje, kilku ministrów, kilku wybitnych aktorów — wyraźna słabość jubilate do teatru była powszechnie znana — a nawet jednego literata o wyglądzie wielce dekoracyjnym, cieszącego się ponadto osobistą przyjaźnią dyktatora. Rozesłano ponad dwa tysiące zaproszeń, w tym około tysiąca honorowych kart wstępu, upoważniających do bezpłatnego uczestnictwa w zabawie. Odbiorcy pozostałego tysiąca zaproszeń musieli zapłacić po pięćdziesiąt marek od osoby: w ten sposób zwróci się część olbrzymich wydatków. Reszta spadnie na tych podatników, którzy nie należą do najbliższego otoczenia premiera, a więc do elity nowego towarzystwa niemieckiego.

— Czy to nie piękna uroczystość? — mówiła korpulentna małżonka jednego z fabrykantów broni z Nadrenii do żony

południowoamerykańskiego dyplomaty. — Bawię się po prostu znakomicie! Jestem w świetnym humorze i pragnęłabym, żeby wszyscy ludzie w Niemczech i na całym świecie cieszyli się równie świetnym humorem!

Żona południowoamerykańskiego dyplomaty, która mało rozumiała po niemiecku i którą ta zabawa nudziła, uśmiechnęła się dość kwaśno.

Wesoła małżonka fabrykanta, zawiedziona takim brakiem entuzjazmu, postanowiła ruszyć w dalszą drogę.

— Przepraszam drogą panią — powiedziała z dystynkcją, zgarniając połyskujący tren. — Muszę przywitać moją starą przyjaciółkę z Kolonii, matkę naszego intendenta Teatru Państwowego, wie pani, wielkiego Hendrika Hófgena.

Tu Amerykanka otworzyła po raz pierwszy usta i zapytała;

— *Who is Henrik Hopfen?*

Na co żona fabrykanta wykrzyknęła półgłosem:

— Jak to?! Pani nie zna Hofgena? Hófgem, droga pani, nie Hopfen! I Hendrik, nie Henrik — on przy wiązuje wielką wagę do tej literki.

To mówiąc pośpieszyła powitać dostojną matronę, która wsparta na ramieniu znanego literata i przyjaciela fuhrera z godnością kroczyła przez salę.

— Kochana pani Bello! Nie widziałyśmy się od wieków! Jakże się pani miewa, najmilsza? Czy tęskni pani czasem za naszą Kolonią? Chociaż zajmuje pani tutaj tak świetną pozycję! A jak się miewa panna Josy, to kochane dziecko? Ale przede wszystkim: co porabia Hendrik — pani sławny syn! Mój Boże, jakże on wysoko zaszedł! Przecież on prawie tyle znaczy co minister! Tak, tak, najdroższa pani Bello, wszyscy w Kolonii tęsknimy za panią i jej czarującymi dziećmi!

Prawdę powiedziawszy, żona milionera nie troszczyła się ani trochę o panią Betlę Hófgem wówczas, kiedy ta mieszkała jeszcze w Kolonii i zanim syn jej zrobił wielką karierę. Damy znały się tylko przelotnie i pani Bella nigdy nie bywała zapraszana do willi fabrykanta. Teraz wszakże wesoła i pełna humoru milionerka po prostu nie chciała wypuścić ze swej dłoni ręki tej kobiety, której syna zaliczono do najbliższych przyjaciół prezesa Rady Ministrów.

Pani Bella uśmiechnęła się łaskawie. Ubrana była skromnie, ale nie bez pewnej subtelnej kokieterii: na jej czarnej,

w miękkich fałdach spływającej jedwabnej toalecie jaśniała biała orchidea. Siwe, gładko zaczesane włosy tworzyły ciekawy kontrast z dość jeszcze młodą, starannie, lecz dyskretnie uszmkowaną twarzą. Duże, zielonkawobłękime oczy patrzyły z powściągliwą, uważną życzliwością na rozszczebiotaną panią, która cudowną kolie, długie kolczyki, paryską toaletę i cały olśniewający blask swej postaci zawdzięczała gorączkowym przygotowaniom Niemiec do wojny.

— Dziękuję, miewamy się wszyscy doskonale — odrzekła pani Hófgem z nie pozbawioną dumy skromnością. — Josy zaręczyła się z młodym hrabią Donnersbergiem. Hendrik jest trochę przepracowany, ma szalenie dużo roboty...

— Łatwo to sobie wyobrazić — odrzekła żona przemysłowca z szacunkiem.

— Pozwoli pani, że jej przedstawię naszego przyjaciela Cezara von Mucka? — rzekła pani Bella.

Literat skłonił się nisko nad strojną w pierścienie ręką bogatą panią, która od razu zaczęła dalej paplać;

— Jakież to interesujące spotkanie! Doprawdy, cieszę się, zaraz pana poznałam z fotografii. Podziwiałam w Kolonii pański dramat *Tannenberg*, bardzo dobrze wystawiony. Nie są to, oczywiście, te niedościgłe kreacje jak u was w Berlinie, ale naprawdę całkiem przyzwoity spektakl, niewątpliwie zasługuje na uznanie. A pan odbył tymczasem tak wspaniałą wojaż, cały świat mówi o pańskich dziennikach z podróży, muszę się o nie jak najprędzej postarać.

— Widziałem na obczyźnie dużo rzeczy pięknych i dużo rzeczy brzydkich — odrzekł literat z prostotą. — Zjeździłem jednakże wszystkie te kraje nie tylko jako obserwator, nie tylko jako konsument, ale jako działacz, jako propagator i mam wrażenie, że udało mi się zdobyć tam, za granicą, nowych przyjaciół dla naszych nowych Niemiec.

Stalowo błękitnymi oczyma, których przenikliwą i płomienną czystość sławiono w licznych felietonach, taksował fenomenalną biżuterię córki Nadrenii. „Mógłbym zamieszkać u niej podczas następnej bytności w Kolonii, kiedy będę tam miał odczyt albo premierę” — myślał, głośno zaś powiedział:

— Nasza prostolinijna mentalność nie jest w stanie pojąć, ile kłamstw krąży o naszym państwie tam, po świecie, jak nas źle rozumieją, jak złośliwie fałszują prawdę.

Natura tak ukształtowała jego twarz, że każdy reporter porównywał ją do „rzeźby w drzewie”: czoło porwane bruzdami, stalowe oczy pod płowymi brwiami, zacięte usta. Mówił z lekka saksońskim akcentem. Żona fabrykanta broni była pod silnym wrażeniem zarówno jego powierzchowności, jak szlachetnej mowy. Spojrzała na niego z uwielbieniem:

— Ach, jeżeli pan kiedy przyjedzie do Kolonii, musi nas pan koniecznie odwiedzić!

Radca stanu Cezar von Muck, prezes Akademii Literatury i autor granego na wszystkich scenach dramatu *Tamienberg*, skłonił się z rycerską godnością.

— Będzie to dla mnie prawdziwym szczęściem, łaskawa pani. — To mówiąc przyłożył nawet rękę do serca. >

Żona przemysłowca była nim zachwycona.

— Jakaż to będzie uczta duchowa móc słuchać pana przez cały wieczór, panie radco! — powiedziała głośno. — Ileż pan musiał przeżyć! Czy się nie mylę, że był pan kiedyś intendentem Teatru Państwowego?

Pytanie to wydało się nietaktowne zarówno dystygowanej pani Belli, jak autorowi tragedii *Tannenberga*. Von Muck odpowiedział dość szorstko:

— Tak jest.

Milionerka z Kolonii nie wyczuła tego. Co gorsza, perorowała z całkowicie niewłaściwym szelmowskim uśmiechem.

— A czy nie jest pan odrobinę zazdrosny o naszego Hendrika, swego następcę, panie radco?

Do tego jeszcze pogroziła mu palcem. Pani Bella nie wiedziała, gdzie oczy podziać.

Cezar von Muck wszakże dowiedział, że jest człowiekiem światowym, o umyśle wyższym, zdolnym do wspaniałomyślności. Przez jego rzeźbione rysy przemknął uśmiech, który zrazu wydawał się nieco gorzki, stopniowo jednak łagodniał, nabierał dobroci i wyrażał głęboką mądrość.

— Z chęcią, ze szczerą chęcią odstąpiłem to ciężkie brzemie memu przyjacielowi; nikt nie jest bardziej powołany do dźwigania go niż Höfgen. — Mówił drżącym głosem, do głębi wzruszony własną wielkodusznością i wzniosłością uczuć.

Pani Bella, matka intendenta, słuchała z przejęciem, a towarzyszkę życia króla armat tak poruszyła szlachetna i godna

postawa słynnego dramatopisarza, że była bliska płaczu. Opanowała się jednak dzielnie, połknęła łzy, otarła ukradkiem oczy jedwabną chusteczką i z widocznym wysiłkiem przemogła uroczysty nastrój. Zwyciężyła w niej właściwa mieszkańcom Nadrenii pogoda; rozpromieniła się znów i zapytała radośnie:

— Jakie wspaniałe przyjęcie, prawda?

Przyjęcie było istotnie wspaniałe, nie mogło być co do tego żadnych wątpliwości. Jak wszystko lśniło, pachniało, szumiało! Trudno było stwierdzić, co rozsiewa silniejszy blask: klejnoty czy gwiazdy orderów. Rozrzutne światło żyrandoli igrało i tańczyło na obnażonych białych plecach i pięknym makijażu pań, na tłustych karkach, wykrochmalonych gorsach albo wygalowanych mundurach otyłych panów; na spoconych twarzach łokai kręcących się dokoła z chłodzącymi napojami. Pachniały kwiaty pięknie dekorujące cały gmach; pachniały paryskie perfumy używane przez niemieckie kobiety; pachniały cygara przemysłowców i wypomadowane włosy smukłych młodzieńców w obcisłych, podkreślających urodę mundurach esesmanów; pachnieli książęta i księżniczki, szefowie gestapo, mistrzowie fełietonu, gwiazdy filmowe, profesorowie uniwersytetu wykładający naukę o rasach albo wiedzę wojskową, a także nieliczni bankierzy żydowscy, których fortuna i stosunki międzynarodowe były tak potężne, że dopuszczono ich nawet na tę elitarną zabawę. Rozsiewano opary sztucznych pachnideł, jakby chcąc zatuszować inną woń — mdło i słodkawo cuchnącej krwi; była to wprawdzie miła woń, cały kraj był nią przepojony, ale w tak wytwornym otoczeniu i w obecności dyplomatów cudzoziemskich wstydzono się jej trochę.

— Niesłychane! — powiedział pewien wyższy oficer Reichswehry do drugiego. — Na co sobie ten grubas pozwał!

— Póki to wszystko tolerujemy — odrzekł ów drugi.

Obaj zrobili przyjemny wyraz twarzy, gdyż właśnie ich fotografowano.

— Suknia Lotty kosztowała podobno trzy tysiące marek — opowiadała artystka filmowa księciu Hohenzollern, z którym tańczyła. Lotta była to ślubna małżonka wszechpotężnego, wielokrotnie utytułowanego, który kazał obchodzić swoje czterdzieste trzecie urodziny niczym królewicz z bajki. Lotta była prowincjonalną aktorką i uchodziła za prawdziwie niemiecką kobietę, skromną, o złotym sercu.

W dniu swego ślubu królewicz z bajki kazał stracić dwóch proletariuszy.

Potomek Hohenzollernów odrzekł:

— Moja rodzina nigdy nie pochwałała takich zbytków. Mówiąc nawiasem, kiedy dostojna para wreszcie się pojawi? Widocznie chodzi o to, żeby niecierpliwość, z jaką ich oczekujemy, doprowadzić do zenitu!

— Lotta to potrafi — zauważyła rzeczowo dawna koleżanka nowego wzoru dla niemieckich kobiet.

Niewątpliwie, wspaniała uroczystość: wszyscy obecni zdawali się nią w najwyższym stopniu rozkoszować, zarówno ci, którzy otrzymali honorowe karty wstępu, jak i ci, którzy musieli zapłacić pięćdziesiąt marek za prawo uczestnictwa. Ludzie tańczyli, paplali, flirtowali; podziwiali samych siebie, pozostałych gości, ale najbardziej potęgę mogącą sobie pozwolić na tak wspaniałe imprezy. W łóżach i korytarzach Opery, przy kuszących bufetach toczyły się ożywione rozmowy. Wymieniano uwagi o toaletach pań, dyskutowano nad sumą majątku panów, nad fantami, którymi mogła obdarzyć przeznaczona na dobroczynny cel tombola: jako najbardziej wartościowy obiekt wymieniano brylantową swastykę. Klejnot bardzo ładny i kosztowny, można go nosić jako broszkę albo jako wisiorek przy naszyjniku. Wtajemniczeni twierdzili, że będą także bardzo zabawne nagrody pocieszenia, na przykład: wierne naśladownictwo czołgów i karabinów maszynowych z marcepanu, owej specjalności Lubeki. Niektóre rozbawione panie twierdziły, że wołałyby wygrać narzędzie śmiercionośne sporządzone z tak słodkiego surowca niż ową kosztowną swastykę. Śmiało się głośno i serdecznie. Przytłumionym głosem wymieniano komentarze o politycznych kulisach dzisiejszej uroczystości. Zwracało uwagę, że dyktator odmówił udziału, a wiele ważnych osobistości NSDAP nie zostało zaproszonych, natomiast nader licznie stawili się przedstawiciele arystokracji. W związku z tym chodzili pełne niedomówień słuchy, które podawano dalej szeptem. Powtarzano sobie także pogłoski o złym stanie zdrowia dyktatora; komentowano je cicho i namiętnie zarówno w kołach przedstawicieli prasy zagranicznej i dyplomatów, jak wśród panów z Reichswehry i ciężkiego przemysłu.

— Zdaje się, że to jednak rak — poinformował paryskiego kolegę pewien angielski dziennikarz zza osłaniającej usta chusteczki. Żle trafił. Francuz, do którego się zwrócił, nazwiskiem Pierre Larue, o wyglądzie ułomnego, złośliwego karła, wielbił bohaterstwo i pięknie umundurowanych chłopców nowych Niemiec. Zresztą nie był to dziennikarz, tylko człowiek bogaty, autor plotkarskich książek o życiu towarzyskim, literackim i politycznym stolic europejskich; treścią jego życia było kolekcjonowanie znajomości z wybitnymi i sławnymi osobistościami. Ten zarówno groteskowy, jak podejrzany koboldzik o spiczastej twarzycze i jęklwym falsecie, przypominającym głos chorowitej starszej pani, pogardzał demokracją swojej ojczyzny i oświadczał każdemu, kto go chciał słuchać, że uważa Clemenceau za łajdaka, a Brianda za idiotę, natomiast każdy wyższy urzędnik gestapo był dla niego półbogiem, „góra” zaś rządu nowych Niemiec kompletem nieskazitelnych bóstw.

— Cóż to za niegodziwe plotki pan szerzy! — Pierre Larue spojrział na Anglika z groźbą w oku; głos jego szeleścił jak opadłe, zeschnięte liście. — Führer cieszy się najlepszym zdrowiem. Jest tylko trochę zaziębiony.

Ten mały potworek zdolny był pójść i zadenuncjować. Korespondent angielski, zaniepokojony, nerwowo usiłował się usprawiedliwić:

— Napomknął mi coś o tym w zaufaniu jeden z kolegów, Włoch...

Lecz wątpy wielbiciel pełnych tężyzny mundurów przebrał mu surowo w pół słowa:

— Dość tego, mój panie! Nie chcę więcej o tym słyszeć! To nieodpowiedzialna gadanina! Przepraszam — dodał już trochę łagodniej. — Muszę złożyć uszanowanie eks-królowi Bułgarii. Rozmawia z nim księżna heska. Miałem zaszczyt poznać jej wysokość na dworze jej ojca w Rzymie.

I oddali! się z pośpiechem, złożywszy na piersiach blade spiczaste rączki, w postawie i z wyrazem twarzy labusia-intryganta. Anglik mruknął za nim:

— Przeklęty snob!

Na sali nastąpiło poruszenie, rozległ się wyraźny szmer: wszedł minister propagandy. Nie spodziewano się go dziś wieczór, powszechnie były znane napięte stosunki panujące

między nim a tłustym solenizantem, który wciąż jeszcze kazał na siebie czekać; jego przybycie miało być *clou* wieczoru.

Minister propagandy, władający myciem intelektualnym wielomilionowego narodu, kuśtykał wśród świętego tłumu, który chylił przed nim głowy. Lodowaty powiew zdawał się ciągnąć za nim. Rzekłbyś, że jakieś złośliwe, niebezpieczne, samotne i okrutne bóstwo zstąpiło w ten pospolity tłum żądnych uciech, tchórzliwych i nędznych śmiertelników. Przez parę sekund całe towarzystwo było jakby sparaliżowane strachem. Tańczące pary zastygły we wdzięcznych pozach, utkwivszy nieśmiały wzrok zarazem z pokorą i nienawiścią w budzącym lęk karle. On zaś usiłował szarmanckim uśmiechem, rozszerzającym od ucha do ucha wąskie, zaciśnięte usta, złagodzić wrażenie grozy, które od niego promieniowało; starał się oczarować ludzi, zjednać ich sobie, a głęboko osadzonym, przebiegłym oczom nadać przyjazny wyraz. Ruchem pełnym gracji ciągnąc za sobą wykrzywioną nogę, spieszył zwinnie przez salę i pokazywał temu Towarzystwu złożonemu z dwóch tysięcy niewolników, popleczników, oszustów, oszukanych i głupich swój profil drapieznika. Z obłudnym uśmiechem mijał grupy milionerów, posłów, dowódców dywizji i gwiazd filmowych. Zatrzymał się dopiero przed intendentem teatru Hendrikem Hofgenem, radcą stanu i senatorem.

Jeszcze jedna sensacja! Intendent Höfgen należał do zdecydowanych faworytów premiera i szefa lotnictwa, który przeforsował jego nominację na naczelnego kierownika Teatru Państwowego wbrew woli ministra propagandy. Po długiej i gwałtownej walce minister był zmuszony poświęcić swego protegowanego, dramaturga Cezara von Mucka, i wyprowadzić go w daleką podróż. Teraz wszakże demonstracyjnie zaszczylił ulubieńca swego wroga uprzejmym powitaniem

nistrem propagandy jak z szefem lotnictwa. Czyżby wygrywając jednego potentata przesiadłszy go, osiągnął to, że go obaj wielcy rywale przywrócić do życia? — legendarna zręczność pozwalała na wysnuwanie wniosków...

Wszystko to było niesłychanie ciekawe, ale minister pozostawił eks-króla Bułgarii swojemu lotnictwu i przeszedł przez salę — ciekawość gnała go jak piórko — by się temu sensacyjnemu spotkaniu przyglądać z bliska. Stalowe oczy Cezara von Mucka patrzyły podejrzliwie, milionerka z Kolonii aż jęknęła, a ja jestem świadkiem tak wyśmienitej sceny; zaś pani ministerka wielkiego człowieka, uśmiechała się i przyglądała się chęć do wszystkich, którzy stali blisko niego. — chciała im powiedzieć: Mój Hendrik jest w tym wszystkim jego dystygowaną matką. Mimo to nie udało mi się klęknąć na kolana. Zarówno on, jak ja jesteśmy z krwi i kości, chociaż zostaliśmy tak wyróżnieni.

— Jak się pan miewa, mój drogi Hofgenie? — minister propagandy uśmiechając się mile.

Intendent uśmiechnął się także, ale powściągliwie, z pewnością niemal bolesną:

— Dziękuję, panie ministrze!

Mówił cicho, nieco śpiewnie, silnie przyciskając do siebie słowa. Minister wciąż jeszcze nie wypuszczył ręki.

— Czy wolno zapytać, jak zdrowie matki? — powiedział intendent.

Jego dostojny rozmówca zrobił wreszcie krok do przodu.

— Jest dziś trochę niedysponowana.

To mówiąc uwolnił dłoń senatora i radośnie przyklęknął. Hendrik wyraził ubolewanie:

— Jakże mi przykro.

w przepychu grubasa, by ją poślubił. Żona ministra propagandy cierpiała nie do opisania męki. Zaprzeczano jej praw do rangi pierwszej damy! Inna przepychała się naprzód! Ta komedianka stała się przedmiotem takich hołdów, jak gdyby zmartwychwstała królowa Luiza! Ilekroć urządzano jakąś imprezę ku czci Lotty, pani ministrowa irytowała się tak strasznie, że dostawała migreny. Tego wieczora również nie wstała z łóżka.

— Nie wątpię, że małżonka pana ministra zabawiłaby się tu znakomicie. — Hofgen zachowywał wciąż minę uroczystą. W słowach jego nie można było się dopatrzeć ani cienia ironii. — Jestem niepokieszony, że fuhrer nie mógł przyjąć zaproszenia. Ambasadorom angielskiemu i francuskiemu także coś stanęło na przeszkodzie.

Przez samo stwierdzenie tych faktów, choć to uczynił w jak najłagodniejszym tonie, dopuścił się zdrady wobec swego prawdziwego przyjaciela i dobroczyńcy, premiera, ku uciesze zazdrosnego ministra propagandy. Chciał sobie jednak na wszelki wypadek zachować w rezerwie tego potworka.

Przebiegły kuternoga zapytał tonem poufnym, z pewną ironią:

— A jaki dziś nastrój?

Intendent Teatru Państwowego odrzekł powściągliwie:

— Sądzę, że się dobrze bawią.

Obaj dostojnicy prowadzili rozmowę półgłosem; dokoła niebawiem tłoczyli się ciekawi, zbliżyło się kilku fotografów. Żona fabrykanta armat szepnęła właśnie do monsieur Larue, który w zachwycie zacierał na piersiach kościste rączki:

— Nasz intendent i nasz minister, czy to nie zachwycająca para? Obaj tacy wspaniali! Obaj tacy piękni!

Przycisnęła swą strojną postać o bujnych kształtach do ułomnej cielesnej powłoki złośliwego karła. Subtelny galijski wielbiciel germańskiego heroizmu, dziarskich chłopców i świetnych arystokratycznych nazwisk czuł obawę przed dyszącą bliskością takie; masy kobiecego ciała. Usiłował się nieco odsunąć, ćwierkając przy tym:

— Cudowne! Czarujące! Nieporównane!

— Nasz Hofgen to mężczyzna w całym znaczeniu tego słowa, powiadam panu! Geniusz, nie znajdzie się takiego ani w Paryżu, ani w Hollywood! I taki prawdziwie niemiecki, taki

prawy, prosty i uczciwy! Znałam go przecież, kiedy był jeszcze ty ci!

I wyciągniętą ręką wskazywała, jaki był Hendrik, kiedy to ona, milionerka, konsekwentnie ignorowała jego matkę na imprezach dobroczynnych w Kolonii.

— Prześliczny chłopiec! — dodała jeszcze i oczy jej przybrały wyraz tak zmysłowy, że Larue uciekł zdjęty panicznym strachem.

Hendrik Hofgen mógł uchodzić za mężczyznę około pięćdziesiątki, skończył jednak zaledwie trzydzieści dziewięć lat — był niebywale młody na tak wysokie stanowisko. Na jego wyblakłej twarzy malował się ów kamienny spokój, do jakiego potrafią się zmusić bardzo nerwowi i bardzo próżni ludzie, kiedy wiedzą, że obserwuje ich wiele oczu. Wygolona czaszka miała kształt szlachetny. W nalanej szarobiałej twarzy zwracał uwagę bolesny grymas przebiegający od wysoko podniesionych płowych brwi aż do zapadniętych skroni. Uderzała poza tym charakterystyczna budowa mocno zarysowanej dolnej szczęki; że zaś głowę nosił dumnie wzniesioną, więc wytworna i piękna linia łącząca ucho z podbródkiem zaznaczała się śmiało i władczo. Do szerokich, bladych warg przylgnął zastygły, enigmatyczny uśmiech, zarazem szydlerczy i jakby proszący o litość. Za dużymi, lśniąco jak lustra szklarni okularów oczy były tylko chwilami widoczne i tylko chwilami działały na patrzącego: wówczas dostrzegało się z pewnym lękiem, że pomimo całej pozornej miękkości są zimne jak lód, a pomimo spojrzenia pełnego melancholii — bardzo okrutne. Te szarozielone, mieniające się oczy przypominały drogie kamienie, kosztowne, ale przynoszące nieszczęście — a równocześnie chciwe oczy złej i niebezpiecznej ryby. Wszystkie panie i większość panów byli zdania, że Hendrik Hofgen jest nie tylko wybitnym i niezmiernie zręcznym, ale również wyjątkowo pięknym mężczyzną. Był świadom swego czaru, a obliczona na efekt, z chęci wywarcia jak najlepszego wrażenia aż sztywne postawa oraz kosztowny frak tuszowały zbytnią otyłość, widoczną zwłaszcza w okolicach bioder i pośladka.

— Muszę panu pogratulować pańskiego Hamleta, mój drogi — ciągnął dalej minister propagandy. — Niezwykła kreacja. Scena niemiecka może być z pana dumna.

Hófgem skłonił lekko głowę, opuszczając piękny podbródek; ponad wysokim, olśniewająco białym kołnierzem utworzyły się liczne fałdy.

— Kto zawiedzie w roli Hamleta, nie zasługuje na miano aktora.

Głos jego był tak pełen skromności, że aż brzmiała w nim skarga. Minister zdążył jeszcze tylko skonstatować: — Odczuł pan całą tragedię — kiedy na sali zrobił się nagle ruch.

Generał lotnictwa i jego małżonka, dawna aktorka Lotta Lindenthal, weszli przez wielkie drzwi środkowe: powitały ich huraganowe oklaski i głośnie okrzyki. Dostojna para kroczyła wśród radosnego szpaleru ludzi. Żaden cesarz nie mógłby się poszczycić tak tryumfalnym wejściem. Zapanował, zda się, niebываły entuzjazm; wszyscy ci wybrani, przedstawiciele wielkiego świata, a było ich dwa tysiące, chcieli dowieść sobie nawzajem, a także premierowi, możliwie najgłośniejszym krzykiem i klaskaniem w dłonie, z jakim zapałem biorą udział w uroczystościach czterdziestych trzecich urodzin wysokiego dygnitarza i jak gorąco popierają narodowosocjalistyczne państwo. Wołano: „Niech żyją!”, „Cześć!” i „Winszujemy!” Rzucano kwiaty, które pani Lotta przyjmowała z gracją pełną godności. Orkiestra grała tusz. Twarz ministra propagandy skurczyła się z nienawiści, ale na to nie zwracał uwagi nikt, może poza Hendrikiem Hófgemem. Intendent stał bez ruchu: czekał na swego dobroczyńcę w wyprężonej, wdzięcznej, a zarazem sztywnej pozie.

Robiono zakłady, w jakim fantazyjnym mundurze pojawi się tego wieczoru grubas. Tym razem, przez jakąś ascetyczną kokieterię, chciał oszołomić towarzystwo jak najskromniejszym przebraniem. Ciemnozielona kurtka mundurowa, którą miał na sobie, robiła wrażenie niemal ściernie skrojonej bonzurki. Na piersiach połyskiwała tylko jedna mata srebrna gwiazdka orderowa. Szare spodnie podkreślały grubość nóg, zazwyczaj ukrywanych pod polami długich płaszczy; były to dwa słupy, na których się powoli poruszała. Kolosalne rozmiary i tusza postaci wydawały się stworzone na to, by siać dokoła strach i zmuszać do pokory — trudno było natomiast doszukać się w niej śmieszności; najodważniejszemu śmiech zamierał na wargach, gdy zważył w myśli, ile krwi już popłynęło na skinięcie tej olbrzymiej góry sadła i mięsa i jak niezmiernie

moc krwi popłynie jeszcze na jego cześć. Masywna głowa na krótkiej, rozdętej szyi była jakby napęczniała czerwoną posoką — głowa Cezara, z której zdarto skórę. Twarz ta nie miała w sobie nic ludzkiego: bezkształtna bryła surowego mięsa.

Poprzez świetne grono zebranych premier majestatycznie przepychał brzuch tworzący z piersiami jedno olbrzymie sklepienie. Szczerzył zęby w zdawkowym uśmiechu.

Jego żona Lotta darzyła obecnych uśmiechem promiennym — królowa Luiza w każdym calu. Nawet jej toaleta, której cena stanowiła temat rozmów wszystkich pań, była skromna pomimo swej wspaniałości: lśniąca srebrna tkanina, zakończona długim, królewskim trenem, spływała w gładkich fałdach. Jednakże diadem z brylantów nad jasnymi jak żytnie kłosa splotami oraz perły i szmaragdy na szyi przewyższały zarówno pod względem wartości, jak blasku wszystko, co podziwiano dotąd w tym świetnym gronie. Fenomenalna biżuteria prowincjonalnej aktorki warta była miliony; zawdzięczała ją galanterii małżonka — który w oficjalnych mowach chętnie piętnował żądzę zbytku i przekupstwo republikańskich mężów stanu — oraz wierności kilku dobrze sytuowanych poddanych, cieszących się laskami grubasa. Pani Lotta przyjmowała dary nawet tak wielkiej wartości z pogodą i prostotą, które wyrobiły jej opinię naiwnej, macierzyńskiej, godnej uwielbienia kobiety. Uchodziła za bezinteresowną, nieposzlakowaną. Stała się ideałem kobiet niemieckich. Miała duże, okrągłe, nieco wyłupiaste krowie oczy, wilgotne i promieniście błękitne, piękne jasne włosy i śnieżnobiały biust. I ona zresztą była już trochę za tęga — w pałacu prezesa ministrów jadało się smacznie i obficie. Opowiadano o niej z podziwem, że stawała czasem wobec męża w obronie Żydów należących do dobrego towarzystwa — Żydzi szli mimo to do obozów koncentracyjnych. Nazywano ją dobrym duchem premiera; tymczasem groźny nie złagodniał, odkąd ona stała się jego doradcą. Jedną z jej najsłynniejszych ról była rola Lady Milford w *Intrydze i miłości* Schillera: owej kochanki władcy, która nie może znieść blasku klejnotów ani bliskości swego pana, odkąd się dowiedziała, czym zapłacono za drogie kamienie. Kiedy po raz ostatni występowała na scenie Teatru Państwowego, grała Minnę von Barnhelm; zanim więc przeniosła się do pałacu szefa lotnictwa, zadeklamowała raz jeszcze strofy poety,

którego jej mąż i jego towarzysze broni szczuliby i prześladował, gdyby żył w dzisiejszych czasach. W jej obecności omawiano przeraźliwe tajemnice totalitarnego państwa: uśmiechała się macierzyńsko. Rano, kiedy przekomarzając się z mężem zaglądała mu przez ramię, widziała, jak podpisuje wyroki śmierci na renesansowym biurku; wieczorem ukazywała swój śnieżnobiały biust i jasne jak kłosa, kunsztownie ufryzowane pukle na premierach w Operze albo przy pięknie udekorowanych stolach wybrańców, których uznano za godnych obcowania z nią. Była nietykalna, wyższa ponad brutalną prawdę życia — nie domyślała się bowiem niczego i zachowywała wrodzoną sentymentalność. Wyobrażała sobie, że otacza ją „miłość ludu”, dlatego że dwa tysiące ambitnych, przekupnych chciwców i snobów wznosiło okrzyki na jej cześć. Szła otoczona blaskiem i rozdawała uśmiechy, nic poza tym. Wierzyła z całą powagą, że Pan Bóg jest jej życzliwy, ponieważ zezwolił na to, by obsypano ją takim mnóstwem klejnotów. Brak fantazji i inteligencji chroniły ją przed myślą o przyszłości, która może niewiele będzie miała wspólnego z piękną terażniejszością. Kiedy tak kroczyła z podniesioną głową, skąpana w świetle i powszechnym podziwieniu, serce jej nie wątpiło ani na chwilę, że czar ten będzie trwał. Nigdy — sądziła z ufnością — ten blask nie opuści jej nigdy; męczennicy nie zemszczą się nigdy, nigdy nie osiągną jej czarne skrzydła ciemności.

Wciąż jeszcze brzmiały takty tuszu, głośne i przeciągłe, nie milkły hołdownicze okrzyki. Lotta i jej grubas dotarli tymczasem do ministra propagandy i Hófgena. Wszyscy trzej panowie podnieśli lekko ręce, markując od niechcenia ceremonię powitalną. Po czym Hendrik pochylił się z poważnym, tkliwym uśmiechem nad dłonią wielkiej damy, którą tak często wolno mu było brać w objęcia na scenie. Oto stali wystawieni na płonące ciekawością spojrzenia doborowej publiczności — cztery potęgi w tym kraju, czterej władcy, czterej kamedianci; szef propagandy, specjalista od wyroków śmierci i bombowców, sentymentalna oblubienica i płowowłosa intrygant. Doborowa publiczność zauważyła, jak grubas trzepnął pana intendenta po ramieniu i zapytał z rechoczącym śmiechem:

— Jak się masz, Mefisto?

Z punktu widzenia estetyki Hófggen znajdował się w korzystnej dla siebie sytuacji: obok zażywej pary małżeńskiej wydawał się smukły, w zestawieniu zaś ze zwinnym, lecz ułomnym karłem reklamy robił wrażenie rosnącego i postawnego mężczyzny. Zresztą nawet jego twarz o nerwowo pulsujących skroniach i silnie zarysowanej dolnej szczęce, choć tak blada i złowieszcza, tworzyła przyjemny kontrast z otaczającymi go trzema twarzami; było to jednak oblicze człowieka, który żył i cierpiał; natomiast twarz jego korpulentnego protektora była nalana tłuszczeniem maską, twarz sentymentalnej oblubienicy głupią larwą, zaś twarz szefa propagandy kiepską karykaturą.

Sentymentalna oblubienica obrzuciła wymownym spojrzeniem intendenta, dla którego żywiła w sercu skrytą, nie nazbyt jednak skrytą słabość:

— Jeszcze panu nie powiedziałam, Hendriku, jak zachwyciło mnie pańskie ujęcie Hamleta.

Uściskał jej dłoń w milczeniu, zbliżając się o krok i usiłując naśladować to głębokie spojrzenie, jakim tylko ona umiała darzyć. Próba wszakże nie mogła się udać: jego błyszczące jak klejnoty, rybie oczy nie potrafiły promieniować odpowiednio łagodnym ciepłem. Nadał więc twarzy wyraz poważny, niemal gniewny i oficjalny, i szepnął:

— Muszę powiedzieć kilka słów.

Podniósł głos. Głos ten był jasny, dobrze wyszkolony, metaliczny; dotarł do najodleglejszych zakątków wielkiej sali i podziałał magicznie na słuchaczy.

— Panie premierze — zaczął — ekscelencje, panie i panowie! Jesteśmy dumni — tak, dumni i szczęśliwi, że wolno nam święcić dzisiejszą uroczystość w tym gmachu, z panem, panie premierze, i jego piękną małżonką...

Od pierwszego słowa Hófggena zamilkły ożywione rozmowy zgromadzonych tu dwóch tysięcy osób. W zupełnej ciszy i nabożnym bezruchu słuchano długiej, patetycznej i płaskiej mowy gratulacyjnej, którą intendencja, senator i radca stanu wygłaszał na cześć premiera. Wszystkie oczy były zwrócone na Hendrika Hófggena. Wszyscy go podziwiali. Stanowił cząstkę potęgi. Dzielił z nią blask, póki blask ten trwał. Był jednym z najsztudniejszych i najzręczniejszych jej przedstawicieli. Z racji czterdziestych trzecich urodzin swego pana nadawał głosowi zdumiewająco radosne tony. Podniósł

głowę. Wysunął silnie zarysowaną szczękę, oczy mu lśniły, ruchy były śmiałe, oszczędne i płynne. Unikał starannie wypowiedzenia choćby jednego słowa prawdy. Oskalpowany Cezar, szef reklamy i krowiooka oblubienica zdawali się czuć nad tym, aby same kłamstwa, nic, tylko kłamstwa wypływały z jego ust; wymagała tego konwencja — obowiązująca zarówno w tej sali, jak w całym kraju.

A kiedy Hendrik w brawurowo wzrastającym tempie dobiegł końca swego przemówienia, ładna kobietka o wyglądzie dziecka, żona znanego reżysera filmowego, zajmująca skromne miejsce w samym końcu sali, szepnęła do swojej sąsiadki:

— Jak skończy, muszę podejść i uścisnąć mu rękę. Czy to nie kapitalne? Znam go od tak dawna — występowaliśmy razem w Hamburgu. Śmieszne! Jakąż ten człowiek zrobił karierę!

I

HAMBURSKITEATRARTYSTYCZNY

Ku końcowi wojny światowej i w pierwszych latach po rewolucji listopadowej teatr literacki w Niemczech przeżywał okres wielkiej koniunktury. Dyrektorowi Oskarowi Krogemu powodziło się wówczas świetnie, na przekór trudnym warunkom gospodarczym. Był kierownikiem sceny kameralnej we Frankfurcie nad Menem. Gdy wystawiano w nowej inscenizacji sztukę Wedekinda albo Strindberga, prapremierę Georga Kaisera, Stemheima, Fritza von Unruha, Hasenclevera czy też Tollera — w ciasnej, nastrojowej, zacisznej piwnicy gromadziło się intelektualne towarzystwo miejscowe, ale przede wszystkim podniecona, wzburzona toczącymi się wypadkami, gotowa do dyskusji i zachwytu młodzież. Oskar Kroege, który sam pisywał eseje i wiersze w formie hymnów, traktował teatr jako „instytucję moralną”; scena miała wychowywać nowe pokolenie, przygotować je do przyjęcia nowych ideałów, dla których, jak wówczas sądzono, wybiła godzina, ideałów wolności, sprawiedliwości, pokoju. Oskar Kroege był patetyczny, ufny i naiwny. W niedzielę przed południem, poprzedzając wystawienie sztuki Tołstoja albo Rabindranatha Tagore, miewał przemówienie do swojej gminy. Słowo „ludzkość” powtarzało się często; młodzież tłoczącą się na miejscach stojących nawoływał wielkim głosem: „Miejcie odwagę być sobą, bracia!”, i zbierał huczne oklaski, kiedy kończył słowami Schillera: „Niech ten uścisk świat obleci!”

Oskar Kroege cieszył się sympatią i szacunkiem we Frankfurcie nad Menem i wszędzie tam, gdzie brano żywy udział w śmiałych eksperymentach teatru intelektualnego. Jego wy-

razistą twarz o wysokim, przeoranim głębokimi bruzdami czole, rzadkiej, siwej czuprynie i dobrodusznym, rozumnych oczach za szklami okularów w cienkiej złotej oprawie widywało się często w małych awangardowych przeglądach literackich, czasem nawet w pismach ilustrowanych. Należał do najaktywniejszych i odnoszących największe sukcesy pionierów dramatycznego ekspresjonizmu.

Popełnił niewątpliwie wielki błąd porzucając swój mały, nastrojowy teatrzyk we Frankfurcie — miał się o tym aż nazbyt prędko przekonać. Hamburski Teatr Artystyczny był co prawda większy, dlatego też, gdy w roku 1923 zaproponowano mu tam stanowisko dyrektora, przyjął propozycję. Okazało się jednak, że publiczność hamburska stanowi znacznie mniej podatny grunt dla śmiałego, stawiającego wielkie wymagania eksperymentu niż owo wyrobione, ale skłonne do entuzjazmu grono, które dochowało wierności przedstawieniom kameralnym we Frankfurcie. W Hamburskim Teatrze Artystycznym musiał Kroge, poza programowymi, literackimi sztukami, wystawiać nadal *Porwanie Sabine* i *Pensjonat pani Schöller*. Cierpiał z tego powodu. Co piątek, kiedy układano plan przedstawień na następny tydzień, staczał małą bitwę z panem Schmitzem, kierownikiem finansowym teatru. Schmitz chciał wstawiać do repertuaru operetki i farsy, one to bowiem „robiły kasę”; Kroge wszakże upierał się przy repertuarze literackim. Schmitz, który żywił zresztą dla Krogego serdeczną przyjaźń i podziw, przeważnie w końcu ustępował. Teatr Artystyczny zachował charakter literacki, co było ze szkodą dla jego dochodów.

Kroge skarżył się na obojętność młodzieży hamburskiej, zwłaszcza jednak na brak polotu szerokiej publiczności, obcej wszystkiemu, co wzniosłe.

— Jak to prędko poszło — stwierdzał z goryczą. — W roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym ludzie biegali jeszcze na Strindberga i Wedekinda; w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym chcą już tylko operetek.

Oskar Kroge był wymagający, a poza tym nie obdarzony duchem proroczym. Czyż byłby się żalił na rok 1926, gdyby przewidział, jak będzie wyglądał rok 1936?

— Żadna lepsza sztuka nie przyciąga już publiczności — zżymał się. — Nawet na *Tkaczach* połowa sali była pusta.

— Jednakże, z biedą wprawdzie, ale wychodzimy jakoś na swoje.

Dyrektor Schmitz starał się pocieszyć przyjaciela; bruzdy na poczciwej, nieco dziecinnej, nieco starczej, o kocim wyrazie twarzy Krogego sprawiały mu ból, chociaż sam miał wszelkie powody do zmartwień i niejedna zmarszczka znaczyła jego pulchne, różowe oblicze.

— Gdzie tam! — Kroge był niepocieszony. — Gdzie my tam wychodzimy na swoje! Musimy zapraszać wielkie sławy z Berlina na gościnne występy, tak jak dzisiaj, żeby hamburczycy przyszli do teatru.

Hedda von Herzfeld, stara współpracowniczka i przyjaciółka Krogego, która już we Frankfurcie reżyserowała i występowała w jego teatrze, zauważyła:

— Znowu widzisz wszystko w czarnych barwach, Oskarze! Ostatecznie to nie wstyd zaprosić na gościnny występ Dorę Martin — jest cudowna. Zresztą nasi hamburczycy przychodzą także, kiedy gra Höfgen.

Wymawiając nazwisko Höfgena pani von Herzfeld uśmiechała się mądrze i tkliwie. Jej szeroką, mocno upudrowaną twarz o mięsistym nosie i dużych złotobrazowych oczach, rozumnych i pełnych szacunku, rozświetlił delikatny płomień.

Kroge burknął:

~— Przepłacamą tego Höfgena.

— Dorę Martin także — dodał Schmitz. — Pomimo całego jej czaru i atrakcyjności; ale tysiąc marek za wieczór to chyba jakieś szaleństwo.

— Wymagania berlińskich gwiazd — odparła Hedda drwiąco.

Nie występowała w Berlinie i twierdziła, że gardzi obyczajami stolicy.

— Tysiąc marek miesięcznie dla Höfgena to także przesada — oświadczył Kroge, nagle zirytowany. — Odkąd to właściwie Hendrik dostaje tysiąc? — zagadnął Schmitza wzywającym tonem. — Dotychczas płaciliśmy mu osiemset, i to było aż nadto.

— Co miałem robić? — usprawiedliwiał się Schmitz. — Wpadł do mnie do gabinetu i usiadł mi na kolanach. — Pani von Herzfeld stwierdziła ubawiona, że Schmitz, opowiadając o tym, lekko się zaczerwienił. — Łechtał mnie pod brodą

i powtarzał w kółko: „Muszę dostać tysiąc marek! Tysiąc, dyrektorku! To taka ładna, okrągła suma!” No i co miałem zrobić, Kroge? Niech pan sam powie!

Był to zwykły podstęp Höfgena: kiedy chciał dostać zaliczkę albo podwyżkę gaży, wpadał jak burza do gabinetu Schmitza. W takich wypadkach grał rolę kapryśnego lekkoducha, wiedział bowiem, że niezgrabny, gruby Schmitz całkiem głowę traci, kiedy mu zwichrzy włosy albo da prztyczka w brzuch. Że zaś chodziło tym razem o gażę tysiącmarkową, siadł mu nawet na kolanach. Schmitz przyznał się do tego cały w pąsach.

— Co za niedorzeczne wybryki! — Kroge gniewnie kręcił zatroskaną głową. — W ogóle ten Höfgen to z gruntu głupi człowiek. Wszystko jest w nim nieszczerze — od jego gustów literackich aż do tak zwanego komunizmu. To nie artysta, to komediant!

— Cóż ty masz przeciwko naszemu Hendrikowi? — pani von Herzfeld siliła się na ton ironiczny; w rzeczywistości jednak nie przychodziło jej łatwo mówić z ironią o Höfgenie, na którego wystudiowany wdzięk była aż nazbyt wrażliwa. — To nasz najsilniejszy atut. Będziemy mogli sobie pozwolić, jeżeli nam go Berlin sprzątnie.

— Ja tam nie jestem tak szczególnie z niego dumny — powiedział Kroge. — To nic więcej, tylko rutynowany aktor prowincjonalny, on sam zresztą dobrze o tym wie.

Schmitz zapytał:

— Gdzież on się dziś podziewa?

Na co Hedda von Herzfeld parsknęła cichutkim śmiechem:

— Schował się w swojej garderobie za parawanem, powiedział mi to ten mały Böck. Hendrik jest zawsze strasznie podniecony i zazdrosny, kiedy przyjeżdżają goście z Berlina. Powiada w takich razach, że nigdy w życiu nie osiągnie tego co oni, i chowa się za parawan, po prostu histeria! Zwłaszcza Dora Martin wyprowadza go z równowagi, to u niego coś niby miłość, niby nienawiść. Dziś wieczór dostał już podobno spazmów.

— Widzicie, ma kompleks niższości! — wykrzyknął Kroge i rozejrzał się z triumfem dokoła. — A raczej odzywa się w nim podświadomie słuszna ocena samego siebie.

Siedzieli we troje w knajpce teatralnej Hamburgskiego Teatru Artystycznego; stoły nakryte wyplamionymi obrusami, a nad nimi galeria zakurzonych portretów — fotografie tych wszystkich, którzy w ciągu kilkudziesięciu lat się tu produkowali. W trakcie rozmowy pani von Herzfeld uśmiechała się nieraz, patrząc w górę na podobizny aktorek w rolach „naiwnych”, „sentymentalnych” albo charakterystyczno-komicznych czy też lwic salonowych oraz na „szlachetnych ojców”, młodocianych amantów, „czarnych charakterów”. Schmitz i Kroge nawet nie rzucili na nie okiem.

Tymczasem w teatrze Dora Martin, której schrypnięty głos, uwodzicielsko szczupłe ciało efeba i tragiczne, szeroko otwarte, dziecięce, niezgłębione oczy urzekały publiczność wielkich miast niemieckich, kończyła grać jedną z kasowych sztuk. Obaj dyrektorzy i pani von Herzfeld opuścili lożę po drugim akcie. Pozostali członkowie zespołu Teatru Artystycznego zostali na widowni, by przyjrzeć się do końca podziwianej i znienawidzonej zarazem koleżance z Berlina.

— Ale zespół, który z sobą przywiozła, jest naprawdę niżej wszelkiej krytyki — skonstatował Kroge z pogardą.

— Czego pan chce? — odrzekł Schmitz. — Jakżeby mogła zarobić co wieczór swoje tysiąc marek, gdyby zabierała z sobą w podróż drogo opłacanych aktorów?

— Ale ona sama gra coraz lepiej — powiedziała mądra pani Herzfeld. — Może sobie pozwolić na każdą manierę. Może mówić jak niedorozwinięte dziecko, mirno wszystko zniewala.

— Niedorozwinięte dziecko, to się pani udało — śmiał się Kroge. — Zdaje się, że tam na dole już skończyli — dodał spojrzawszy w okno. Ludzie szli koło knajpki brukowanym chodnikiem wiodącym do bramy, a stamtąd na ulicę.

Knajpka zapełniała się stopniowo. Aktorzy kłaniali się z demonstracyjną serdecznością w stronę dyrektorskiego stolika i rzucali żarciki gospodarzowi. Był to przysadzisty, krzepki starzec z białą, rozłożystą brodą i sinoczerwonym nosem. Dziadzię Hansemanna, właściciela knajpki, uważano w zespole za osobistość niemal równie znaczną jak Schmitz, dyrektor finansowy. Schmitz dawał czasem zaliczkę, jeżeli się trafiło na dobry humor, Hansemanna natomiast trzeba było prosić, żeby zapisał „na kreskę”, kiedy w drugiej połowie

miesiąca gażę się już przejadło, a zaliczki nie udzielono. Wszystkim dawał na kredyt; twierdzono, że Hófgén winien mu jest ponad sto marek. Hansemann nie czuł się więc bynajmniej w obowiązku odpowiadania na dowcipy niesolidnych klientów; z twarzą niewzruszoną i groźną powagą na czole podawał koniak, piwo i zimne mięsa, za które nikt nie płacił.

Wszyscy mówili o Dorze Martin, każdy miał swój pogląd na klasę jej kreacji; wszyscy zgadzali się tylko w jednym punkcie: że za dużo zarabia.

Hilda Motz oświadczyła:

— To gwiazdy doprowadzą teatr niemiecki do ruiny.

Jej przyjaciel Petersen ponuro kiwnął głową. Petersen grał role szlchetnych ojców z pretensjami do bohaterskiego gestu; upodobał sobie zwłaszcza role królów albo starych zabijaków w sztukach historycznych. Niestety był trochę za niski i za gruby do takich ról, co starał się nadrobić prężną i bojową postawą. Do jego twarzy, na której malował się wyraz fałszywej dobroduszości, pasowała siwa broda wilka morskiego; wobec jej braku oblicze jego było jakby wyleniałe, z długą, wygoloną górną wargą i mocno błękitnymi, błyszczącymi wyraziście, zbyt małymi oczkami. Hilda Motz kochała go bardziej niż on ją; wszyscy o tym wiedzieli. Ponieważ kiwnął głową potakująco, zwróciła się wprost do niego mówiąc poufałym i znaczącym tonem:

— Prawda, Petersen, o tej fatalnej gospodarce mówiliśmy już nieraz między sobą.

Potwierdził lojalnie:

— Oczywiście, moja droga! — i mrugnął do Racheli Mohrenwitz, ucharakteryzowanej na perwersyjną i demoniczną dziewczynę z czarną grzywką aż do wygolonych, cienkich brwi i dużym monoklem w czarnej oprawie; twarz miała zresztą dziecinną, pyzată, rysy całkiem jeszcze nie ukształtowane.

— Na berlińczyków działają widać sztuczki tej Dory Martin — ciągnęła dalej Hilda Motz rezolutnie — ale nas nie nabierze, ostatecznie wszyscyśmy stare teatralne wygi. — Rozejrzała się dokoła szukając uznania. Zwykle grywała role charakterystyczne, czasem powierzano jej rolę wytrawnej salonowej lwicy. Śmiała się chętnie, często i głośno, przy czym

tworzyły się jej głębokie bruzdy dokoła ust, w których połyskiwało złoto. W tej chwili wszakże robiła minę pełną godności, niemal gniewną.

Rachela Mohrenwitz powiedziała bawiąc się wyniośle długą cygarniczką:

— Ostatecznie nikt nie może zaprzeczyć, że Dora Martin jest fenomenalnie silną indywidualnością. Cokolwiek robi na scenie, zawsze nad wyraz intensywnie manifestuje: „Oto jestem!” Rozumiecie, co chcę powiedzieć...

Wszyscy zrozumieli, Hilda Motz jednakże kręciła głową z dezaprobatą, podczas gdy mała Angelika Siebert oznajmiła swym wysokim, załęczonym głosem:

— Podziwiam Dorę Martin. Uważam, że bije od niej jakaś zarodziejska moc...

Zaczerwieniła się przerażona długim i śmiałym zdaniem, jakie wypowiedziała. Wszyscy patrzyli na nią z pewnym wzruszeniem. Była urocza. Jej główka o krótko obciętych, jasnych włosach z przedziałkiem z lewej strony przypominała głowę trzynastoletniego chłopca. Niewinne, jasne oczy zachowały cały swój urok pomimo krótkiego wzroku; niektórzy twierdzili, że sposób, w jaki Angelika mruży oczy, gdy się czemuś przygląda, dodaje jej szczególnego wdzięku.

— Nasza mała znów znalazła przedmiot uwielbienia — rzekł piękny Rolf Bonetti i roześmiał się trochę za głośno. On to ze wszystkich członków zespołu dostawał najwięcej listów miłosnych od publiczności: stąd jego dumny, zmęczony wyraz twarzy, tak zblazowany, że aż pełen obrzydzenia. Wobec małej Angeliki występował jednak w roli starającego i od dość dawna zabiegał o jej względy. Na scenie często brał ją w objęcia, to wypływało z roli. Poza tym jednak była nieprzystępna. Ze szczególnym upodobaniem ofiarowywała swoją miłość tam, gdzie nie było najmniejszej nadziei na wzajemność; gdzie sobie tej miłości nawet nie życiono. Chwytająca za serce i ponętna, zdawała się stworzona na to, aby ją bardzo kochano i psuto. Dziwny upór jej serca sprawiał, że przyjmowała chłodno burzliwe hołdy Rolfa Bonettiego, nawet trochę z nich drwiła, przelewała zaś gorzkie łyżki nad lodowatym lekceważeniem, jakie jej okazywał Hendrik Hófgén.

Rolf Bonetti wyrokował z miną znawcy:

— Dora Martin, jaka tam z niej kobieta; to jakiś niesamowity obojnak — z pewnością ma rybią krew w żyłach.

— Ja uważam, że jest piękna — powiedziała Angelika cicho, ale stanowczo. — Najpiękniejsza ze wszystkich kobiet, moim zdaniem. — Miała przy tym oczy pełne łez. Angelika płakała często, nawet bez specjalnego powodu. Dodała jeszcze marząco: — Dziwna rzecz, wyczuwam jakieś tajemnicze podobieństwo między Dorą Martin a Hendrikiem...

Ta uwaga wzbudziła powszechne zdumienie.

— Dora Martin jest Żydówką — odezwał się nagle młody Hans Miklas.

Wszyscy spojrzeli na niego zaskoczeni i z pewną niechęcią.

— Miklas jest nieoceniony! — przerwała Hilda Motz kłopotliwe milczenie i spróbowała się roześmiać.

Kroge zmarszczył brwi, zdziwiony i zgorzony, zaś pani von Herzfeld kręciła tylko głową, ale zbladła przy tym wyraźnie.

Młody Miklas, bładny i przekorny, stał oparty o ladę; milczenie przeciągało się, ciążyło wszystkim; przerwał je w końcu dyrektor Kroge, pytając dość ostrym tonem:

— Co to ma znaczyć? — Zrobił przy tym minę tak groźną, na jaką go tylko było stać.

Inny młody aktor, który rozmawiał dotychczas po cichu ze starym Hansemannem, rzekł dobrodusznie i pojednawczo:

— Trafiłeś kulą w płot! Nie szkodzi, Miklas, takie rzeczy się zdarzają, poza tym dobry z ciebie chłopak!

To mówiąc poklepał złoczyńcę po ramieniu i śmiał się tak serdecznie, że wszyscy mu zawtórowali; nawet Kroge zdobył się na wesołość, trochę wprawdzie nerwową; klepał się dłońmi po udach i pochylał tułów ku przodowi, jakby nagle czymś ubawiony. Miklas wszakże zachował powagę, odwrócił bladą, kamienną twarz o gniewnie zaciśniętych ustach.

— A jednak to Żydówka.

Mówił tak cicho, że prawie nikt nie mógł go usłyszeć; tylko Otto Ulrichs, który przed chwilą dzięki swej prostoduszności uratował sytuację, usłyszał go i skarcił poważnym spojrzeniem.

Dyrektor Kroge rozgłosiwszy szeroko swoim niepohamowanym śmiechem, że bierze lapsus młodego Miklasa z humorystycznej strony, kiwnął na Ulrichsa.

— Niech no pan, proszę, przyjdzie tu na chwilę!

Ulrichs usiadł przy dyrektorze i pani von Herzfeld.

— Nie chcę się wtrącać do pańskich spraw osobistych, doprawdy — Kroge dał poznać po sobie, że cała ta kwestia jest mu bardzo przykra. — Ale zdarza się ostatnio coraz częściej, że pan zabiera głos na zebraniach komunistycznych. Wczoraj wziął pan znowu udział w takim zebraniu. To panu szkodzi, Ulrichs, i nam także szkodzi. — Króge zniżył głos. — Pan wie, jakie są te mieszczańskie pisma — mówił z naciskiem. — I tak wydajemy się tym ludziom podejrzani. Jeżeli jeden z członków naszego zespołu zacznie się teraz angażować pod względem politycznym, może to mieć dla nas fatalne skutki, niech mi pan wierzy. — Kroge wychylił duszkiem kieliszek koniaku, poczerwieniał nawet trochę.

Ulrichs odpowiedział spokojnie:

— Bardzo jestem rad, panie dyrektorze, że pan zaczął mówić ze mną o tych sprawach. Naturalnie, i ja już nad nimi rozmyślałem. Może będzie lepiej, jeżeli się rozstaniemy, panie dyrektorze. Proszę mi wierzyć, że niełatwo mi wystąpić z podobną propozycją. Jednakże nie mogę zrezygnować z mojej działalności politycznej. Gotów jestem poświęcić nawet engagement, a to byłaby ofiara, gdyż chętnie tu przebywam.

Mówił przyjemnym, głębokim, ciepłym głosem. Kroge słuchając go przyglądał się 2 ojcowską sympatią jego inteligentnej, energicznej twarzy. Otto Ulrichs miał miłą powierchowność. Wysokie, jasne czoło, z którego czarne włosy zdawały się cofać coraz dalej, wąskie, ciemnobrązowe, mądre i wesołe oczy budziły zaufanie. Kroge bardzo go lubił. Dlatego teraz niemal się rozżłościł.

— Ależ o tym nie może być nawet mowy, Ulrichs! — wykrzyknął. — Przecież pan wie doskonale, że nigdy bym pana nie puścił!

— Nie możemy się obejść bez pana! • — dodał Schmitz; ten otyły człowiek zdumiewał chwilami niezwykle wibrującym, czystym, ładnym głosem. Pani von Herzfeld potwierdziła jego słowa poważnym skinieniem głowy.

— Proszę pana tylko o trochę powściągliwości — zapewniał Kroge.

Ulrichs odrzekł serdecznie:

— Jesteście wszyscy bardzo dla mnie mili, naprawdę, bardzo mili, i będę się starał nie zanadto was kompromitować.

Pani von Herzfeld uśmiechnęła się do niego i szepnęła poufnie:

— Chyba zdaje pan sobie sprawę, że w sprawach polityki w znacznej mierze z panem sympatyzujemy.

Człowiek, którego poślubiła we Frankfurcie i którego nazwisko nosiła, był komunistą. Był o wiele od niej młodszy i porzucił ją. Pracował swego czasu w Moskwie jako reżyser filmowy.

— W znacznej mierze! — podkreślił Kroge i pouczająco podniósł w górę wskazujący palec. — Chociaż niecałkowicie, nie w stu procentach. Nie wszystkie nasze marzenia spełniły się w Moskwie. Czyż marzenia, żądania, nadzieje intelektualistów mogą się spełnić pod rządami dyktatury?

Ulrichs odpowiedział z powagą, przy czym jego wąskie oczy jeszcze bardziej się zwęziły, a spojrzenie stało się niemal groźne:

— Nie tylko intelektualiści czy też ci, którzy się tak zwa, mają nadzieje i żądania. Jeszcze pilniejsze są żądania proletariatu. A w takim świecie, jaki jest obecnie, może je zaspokoić tylko dyktatura.

Dyrektor Schmitz zrobił zdumioną minę.

Ulrichs, chcąc nadać trochę lepszy ton rozmowie, powiedział z uśmiechem:

— Zresztą niewiele brakowało, a na wczorajszym zebraniu Teatr Artystyczny byłby reprezentowany przez swego najwybitniejszego członka. Hendrik chciał zabrać głos, ale w ostatniej chwili coś mu niestety stanęło na przeszkodzie.

— Höfgenowi zawsze coś w ostatniej chwili staje na przeszkodzie, jeśli zachodzą okoliczności, które mogłyby zachwiać jego karierą. — Mówiąc to Kroge pogardliwie wykrzywił usta.

Hedda von Herzfeld popatrzyła na niego błagalnie, z wyrazem troski w oczach. Kiedy jednak Otto Ulrichs oświadczył z przekonaniem: — Hendrik należy do nas — uśmiechnęła się z ulgą.

— Hendrik należy do nas — powtórzył Ulrichs. — I dowiedzie tego czynem. Czynem zaś jego będzie Teatr Rewolucyjny. W tym miesiącu nastąpi otwarcie.

— Ale jeszcze nie nastąpiło. — Kroge uśmiechnął się złośliwie. — Na razie jest tylko papier listowy z pięknym nagłówkiem: „Teatr Rewolucyjny”. Przypuśćmy nawet, że dojdzie do otwarcia: czy myśli pan, że Höfgen zaryzykuje wystawienie sztuki naprawdę rewolucyjnej?

Ulrichs odpowiedział dość porywczo:

— Jestem o tym najmocniej przekonany! Zresztą sztuka została już wybrana, można śmiało powiedzieć, że jest rewolucyjna.

Kroge zrobił minę i gest wyrażający lekceważące powątpiewanie:

— Zobaczymy.

Hedda von Herzfeld widząc, że Ulrichs zaczerwienił się ze złości, uważała za właściwe zmienić temat rozmowy.

— Co miała znaczyć właściwie ta fantastyczna wypowiedź Miklasa? Czyżby to była prawda, że ten chłopiec jest antysemitą i ma coś wspólnego z narodowymi socjalistami?

Wymawiając słowa „narodowi socjaliści” wykrzywiła się z obrzydzeniem, jakby dotknęła zdechłego szczura. Schmitz roześmiał się pogardliwie. Kroge zaś powiedział:

— Tego nam tylko brakowało!

Ulrichs spojrzął z ukosa, chcąc sprawdzić, czy Miklas nie słucha, zanim wyjaśni! przytłumionym głosem:

— Hans to w gruncie rzeczy dobry chłopak — wiem o tym, bo często z nim rozmawiałem. Takim chłopcem trzeba się zająć serdecznie, traktować go wyrozumiale — może udałoby się jeszcze pozyskać go dla dobrej sprawy. Nie sądzę, żeby był całkiem dla nas stracony. On po prostu tylko obrał niewłaściwy kierunek — z całym swoim niezadowoleniem, całą swoją buntowniczą postawą — rozumieją państwo, co mam na myśli?

Pani Hedda kiwnęła głową. Ulrichs szepnął skwapliwie:

— W tych młodych mózgach wszystko się pogmatwało, istny mętlik. Miliony takich jak Miklas lata po świecie; przede wszystkim rozsądza ich nienawiść, i to zdrowa nienawiść, bo skierowana przeciwko istniejącemu stanowi rzeczy. No i miał chłopiec pecha, wpadł w ręce kusicieli i ci paczą jego zdrową nienawiść. Opowiadają mu, że wszystkiemu winni są Żydzi i traktat wersalski, a on wierzy w te bzdury i zapomina, kto jest winien wszystkiemu tu i wszędzie. Na tym właśnie polega ów

słynny manewr dywersyjny i udaje się zawsze z tymi, co mają mętlik w głowie, nic nie wiedzą i nie potrafią logicznie rozumować. A potem siedzi takie półtora nieszczęścia i pozwala sobie wymyślać od narodowych socjalistów.

Wszyscy czworo spojrzeli na Hansa Miklasa, który usiadł przy stolczku w najodleglejszym kącie sali koło grubej, starej suflerki, panny Efeu; siedział tam także Willy Bock, chłopiec obsługujący garderobę aktorów, i portier teatralny, pan Knurr. Powiadano, że pan Knurr nosi swastykę pod klapą marynarki i że w jego mieszkaniu pełno jest fotografii narodowosocjalistycznego fuhrera; nie śmie ich jeszcze zawiesić w portierni. Pan Knurr miewał gwałtowne dyskusje i utarczki słowne z mechanikami-komunistami, którzy nie bywali w knajpce teatralnej, tylko mieli własny stół w piwiarni naprzeciwko, gdzie ich czasem odwiedzał Ulrichs. Höfgen nie odważał się niemal nigdy zbliżyć do stołu mechaników w obawie, że wyśmieją jego monokl. A równocześnie narzekał, że knajpka teatralna jest wręcz nieznośna wskutek obecności tego narodowego socjalisty Knurra.

— Przeklęty drobnoraieszczanin — mówił o nim Höfgen — czeka na swego fuhrera i zbawcę jak dziewczyna na chłopca, który ma jej zrobić dziecko. Zimny dreszcz mnie przeszywa, kiedy przechodzę koło portierni i pomyślę o swastyce pod klapą jego marynarki...

— Oczywiście, miał trudne dzieciństwo — powiedział Otto Ulrichs, wciąż jeszcze myśląc o Hansie Miklasie. — Opowiadał mi kiedyś o tym. Wychował się w jakiejś zapadłej dziurze w Dolnej Bawarii. Ojciec zginął na wojnie, matka, zdaje się, to osoba niezrównoważona i nierozsądna. Robiła straszne awantury, kiedy chłopiec powiedział, że chce pójść na scenę; można to sobie łatwo wyobrazić. Hans jest ambitny, pracowity i zdolny; wkuwał więcej niż każdy z nas. Z początku chciał być muzykiem, uczył się kontrapunktu, umie grać na fortepianie, robić sztuki akrobatyczne, stepować i grać na harmonii, i w ogóle wszystko. Pracuje cały dzień, a przy tym pewnie jest chory, paskudnie kaszle. Uważa naturalnie, że go odsuwają od wszystkiego, że nie ma dość powodzenia, że mu dają złe role. Wyobraża sobie, że wszyscy się przeciw niemu sprzysięgli z powodu jego tak zwanych przekonań politycznych. — Ulrichs patrzył wciąż bacznie i z powagą na młodego

Miklasa. — Dziewięćdziesiąt pięć marek miesięcznie — powiedział nagle i spojrzał groźnie na dyrektora Schmitza, który od razu począł niespokojnie kręcić się na krześle. — Trudno w tych warunkach być uczciwym człowiekiem.

Teraz z kolei zaczęła się uważnie przyglądać Miklasowi pani von Herzfeld.

Hans Miklas przysiadł się zawsze do Willi Bocka, do suflerki, panny Efeu, i do pana Knurra, kiedy się czuł pokrzywdzony przez dyrekcję Teatru Artystycznego, którą wobec swoich przyjaciół politycznych określał jako „zażydzo-ną” i „marksistowską”. Nade wszystko nienawidził Höfgena, tego „obrzydliwego salonowego komunisty”. Jeżeli wierzyć Miklasowi, Höfgen był zazdrosny i próżny, miał manię wielkości i chciał grać wszystko, a zwłaszcza Miklasowi sprzątał sprzed nosa każdą rolę.

— To nikiemność, że mi nie dał grać Moritza Stiefla — zwierzał się rozgoryczony. — Jeżeli już reżyseruje *Przebudzenie wiosny*, dlaczego bierze sobie jeszcze najlepszą rolę?! A dla takich jak ja nic nie zostaje. To nikiemność — i tyle! W ogóle jest za gruby i za stary na Moritza. Będzie śmiesznie wyglądał w krótkich portkach.

Miklas popatrzył ze złością na swoje chude i żylaste nogi.

Böck, głupi chłopak o wodnistych oczach i bardzo jasnych, bardzo sztywnych włosach ostrzyżonych na jeża, parsknął śmiechem nad szklanką piwa. Nikt nie wiedział, czy z Hendrika Höfgena, który będzie śmiesznie wyglądał w stroju gimnazysty, czy z bezsilnej złości młodego Hansa Miklasa. Natomiast panna Efeu głośno objawiała oburzenie, przyznając Miklasowi, że to nikiemność. Ten chłopiec budził w tęgiej, starej kobiecie macierzyńskie zainteresowanie, wyrażające się dla niego wkorzyściach praktycznych. Zresztą sympatyzowała z nim także pod względem politycznym. Cerowała mu skarpetki, zapraszała na kolację, obdarzała kiełbasą, szynką i konfiturami.

— Żebyś trochę utył, chłopcze — mawiała patrząc na niego tkliwie. Tymczasem podobała jej się właśnie chudość jego wysokiej, giętkiej, smukłej postaci. Jeśli gęste ciemno-blond włosy chłopca zbyt krnąbrnie sterczały na czubku głowy, panna Efeu mówiła: — Wyglądasz jak ulicznik — i wyjmowała grzebień z torebki.

Hans Miklas wyglądał rzeczywiście jak uticznik, i to taki, któremu niezbyt dobrze się powodzi, ale który z uporem walczy z przeciwnościami losu. Prowadził wyczerpujący tryb życia: trenował przez cały dzień, wiele wymagał od swego wątlęgo ciała; w tym leżała prawdopodobnie przyczyna jego drażliwości i ponurego, gniewnego wyrazu młodej twarzy. Koloryt tej twarzy był niepokojący: pod wydatnymi żuchwami zapadnięte policzki tworzyły dwa czarne doły. Cienie dokoła jasnych oczu miały także prawie czarną barwę. Natomiast czyste, dziecięce czoło promieniało jakąś bladą, subtelną jasnością, usta także świeciły niezdrowym, zbyt czerwonym blaskiem; w pogardliwie wydętych wargach zdawała się skupiać wszystka krew, która jakby uciekła mu z twarzy. Pełne, kuszące wargi — panna Efeu często nie mogła oderwać od nich oczu — kontrastowały zaskakująco ze zbyt krótkim podbródkiem.

— Dziś rano na próbie znowu wyglądałaś okropnie — mówiła suflerka z troską w głosie. — Takie masz głębokie czarne doły w policzkach. I ten kaszel. Taki głuchy, aż przykro było słuchać.

Miklas nie znosił, kiedy się nad nim litowano; jedynie dary, w które owa litość się obracała, przyjmował chętnie, choć bez słowa. Udał po prostu, że nie słyszy jęklivej gadaniny panny Efeu. Natomiast zapytał Bocka:

— Czy to prawda, że Hofgen chował się dziś przez cały wieczór w garderobie za parawanem?

Bock nie mógł temu zaprzeczyć. Zachowanie Hófgena wydało się Miklasowi tak niedorzeczne, że go pobudziło do wesołości.

— Mówiłem przecież, to zupełny głupiec. — Roześmiał się przy tym z tryumfem. — I to wszystko przez Żydówkę, która tak chowa głowę w ramionach. — Zgarbił się demonstrując, jak wygląda Dora Martin; panna Efeu ubawiła się setnie. — I takie coś chciałyby być gwiazdą. — Ten szyderczy okrzykmógł być równie dobrze skierowany pod adresem Dory Martin, jak Hófgena. Oboje należeli, jego zdaniem, do tej samej uprzywilejowanej, obcej, głęboko pogardzanej kliki.

— Dora Martin! — mówił dalej oparłszy złą, zbolałą, pełną wdzięku młodą twarz na chudych, niezbyt czystych rekach. — Będzie dalej młóciła te salonowo-komunistyczne

frazesy po tysiąc marek za wieczór. Cóż to za banda. Ale się z nimi zrobi porządek, Hofgen się o tym przekona.

Hans nie rzucał zazwyczaj tak niebezpiecznych słów w knajpcie, zwłaszcza jeśli Kroge był w pobliżu. Dziś jednak puścił sobie wodze — nie do tego stopnia wprawdzie, żeby mówić zbyt głośno. Ograniczył się do namiętnego szeptu. Panna Efeu i Knurr kiwali głową z uznaniem; Bock patrzył wodnistymi oczami.

— Ten dzień nadejdzie — powiedział Miklas cicho, ale bardzo namiętnie, a jego jasne oczy błyszczały gorączkowo spośród czarnych obwódok.

Nagle porwał go straszliwy kaszel. Panna Efeu zaczęła go trzepać po plecach i ramionach.

— Paskudnie głuchy ten kaszel — powiedziała z niepokojem — jak gdyby tkwił gdzieś głęboko w piersiach.

Ciasny lokal był pełen dymu.

— Powietrze tu takie gęste, że nożem można krajać — skarżyła się Hilda Motz. — Tego nie wytrzyma najsilniejszy chłop. A mój biedny głos. Jutro będę znów siedziała u laryngologa, zobaczycie.

Ale nikt nie miał ochoty zobaczyć jej u laryngologa, a Rachela Mohrenwitz rzuciła nawet z ironią:

— Och, nasza śpiewaczka koloraturowa!

Hilda Motz spiorunowała ją spojrzeniem. Miała pretensję do Racheli, Petersen wiedział o co. Nie dalej jak wczoraj widziano go w garderobie demonicznej dziewczyny i Hilda Motz aż się popłakała. Dzisiaj jednak postanowiła, że nie pozwoli zepsuć sobie humoru; przecież Rachela to głupia gęś, której monokl i śmieszne uczesanie całkiem przewróciły w głowie. Toteż Hilda Motz złożyła ręce na podotku i udając pogodny nastrój powiedziała serdecznie:

— Ależ tu miło, prawda, dziadziu Hansemann?

Mrugnęła okiem do gospodarza (była mu winna dwadzieścia siedem marek, więc nie odpowiedział jej mrugnięciem) i zaraz przestraszyła się, gdyż Petersen kazał sobie podać befsztyk, w dodatku z jajkiem.

— Jakby mu nie wystarczyła porcja parówek! — Łzy stanęły jej w oczach ze złości. Pomiędzy Hildą Motz i Petersenem bywały wieczne sprzeczki i niesnaski, odtwórca bowiem ról szlacheckich ojców miał, zdaniem przyjaciółki, zbyt sze-

roki gest. Zawsze zamawiał sobie najdroższe potrawy, a napitki, którymi szafował, były także zbyt wysokie.

— Naturalnie, befszytk z jajkiem! — lamentowała Hilda Motz.

Petersen burknął, że mężczyzna musi się przecież przyzwoicie odżywiać. Hilda wszakże, tracąc całkowicie panowanie nad sobą, zapytała nagle Rachelę Mohrenwitz z gniewną ironią, czy Petersen nie zaproponował jej czasem butelki szampana.

— Veuve Cliquot, gatunek ekstra! — krzyknęła Hilda, wymawiając markę szampana, pomimo trawiącej ją nienawiści, z finezją, która pasowała ją na damę.

Rachela Mohrenwitz poczuła się tym poważnie dotknięta.

— Wypraszam sobie! — krzyknęła przeszywającym głosem. — Czy to miał być dowcip?

Monokl wypadł jej z oka. Puciołowata, czerwona ze złości twarz straciła od razu demoniczny wygląd. Kroge podniósł oczy zdziwiony; pani von Herzfeld uśmiechnęła się ironicznie. Ale piękny Bonetti poklepał panią Motz po ramieniu, jak również Rachelę Mohrenwitz, która przysunęła się bliżej, gotowa do walki.

— Nie kłóćcie się, dzieci! — zawołał, a dokoła ust zarysował mu się grymas znużenia i wstrętu. — Nic wam z tego nie przyjdzie. Zagrajmy lepiej w karty.

W tej samej chwili rozległy się przytłumione głosy, okrzyki, wszystkie oczy obróciły się ku drzwiom. W progu stanęła Dora Martin. Za nią, niczym orszak królowej na scenie, tłoczył się zespół, z którym podróżowała.

Dora Martin roześmiała się i kiwając głową wszystkim członkom Hamburskiego Teatru Artystycznego, zawołała zachrypniętym głosem w ów słynny sposób, który tysiące młodych aktorek w całym kraju starały się naśladować, przeciągając po kilka słów w każdym zdaniu.

— Wyobraźcie sobie, zapraszają nas na beznadziejnie nudny bankiet, straszna szkoda, ale musimy pójść!

Zdawała się parodiować swój własny styl mowy, tak kapryśnie przeciągała sylaby. Jednakże głos jej mile wpadał w ucho wszystkim, nawet tym, którzy nie znosili Dory Martin, na przykład młodemu Miklasowi. Nie można było temu zaprzeczyć, Dora wywarła wielkie wrażenie. Jej szeroko

otwarte, dziecięce i zagadkowo głębokie oczy pod wysokim i mądrym czołem zdumiewały i czarowały wszystkich, nawet stary Hansemann uśmiechał się z zachwytem i trochę głupkowato. Pani von Herzfeld, która była kiedyś w przyjaźni z artystką, wykrzyknęła:

— Ależ to istna rozpacz, Dorciu. Czy nie możesz chociaż chwilkę z nami posiedzieć?

Ogólny szacunek dla Heddy wzrósł: była z Dorą Martin po imieniu. Artystka pokręciła głową przecząco, jej uśmiechnięta twarz niknęła prawie w podniesionym kołnierzu brązowego futra. Wznosiła bowiem wysoko ramiona.

— Straszna szkoda! — zagruchała. Kiedy tak kręciła głową, rozwiewała się rudawa grzywa puszystych, nie osłoniętych kapeluszem włosów. — Już i tak spóźnimy się okropnie.

W tej samej chwili ktoś zaczął się ku niej przeciskać poprzez orszak. To ukazał się zniecka Hendrik Höfgen. Miał na sobie smoking, który nosił na scenie w rolach światowca, a który z bliska wydawał się bardzo znoszony i wypłamiony. Na ramiona zarzucił biały jedwabny szal. Oddychał głośno; na policzkach wystąpiły niezdrowe rumieńce, nawet czoło miał czerwone. Z nienaturalnym pośpiechem, owiany wstęgą jedwabnego szala, schylał się w głębokim ukłonie nad dłonią gwiazdy; wstrząsał nim nerwowy śmiech, w którym zdawała się brzmieć nuta jakiejś niedorzecznej serdeczności. Wszystko to robiło niepokojące wrażenie.

— Przepraszam panią—powiedział z twarzą wciąż jeszcze pochyloną nad jej ręką, a choć wstrząsał nim nadal gwałtowny śmiech, monokl zdumiewająco silnie tkwił w oczodole. — To przecież fantastyczne... spóźniłem się strasznie... co pani sobie o mnie pomyśli... to fantastyczna historia... — Pokładał się ze śmiechu, twarz jego stawała się coraz czerwieńsza. — Nie chciałem jednak, aby pani stąd wyszła — tu nareszcie się wyprostował — zanim jej powiem, jaką rozkoszą był dla mnie dzisiejszy wieczór, jakie to było cudowne.

Twarz jego spoważniała, jak gdyby to, co go tak rozbawiło, przestało nagle istnieć.

Teraz z kolei Dora Martin roześmiała się lekko, a jej śmiech z lekką chrypką był czarujący.

— O-szust! — wykrzyknęła przeciągając zgłoskę tak długo, jakby się z nią nie mogła rozstać. — Nie był pan wcale w teatrze. Pan się przecież schował. — Trzepnęła go lekko żółtą rękawiczką ze świńskiej skóry. — Ale to nic nie szkodzi — dodała z promiennym uśmiechem. — Pan jest podobno taki zdolny.

Tak zdumiewające stwierdzenie przestraszyło Höfgena; silny rumieniec na jego twarzy ustąpił miejsca ziemistej bladości. Po chwili jednak powiedział omdlewającym głosem:

— Ja? Zdolny? To są całkiem bezpodstawne pogłoski...

On także umiał przeciągać sylaby, nie tylko Dora Martin to potrafiła. Kokieterię jego wymowy cechował pewien odrębny styl, on miałby kogoś naśladować! Dora Martin znów szczebiotała, on zaś mówił ze śpiewną manierą. Ukazał przy tym ów uśmiech, który zwykł demonstrować na próbach paniom, kiedy miały odegrać drażliwą scenę; uśmiech ten obnażał zęby, był dość ordynarny. Nazywał to „drariskim” uśmiechem. — Drański, rozumiesz, moja droga, drański — upomina) na próbach Rachelę Mohrenwitz albo Angelikę Siebert i pokazywał, jak to się robi.

Dora Martin także pokazywała zęby, ale podczas gdy szczebiotała jak dziecko, a głowę chowała kokieteryjnie w wysoko podniesionych ramionach, jej duże, mądre, smutne, nie dające się oszukać oczy przenikały twarz Höfgena.

— Pan jeszcze dowiedzie, że ma talent! — powiedziała cicho i przez sekundę nie tylko wzrok jej, ale twarz stała się poważna. Z twarzą poważną, niemal groźną, kiwnęła mu głową. Höfgen, który zaledwie przed pół godziną chował się za parawanem, wytrzymał jej spojrzenie. Wówczas artystka roześmiała się i zaćwierkała:

— Strasznie się spóźnimy! — pokiwała głową i zniknęła ze switą.

Höfgen wszedł do knajpki.

Spotkanie z Dorą Martin wprawiło go w zdumiewająco dobry humor; zdawał się teraz w radosnym nastroju. Oblicze jego rozsiewało łaskawy blask. Wszyscy patrzyli na niego jak urzeczeni, tak patrzyli poprzednio na berlińską gwiazdę.

Höfgen, zanim przywitał się z dyrektorem Kroge i panią von Herzfeld, podszedł do Bocka.

— Słuchaj, mały — rzekł śpiewnie i stanął przed nim w uwodzicielskiej pozie: ręce wetknął głęboko w kieszenie, wysoko podniósł ramiona, na ustach miał ów drański uśmiech. — Musisz mi pożyczyć co najmniej siedem marek pięćdziesiąt. Chcę zjeść porządną kolację, a mam przecucie, że dziadzio Hansemann zażąda dziś zapłaty gotówką. — Lśniące jak klejnoty oczy rzuciły z ukosa nieufne spojrzenie na Hansemanna, który siedział za ladą nieruchomości, z sinoczerwonym nosem.

Bock zerwał się na równe nogi; jego wodniste oczy jak gdyby jeszcze bardziej wyblakły, na policzkach wystąpiły silne rumieńce ze strachu przed zaszczytnym, ale zarazem groźnym żądaniem Höfgena. Podczas gdy Bock bez słowa szperał nerwowo po kieszeniach, a Hans Miklas przyglądał się tej scenie z nienawiścią, podeszła do nich z pośpiechem mała Angelika.

— Ależ, Hendriku! — powiedziała szybko i lękliwie. — Jeśli ci potrzeba pieniędzy, mogę ci przecież pożyczyć pięćdziesiąt marek do pierwszego.

Oczy Höfgena stały się od razu lodowato zimne, rybie. Rzucił dumnie przez ramię:

— Nie wtrącaj się do nie swoich rzeczy, to są nasze, męskie sprawy, moja mała. Bock mi chętnie pożycz.

Willy kiwnął głową podniecony, Angelika Siebert zaś cofnęła się ze łzami w oczach. Höfgen wziął od Bocka srebrne monety i bez podziękowania wsunął je niedbale do kieszeni. Miklas, Knurr i panna Efeu patrzyli za nim ponuro, kiedy kroczył przez salkę swoim kołyszającym się krokiem, wciąż jeszcze z białym jedwabnym szalem na ramionach.

— Papa Schmitz każe mi głodować — wytłumaczył zwracając w stronę dyrektorskiego stołu zwycięsko uśmiechniętą twarz.

Przyjęto go wesołymi okrzykami; nawet Kroge silił się na nieco hałaśliwą i niezbyt szczerą serdeczność.

— No, jak się masz, stary grzeszniku? Dobrze pan zniósł ten wieczór?

Dokoła ust zarysowały mu się bruzdy prawie tak głębokie jak u Hildy Motz, za szkłami okularów oczy błyszczały fałszywie; stało się nagłe oczywiste, że Kroge nie tylko pisuje eseje na tematy kulturalne i polityczne oraz liryczne hymny,

ale że od przeszło trzydziestu lat ma do czynienia z teatrem. Höfgen i Otto Ulrichs ściskali sobie ręce w milczeniu, długo, przyjaźnie. Dyrektor Schmitz powitał go jakimś błahym żarcikiem, głos jego brzmiał zaskakująco miękko i przyjemnie; pani von Herzfeld natomiast, nie wiadomo dlaczego, uśmiechnęła się z ironią, przy czym utkwiała w nim złotobrózowe oczy, wilgotne ze wzruszenia, niemal błagalne. Pozwolił łaskawie, aby mu doradziła w doborze potraw, skorzystała z tego i przysunęła swój ciężko dyszący biust. Drański uśmiezek Höfgena zdawał się jej nie odstraszać; nawykła do niego, podobał jej się nawet.

Kiedy dziadzio Hansemann przyjął już zamówienie, Höfgen począł mówić o swojej inscenizacji *Przebudzenia wiosny*.

— Sądzę, że to będzie przyzwoite przedstawienie — rzekł z powagą, mierząc salę i aktorów badawczym spojrzeniem niczym marszałek polny swoje wojska. — Angelika Siebert nie może zepsuć Wendli; Bonetti nie jest idealnym Melchiorem Gaborem, ale da sobie radę; nasza demoniczna Rachela Mobrenwitz pokażą nam liżę pierwszej klasy.

Nieczęsto zdarzało mu się mówić bez efektów, z całą powagą, jak w tej chwili. Kroge słuchał go z szacunkiem i lekkim zdziwieniem. Pani von Herzfeld wszakże znowu popsuła nastrój; przysunęła dużą twarz pokrytą grubą warstwą pudru dość blisko twarzy Hendrika i powiedziała tonem sarkastycznym, a zarazem przypochebnym:

— No, jeśli chodzi o Moritza Stiefta, to osoba najbardziej kompetentna, a mianowicie Dora, stwierdziła, że młody aktor, któremu powierzyliśmy tę rolę, nie jest całkiem pozbawiony talentu...

Kroge zmarszczył brwi z dezaprobatą. Höfgen zaś zdawał się nte słyszeć owego żartu.

— No, a jak to tam będzie z rolą pani Gabor, moja droga? — zapytał ją wręcz.

Było to wyraźne i okrutne szyderstwo. Wiedziano powszechnie, że pani Hedda jest aktorką pozbawioną talentu i że nad tym cierpi. Wykpiwano tę rozumną kobietę, że nie potrafi wyrzec się sceny, choćby miała występować w najskromniejszych rolach matron. Starała się zbyć impertynencję Hendrika obojętnym wzruszeniem ramion, jednakże purpurowy, mieniący się fioletem rumieniec powłókł jej niemłoda twarz.

Dostrzegł to Kroge i serce ścisnęło mu się współczuciem prawie tklwym. Miał przed wielu laty romans z panią von Herzfeld.

Chcąc zmienić temat rozmowy, a zarazem poruszyć ten jedyny, który go naprawdę interesował, Ulrichs zaczął od razu mówić o Teatrze Rewolucyjnym.

Planowano cykl niedzielnych przedstawień popołudniowych pod kierunkiem Hendrika Höfgena, a pod protektoratem organizacji komunistycznej — to właśnie miał być Teatr Rewolucyjny. Ulrichs, dla którego scena była przede wszystkim narzędziem polityki, trzymał się tego projektu uporczywie, z namiętnością. Sztuka wybrana na przedstawienie inauguracyjne nadawała się, jego zdaniem, wspaniale, przepracował ją jeszcze raz dokładnie.

— W partii interesują się bardzo poważnie naszą sprawą — oznajmił i obrzucił Höfgena znaczącym spojrzeniem konspiratora, omijając wzrokiem Krogego, Schmitza i panią von Herzfeld, dumny jednak, że usłyszą te słowa i że zrobią na nich wrażenie.

— Cóż z tego, partia nie wypłaci mi odszkodowania, jeśli poczciwi hamburczycy zbojkotują potem mój teatr — burknął Kroge; myśl o Teatrze Rewolucyjnym zawsze nastrajała go sceptycznie i wprawiała w zły humor. — Tak — doda! jeszcze — w roku tysiąc dziewięćset osiemnastym można było sobie pozwalać na podobne eksperymenty, ale dziś...

Höfgen i Ulrichs wymienili spojrzenia, wyrażające dumną i potajemną jedność myśli, jak również pogardę dla drobno-mieszczkańskich zastrzeżeń dyrektora. Wymiana spojrzeń trwała dość długo. Pani von Herzfeld dostrzegła je i cierpiała. Höfgen zwrócił się wreszcie do Krogego i Schmitza tonem pobłażliwym i ojcowskim:

— Teatr Rewolucyjny nam nie zaszkodzi, z pewnością, proszę mi wierzyć, panie Schmitz. To, co naprawdę dobre, nigdy nikogo nie kompromituje. A Teatr Rewolucyjny będzie dobry, będzie świetny. Kryje się za nim rzetelna wiara, szczerzy entuzjazm, więc przekona wszystkich — nawet wrogowie nasi umilkną wobec naszego gorącego zaangażowania.

Oczy jego lśniły, zezowały leciutko i zdawały się wpatrywać z zachwytem w dal, gdzie zapadają ważkie decyzje.

Dumnie podniósł w górę podbródek, jego podana w tył blada, wyrazista twarz promieniała blaskiem wiary w zwycięstwo.

„To jest prawdziwe przejęcie — pomyślała Hedda von Herzfeld. — Tego nie potrafiłby udawać, choć ma taki talent.”

Spojrzała z tryumfem na Krogego, który nie mógł ukryć pewnego wzruszenia. Ulrichs zrobił uroczystą minę.

Wszyscy siedzieli jeszcze jak urzeczeni pod wrażeniem jego wzruszającego entuzjazmu, a już Hendrik zmienił nagle postawę i wyraz. Wybuchnął niespodziewanie śmiechem i wskazał fotografię „szlachetnego ojca”, wiszącą na ścianie nad stołem: groźnie skrzyżowane na piersiach ręce, poczciwe wejście spod chmurnych brwi, szeroka broda starannie rozpostarta na fantazyjnym myśliwskim kaftanie. Hendrik nie mógł się uspokoić, taki mu się ten stary wydał śmieszny. Kiedy już uśmieł się dostatecznie, kiedy Hedda trzepnęła go dłonią w plecy, groziło bowiem, że się zakrzusi sałatą, powiedział wreszcie, że i on wyglądał podobnie, prawie tak samo, kiedy grywał rolę szlachetnych ojców na scenie teatru objazdowego w Niemczech północnych.

— Byłem jeszcze całkiem młodym chłopcem — śmiał się Hendrik — a tak fantastycznie staro wyglądałem. Na scenie chodziłem stale zgarbiony ze zmieszania. W *Zbójcach* kazano mi grać starego Moora. Byłem świetnym starym Moorem. Każdy z moich synów był o dwadzieścia lat ode mnie starszy.

Słyszając, że Hendrik śmieje się tak głośno i opowiada o teatrze objazdowym w Niemczech północnych, koledzy zerwali się od stolików i zgromadzili dokoła niego. Wiedzieli, że zaraz posypią się anegdota, i to nie jakieś stare, „z brodą”, tylko nowe i prawdopodobnie dość dobre — Hendrik bowiem rzadko się powtarzał. Hilda Motz z zadowoleniem zacierała ręce i błyskając złotem, którego miała pełne usta, stwierdziła z uciechą:

— Teraz się ubawimy.

I natychmiast zgromiła Petersena karcącym spojrzeniem, gdyż usłyszała, że zamówił duży kieliszek koniaku.

Rachela Mohrenwitz, Angelika Siebert i piękny Bonetti siedzieli wpatrzeni w wymowne wargi Hendriks. Nawet Miklas, chciał czy nie chciał, musiał słuchać: wyrafinowane żarty znienawidzonego wroga wywoływały warkliwe, przekorne, krótkie wybuchy śmiechu. Nawet gruba panna Efeu

poweselała widząc, że jej posepny ulubieniec dobrze się bawi. Sapiąc ciężko postawiła swoje krzesło tuż przy krześle Hendrika i bąknawszy: — Jeśli państwo nie mają nic przeciwko temu... — opuściła zaczęta pończochę i druty na kolana, prawą rękę zaś, zwiniętą w trąbkę, przyłożyła do ucha, żeby pomimo przytępiętego słuchu nie uronić ani słowa.

Był to uroczy wieczór. Höfgen, w świetnej formie, olśniewał, czarował, brylował. Tak jak gdyby miał przed sobą licznie zgromadzoną publiczność, nie zaś tych kilku podrzędnych aktorów — wielkodusznie, po junacku hojnie szafował dowcipem, wdziękiem, skarbami anegdot. Co też się działo w tym teatrze objazdowym, gdzie grywa! role szlachetnych ojców! Hilda Motz nie mogła tchu złapać ze śmiechu.

— Zlitujcie się, już nie mam siły! — krzyczała, a że Bonetti z komiczną galanterią pocałował ją wachlować chustką do nosa, nie dostrzegła, że Petersen znów sobie zamówił wódkę. Kiedy zaś Höfgen zaczął naśladować młodą aktoreczkę grywającą role sentymentalnych dziewcząt w teatrze objazdowym, przy czym mówił falsetem, trzepotał rękoma z afekcją strzelając oczami, rozchmurzył się nawet dziadzio Hansemann, a pan Knurr aż zasłonił chustką roześmianą twarz. Nie można było odnieść większego tryumfu w tych warunkach. Höfgen urwał nagle. Hilda Motz także spoważniała widząc, że się Petersen urzynał. Kroge dał hasło do odwrotu. Była już druga nad ranem. Rachela Mohrenwitz, która miewała zawsze oryginalne pomysły, ofiarowała Hendrikowi swoją długą cygarniczkę — dość efektowną, ale bez wartości:

— Za to, żeś był takt zabawny, Hendriku.

Monokl jej błysnął porozumiewawczo w stronę jego monokla. Nos Angeliki Siebert, która stała obok Bonettiego, aż zbieła z zazdrości — wszyscy to spostrzegli — a w oczach jej zabłyśły nie tylko łzy, ale także złośliwe iskry.

Pani von Herzfeld poprosiła Hendrika, żeby wypił z nią jeszcze filiżankę kawy. Dziadzio Hansemann zaczął już gasić lampy w opustoszałym lokalu. Ten półmrok był dla Heddy korzystny: jej duża, miękka twarz o łagodnych, rozumnie patrzących oczach zdawała się teraz młodsza albo raczej bez wieku. Nie było to już zasepione oblicze starzejącej się intelektualistki. Policzki straciły chropowatość, wydawały się gładkie. Uśmiech półotwartych ust, leniwy, wschodni

uśmiech, nie był już ironiczny, stał się niemal uwodzicielski. Pani von Herzfeld patrzyła na Hendrika Höfgena tkliwie, bez słowa. Nie myślała o tym, że sama wygląda wdzięczniej niż zwykle, widziała tylko, że blada twarz Hendriks o pulsujących cierpieniem skroniach i szlachetnej linii podbródka rysuje się wyraźnie w zmierzchającym świetle — widziała to i napawała się tym widokiem.

Hendrik oparł łokcie o stół i złożył wyciągnięte ręce, tak że czubki palców się stykały. Pozwalał sobie na tę pretensjonalną pozę jak ktoś, kto ma niezwykle piękne, gotycko strzeliste dłonie. Dłonie Höfgena nie były bynajmniej gotyckie; przeciwnie — brzydkie, prostackie, usiłowały jakby zniweczyć cierpiętniczy wyraz skroni. Grzbiet dłoni był szeroki i pokryty rudawym włosiem, dość długie palce — grube i zakończone prostokątnymi, niezbyt czystymi paznokciami. Te paznokcie widać sprawiały, że ręce jego były nieszlachetne, niemal odrażające. Zdawały się zrobione z lichego tworzywa: kruche, szorstkie, pozbawione blasku, płaskie, bezkształtne.

Jednakże sprzyjający półmrok krył owe usterki i braki. Dodawał natomiast czarę lśnieniu zielonkawych, rozmarzonych zagadkowych oczu.

— O czym pan myśli, Hendriku? — zapytała pani von Herzfeld po długim milczeniu, przytłumionym ze wzruszenia głosem.

Höfgen odpowiedział jej równie cicho:

— Myślę o tym, że Dora Martin nie ma racji...

Hedda nie przerywała mu, o nic nie pytając ani nie przecząc, mówił więc dalej ponad złożonymi rękami, przed siebie, w mrok:

— Nigdy nie zdobędę sławy — skarżył się ciemnościom. — Nie stworzę nic nowego. Nigdy nie będę aktorem wielkiej klasy. Jestem prowincjuszem.

Zamilkł, zacisnął mocno wargi, jak gdyby się przeraził stwierdzeń i wyznań, do których skłoniła go ta osobliwa chwila.

— I to wszystko? — zapytała pani von Herzfeld z łagodną wymówką. — O niczym więcej pan nie myśli? Tylko wciąż o tym? — A że Hendrik milczał, pomyślała: „Tak, to widać jedyne, co go naprawdę zajmuje. Teatr polityczny, o którym

przedtem mówił, i cały entuzjazm dla rewolucji to tylko komedia.”

Poczuła zawód, ale zarazem jakieś dziwne zadowolenie.

Oczy Hendrika zamigotały tajemniczym blaskiem, nie odpowiedział jednak ani słowa.

— Czy pan naprawdę nie widzi, jak pan dręczy tę małą Angelikę? — zapytała znów siedząca przy nim kobieta. — Czy pan nie czuje, jak inni cierpią przez pana? Kiedyś będzie pan musiał za to zapłacić, tak czy inaczej. — Nie spuszczała z niego żalosnego, badawczego spojrzenia. — Odpokutuje pan za to kiedyś — i pokocha.

Teraz zrobiło się jej przykro; żałowała swoich słów. To było stanowczo za dużo, dała się unieść uczuciu. Odsunęła czym prędzej twarz od jego twarzy. Ku jej zdumieniu Hendrik nie ukarał jej ani złośliwym uśmiechem, ani szyderczym słowem. Przeciwnie, spojrzenie jego lśniących, migotliwych oczu było nadal utkwione nieruchomo w ciemność, jak gdyby szukał tam odpowiedzi na dręczące go pytanie, jak gdyby szukał ukojenia zwątpień, obrazu przyszłości, której jedyny właściwy sens leżał w tym, by go uczynić wielkim.

II

LEKCJA TAŃCA

Hendrik wyznaczył próbę nazajutrz o wpół do dziesiątej. Zespół w takim składzie, jakiego wymagało *Przebudzenie wiosny*, zebrał się punktualnie, częściowo na scenie pełnej przeciagów, częściowo w skąpo oświetlonych krzesłach parteru. Przeczekawszy jakie piętnaście minut, pani von Herzfeld zdecydowała się pójść po Höfgena do gabinetu dyrektora, gdzie konferował od dziewiątej rano z dyrektorami Schmitzem i Krogem.

Z chwilą gdy się ukazał, wszyscy spostrzegli od razu, że Hendrik jest dziś w jak najgorszym humorze; nie można w nim było poznać olśniewającego gawędziarza, który wczoraj wieczorem czarował wszystkich rozmową. Z wysoko podniesionymi ramionami i rękami wtłoczonymi w kieszenie spodni mijał nerwowym, szybkim krokiem rzędy krzesel parteru i poprosił głosem tak podrażnionym, że niemal bezdźwięcznym, o egzemplarz tekstu sztuki.

— Zapomniałem wziąć ze sobą.

Mówił tonem obrażonym, z goryczą, jakby wyrzucał wszystkim obecnym swoje roztargnienie, swój brak pamięci w chwili, gdy wychodził z domu.

— A więc, czy mogę poprosić o tekst? — udało mu się powiedzieć to głosem przytłumionym, ale zarazem bardzo ostrym. — Czyżby nie było zbywającego egzemplarza?

Mała Angelika podała mu swój zeszyt.

— Mnie jest już niepotrzebny — powiedziała czerwieniąc się. — Umieć swoją rolę na pamięć.

Hendrik zamiast podziękowania rzucił jej krótkie: — No, spodziewam się! — i odwrócił się.

Jego twarz wydawała się jeszcze bledsza w zestawieniu z czerwonym szalem, który zastępował mu koszulę czy też zakrywał koszulę, jeżeli w ogóle ją miał na sobie. Jedno oko spoglądało pogardliwie i gniewnie spod na wpół przymkniętej powieki, w drugim połyskiwał monokl. Wszyscy drgnęli, kiedy nagle zakomenderował wysokim, przeszywającym i wibrującym głosem:

— Zaczynajcie, moi państwo!

Na scenie rozpoczęła się próba, on zaś przebiegał szybkim krokiem widownię. Miklasowi, któremu własna rola zabierała mało czasu, kazał markować kwestie Moritza Stiefla; tę rolę zarezerwował sobie. Można się było w tym dopatrzeć szczególnej złośliwości, gdyż biedny Miklas byłby tak chętnie zagrał Moritza. Höfgen chciał jak gdyby z wyzywającą butą dowieść przez to kolegom, że jemu niepotrzebne są żadne próby ani przygotowania. Był reżyserem, stał ponad wszystkimi, rutyna, jakiej nabrał, równała się wrodzonemu geniuszowi. Własną rolę opanuje mimochodem; dopiero na próbie generalnej zobaczą go i usłyszą, jak należy ująć i zagrać Moritza Stiefla, ponurego gimnazystę, zrozpaczonego kochanka, samobójcę.

Natomiast już dziś wskazywał aktorom, co można zrobić z roli młodziutkiej Wendli, tego smarkacza Melchiora i macierzyńskiej pani Gabor. Ze zdumiewającą zręcznością wkroczył na scenę i w istocie — wcielał się kolejno w tkliwą dziewczynę wychodzącą o świcie do ogrodu i pragnącą uściskać cały świat z myślą o ukochanym, to znów w głodnego życia, dumnego chłopca, to w rozumną, troskliwą matkę. W głosie jego brzmiała na przemian tkliwość, zuchwalstwo i zaduma. Po trafił w jednej chwili przybrać wygląd młodzieńczy, niemal dziecięcy, i w mgnieniu oka przemienić się w sędziwego starca. Był świetnym aktorem.

Kiedy już zademonstrował w sposób sugestywny zarówno pięknemu Bonettiemu, który podnosił wysoko brwi, na pół gniewnie, na pół z szacunkiem, jak pokornej, z trudem połykającej łzy Angelice, co właściwie należało zrobić z ich ról, jeśli się miało w sobie odpowiedni materiał — skrzywił się ze znużeniem i pogardą, wcisnął monokl w oko i zszedł z po-

wrotem na widownię. Stamtąd objaśniał dyrygował i krytykował dalej. Nie oszczędzał nikogo, każdemu dostało się jakieś szydercze, uwłaczające słowo. Nawet pani von Herzfeld palnęła kazanie, które przyjęła z ironicznym uśmiechem; mała Angelika uciekła parę razy za kulisy, tonąc we łzach; na czole Bonettiego zarysowały się wezbrane gniewem żyły; najgłębiej jednak i najzawzięciej złościł się Hans Miklas. Twarz mu zapadła, w policzkach wyżłobiły się czarne doły.

Hendrik widząc, że wszyscy cierpią, wpadł od razu w lepszy humor. W czasie przerwy obiadowej w knajpce teatralnej prowadził żywą dyskusję z panią von Herzfeld. O wpół do trzeciej zapędził znów cały zespół do roboty. Było już blisko wpół do czwartej, kiedy piękny Bonetti wsunął ręce w kieszenie i z grymasem obrzydzenia, krzywiąc się jak rozkapryszone dziecko powiedział:

— Kiedyż będzie koniec tym mękom?

Höfgen zgromił go druzgocącym spojrzeniem swoich lodowatych oczu:

— To wyłącznie ode mnie zależy! — i podniósł piękny podbródek wyżej niż zwykle.

Po czym ukazał wystraszonemu zespołowi oblicze szlachetnego i nerwowego tyрана, które jednak przypominało zarazem bladą twarz starzejącej się, zirytowanej guwernantki. Wszyscy bali się go, zwłaszcza mała Angelika: czuła, jak przebiegają jej po krzyżu gwałtowne i rozkoszne dreszcze. Przecz kilka sekund wszyscy trwali w kornym bezruchu; słysząc było głośny oddech przerażonego zespołu, który czekał, aż zwolni ich gest pana i władcy.

Hendrik wszakże raczył klasnąć w dłonie i odrzucił w tył głowę z łaskawą dobroduszością.

— Dalej, moi państwo! — wykrzyknął, przy czym głos jego nabrał metalicznego dźwięku, klóremu nikt prawie oprzeć się nie mógł. — Na czym stanęliśmy?

Rozpoczęto próbę następnej sceny, ledwo jednak ją zakończono, Hendrik rzucił okiem na zegarek w bransoletce: za kwadrans czwarta! Skonstatował to i przeraził się tak bardzo, że go brzuch rozboleł. Przypomniał sobie nagle, że umówił się z Juliettą na czwartą u siebie w mieszkaniu. Z nieco wymuszonym uśmiechem oznajmił zespołowi w paru spiesznym i uprzejmych słowach, że czas zakończyć próbę. Szybkim

ruchem ręki odprawił młodego Miklasa, który z ponurą miną zbliżał się do niego chcąc mu zadać jakieś pytanie. Przebiegł ciemną widownię kierując się ku wyjściu, pędem pokonał pochyłą przestrzeń wiodącą z bramy teatru do knajpki, bez tchu wpadł tam, zerwał z wieszaka brązowy płaszcz skórzany i miękki szary kapelusz — i już go nie było.

Okrycie wciągnął dopiero na ulicy. Rozmyślał przy tym:

„Jeżeli pójde piechotą, spóźnię się o parę minut, żebym nie wiem jak się śpieszy!. Julietta robi mi straszną scenę. Taksówką zdążyłbym w porę, tramwajem także, od biedy. Ale mam tytko pięć marek w kieszeni, czyli minimum tego, co mogę Julietcie ofiarować. O taksówce więc nie ma nawet co marzyć, o tramwaju właściwie też; zostałyby mi zaledwie cztery marki osiemdziesiąt pięć fenigów. To za mało dla Julietty, i w dodatku drobnymi, co sobie raz na zawsze wyprosiła.”

Rozważając w ten sposób, pędził dalej. W gruncie rzeczy nie myślał ani przez chwilę, by pozwolić sobie na taksówkę, a nawet tramwaj. Przyjaciółka rozżłościłaby się naprawdę o te napoczęte pięć marek, zaś jej gwałtowny na pozór gniew za niewielkie spóźnienie należał właściwie do niezmiennego rytuału ich spotkań.

Zimowy dzień był jasny i bardzo mroźny; Hendrik marzył w lekkim skórzanym płaszczu, który w dodatku zapomniał zapiąć. Mróz kąsał go zwłaszcza w ręce i nogi: nie miał rękawiczek, a podobne do sandałów, zapięte na klamerki pantofle nie były bynajmniej odpowiednie na tę porę roku. Chcąc się rozgrzać i zyskać na czasie, szedł wielkimi krokami, które niekiedy przemieniały się w jakieś dziwne podrygiwania i skoki. Wielu przechodniów przyglądało się osobliwemu młodzieńcowi z uśmiechem bądź też z dezaprobatą: w swoim lekkim i oryginalnym obuwiu poruszał się z na poły bladeńską, na poły boską zwinnością. Ponadto, nie dość, że skakał i podrygiwał, ale śpiewał przy tym, i to na przemian melodie Mozarta i przeboje operetkowe. Te skoki i susy uzupełniał różnymi niecodziennymi gestami. W tej chwili na przykład bawił się bukiecikiem fiołków jak piłką. Znalazł ów bukiecik w butonierce płaszcza, musiał to być prezent od wielbicielki z zespołu, prawdopodobnie złożyła mu ów dyskretny podarunek mała Angelika.

Hendrik myślał o tym łagodnym stworzeniu u jej zmrużonych oczach krótkowidza, kiedy tak biegł ulicą skacząc i śpiwając ku pośmiewisku i zgorszeniu przechodniów. Nie widział nawet, jak mieszczki trącają się łokciami szepcząc jedna do drugiej:

— To pewnie ktoś z teatru!

Na co ta druga zachichotała:

— Naturalnie, to ten, co występuje w Teatrze Artystycznym, Hófgén. Czy widzisz, moja kochana, jakie ma pocieszne ruchy i jak wciąż coś paple do siebie pod nosem?

Roześmiały się obie, a po przeciwnej stronie ulicy zawtórowało im dwóch wyrostków. Hendrik wszakże, chociaż zwykł przez próżność i z przyzwyczajenia zawodowego dostrzegać i notować w pamięci, jak ludzie reagują na każdy jego gest, nie zauważył tym razem ani owych pań, ani gimnazystów. Mróz i radosna myśl o spotkaniu z Juliettą pobudzały go do szybkiego biegu i wprawiały w stan lekkiego odurzenia. Jak rzadko dane mu było teraz odczuwać podobny entuzjazm! Dawniej, tak, dawniej bywał często, niemal zawsze taki: uskrzydłony, niepomny siebie. Kiedy jako dwudziestolatek grywał w teatrze objazdowym szlachejnych ojców i dojrzałych bohaterów, przeżywał wesołe dni; wówczas to jego temperament i rozdokazywanie były silniejsze niż ambicja. Dawne to czasy, choć może nie tak nieskończenie dawne, jak mu się teraz zdawało. Czy naprawdę się tak zmienił? Czy nie pozostał nadal rozdokazywanym młodzieńcem? Teraz także w radosnym nastroju puścił ambicję w niepamięć. Gdyby mu oto przyszły do głowy pojęcia takie jak ambicja, jak wielka kariera, roześmiałyby się tylko. W tej chwili obchodziło go jedynie, że powietrze jest świeże i przesycone słońcem, że on sam jest młody, że biegnie szybko, że jego szal furkocze na wietrze i że wkrótce znajdzie się przy ukochanej.

Dobry nastrój usposabiał go życzliwie do Angeliki, którą tak często upokarzał i ranił. Teraz myślał o niej niemal tkliwie. „To miłe dziecko, to bardzo miłe dziecko, muszę jej dziś wieczorem coś ofiarować, niech i ona się choć raz ucieszy. A gdyby tak zejść się z Angeliką? Tak, to byłoby łatwe współżycie, znacznie łatwiejsze niż z Juliettą.” Pomimo niezwykle życzliwego nastroju, w jakim był w tej chwili, zachichotał jednak szydłczo, że mógł porównać Angelikę

z Juliettą — biedną małą Angelikę Siebert ze wspaniałą Juliettą; przecież to ona w swój straszliwy, a tak doskonały sposób jest mu niezbędna. Przeprosił Juliettę w myśli za podobne bluźnierstwo w chwili, gdy stanął przed drzwiami swego domu.

Staromodna willa, gdzie wynajmował pokój na parterze, stała przy zacisznej ulicy, która przed trzydziestu laty należała do najwytworniej szych w mieście. Inflacja zubożyła większość mieszkańców eleganckiej dzielnicy; wille o licznych wieżyczkach i wykuszach miały wygląd już dość podupadły, zaniedbane tak jak i otaczające je rozległe ogrody. Pani konsulowa Mönkeberg, której Hendrik płacił czterdzieści marek miesięcznie za duży pokój, znajdowała się w trudnych warunkach materialnych. Niemniej pozostała nienagannie ubraną starszą damą, z godnością nosiła swoje dziwaczne stroje: suto marszczone rękawy i koronkowe staroświeckie szale. Na jej gładko uczesanej głowie, z przedziałkiem pośrodku, nie odważył się nigdy zbuntować ani jeden krnąbrny włos, a dokoła wąskich ust zarysowały się drobne zmarszczki ironii, ale bynajmniej nie goryczy. Wdowa po konsulu Mönkebergu była zbyt na to rozsądna, aby gorszyć się ekscentrycznością i wybrykami swego lokatora, przeciwnie, starała się brać je z komicznej strony. W kółku przyjaciółek — starszych dam równie wytwornych, równie ubogich i o niemal identycznym wyglądzie — opowiadała zazwyczaj z dość kostycznym humorem o jego ekscentryczności.

— Czasem skacze po schodach na jednej nodze — mówiła uśmiechając się niemal ze smutkiem. — A kiedy idzie na spacer, siada nieraz nagle na chodniku, proszę sobie wyobrazić: na zabłoconych flizach — bo się boi, że się potknie i przewróci.

Podczas gdy wszystkie starsze damy kiwały siwymi głowami i na wpół zgorszone, na wpół rozbawione szeleściły jedwabnymi mantylkami, konsulowa dodawała pojednawczym tonem:

— Cóż chcecie, moje drogie! Artysta... może nawet wybitny artysta — to mówiąc stara patrycjuszka gładziła wychudzonymi białymi palcami, na których już od dziesięciu lat nie nosiła pierścionków, wyblakłą koronkową serwetę leżącą na stole nakrytym do herbaty.

Hendrik czuł się nieswojo w obecności pani Mönkeberg, jej arystokratyczne pochodzenie i przeszłość onieśmielały go. Toteż spotkanie w przedpokoju z dystygowaną staruszką w chwili, gdy z takim hałasem zatrzasnął za sobą drzwi wejściowe, było mu bardzo niemiłe. Na widok jej imponującej postawy wziął i on się trochę w karby: poprawił rozwiany czerwony szal i wcisnął monokl w oko.

— Dobry wieczór, łaskawa pani, jak zdrowie? — zaczął śpiewnie, nie podnosząc głosu ku końcowi uprzejmej formułki, przez co jeszcze silniej akcentował konwencjonalny i czczy charakter tego zdania.

Grzecznemu powitaniu towarzyszył! lekki ukłon, który pomimo wytwornej niedbałości cechował niemal dworski styl.

Wdowa po konsulu Mönkebergu nie uśmiechnęła się; jedynie zmarszczki pobłażliwej ironii pogłębiły się nieco dokoła oczu i wąskich warg, kiedy odpowiedziała:

— • Niech się pan śpieszy, drogi panie Höfgen! Nauczycielka czeka na pana już od kwadransa.

Krótką, złośliwą pauzą, którą pani Mönkeberg poprzedziła słowo „nauczycielka”, napędziła gorącą falą krwi na policzki Hendrika.

„Pewno się zaczerwieniłem” — pomyślał zły i zawstydzony. — „Ale nie zauważyła tego chyba w półmroku” — uspokajał sam siebie cofając się z wyszukaną uprzejmością hiszpańskiego granda.

— Dziękuję, łaskawa pani — rzeki otwierając drzwi do swego pokoju.

Panował tam różowawy półmrok. Paliła się tylko osłonięta kolorową jedwabną chustką lampa na niskim stoliczku przy tapczanie. Hendrik Höfgen rzucił cichym, pokornym, nieco drżącym głosem pytanie w ów barwny zmierzch:

— Gdzie jesteś, księżniczko Tebab?

Z ciemnego kąta odpowiedział mu niski, gniewny głos:

— Tutaj, ty świnió, a gdzie bym miała być?

— Dziękuję — szepnął Hendrik bardzo cicho, stojąc przy drzwiach z nisko spuszczoną głową. — Tak, teraz cię widzę... Cieszę się, że cię widzę...

— Która godzina? — wrzasnęła kobieta z kąta.

Hendrik bąknął drwiąco:

— Około czwartej... zdaje mi się.

— Około czwartej! Około czwartej! — szydziła złościana wciąż ukryta w cieniu. — To bardzo zabawne! To doskonałe! — mówiła z silnym północnoniemieckim akcentem. Głos miała zdarty jak głos marynarza, który za dużo pije, pali i klnie. — Jest już kwadrans po czwartej — stwierdziła raptem przeraźliwie cicho.

Tym samym nienaturalnie stłumionym głosem, który nie zwiastował nic dobrego, przywołała go do siebie:

— Może byś tak podszedł do mnie bliżej, Heinz, odrobinczkę bliżej! Ale zapal wpierw światło!

Na dźwięk imienia „Heinz” Hendrik drgnął; był to pierwszy cios. Nie pozwalał nikomu, nawet matce, tak mówić do siebie, jedynie Julietta mogła się na to odważyć. Poza nią nie wiedział nikt w tym mieście, że miał właściwie na imię Heinz — ach, w jakiejże to słodkiej chwili słabości zwierzył się z tym Julietcie? Heinz — tak nazywali go wszyscy do osiemnastego roku życia. Dopiero kiedy zrozumiał, że chce być aktorem, i to sławnym aktorem, wybrał sobie owo rzadsze imię „Hendrik”. Jakże trudno było narzucić je rodzinie, zmusić, by się przyzwyczajono i traktowano serio tego dziwaczego, pretensjonalnego „Hendrika”! Ileż listów, które zaczynały się od słów: „Mój drogi Heinz”, pozostawił bez odpowiedzi, zanim wreszcie matka, Bella, i siostra, Josy, nauczyły się nowego imienia. Z przyjaciółmi młodości, którzy uparcie obstawali przy „Heinzu”, zerwał wszelkie stosunki; nie przywiązywał zresztą najmniejszej wagi do obcowania z kolegami, lubującymi się w wyciąganiu płaskich i niemiłych anegdot z przeszłości, rycząc ze śmiechu z całkowicie pozbawionym taktu humorem. Heinz umarł — Hendrik miał się stać wielki. Miody aktor Höfgen toczył zaciętą walkę z agencjami, dyrektorami teatrów i redakcjami felietonów, żeby jego szacowne przybrane imię pisano we właściwy sposób. Drżał ze złości i urazy, jeżeli zobaczył w programie lub recenzji imię „Henrik”. Literka „d” pośrodku wybranego przez siebie imienia była dla niego znakiem o niezwykłym, magicznym znaczeniu. Kiedy osiągnie wreszcie, że cały świat, bez wyjątku, uzna go za „Hendrika” — wówczas dopnie celu, wówczas kariera jego będzie zapewniona.

W ambitnych myślach Hendrika Höfgena imię to, które było nie tylko określeniem osoby, lecz również zadaniem

i zobowiązaniem, odgrywało dominującą rolę. Mimo to znosił teraz cierpliwie, że Julietta ze swego ciemnego kąta nazywała go tym porzuconym i znieawidzonym imieniem „Heinz”.

Usłuchał jej rozkazów: przekręcił wyłącznik — jaskrawe światło oślepiło go nagle — i ze schylnym czołem zbliżył się kilka kroków do Julietty. Zatrzymał się od niej o metr, ale i na to mu nie pozwolono. Mruknęła ochryple, z niepokojącą uprzejmością, przez zaciśnięte zęby:

— Chodźże bliżej, mój chłopcze!

A gdy nie ruszał się z miejsca, poczęła go wabić jak psa, którego się przyzywa do nogi pieszczotliwymi słowy po to, by go tym okrutniej ukarać.

— Jeszcze bliżej, mój śliczny! Całkiem blisko! Nie bój się!

Stał wciąż jeszcze bez ruchu, wciąż jeszcze z pochyloną głową. Ramiona i ręce zwiślały mu bezwładnie ku przodowi, dokoła brwi i skroni ukazał się bolesny rys, rozdęte nozdrza wciągały przenikliwą woń pospolitych perfum, pomieszana z innym, bardziej dzikim, dręczącym i podniecającym zarazem, bynajmniej nie słodkim zapachem: z odorem ludzkiego ciała.

Dziewczynę znudziła jego cierpiętnicza i szlachetna postawa — trwało to już za długo. Nagłe rozległ się jej gniewny głos niby ochrypły ryk dolatujący z dżungli:

— Nie stójże tak, jak gdybyś w portki narobił! Głowa do góry, człowieku! — I już majestatycznie dodała: — Spójrz mi w oczy!

Podniósł powoli głowę — bolesne bruzdy dokoła skroni pogłębiły się jeszcze. Zielonkawoblękime oczy w pobladłej twarzy rozszerzyły się z rozkoszy czy też ze strachu. Oniemiały wpatrywał się w księżniczkę Tebab, swoją czarną Wenus.

Była Murzynką tylko przez matkę — ojciec jej był inżynierem, mieszkał w Hamburgu — jednakże ciemna rasa okazała się silniejsza od białej: Julietta nie wyglądała na Mulatkę, lecz prawie na pełnej krwi Murzynkę. Barwa szorstkiej, miejscami lekko popękanej skóry była ciemnobrązowa, gdzieś tam, na przykład na niskim, sklepionym czok i na grzbiecie wąskich, nerwowych dłoni, prawie czarna. Natura zabarwiła tylko jaśniej muszlę dłoni, Julietta sama zaś, za pomocą szminki, zmieniła kolor górnej części policzków: nad silnymi, brutalnie ukształtowanymi szczękami leżały sztucz-

ne jaskrawoczerwone plamy niby niezdrowe wypieki trawiącej ją gorączki. Oprawa oczu podlegała również zabiegom kosmetycznym: brwi wygolone i zastąpione wąskimi, narysowanymi węglem kreskami, rzęsy sztucznie przedłużone, cienie na górnej powiece aż do wąskich brwi pogłębione wpadającym w fiolet błękitem. Obrzmiałym wargom natomiast pozostawiła naturalną barwę. Ponad rzędami olśniewających zębów, które odsłaniała zarówno śmiejąc się, jak klnąc, wydawały się szorstkie — tak jak skóra rąk i szyi — i ciemnofioletowe; zdrowa czerwień dziąseł i języka silnie kontrastowała z ich zmałym odcieniem. Patrząc na jej twarz, w której uderzały rozbiegane, okrutne, mądre oczy i lśniące zęby, nic dostrzegało się zrazu nosa; dopiero przyjrawszy się dokładniej, widać było, że jest płaski i jakby wgnieciony. W istocie nos ten zdawał się nieobecny, nie stanowił wypukłości pośrodku płaskiej i w jakiś sposób pociągającej maski, lecz raczej wgłębienie.

Głowę Julietty, w najwyższym stopniu barbarzyńską, chciałoby się oglądać na tle krajobrazu dziewiczych lasów, nie zaś w tym mieszczkańskim pokoju, wśród pluszowych mebli, bibelotów i jedwabnych abażurów. Zawód sprawiało nie tylko otoczenie, z którego wychylała się ta głowa, ale również jej ukoronowanie: włosy. Nie była to kędzierzawa, czarna szopa harmonizująca z tym czołem, z tymi wargami, przeciwnie, zdumiewały swą gładkością i matowopłową barwą. Uczesanie było bardzo proste, z przedziałkiem pośrodku. Ciemna dama twierdziła z lubością, że włosy jej były zawsze takie, nie zrobiła nigdy nic, aby je zmienić: kolor i gatunek ich odziedziczyła po ojcu, inżynierze Martensie z Hamburga.

Zdawało się rzeczą pewną, że człowiek tego nazwiska i zawodu był jej ojcem, nikt temu w każdym razie nie przeczył. Zresztą inżynier Martens nie żył od dawna. Lata ciężkiej pracy w Afryce Środkowej nie poszły mu na zdrowie. Wycieńczony malarią, z sercem zniszczonym zastrzykami chininy i nadużyciem alkoholu, powrócił do Hamburga, aby tam wkrótce i niepostrzeżenie życie zakończyć. Dziewczynę murzyńską, swoją kochankę, pozostawił w Kongu, jak również małe ciemnoskóre stworzonko, którego mógł być ojcem. Wiadomość o śmierci inżyniera nie dotarła do Afryki. Niedługo potem Julietta straciła matkę; wówczas postanowiła wyruszyć

do odległych, z pewnością niezwykle ciekawych Niemiec. Miała nadzieję, że Martens otoczy ją tam opieką. Tymczasem nikt nie potrafił nawet wskazać grobu inżyniera: zwłoki jej biednego ojca znikły bez śladu, jak znikła pamięć o nim.

Młodociana Julietta umiała na szczęście dość dobrze tańczyć stępa: nauczyli ją tego ziomkowie. Toteż udało jej się niebawem dostać do jednego z najlepszych lokali nocnych dzielnicy St. Pauli. Byłaby się tam zapewne utrzymała i może nawet tę roztropną i energiczną osobę czekała zaszczytna kariera, gdyby nie spłatały jej najfatalniejszego figla gwałtowny temperament i nieposkromiony pociąg do napoi wysokowych. Nie potrafiła odmówić sobie tej przyjemności, lubiła rzucać się z batem w ręku na znajomych i kolegów, którzy byli odmiennego zdania lub w innym nastroju niż ona. W pewnych kołach St. Pauli zachwycono się początkowo tym zabawnym i milutkim kaprysem, jednakże na dłuższą metę kaprys ów stawał się zbyt oryginalny i nawet uciążliwy.

Julietta została zwolniona i przeżyła w zawrotnym tempie to, co nazywano powszechnie „staczaniem się coraz niżej”, innymi słowy: musiała swój talent taneczny demonstrować w coraz to mniejszych, cieszących się najgorszą famą spelunkach. Dochody, które przynosiły jej te występy, stawały się stopniowo tak mizerne, że była wkrótce zmuszona szukać ubocznych zarobków. A jakież mogła znaleźć inne zajęcie niż wieczorne spacerki po Reeperbahn i sąsiednich ulicach? Jej piękne ciemne ciało, proste jak trzcina, sunące dumnym, niemal dystyngowanym krokiem po chodniku, nie było doprawdy najgorszym obiektem na tym olbrzymim jarmarku ciał kobiecych, oferowanych tutaj co noc przejezdnym marynarzom, tudzież zarówno ubogim, jak i czcigodnym mężom miasta Hamburga.

Aktor Hófgem zresztą poznał swoją czarną Wenus nie na ulicy, lecz w ciasnej, pełnej tytoniowego dymu i wrzasku pijanych marynarzy knajpie, gdzie Julietta pokazywała co wieczór za trzy marki gaży ciemne, gładkie ciało i kunsztownie wybijanego stępa. W programie podejrzanego kabaretu figurowała czarna tancerka Julietta Martens pod pseudonimem „Księżniczka Tebab”. Właściwie wolno jej było nosić to imię wyłącznie jako artystce, rościła sobie jednakże prawo do niego i w życiu prywatnym. Jeżeli można było wierzyć jej zapewnie-

niom, w żyłach jej matki, porzuconej kochanki hamburskiego inżyniera, płynęła najczystsza krew królewska: ojcem jej był autentyczny, niezmiernie bogaty i wielkoduszny król murzyński; niestety, zginął przedwcześnie, skonsumowany przez wrogów.

Jeżeli chodzi o Hendrika Hofgena, był on nie tyle pod wrażeniem jej tytułu — chociaż i ten mu się niezwykle podobał — ile jej rozbieganych, okrutnych oczu, jak również muskularnych nóg. Po skończonym numerze księżniczki Tebab zgłosił się do garderoby artystki i wyraził trochę może dziwnie brzmiące życzenie pobierania u niej lekcji tańca.

— Aktor w dzisiejszych czasach powinien być wytrenowany jak akrobata — dodał Hendrik w formie objaśnienia, księżniczka wszakże nie była ciekawa jego wynurzeń. Nie okazując zbytniego zdziwienia umówiła się o cenę i ustaliła datę pierwszej lekcji.

Tak to zadzierzgnęła się więź pomiędzy Hendrikiem Hófgemem a Julietta Martens. Czarna dziewczyna była „nauczycielką”, a więc panią; stojący przed nią blade mężczyzna M jej „uczniem”, tym, który słucha, poniża się, który przyjmuje częste kary z tą samą pokorą co zdarzającą się rzadko skapą pochwałę.

— Spójrz na mnie! — zażądała księżniczka Tebab groźnie przewracając oczami, Hendrik zaś wpatrywał się zarazem ze strachem i pożądaniem w twarz swojej władczyni.

— Jakaś ty dziś piękna! — powiedział wreszcie, z trudem, zda się, nakazując wargom posłuszeństwo.

Ofuknęła go:

— Daj spokój tym głupstwom! Nie jestem dziś piękniejsza niż co dzień!

Mimo to dumnym ruchem pogłaskała piersi i obciągnęła ciasną plisowaną, ledwo sięgającą kolan spódnice. Widać było tylko wąski pasek czarnej jedwabnej pończochy, gdyż zielone lakierowane buty z cholewami sięgały wyżej łydek. Do tych wspaniałych butów i krótkiej spódnicy włożyła księżniczka szary futrzany żakiecik z wysokim, zachodzącym na szyję kołnierzem. Na przegubach ciemnych, znaczonych błękitnymi żyłami rąk dzwoniły szerokie bransolety z ordynarnej złotej blachy. Najbardziej eleganckim szczegółem jej stroju była szpicruta pleciona z jaskrawoczerwonej skóry — prezent

Hendrika. Julietta uderzała nią o zielone buty, markując krótki, twardy, groźny rytm.

— Znowu spóźniłeś się o kwadrans — powiedziała po długiej przerwie i bruzdy gniewu wyłobiły się pomiędzy niewielkimi guzami wypukłego czoła. — Ile razy mam cię ostrzegać, mój najmilszy? ~ zapytała zdradzieckim szeptem, po czym zaraz wybuchnęła złością: — Dość tego! Mam już tego potąd! Daj no te swoje łapy!

Hendrik podniósł powoli obie ręce odwrócone dłońmi ku górze. Nie spuszczał przy tym swoich zahipnotyzowanych, szeroko otwartych oczu z zawziętej, budzącej lęk, bestialskiej maski ukochanej.

Donośnym, wrzaskliwym głosem liczyła: — Raz, dwa, trzy — zamierzając się szpicrutą. Pleciony elegancki pejcz spadł z okrutnym świstem na wyciągnięte dłonie, na których wystąpiły od razu grube czerwone pręgi. Hendrik poczuł tak gwałtowny ból, że łzy stanęły mu w oczach. Wykrzywił wargi; po pierwszym uderzeniu krzyknął lekko, potem opanował się i stał z pobladałą, skamieniałą twarzą.

— Dostyc, jak na początek — powiedziała Julietta. Znużony uśmiech pojawił się nagle na jej ustach; sprzeciwiało się to całkowicie regułom gry. W uśmiechu tym nie było ani trochę zwierzęcego okrucieństwa, lecz dobroduszna drwina zabarwiona odrobiną współczucia. Opuściła szpicrutę, odwróciła głowę i stała tak, ukazując twarz z profilu, w pięknej, smutnej pozie. — Przebierz się — dodała cicho — popracujemy.

W pokoju nie było parawanu, za którym Hofgen mógłby się ukryć zmieniając ubranie. Julietta obserwowała każdy jego ruch spod półprzymkniętych powiek, całkowicie zresztą obojętnym spojrzeniem. Musiał zdjąć z siebie wszystko i pokazać jasne, nieco już za tłuste ciało pokryte rudawym włosiem, zanim wciągnął białe i niebiesko prążkowaną koszulę i czarne spodnie. Stał wreszcie przed nią w upokarzającym stroju, który nazywał kostiumem gimnastycznym, w dziecięcym i śmiesznym przebraniu składającym się z płytkich czarnych półbucików, białych skarpetek kokieterijnie zawiniętych powyżej kostek, krótkich spodenek z błyszczącej czarnej satyny, jakie noszą mali chłopcy na lekcje gimnastyki, i prążkowanej koszuli obnażającej szyję i ramiona.

Zmierzyła go krytycznym, zimnym wzrokiem.

— Utyłeś jeszcze trochę od zeszłego tygodnia, mój najmilszy — skonstatowała trzaskając szyderczo szpicrutą po zielonych lakierowanych butach.

— Wybacz mi — prosił cicho. Jego biała twarz o surowej linii podbródka, nerwowo pulsujących skroniach i pięknie wykrojonych, żałosnych oczach zachowała całkowitą powagę i jakąś niemal tragiczną dostojność w zestawieniu z groteskowo odzianą postacią.

Murzynka zaczęła coś majstrować przy gramfonie. Poprzez melodię jazzową, której rytmiczny zgiełk rozległ się nagle, powiedziała szorstko:

— Zaczynaj!

Wyszczrzyła przy tym oba rzędy zbyt białych zębów i groźnie potoczyła oczami: była to właśnie ta gra fizjonomii, której teraz oczekiwał i której pragnął.

Twarz jej ciemniała przed nim niby przerażająca maska jakiegoś obcego bożka. Bożek ten królował w głębi dziewiczego lasu, w zatajonym uroczysku, a błysk jego zębów i łypiące białkami oczy żądały ofiar ludzkich. Przynoszą mu te ofiary, składają u jego stóp, krew tryska, on zaś wciąga w nozdrza spłaszczony nosa znajomy, słodkawy zapach, z lekka kołyszce majestataczny tułów w rytm dziko drgającego tam-tamu. Poddani w upojeniu tańczą dokoła bożka taniec radości. Wyrzucają ręce i nogi, podskakują, zataczają się, wirują. Ryk ich przemienia się w jęk rozkoszy, w rżenie. Po chwili chylą się, padają do stóp czarnego bożka, którego wielbią, którego podziwiają bez zastrzeżeń; ludzie potrafią tak kochać i podziwiać tylko tego, komu złożyli najcenniejszą daninę: krew.

Hendrik zaczął powoli tańczyć. Gdzież się jednak podziała tryumfalna lekkość, którą czarował publiczność i kolegów? Zniknęła bez śladu, poruszanie nogami było, zda się, dla niego męką — męką, a *zarazem* rozkoszą; uśmiech bladych, zaciśniętych warg i nieprzytomny wzrok zdradzały całkowite zapamiętanie.

Julietta ze swej strony ani myślała tańczyć: niech się uczeń sam męczy. Podniecała go tylko klaskaniem w dłonie, szorstkim krzykiem i rytmicznym kołysaniem ciała.

— Prędejj! prędejj! — żądała z wściekłością. — Cóż ty masz za kości! I to ma być mężczyzna?! Chcesz być aktorem,

pokazywać się za pieniądze? Takie półtora nieszczęścia? Śmiechu warte...

Szpicruta chłostała go po łydkach i ramionach. Teraz jednak łzy nie napływały mu już do suchych, rozżarzonych oczu. Tylko zaciśnięte wargi drżały. Księżniczka Tebab smagnęła go znowu.

Pracował bez przerwy przez pół godziny, jak gdyby chodziło naprawdę o poważny trening, nie zaś o perwersyjną rozrywkę. W końcu począł ciężko dyszeć. Zatoczył się. Twarz jego była mokra od potu. Wybełkotał z trudem:

— W głowie mi się kręci. Czy mogę przestać?

Rzuciła okiem na zegarek i odparła krótko i rzeczowo:

— Musisz jeszcze poskakać co najmniej kwadrans.

Znowu zagrzmiała muzyka. Julietta zaczęła frenetycznie klaskać w dłonie. Hendrik spróbował jeszcze raz wykonać skomplikowanego stępa. Jednakże obolałe nogi w kokieterijnych półbucikach i skarpetkach odmówiły mu posłuszeństwa, zachwiał się na mgnienie oka, potem stanął bez ruchu, drżącą ręką ocierając pot z czoła.

— Cóż to za żarty? — burknęła groźnie. — Przerywasz lekcję bez mojego pozwolenia? To coś całkiem nowego. Ładne rzeczy!

Wycelowała czerwoną szpicrutę prosto w twarz Hendrika; schylił się w porę, by uniknąć groźnego ciosu. Przyjść wieczorem do teatru z krwawą pręgą od czoła do brody, to byłoby jednak za wiele. Pomimo stanu oszołomienia, w jakim się znajdował, zrozumiał, że nie może sobie na to pozwolić, pod żadnym pozorem.

— Daj spokój! — odrzekł krótko. I odwracając się od niej dodał: — Dosyć na dzisiaj.

Zrozumiała, że to nie żarty. Nic nie odpowiedziała i z lekkim westchnieniem ulgi patrzyła, jak Hendrik otula się grubo wywatowanym, czerwonym jedwabnym, zresztą w kilku miejscach podartym szlafrokiem i wyciąga na tapczanie.

Tapczan, który w nocy służył za łóżko, na dzień nakryty był kapą i kolorowymi poduszkami. Przy nim stała lampa na niskim okrągłym stolczku z przyborami do palenia.

— Zgaś to rażące światło — prosił Hendrik śpiewnym, żałosnym i melodyjnym głosem. — I chodź do mnie, Julietto!

Szła ku niemu w różowym półmroku. Kiedy już stanęła przy nim, westchnął cicho:

— Jak dobrze!

— Przyjemnie ci było? — zapytała dość sucho. Zapaliła papierosa i podała mu ogień; Hendrik używał do palenia długiej pospolitej cygarniczki — podarunek Racheli Mohrenwitez.

— Jestem całkowicie wykończony — powiedział.

Julietta ściągnęła potężne usta w dobroduszny, wyrozumiały uśmiech.

— Tak być powinno — rzekła i pochyliła się nad nim.

Oparł szerokie, blade, pokryte rudawymi włosami dłonie na jej rasowych, okrytych lśniącym czarnym jedwabiem kolanach. Mówił rozmarzony:

— Jak brzydko wyglądają moje pospolite ręce na twoich wspaniałych nogach, najdroższa!

— Wszystko jest w tobie brzydkie, mój prosiaczku: głowa, nogi, wszystko. — zapewniła go z burkliwą tkliwością.

Osunęła się przy nim na tapczan. Zdjęła szary futrzany zakiecik: miała na sobie ciasną bluzkę uszytą koszulowym krojem z lśniącego jedwabiu w czarną i czerwoną kratę.

— Będę cię zawsze kochał! — powiedział wyczerpany. — Jesteś silna. Jesteś czysta.

Patrzył przy tym spod przymkniętych powiek na jej jędrne, spiczaste piersi rysujące się wyraźnie pod ciasno przylegającą cienką tkaniną.

— Ach, to tylko takie gadanie — odrzekła z powagą i lekką pogardą. — Wmawiasz sobie. Są ludzie, którzy zawsze muszą sobie coś wmawiać. Inaczej źle się czują.

Szukał po omacku jej długich, lakierowanych butów.

— A ja wiem, że zawsze cię będę kochał — szepnęła z zamkniętymi oczami. — Nigdy nie znajdę takiej kobiety jak ty. Jesteś ko biętą mego życia, księżniczko Tebab.

Jej ciemna, poważna twarz zakolysała się lekko nad jego bladym, znużonym obliczem.

— Ale jednak nie pozwalasz mi nawet przyjść do teatru, kiedy grasz — powiedziała z przekąsem.

Szepnął głosem cichszym niż westchnienie:

— Mimo to gram tylko dla ciebie, tylko dla ciebie, moja Julietto. Z ciebie czerpię siły.

— Ale ja nie dam sobie rozkazywać — odparta przekornie.
— Pójdę do teatru, czy mi pozwolisz, czy nie. Siądę któregoś dnia w krzesłach i roześmieję się na cały głos, gdy wyjdiesz na scenę, małpo zielona!

Rzucił szybko:

— Proszę cię, bez takich dowcipów! — Przerażony otworzył oczy i uniósł się na łokciu. Widok czarnej Wenus zdawał się go uspokajać. Uśmiechnął się i zaczął deklamować:

Viens-tu du ciel profond ou sors-tu de l'abîme — o Beauté?*

— Cóż to za bzdury? — zapytała niecierpliwie.

— To z tej cudownej książki — wytłumaczył jej i wskazał leżący na stoliku przy lampie tomik w żółtej okładce. — *Les fleurs du mai* Beaudelaire'a.

— Nie rozumiem — powiedziała Julietta ze złością. On jednak nie dając sobie przerwać ekstazy, mówił:

**Tu marches sur des morts, Beauté, dont tu te moques...
De tes bijoux l'Horreur n'est pas le moins charmant,
Et le Meurtre, parmi tes plus chères breloques,
Sur ton ventre orgueilleux danse amoureusement.***

— Że też ty możesz tak bezczelnie kłamać — powiedziała kładąc smukły ciemny palec na jego poruszających się wargach.

On jednak mówił tym samym melancholijnie śpiewnym tonem:

— Nigdy mi nie opowiadasz, jak żyłaś dawniej, księżniczko Tebab. To znaczy: na twoim łądzie...

— Już nic nie pamiętam — odparła krótko. Po czym pocałowała go, może tylko dlatego, żeby przerwać dalsze niedyskretne i poetyczne pytania. Jej szeroko otwarte, zwie-

* Piękności, czy ty z piekieł, czy leż z niebios rodem?

* Twe stopy deptają trupy nie zbaczając z drogi,
Śród ponęt twych Okropność ma czar niepośledni,
Mord, klejnot w gotowalni Twojej nad inne drogi,
Na twym się pysznym łonie buja — wisior przedni.

(przekład Bohdana Wydygi)

rzece usta o ciemnych, spękanych wargach i czerwonym jak krew języku zbliżały się powoli do jego złaknionych bladych ust.

A gdy oderwała już twarz od jego twarzy, mówił dalej:

— Nie wiem, czy mnie zrozumiałaś poprzednio, kiedy ci powiedziałem, że gram tylko dla ciebie i tylko dzięki tobie.

Kiedy tak mówił miękko i marząco, przesuwała wprawdzie palce przez jego rzadkie, jedwabiste włosy, z których płowej barwy światło lampy wyczarowywało złotawe błyski. Dotykała jego włosów bez tklivosti, lecz poważnie i rzeczowo, jak gdyby je chciała uczesać.

— Powiedziałem to w znaczeniu dosłownym — rzekł po chwili. — Jeżeli się ludziom trochę podobam, jeżeli mam powodzenie — tobie to zawdzięczam. Widzieć cię, dotykać ciebie, księżniczko Tebab, to dla mnie czarodziejska kuracja... coś cudownego, niezrównane odnowienie całej istoty...

— Że też ty tak możesz wciąż paplać i kłamać" — odrzekła macierzyńskim tonem. — Najśmieszniejsze z ciebie gówienko, jakie w życiu widziałam.

Chcąc go zmusić do milczenia, zasłoniła mu twarz rękami; szerokie bransoletki dzwoniły o jego brodę, na policzkach spoczywały jasne muszle jej dłoni. Umilkł wreszcie. Sennym ruchem poprawił głowę na poduszce i oplótł ramionami ciało czarnej dziewczyny, jakby szukając u niej obrony. Leżała cicho w jego objęciach nie zdejmując dłoni z jego twarzy; może chciała ukryć przed nim tklivy i szydery uśmiech, z jakim teraz na niego patrzyła.

III

KNORKE

Sezon ów, jak się okazało, wcale nie był zły dla Haraburskiego Teatru Artystycznego. Oskar Kroge stanowczo nie miał racji mówiąc, że Hófgena przepłacano: tysiąc marek miesięcznej gaży! Nie poradzono by sobie w żaden sposób bez tego aktora i reżysera, dokonywał cudów, był równie pomysłowy jak niezmordowany. Grał wszystko: role młodzieńców i starców, Nie tylko Miklas mógł mu pozazdrościć, ale i Petersen, a nawet Otto Uirichs, gdyby nie był pochłonięty ważniejszymi sprawami i nie lekcewał poczynań teatru burżuazyjnego. Hófgen zdobył serca dziecięce jako dowcipny i piękny ksiądz w *Bajce wigilijnej*, zaś we francuskich sztukach salonowych i komediach Oskara Wilde'a podbijał swym urokiem wszystkie panie. Interesujące się literaturą koła publiczności hamburskiej żywo dyskutowały o jego kreacjach w *Przebudzeniu wiosny*, w roli adwokata w sztuce Strindberga *Gra snów*, w roli Leonce'a w *Leonce i Lena* Buchnera. Umiał być wytworny, ale potrafił także być tragiczny. Miał wprawdzie ten swój drański uśmiech, lecz było też coś bolesnego w jego nerwowo pulsujących skroniach. Czarował zuchwałym dowcipem, imponował władczyim zarysem wzniesionego w górę podbródka, urywanym, rozkazującym tonem i nerwową, dumną gestykulacją. Wzruszał pokorą, bezradnie błędzącym spojrzeniem, troszkę nieprzytomnym, jakby nie z tej ziemi. Bywał dobroduszny i pospolity, wyniosły i tkliwy, butny i złamany życiem — zależnie od wymagań repertuaru. W *Imrydze i miłości* Schillera grał na przemian majora Ferdynanda i sekretarza Wurma, egzaltowanego kochanka

i niecnego intryganta; jego zdolności transformatorskie cieszyły się taką sławą, że kokieteria, z jaką ów talent podkreślał, była całkowicie zbędna. Przed obiadem miał próbę *Hamleta*, po południu próbę farsy *Dziewczyna do wszystkiego*. Farsę wystawiono w wieczór sylwestrowy, cieszyła się wielkim powodzeniem. Schmitz był zadowolony Kroge wpadł we wściekłość i na generalnej próbie *Hamleta* chciał odwołać przedstawienie.

— Takiego świństwa nigdy w swoim teatrze nie tolerowałem! — oburza! się stary pionier teatru literackiego. — *Hamleta* nie odrabia się mimochodem, od niechcenia, jako pierwszą lepszą sztukę kasową!

Hófgen jednakże pokonał go; wywarł silne wrażenie w swoim czarnym, zapiętym pod samą szyję stroju; oczy jego lśniły zagadkowo, na bladej twarzy wyryte było cierpienie. Nazajutrz rano prasa hamburska zapewniła jednogłośnie, że kreacja była może nie dość opracowana, grzeszyła nieco improwizacją, lecz miała momenty porywające. Rolę Ofelii pozwolono zagrać Angelice Siebert, która tonęła we łzach na każdej próbie. Na premierze rozszłochała się tak, że zachodziła obawa, czy będzie mogła ukazać się na scenie. Mówiąc nawiasem, niektórzy znawcy uważali, że jej kreacja była najlepsza w całej tej budzącej zastrzeżenia inscenizacji.

Hófgen pracował po szesnaście godzin na dobę i co najmniej raz na tydzień miewał atak nerwowy. Ataki były bardzo silne i objawiały się w różnorodny sposób. Czasem padał na ziemię i leżał w milczeniu, wstrząsany drgawkami, to znów trzymał się wprawdzie na nogach, ale krzyczał straszliwie przez pięć minut bez przerwy; to znów, ku przerażeniu wszystkich, oświadczał na próbie, że nie może nagle rozewrzeć szczęk, że schwycił go skurcz: to okropne! Mógł zaledwie szeptać. Przed wieczornym przedstawieniem, w garderobie, kazał Bockowi, któremu w dalszym ciągu był winien siedem marek pięćdziesiąt, masować sobie dolną szczękę, jęczał przy tym i mruczał z zaciśniętymi zębami. W kwadrans potem, na scenie, odzyskiwał mowę całkowicie, władał nią z wielką zręcznością i swadą, promieniał i miał powodzenie,

W dniu, w którym księżniczka Tebab nie przyszła na schadzki, płakał, krzyczał i drżał równocześnie. Był to straszliwy atak; zespół, choć przeżył już z nim niejedno, stał dokoła

niego onieśmielony i struchlały; pani von Herzfeld oblała w końcu szalejącego Hendrika zimną wodą. Zresztą Julietta rzadko dawała kochankowi powód do takiej rozpaczki, na ogół przychodziła punktualnie o umówionej godzinie i spełniała wszystko to, czego pragnął. Z tych wyczerpujących seansów popołudniowych wychodził Höfgen silny, rześki, pełen pomysłów, bardziej niż kiedykolwiek żądny władzy i zawzięty. Mówił Julietcie, że ją kocha, że ona jest treścią jego życia. Czasem wierzył w to, co mówił, Czyż przy czarnej Wenus nie odpokutowywał za swoją pychę, czy nie upokarzał przed nią swojej próżności? Czy naprawdę jej nie kochał? Zdarzało mu się czasem, że rozmyślał o tym wracając nocą do domu z knajpki przy teatrze. Wówczas powtarzał sobie: „Kocham ją, to rzecz pewna.” Na to odzywał się w nim jeszcze głębszy głos: „Dlaczego oszukujesz sam siebie?” Ale udawało mu się zmusić ów głos do milczenia. Ów głębszy głos zamilkł wreszcie. Hendrik mógł zatem wierzyć, że jest zdolny do miłości.

Mała Angelika cierpiała, Höfgen nic sobie z tego nie robił. Pani von Herzfeld cierpiała — zbywał ją intelektualną konwersacją. Rolf Bonetti cierpiał, gdyż mała Angelika była nieubłagana, choć tak gorliwie zabiegał o jej względy. Musiał się więc piękny, młody wielbiciel pocieszać Rachelą Mohrenwitz. Czynił to niechętnie, a z twarzy jego nie ustępował wyraz obrzydzenia. Hans Miklas nienawdził i głodował, jeżeli mu panna Efeu nie dała paru kanapek, w grocie przyjaciół wymyślał na marksistów, Żydów, i żydowskich pacholców; pracował zapamiętale, choć dawano mu tylko małe role, doły w policzkach stawały się coraz czarniejsze.

Otto Ulrichs utrzymywał ścisły kontakt ze swymi towarzyszami partyjnymi. Było mu niezmiernie przykro wobec nich, że otwarcie Teatru Rewolucyjnego ulega ciąglej zwłoce. Hofgen wynajdywał co tydzień jakąś nową wymówkę. Zdarzało się często, że Ulrichs po próbie brał na stronę przyjaciela pytajac błagalnie:

— Kiedy zaczynamy, Hendriku?

Wówczas Höfgen odpowiadał namiętnie i ze swadą, potępiał kapitalizm, nazywał teatr narzędziem polityki, mówił o konieczności silnej, dobrze przemyślanej akcji polityczno-

-artystycznej i obiecywał solennie zaraz po premierze farsy rozpocząć próby Teatru Rewolucyjnego.

Jednakże minęła pełna humoru premiera sylwestrowa, nastąpiło po niej wiele innych premier, sezon dobiegał końca, minął już prawie, a projekt Teatru Rewolucyjnego pozostawał nadal tylko na pięknym papierze listowym, na którym Hofgen prowadził szeroko rozgałęzioną, we wzniosłym tonie utrzymaną korespondencję z wybitnymi autorami o przekonaniach socjalistycznych.

Kiedy Otto Ulrichs znowu począł prosić i nalegać, oświadczył mu Hendrik z gorzkim ubolewaniem, że wskutek fatalnego zbiegu okoliczności jest to w tym sezonie niemożliwe: trzeba będzie, niestety, zaczekać do przyszłej jesieni. Tym razem Ulrichs sposepniał; Hendrik wówczas objął ramieniem przyjaciela i towarzysza perswadując mu głosem, któremu nikt oprócz się nie potrafił. Głos ten zrazu śpiewał i wibrował, potem stał się gwałtowny i ostry, Hofgen bowiem chłostał moralny upadek burżuazji, wychwalając międzynarodową solidarność proletariatu. Ulrichs dał się udobruchać. Pożegnali się długim uściskiem dłoni.

Przygotowywano w tym czasie ostatnią nowość sezonu. Hendrik Hofgen miał grać główną rolę w komedii Teofila Mardera *Knorke*. Sztuki Mardera piętnujące współczesne społeczeństwo cieszyły się wielką sławą; wszyscy znawcy cenili ich niezwykle oryginalną formę, niezawodną sceniczność i bezlitosną, inteligentną złośliwość. Na prapremierę komedii *Knorke* mieli zjechać krytycy z Berlina. Ponadto oczekiwano z bijącym sercem przybycia autora, gdyż jego wysokie mniemanie o sobie było równie dobrze znane, jak straszliwa arogancja tudzież skłonność do wywoływania o byle głupstwo gwałtownych i długotrwałych sporów.

Hofgen jednak pomimo lęku cieszył się na przybycie słynnego dramatopisarza; nie wątpił, że ów doświadczony i dalekowzroczny człowiek oceni należycie jego kreację.

— Muszę dobrze zagrać w *Knorkem* — przysiągł sobie Hendrik.

Chcąc się całkowicie poświęcić swojej roli, powierzył tym razem obowiązki reżysera dyrektorowi Krogemu, który był wytrawnym specjalistą od komedii Teofila Mardera. *Knorke* należał do cyklu sztuk satyrycznych charakteryzujących i wy-

szyszających burżuazję niemiecką za panowania Wilhelma II. Bohaterem komedii był dorobkiewicz-cynik, który nieuczciwie zarobionymi pieniędzmi, prostacką energią i pozbawionym skrupułów, pospolitym sprytem zdobył sobie władzę i wpływy w najwyższych kołach. Knorke był śmieszny, ale imponujący. Reprezentował typ burżuazji pnącego się w górę, pełnego życia, całkowicie obcego sprawom ducha. Höfgen zapowiadał się w tej roli wspaniale. Był chwilami okrutny, ostry jak nóż, to znów niemal wzruszający swoją bezradnością. Wniósł w tę rolę wszystko, na co go było stać; chwilami jakby nieśmiała, chwilami olśniewająca grandezzą postawy i gestu, prostacką, przerażająco zręczną elokwencją tego, który gotów jest poświęcić wszystkich, byle samemu wynieść się w górę, blade, kamienne, niemal bohaterskie oblicze człowieka opętanego przez ambicję, trwożne spojrzenie rzucane na własną zawrotną karierę, która mogła się skończyć każdej chwili. Nie ulegało wątpliwości: Höfgen w tej sztuce wzbudzi sensację.

Partnerką Hendrika w tej oryginalnej komedii, grającą rolę towarzyszkę życia Knorkego, nie mniej niż on pozbawionej skrupułów, słabszej tylko przez to, że kocha — że kocha Knorkego — była młoda dziewczyna, z naciskiem polecana przez Teofila Mardera w energicznych, niemal gniewnych listach. Nicoletta von Niebuhr miała jeszcze mało doświadczenia scenicznego — rzadko dotąd występowała i tylko w mniejszych miastach — ale była tak pewna siebie, że onieśmiała wszystkich. Marder w ordynarnych zwrotach zagroził Oskarowi Krogemu najstraszniejszym skandalem, jeżeli dyrekcja nie zaangażuje panny von Niebuhr na warunkach rutynowanej aktorki. Krogę, który wił się ze strachu przed groźną postawą dramaturga, zgodził się zaangażować Nicolettę tytułem próby na występy gościnne. Przyjechała przywożąc mnóstwo czerwonych lakierowanych walizek. Miała na sobie jaskrawoczerwony płaszcz nieprzemakalny i męski czarny kapelusz z szerokim rondem, ocieniający duży orli nos i błyszczące kocie oczy pod pięknym, wysokim czołem. Wszyscy zauważyli od razu, że jest to silna indywidualność. Hilda-Motz skonstatowała to pierwsza wzruszonym głosem w knajpcie — nikt jej nie zaprzeczył, nawet Rachela Mohrenwitz, chociaż gniewało ją przybycie nowej koleżanki. Nicoletta była bowiem niewątpliwie demoniczną młodą osobą, niepotrzebny

jej był ani monokl, ani długa cygarniczka, by dowieść tego świata.

Rolf Bonetti i Petersen dyskutowali, czy Nicolettę można nazwać piękną. Skory do entuzjazmu Petersen oświadczył, że jest po prostu olśniewająca; ostrożny Bonetti orzekł powściągliwie, że jest tylko interesująca.

— O piękności nie ma nawet mowy z takim nosem! — powiedział z pogardą.

— Oczy ma cudowne — mówił Petersen rozmarzony, oglądając się, czy Hildy Motz nie ma w pobliżu. — A co za postawa! Można by niemal powiedzieć — majestatyczna!

Za oknem przeszła Nicoletta pod rękę z Höfgenem, co zwróciło uwagę wszystkich. Głowa jej o śmiało zarysowanym nosie, promiennym spojrzeniu i wysokim czole przypominała głowę pacholecia z epoki Odrodzenia. Stwierdziła to z bolesną trzeźwością pani von Herzfeld, która odprowadzała młodą parę zazdrosnym spojrzeniem. Nicoletta trzymała się bardzo prosto. Jaskrawo wymalowane, wąskie wargi kształtowały słowa z niezwykłą precyzją. Każde słowo wymawiała z przesadną dokładnością, samogłoski wyrzucała daleko przed siebie, brzmiały czysto i płasko; nie zatarła ani jednej spółgłoski, bardziej potoczne zwroty stawały się tryumfem dykcji. Nicoletta podkreślała z demoniczną szczerością, że jest ambitna, a w razie potrzeby potrafi być intrygantką.

— Ależ naturalnie, najmilszy! — rzuciła Höfgenowi, którego znała zaledwie od paru godzin. — Wszyscy chcemy się wybić. Trzeba się rozpychać łokciami.

Hendrik, przyglądając jej się z boku ciekawie, zastanawiał się, czy Nicoletta jest w tej chwili szczerą, czy też pozuje. Trudno mu było rozstrzygnąć. Może ten zdecydowany cynizm to tylko maska kryjąca całkiem odmienne oblicze. Kto wie jednak, czy to odmienne, ukryte oblicze miało równie śmiało zarysowany nos i równie zacięte usta jak to, które tak dumnie ukazywała światu.

Hendrik nie mógł przed sobą zataić, że ta kobieta zrobiła na nim wrażenie. Niewątpliwie, odkąd poznał Juliettę, była pierwszą, na którą spojrzął ciepłym, zaciekawionym wzrokiem. Wyspowiadał się jeszcze tego samego dnia czarnej Wenus i dostał za to straszliwe cięgi. Nie był to tym razem zwykły, przewidziany programem rytuał; bila go z niekłamaną

pasją. Księżniczka Tebab złościła się nie na żarty. Hendrik cierpiał, jęczał, rozkoszował się i w końcu zapewnił swoją księżniczkę, że ona jedyna pozostanie na zawsze jego panią i kochanką. Ale kiedy zobaczył Nicolettę, zafascynował go znowu jej sposób mówienia, jasny przenikliwy wzrok i dumnie opanowana postawa.

Nogi jej nie były właściwie piękne, raczej za grube, prezentowała je wszakże w czarnych jedwabnych pończochach w sposób tak tryumfalny, że wykluczała kategorycznie wszelkie wątpliwości co do ich urody. Hendrik umiał tak samo układać swoje plebejuszowskie ręce, jak gdyby były strzeliste, wąskie i gotyckie. Nicoletta zakładała nogę na nogę, spoglądała dokoła promiennym wzrokiem, uśmiechała się zagadkowo, podciągając spódnicę powyżej kolan. Hendrik przejrzał naturalnie całą jej grę, ale właśnie dlatego dziewczyna tak go zachwyciła. Zresztą wyobrażał sobie doskonale te nogi (na które zwrócił uwagę nawet znawca Bonetti) w zielonych butach z cholewami i ta okoliczność czyniła Nicolettę jeszcze bardziej pociągającą. Hendrik przechylił w tył bladą twarz, a jego oczy lśniące jak klejnoty patrzyły pożądliwie. Nie ma co, Nicoletta mu się podobała.

Hendrikowi spodobało się także to, co mu Nicoletta w zwięzłych i precyzyjnych słowach powiedziała o swoim pochodzeniu i przeszłości. Imponowało mu wszystko, co ekscentryczne, awanturnicze, dwuznaczne, ponieważ sam wyrósł w środowisku na wskroś mieszczańskim. Nicoletta mówiła mu, że rodziców w ogóle nie miała.

— Mój ojciec był aferzystą — stwierdziła z podniesioną głową, wesoło i dumnie. — Matka tańczyła w balecie Opery paryskiej; była, jak powiadają, bardzo głupia, ale miała podobno bajeczne nogi. — Spojrzała wyzywająco na własne nogi, jakby chcąc dać do zrozumienia, że i one są bajeczne. — Ojciec był genialny. Umiał zawsze żyć na bardzo wysokiej stopie. Umarł w Chinach, gdzie pozostawił siedemnaście herbaciarni i olbrzymie długi. Jedyna pamiętka, jaką mam po nim, to fajka do palenia opium.

Pokazała Hendrikowi tę relikwię w swoim pokoju hotelowym. Z całą poprawnością, za którą można była wyczuć szatańską przebiegłość, zapytała go, czy chce herbaty, czy kawy. Zamówienie dała kelnerowi przez telefon tak groźnym

tonem, jak gdyby ferowała bezlitosny wyrok śmierci. Po czym opowiedziała obszernie dzieje swojej młodości.

— Nigdy się dużo nie uczyłam — oświadczyła. — Ale umiem chodzić na rękach, biegać po toczącej się kuli i krzyczeć jak sowa. — Elementarz zastąpiło jej godne polecenia pismo „La vie parisienne”. Wychowała się częściowo we francuskich internatach, skąd ją za okropne sprawowanie po krótkim czasie usuwano, częściowo w domu tajnego radcy Brucknera, przyjaciela lat dziecięcych jej ojca.

Hendrik słyszał już o tajnym radcy Brucknerze. Dzieła historyka cieszyły się szeroką sławą, Hendrik ich zresztą nie czytał. Wiedział natomiast, że tajny radca zajmował równie wybitną jak niezwykłą pozycję towarzyską. Badacz i myśliciel był nie tylko jedną z postaci najbardziej na widoku, przedmiotem najgorętszych dyskusji w świecie naukowym i literackim zarówno w Niemczech, jak w całej Europie; mówiono też, że łączy go ścisłe więzy z kołami politycznymi i że posiada tam niemałe wpływy. Jego przyjaźń z jednym z ministrów, socjaldemokratą, była powszechnie znana. Z drugiej strony miał pewne kontakty z Reichswehrą; jego zmarła żona była córką generała. Komentowano szeroko tournée odczytowe tajnego radcy po Rosji Radzieckiej. Prasa nacjonalistyczna rozpętała wówczas przeciwko niemu wielką kampanię. Odtąd stwierdzano z goryczą, że w poglądach Brucknera na historię przejawiają się wpływy marksizmu. Pewnego razu studenci urządzili hałaśliwą demonstrację, gdy ukazał się na katedrze. Jego światowa sława i spokojne, wyniosłe zachowanie poskromiły jednak wzburzone umysły. Tajny radca wyszedł zwycięsko z tych skandalicznych awantur. Nic go się nie imało.

— Ten stary jest nadzwyczajny! — mówiła Nicoletta o radcy. — Zna się przy tym na ludziach; do ojca, na przykład, był bardzo przywiązany. Toteż mnie pozwalał na wszystko, a ja znosiłam cierpliwie jego wytworne nudziarstwa.

Najlepszą przyjaciółką Nicoletty, siostrą prawie, była Barbara, córka Brucknera.

— Takie piękne stworzenie i taka dobra!

Wzrok Nicoletty złagodniał, kiedy to mówiła, nie potrafiła jednak wyrzec się dźwięcznej precyzyjnej dykcji. Na premierę

Knorkego spodziewany był nie tylko przyjazd Teofila Mardera, ale i Barbary.

— Ciekawa jestem, czy ci się spodoba — zwróciła się Nicoletta do Hendrika. — Może nie jest specjalnie w twoim typie. Ale bądź dla niej miły, zrób to dla mnie. Jest trochę nieśmiała — stwierdziła przeciągając samogłoski.

Barbara Bruckner przyjechała w dniu wielkiej premiery. Marder zjawił się dopiero wieczorem, przybył pociągiem pośpiesznym 2 Berlina. Hófggen poznał Barbarę w knajpce; wpadł przed rozpoczęciem przedstawienia na kieliszek koniaku. Nicoletta powiedziała głośno, wzorową dykcją:

— To moja najdroższa przyjaciółka Barbara Bruckner! — przy czym uczyniła ręką ceremonialny gest pod czarną, sztywno plisowaną peleryną. Hendrik był zanadto podniecony, aby przyjrzeć się dokładnie młodej dziewczynie. Wychylił kieliszek duszkiem i wyszedł. W garderobie zastał dwa duże bukiety: biały bez od Angeliki Siebert i bledożółte herbaciane róże od pani von Herzfeld. Chcąc dobrym uczynkiem zapewnić sobie łaskę niebios, wręczył Hófggen wspaniałomyślnie pięć marek małemu Bockowi, który przed każdą premierą miewał płacziwą minę; ale dług jego wynoszący siedem marek pięćdziesiąt nie był przez to jeszcze całkowicie wyrównany.

Prapremiera komedii *Knorke* wypadła wspaniale; zjadliwe puenty marderowskich dowcipów strzelały jak rakiety, żywy dialog wywoływał wśród publiczności na wpół przerażone, na wpół uradowane wybuchy śmiechu. Przede wszystkim jednak wzbudzał zachwyty duet aktorski Hofgena z nową, zaangażowaną na gościnne występy siłą, Nicoletta von Niebuhr. Po drugim akcie para głównych bohaterów musiała się kilkakrotnie pokazywać, wzywana hucznymi oklaskami. W czasie antraktu odwiedził Hendrika Teofil Marder. Towarzyszyła mu Nicoletta.

Niespokojny, ale przenikliwy wzrok Mardera zlustrował wszystkie przedmioty znajdujące się w garderobie, po czym zatrzymał się na Hendriku, który siedział przed lustrem, do cna wyczerpany. Nicoletta stanęła przy drzwiach, milcząc z szacunkiem. Po długiej chwili Marder odezwał się głosem donośnym i władczym:

— Ależ z pana numer!

Nie spuszczał okrutnego, przeszywającego wzroku z uśmiezionej twarzy Hendrika.

— Zadowolony pan ze mnie? — Hófggen starał się oczarować satyryka oczyma o blasku klejnotów i melancholijnym uśmiechem.

Teofil wszakże odpowiedział tylko:

— No, tak... — i dodał bezczelnie: — N o tak, panie... jakże się pan nazywa?

Hendrik poczuł się dotknięty, mimo to wymienił swoje imię śpiewnym, urzekającym głosem.

— Hendrik, Hendrik — zabawne imię. Trzeba przyznać, bardzo zabawne.

Było to powiedziane tonem tak szyderczym, że Hendrikowi przebiegł po krzyżu lodowaty dreszcz. Dramatopisarz wykrzyknął nagle z niepokojącą wesołością:

— Hendrik! Jak to Hendrik? Przecież pan właściwie nazywa się Heinz. Nazywa się Heinz, a przybrał imię Hendrik. Cha, cha, cha, a to dobre!

Śmiał się donośnie, serdecznie, przeciągle. Hófggen, przerażony takim ogromem złośliwej intuicji, zbłądł pod różową maską szminki i zaczął dygotać. Nicoletta, nie rozumiejąc, o co chodzi, przyglądała się, rozbawiona, błyszczącymi kocimi oczami to jednemu, to drugiemu. Teofil odzyskał powagę. Zdawał się coś rozważać, przy czym jego sinawe usta pod czarnym wąsem poruszały się bez przerwy. To nerwowe drganie warg przypominało w niepokojący sposób chciwe macki roślin mięsożernych albo szybko dyszące rybce pyszczki.

Marder rzucił zamykając dalszą dyskusję:

— Ale z pana numer! Wielki talent — Zważałem to od razu, ja mam nosa. Zobaczymy się jeszcze. Zjemy razem kolację po teatrze. Chodź, dziecko. — To mówiąc wziął Nicolettę pod rękę i wyszedł z garderoby, zostawiając Hofgena w stanie całkowitej konsternacji.

Odzyskał pewność siebie dopiero, kiedy stanął na scenie w świetle reflektorów, ale odzyskał ją wówczas całkowicie. W trzecim akcie przeszedł sam siebie w brawurowej pasji gry. Gdy kurtyna zapadła, widownię ogarnął po prostu szal. Nicoletta z rękami pełnymi kwiatów rzuciła się Hofgenowi na szyję, mówiąc:

— Teofil] znowu utrafit w samo sedno. Z ciebie to naprawdę numer!

Zbliży! się Kroge mamrocząc słowa uznania. Zapewni! pannę von Niebuhr, że będzie mu niezmiernie miło nadal z nią pracować; może zechce się jutro rano pofatygować do jego gabinetu, by omówić warunki. Nicoletta zrobiła do razu ceremonialną, powściągliwą minę, złożyła uroczysty ukłon i wyraziła w kilku ciętych słowach zadowolenie, iż dyrekcja powzięła taką decyzję.

Teofil Marder zaprosił obie panie i aktora Höfgena do bardzo drogiego, ale raczej solidnie mieszczańskiego niż sztywnego lokalu. Hendrik nigdy tam dotąd nie był i Marder skorzysta! z tego, aby stwierdzić tonem nie znoszącym sprzeciwu, że jest to jedyna „dziura” w Hamburgu, gdzie można przyzwyciężyć zjeść; smaczna kuchnia w dawnym, dobrym stylu. W innych restauracjach smażą na zjelczalym tłuszczu albo podają śmierdzącą pieczeń, tutaj wszakże bywają starsi panowie znający się na rzeczy, toteż i piwnica jest starannie zaopatrzona.

Istotnie, w wyłożonej brązową boazerią sali, którą zdobyły piękne dywany na ścianach i obrazy przedstawiające sceny myśliwskie, siedzieli tylko sędziwi panowie o wyglądzie milionerów. Jeszcze dostojniej od nich jednak wyglądał starszy kelner, pełna szacunku postawa, z jaką przyjmował zamówienie Teofila, zdradzała odrobinę ironii. Marder zaproponował na początek langustę.

— Co pan na to, drogi Hendriku? — zapytał Höfgena z tą powściągliwą uprzejmością, której Nicoletta nauczyła się widać od niego.

Hendrik nie miał zastrzeżeń. Czuł się zresztą dość niepewnie i nieswojo w tym wielkopańskim lokalu. Zdawało mu się, że starszy kelner zlustrował z lekceważeniem jego wyplamiony i miejscami wyświecony smoking. Pod taksującym spojrzeniem wytrawnego kelnera wróciła Hendrikowi przelotnie, ale z wielką siłą świadomość wywrotowych poglądów, które wyznawał. „Ten lokal kapitalistycznych wyzyskiwaczy to nie miejsce dla mnie” — myślał ze złością, patrząc, jak mu nalewają białe wino do kieliszka. Żałował teraz, że tak zwleka! z otwarciem Teatru Rewolucyjnego. Marder zawiódł jego oczekiwania. Ten bezlitosny, nieomylny sędzia, groźny krytyk społec-

czerstwa burżuazyjnego, był, jak się okazało, kiedy tak siedzieli naprzeciwko siebie jak zwykli śmiertelnicy, jegomościem o podejrzenie reakcyjnych upodobaniach. Mówi) chrapliwym, rozkazującym głosem, patrzył spode łba, ubranie jego było zbyt dobrze skrojone, krawat zbyt starannie dobrany, a spośród podanych langust wybrał ze znanstwem najpiękniejszą. Czyż nie miał w istocie wielu cech wspólnych z postaciami, które w swoich sztukach wyszydzał? Wychwalał dawne, dobre czasy, kiedy był młody; nie można z nimi porównać dzisiejszego lekkomyślnego, schyłkowego pokolenia. Nie spuszczał przy tym niespokojnych, pożądlivych oczu z Nicoletty, której grymas warg towarzyszył węzowym ruchom całej postaci w migotliwej błyszczącej wieczorowej sukni. Barbara siedziała przy nich w milczeniu. Hendrik, w którym wyzywający flirt Nicoletty z Marderem budził obrzydzenie, a może tylko zazdrość, zwrócił wreszcie uwagę na Barbarę. Wówczas dopiero spostrzegł jej badawczy, utkwiony w niego wzrok. Hendrik Höfgen przestraszył się.

Przestraszył się do głębi serca, stwierdził bowiem, że Barbara Bruckner obdarzona jest wdziękiem, jakiego nie spotkał dotąd w żadnej kobiecie. Znał wiele kobiet w życiu, ale żadnej takiej jak ona. Kiedy na nią patrzył, przypomniły mu się w szybkim, ale dokładnym zestawieniu, tak jak gdyby miał postawić kreskę pod długą kolumną zabazgranej przeszłości — wszystkie istoty rodzaju żeńskiego, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia: krzepkie, wesołe córki Nadrenii, co bez wielkich ceremonii i bez wielkiego wyrafinowania wyjawiały mu rubaszną prawdę o miłości; dojrzałe, a te jeszcze pełne wigoru damy, przyjaciółki jego matki Belli; młode, ale bynajmniej nie naiwne przyjaciółki siostry Josy. Wspomnił doświadczone ulicznice Berlina i nie mniej od nich wytrawne dziewczki prowincjonalnych miast, gotowe do owych szczególnych usług, których pragnął i które mu całkowicie odebrały gust do mniej wyrafinowanych rozkoszy. Wspomnił kunsztownie uszminowane, rutynowane i łatwe koleżanki; obdarza! je wprawdzie tylko w wyjątkowych, bardzo rzadkich wypadkach swoimi względami, musiały się raczej zadowalać jego kapryśną, czasem okrutną, czasem uwodzicielsko zalotną koleżeńską sympatią. Wspomni! wreszcie rzesze wielbicielek: nieśmia!e i dziewicze, patetyczne i posępne albo ironiczne

i mądre. Defilowały przed nim raz jeszcze, raz jeszcze stroiły miny, ukazywały sylwetki po to, by zaraz się cofnąć, rozproszyć, zniknąć w mroku w obliczu nagle odkrytego, niezwykłego zjawiska, jakim była dla niego Barbara. Nawet Nicoletta, interesująca córka awanturnika, fascynująca swą precyzyjną dykcją, odpadła, wydała mu się niemal komiczna z tą swoją dystynkcją i przewrotnością. Hendrik poświęcił ją, przestał się nią interesować. Ale czegoż to on nie poświęcił jeszcze w tej stanowiącej o jego losach, rozstrzygającej słodkiej chwili? Czy patrząc na Barbarę nie dopuścił się pierwszej zdrady wobec Julietty, ponurej kochanki; a przecież nazywał ją treścią swego życia, źródłem, w którym jego siły znajdowały odpoczynek i odnowienie? Z Nicoletta, którą można by sobie wyobrazić w długich zielonych butach, nie byłby nigdy naprawdę zdradził Julietty; mogła być w najlepszym wypadku namiastką czarnej Wenus, ale nie rywalką. Rywalka siedziała teraz przy nim. Przyglądała się Hendrikowi badawczo już wówczas, gdy zajmował się wyłącznie Marderem i Nicoletta. Ale kiedy i on z kolei zaczął się w nią wpatrywać — nie z uwodzicielsko migotliwym, zagadkowo lśniącem błyskiem oczu, ale z prawdziwym, bezradnym wzruszeniem — wówczas dopiero spuściła powieki i skłoniła lekko głowę w bok.

Jej skromna czarna suknia z białym, sztywnym, pensjonarskim kołnierzem (znawca poznałby od razu, że była uszyta w domu) odsłaniała szyję i chude ramiona. Twarz o subtelnym, pięknie wykrojonym owalu była blada; ramiona i szyja miały ton brązowawy, o złocistych odbłyśkach, przypominały delikatne barwy bardzo szlachetnych jabłek, które w ciągu długich letnich dni nabrały niezwykłego aromatu. Hendrik myślał z wysiłkiem, co mu przypomina ów wspaniały koloryt; zrobił na nim większe wrażenie niż twarz Barbary. Stały mu w pamięci postaci kobiece Leonarda i poczuł wzruszenie, że oto siedzi tu milcząc i podczas gdy Marder chełpi się znajomością starych francuskich przepisów kulinarnych, on oddaje się tak subtelnym rozważaniom. Tak, ta nasyciona, a jednocześnie dziewiczo delikatna barwa skóry przywodziła na myśl także inne obrazy Leonarda, jego młodzieńców wychylających z mroku zaokrąglone, piękne ramię. Taką pięknoscią jaśnieli młodzieńcy i Madonny starych mistrzów.

Barbara kierowała myśl zachwyconego Hendrika ku Madonnom i efebom. Długie, szczupłe kończyny przypominały kształtem idealnie zbudowanego chłopca; natomiast twarz taką miewały tylko Madonny. Owe Madonny otwierały oczy tak, jak to w tej chwili czyniła Barbara: oczy ocienione czarnymi, nieco sztywnymi, lecz całkowicie naturalnymi rzęsami, oczy nasyczonej, ciemnobłękitnej, mieniającej się czernią barwy. Takie właśnie oczy miała Barbara Bruckner; patrzyły poważnie i badawczo, z życzliwą ciekawością, chwilami niemal figlarnie. W ogóle ta szlachetna twarz Madonny nie była pozbawiona pewnej figlarności; nie było to oblicze ani płaczące, ani władcze, ale raczej przebiegłe. Dość duże, wilgotne usta uśmiechały się marzycielsko, ale zarazem dowcipnie. Tej rozmarzonej głowce kobiecej dodawał trochę zadzierzystości z lekka przekrzywiony suty węzeł popielato blond włosów, upięty nisko na karku. Natomiast przedziałek był rozczesany równo i starannie pośrodku głowy.

— Dlaczego mi się pan tak przygląda? — zapytała w końcu Barbara widząc, że Hendrik, zachwycony, nie odrywa od niej oczu.

— Nie wolno? — odpowiedział po cichu.

Odparła, maskując zakłopotanie nieco rubaszną kokieterią:

— Jeżeli to panu sprawia przyjemność.

Głos jej był dla uszu Hendrika taką samą rozkoszą jak kolor jej skóry dla oczu. Zdawał się jakby przepojony dojrzałym, subtelnym brzmieniem, lśnił wspaniałym, bezcennym, przyćmionym blaskiem. Hendrik słuchał z takim samym zapamiętaniem, z jakim poprzednio się wpatrywał. Stawiał pytania po to tylko, aby Barbara mówiła dalej. Chciał się dowiedzieć, jak długo zamierza zostać w Hamburgu. Odrzekła paląc papierosa z niezręcznością zdradzającą brak przyzwyczajenia:

— Tak długo jak Nicoletta tu pozostanie. To zależy, czy *Knorke* będzie miał powodzenie.

— Cieszę się w takim razie, że publiczność tak długo dzisiaj klaskała — odrzekł Hendrik. — Sądzę, że i krytyki będą dobre.

Dopytywał się o jej studia, Nicoletta wspomniała mu, że Barbara uczęszcza na uniwersytet. Zaczęła mówić o wykładach socjologii, historii.

— Chodzę jednak na to wszystko tak nieregularnie... — powiedziała w zamyśleniu, trochę drwiąco. Oparła przy tym łokcie o stół i ujęła twarz w wąskie, brązowe dłonie. Mniej życzliwemu obserwatorowi niż Hendrik w tej chwili ruchy jej, w których widział tylko wzruszające onieśmielenie, wydałyby się niezręczne, może nawet wręcz niezgrabne. Sztynna postawa zdradzała mieszkankę prowincji, niezbyt wyrobioną córkę profesora, i dziwnie kontrastowała z rozumnym, pogodnym i szczerym spojrzeniem. Miała w sobie niepewność człowieka, który w określonym ciasnym kółku jest bardzo kochany i psuty, lecz poza obrębem tego kółka łatwo ulega kompleksowi niższości. Barbara zdawała się przyzwyczajona do odgrywania podrzędnej roli, zwłaszcza przy Nicoletcie. Toteż cieszyło ją, a nawet śmieszyło, że ten znakomity aktor Hendrik Höfgen zajmuje się wyłącznie nią, i to w sposób tak ostentacyjny; chętnie z nim dalej rozmawiała.

— Robię tyle różnych rzeczy — powiedziała z namysłem. — Właściwie najwięcej rysuję... zajmowałam się dużo dekoracjami teatralnymi.

Słowa te były bodźcem dla Hendrika; rozmowa potoczyła się odąd jeszcze żywiej. Z uskrzydłonym zapałem i wypiekami na policzkach mówił o przemianach, jakim ulega styl dekoracji, o wszystkich nowych odkryciach w tej dziedzinie, o nawrocie do niektórych dawnych form, o ulepszeniach. Barbara słuchała, odpowiadała, patrzyła badawczo, uśmiechała się, wzruszająco niezgrabnie gestykulowała, z szelmowską bądź poważną nutą w głosie wypowiadała rozumne, przemyślane sądy.

Hendrik i Barbara gawędzili cicho, z ożywieniem, niemal serdecznie. Nicoletta i Marder tymczasem olśniewali się nawzajem, uwodzili. Oboje używali całego swego kunsztu. Piękne oczy Nicoletty, oczy drapieżnika, lśniły jeszcze silniejszym blaskiem; precyzja jej wymowy święciła tryumfy. Kiedy śmiała się lub mówiła, małe, ostre ząbki połyskiwały spośród jaskrawo uszminowanych warg. Marder zaś sypał fajerwerkami intelektu. Jego ruchliwe, drgające usta o chorobliwej sinawej barwie mówiły prawie bez przerwy. Poza tym Marder miał zwyczaj powtarzania z największym naciskiem wciąż tych samych zdań. Przede wszystkim, twierdził z namiętym uporem, czasy dzisiejsze — uważał się za najbaczniejszego

i najbardziej powołanego ich sędziego — są najgorszą, najnikczemniejszą i najbardziej beznadziejną ze wszystkich epok. Nie było w tej epoce ruchu umysłowego ani ogólnych dążeń, ani poszczególnych czynów, które — według jego przerażających kryteriów — byłyby coś warte. Przede wszystkim brak w tej epoce — jego zdaniem — indywidualności; jedyną indywidualnością, jak okiem sięgnąć, jest on i jego właśnie zapoznano. Największy jednak zamęt w głowie słuchacza budziło to, że ów obserwator i sędzia procesu rozkładowego Europy nie przeciwstawiał tej beznadziejnej teraźniejszości obrazu jakiegoś jutra, które można by kochać i w imię którego można by nienawidzić tego, co jest obecnie. Przeciwnie, chcąc pokazać w najgorszym świetle dzień dzisiejszy, chwalał przeszłość, którą sam przejrzał na wskroś, wyszydził i skrytykował raz na zawsze.

Gorączkowo podniecona Nicoletta nie była zdolna niczemu się dziwić; w przeciwnym razie zaskoczyłoby ją chyba, że właśnie ów człowiek, klasyczny satyrk mieszczańskiej epoki — jak siebie chętnie nazywał — idealizuje postacie oficerów dawnej armii niemieckiej i przemysłowców z Nadrenii, rzekomo łączące w sobie żelazną dyscyplinę ze śmiałą indywidualnością. Stary kpiarz, którego warcholski, ale pozbawiony kierunku radykalizm ześliznął się w stronę reakcji i całkowicie wypaczył, śpiewał teraz hymny pochwalne na cześć fizycznych i moralnych zalet pruskich generałów i zirytowanym głosem feldfebla piętnował mazgajstwo i zniewieścianość dzisiejszego pokolenia.

— Nie ma karności! Nie ma dyscypliny! — krzyczał tak głośno i gniewnie, że starsi panowie siedzący przy szklance czerwonego wina ze zdziwieniem odwracali głowy. — Kobiety także wyzbyły się wszelkich rygorów — twierdził oburzony Marder. — Nie wiedzą, co to miłość, oddanie się traktują jak interes, stały się równie powierzchowne i wulgarne jak mężczyźni.

Nicoletta roześmiała się na to tak wyzywająco, że Marder dodał z galanterią:

— Naturalnie, bywają wyjątki!

I zaczął znowu wymyślać na czym świat stoi. Jego zdaniem, ludzie w Niemczech zatracili poczucie ładu i obowiązku, z chwilą gdy zniesiono powszechną służbę wojskową. Dzisiaj,

w tej łajdackiej demokracji, wszystko jest tandetą, fałszem, rozдутym przez reklamę oszustwem.

— • Gdyby było inaczej — pyta! z goryczą Marder — czy to nie ja powinienem być pierwszym mężem stanu w państwie? Czyż olbrzymia siła i kompetencja mojego umysłu nie jest powołana do rozstrzygnięcia o najistotniejszych zagadnieniach życia publicznego? Tymczasem dziś, kiedy zaginął instykt rangi i wszelkie poczucie hierarchii, głos mój jest tylko puszczanym mimo uszu głosem sumienia publicznego! .

Oczy Mardera płonęły, jego chuda twarz, której bladość kontrastowała z czernią wąsów, stała się szpetna. Nicoletta, chcąc go ugłaskać, przypomniała mu, że sztuki żadnego z żyjących autorów nie są tak często wystawiane jak jego. Uśmiechnął się: próżność została na chwilę zaspokojona. Ale już w parę sekund potem zasepił się znowu. Nagle zagadnął głośno Hendrika Hófgena zatopionego w poufnej rozmowie z Barbarą:

— Czy pan służył w wojsku, mój panie?

Hendrik, zaskoczony i trochę wystraszony tym groźnym zapytaniem, obrócił ku niemu zmieszana twarz. Marder jednak nalegał:

— Proszę o odpowiedź!

Hendrik z trudem odparł uśmiechając się blado:

— Nie, oczywiście, że nie... Dzięki Bogu...

Na co Marder roześmiał się z tryumfem:

— Oto nowy dowód! Nie ma dyscypliny! Nie ma indywidualności! A może pan znasz rygor, mój panie? Może jesteś pan silną indywidualnością? Wszystko tandeta, wszystko namiastka. Gdziekolwiek oczy obrócić, wszędzie prostactwo!

Była to impertynencja. Hendrik nie wiedział, jak na nią zareagować. Czuł, że wzbiera w nim złość, z uwagi jednak na obecność pań, a także dlatego, że sława Mardera bardzo mu imponowała, postanowił uniknąć skandalu. Ponadto uważał pisarza za neurastenika. Tymczasem w Marderze zachodziła jakaś zdumiewająca, wstrząsająca zmiana: głos stłumiony grozą, prorocze spojrzenie.

— To wszystko skończy się okropnie! — szeptał. W jakąż odległą dal albo w jak przepaściste głębie zapuszczał teraz wzrok pełen nagle tak przerażająco przenikliwej mocy? — Sta-

nie się to, co najgorsze, a kiedy to nastąpi, wspomnijcie, moi drodzy, że ja to przewidziałem i przepowiedziałem. Obecne czasy to zgnilizna, czuję, jak cuchną. Pamiętajcie, że ja to wyczułem. Mnie nikt nie oszuka. Przeczuję zbliżającą się katastrofę. Będzie bezprzykładna. Pochłonie wszystkich i nikogo nie warto żałować, oprócz mnie jednego. Wszystko, co trzyma się jeszcze, w proch się rozsypie. Wszystko jest zmurszałe. Dotknąłem, wypróbowałem, potępiłem. Kiedy się to rozpadnie, pogrzebie nas wszystkich w swoich gruzach. Żał mi was, moje dzieci, bo nie dane wam będzie żyć własnym życiem. Ja natomiast miałem piękny żywot!

Teofil Marder skończył już pięćdziesiąt lat. Był trzy razy żonaty. Miał wrogów, szydono z niego; zdobył powodzenie i sławę, zaznał także bogactwa.

Ponieważ milczał i tylko ciężko dyszał, ci, którzy siedzieli z nim przy stole, nie mówili również ani słowa; Nicoletta, Barbara i Hendrik — wszyscy spuścili oczy.

Tymczasem Marder zmienił nagle nastrój. Dolewał gościom czerwonego wina, stał się czarujący. Hófgena, którego przed chwilą obraził, komplementował teraz za natchnioną grę.

— Wiem o tym — rzekł protekcjonalnie — że rola jest olśniewająca, dialog mój obfituje w nieporównane puenty. Jednakże żałosne postacie, które się dziś mienia aktorami, potrafią nawet w moich sztukach być nudne i bez polotu. Ale pan, panie Hófgen, ma jednak pojęcie o tym, czym jest teatr. Wśród tej zgrai ślepców wydaje mi się pan cyklopem. Pańskie zdrowie! — To mówiąc podniósł kieliszek czerwonego wina. — Wygląda na to, że się nieźle bawicie z Barbarą — dodał z przekąsem.

Barbara odpowiedziała poważnym spojrzeniem na jego uszczypliwy uśmieszek. Hendrik zawahał się, zanim trącił kieliszkiem o kieliszek Teofila. Obsesowe zachowanie dramtopisarza wobec tej cudownej dziewczyny wydało mu się niewłaściwe. Marder, choć chełpił się nie tylko znawstwem win i sosów, ale także niezawodnym instynktem, jeśli chodzi o wartość kobiety, zdawał się w ogóle nie dostrzegać Barbary. Miał oczy tylko dla Nicoletty, która unikała starannie czułego i zatroskanego wzroku przyjaciółki; nie odpowiedziała jej nawet przelotnym spojrzeniem.

Marder zamówił szampana do deseru, który podawał właśnie wytworny kelner. Było już po północy; solidny lokal byłby już od dawna zamknięty podwoje: opuścili go już wszyscy goście z wyjątkiem tych czworga dziwacznych klientów; Marder dał wszakże kelnerom do zrozumienia, że otrzymają sute napiwki, jeśli trochę dłużej niż zwykle pozostaną na posterunku. Wielki satyryk, czujne sumienie chylące się do upadku cywilizacji, zabłysnął teraz nowym talentem: potrafił stworzyć nastrój swobodny i wesoły. Sypał anegdotkami, czerpiąc je zarówno z repertuaru oficerów pruskich, jak i Żydów ze wschodu.

Spoglądał raz po raz na Nicolettę i konstatował:

— Wspaniała dziewczyna! Zdyscyplinowana! Rzadka rzecz w dzisiejszych czasach! — To znów patrzył na Höfgena i wykrzykiwał wesoło: — Ten tak zwany Hendrik — to numer! Fenomenalnie pocieszny. Bawi mnie, słowo daję. Muszę to sobie zanotować.

Hendrik pozwalał mu chełpić się, mówić, błyszczeć. Nie zazdrościł mu dzisiejszego tryumfu. Nie miał najmniejszej ochoty z nim rywalizować. Niech sobie Marder króluje przy tym stole: Hendrik śmiał się wesoło z jego dowcipów. Rozkosz, jaką Hendrik znajdował w tej sytuacji, była niezwyklej i subtelnej natury; w zestawieniu z rubaszną wesołością Teofila czuł, że nabiera szlachetności i dystynkcji, co mu się rzadko zdarzało. Takim musiał się również wydawać Barbarze, której nie podobała się z pewnością hałaśliwa jowialność Mardera. Hendrik czuł skierowany na siebie badawczy wzrok Barbary, pełen sympatii i zainteresowania. Miał wrażenie, że się podoba tej dziewczynie. Najpiękniejsze nadzieje przepełniały mu wzruszone serce.

Pożegnano się późno i w jak najlepszym nastroju. Hendrik wracał pieszo do domu. Nie mógł oderwać myśli od Barbary. Płatoniczne uczucie było dla niego czymś zupełnie nowym, spotęgowanym w tej chwili w nader przyjemny sposób przez mocne i doborowe trunki. „Zdaje się, że cały sekret polega na jej bezwzględnej uczciwości. To najuczciwsza istota, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. A także i najnaturalniejsza. Mogłaby się stać moim dobrym aniołem.”

Stanął pośrodku ulicy; mrok nocy był ciepły i pachnący. Zbliżało się lato. Nie zauważył nawet, że wiosna minęła, a teraz

jest już prawie lato. Serce jego poczuło lęk przed niesłychanym szczęściem, o którym nigdy dotąd nie marzył, a na które nie był przygotowany.

„Barbara będzie moim dobrym aniołem.”

Hendrik bał się nazajutrz panicznie spotkania z księżniczką Tebab. Musiał poprosić tancerkę, by zaniechała na razie swoich wizyt u niego; na decyzję tę wpłynęło nowe, wielkie uczucie do Barbary. Ale już dręczyła go myśl, że przestanie widywać Juliettę, truchlał przed wybuchem jej gniewu. Usiłował spokojnie wytłumaczyć zmienioną sytuację, głos drżał mu jednak, znikł zwykły drariski uśmieszek, przeciwnie, Höfgen bladł i czerwienił się na przemian, wielkie krople potu występowały mu na czole. Julietta szalała, krzyczała, że nie pozwoli się odprawić jak pierwsza lepsza, że wydrapie oczy tej pannie Nicoletcie, przez którą ją spotyka coś podobnego. Hendrik, przygotowany, że Julietta zaraz puści w ruch czerwoną szpicrutę, poprosił, by się mitygowała, i oświadczył z naciskiem, że panna von Niebuhr nie ma nic wspólnego z tą całą sprawą.

— Mówiłeś, że jestem treścią twojego życia i tym podobne bzdury! — wrzeszczała księżniczka Tebab.

Hendrik zagryzł poblądłe wargi i próbował się tłumaczyć.

— Kłamałeś! — krzyczała królewska córka. — Wiedziałam od dawna, że sam siebie okłamujesz, tymczasem tyś mnie okłamywał. Jacy nikczemni są mężczyźni! — Jej grzmiący głos, jej twarz wyrażały niekłamane oburzenie i gorzkie rozczarowanie. — Ale ja za tobą latać nie będę — zakończyła dumnie. — Nie jestem taka, żeby za kimkolwiek latać. Jeśli sobie teraz znajdziesz inną, co cię potrafi chłostać tak jak ja, to proszę bardzo!

Hendrik cieszył się, że Julietta nie ma zamiaru za nim latać. Wręczył jej trochę pieniędzy, które przyjęła burkliwie. Jednakże już w progu odwróciła się z tryumfującym uśmiechem:

— Nie myśl tylko, że z nami koniec — powiedziała energicznie kiwnąwszy głową. — Jak będę znowu potrzebna, wiesz, gdzie mnie szukać!

Teofil Marder wyjechał po burzliwej rozprawie z Oskarem Krogem. Autor *Knorkego* chciał zmusić dyrektora, aby mu zagwarantował rejentalnie co najmniej pięćdziesiąt przedstawień jego sztuki. Kroge bronił się, rzecz prosta, na co

Marder z początku zagroził mu prokuratorem, a w końcu, kiedy to nie wywołało wrażenia, nawymyślał kierownikowi Hamburskiego Teatru Artystycznego, nazwał go kompletnym zerem pozbawionym indywidualności i zdyscyplinowania, oszustem, ordynusem, ignorantem, patałachem, typowym reprezentantem tej cuchnącej, skazanej na zagładę epoki. Nawet zgodny na ogół Kroge nie mógł puścić płazem tylu chrapliwym głosem wyrzuconych obelg i zareagował na nie gorzkimi słowy. Kłótnia trwała godzinę, po czym Marder, w najlepszym humorze, wszedł do ekspresu berlińskiego.

Hendrik, Nicoletta i Barbara spotykali się co dzień. Zdarzało się czasem, że Hendrik widywał Barbarę i bez Nicoletty. Chodzili na spacer, pływali łódką po Alsterze, siadywali na tarasach, zwiedzali galerie. Rozmawiali, poznawali się coraz lepiej. Barbara dowiedziała się o Hendriku wszystkiego, w co chciał ją wtajemniczyć: w patetycznych słowach głosił swoje poglądy, nadzieje pokładane w rewolucji światowej, wiarę w posłannictwo Teatru Rewolucyjnego. W udratyzowanej, ozdobnej formie opowiedział jej historię swojego dzieciństwa, nakreślił stosunki domowe, scharakteryzował ojca Köbesa, matkę Bellę i siostrę Josy.

Barbara mówiła mu również o swoim dzieciństwie. Hendrik zrozumiał teraz, jakie postacie odgrywały dotychczas główną rolę w jej życiu: ukochany ojciec i Nicoletta, budząca niepokój przyjaciółka, do której żywiła serdeczną tkliwość. Nieokiełznana, żadna przygód dziewczyna była już nieraz przyczyną poważnych trosk; najbardziej jednak niepokoiła Barbarę świeżo nawiązana znajomość z Marderem. Barbara miała do niego wstręt. Hendrik zaraz się tego domyślił. Z przelotnych, ironicznych napomknien można było z łatwością wywnioskować, że Teofil, zanim poznał Nicolettę, starał się natarczywie o względy Barbary. Ona jednak przyjmowała jego nadskakiwania z obraźliwą obojętnością — stąd nienawiść Teofila do niej. Tym bardziej uszczęśliwiała go przyjaźń z Nicoletta. Panna von Niebuhr, cyzelując słowa, tłumaczyła każdemu, kto tylko chciał słuchać, że Teofil Marder jest jedynym pełnowartościowym, jedynym w Europie wybitnym człowiekiem, którego w tej chwili można traktować poważnie. Co dzień prawie prowadziła z nim przez telefon długie

rozmowy, chociaż Barbara nie ukrywała, jak głęboko i boleśnie ją to dotyka i jak jest temu przeciwna. Nicoletta natomiast obserwowała trzeźwym i życzliwym okiem zażyłość rosnącą między Barbarą i Hendrikiem. Było jej na rękę, że Barbara, której przyjazne i mentorskie zainteresowanie zaczynało jej ciążyć, sama zaplątuje się w sentymentalną przygodę. Nicoletta starała się ze swej strony w miarę sił popierać tę przyjaźń. Powiedziała kiedyś, wchodząc do garderoby Hendrika:

— Cieszę się, że dochodzicie do porozumienia z Barbarą. Pobierzcie się. Ta dziewczyna i tak nie wie, co z sobą zrobić.

Hendrik wyprosił sobie podobne uwagi, drżał jednak cały z radości, pytając:

— Czy sądzisz, że Barbara naprawdę o tym myśli?

Nicoletta roześmiała się dźwięcznie.

— Naturalnie, że o tym myśli. Czy nie zauważyłeś, jak się zmieniła? Nie daj się na to nabrać, mój skarbie, że ona ci tylko współczuje. Znam ją przecie, należy do tych kobiet, dla których miłość łączy się zawsze ze współczuciem. Ożeń się z nią! Tak będzie stanowczo najpraktyczniej dla was obojga. Zresztą byłoby to korzystne dla twojej kariery: stary Bruckner ma wpływy.

Hendrik również o tym myślał. Upojenie uczuciem, które zdawało się trwałe — chciał w to przynajmniej wierzyć — nie było zdolne całkowicie przekreślić trzeźwiejszych rachub. Tajny radca Bruckner był człowiekiem wybitnym, a w dodatku nie biednym; związek z jego córką mógł oprócz szczęścia przynieść pewne korzyści. Czyżby cyniczne i śmiałe słowa Nicoletty były jednak słuszne? Czy Barbara bierze istotnie pod uwagę możliwość związania się z Hendrikiem Hófgem? Czy jest nim naprawdę poważnie zajęta? A może to z jej strony tylko powierzchowne zainteresowanie, po prostu zabawa? Jej twarz Madonny, którą rozświetla chwilami łobuzerski błysk, jest nieprzenikniona; głęboki, dźwięczny głos o tonie szczerzego złota nie zdradza nic zgoła. Cóż jednak mówią jej tak często utkwione w niego badawcze oczy, patrzące ciekawie, ze współczuciem, przyjaźnią, a może nawet tkliwością? Chcąc się o tym przekonać, trzeba się spieszyć; sezon dobiega już końca, zbliżają się ostatnie przedstawienia *Knorkego*. Barbara i Nicoletta wkrótce wyjadą.

Hendrik zdobył się wreszcie na odwagę. Nicoletta zapowiedziała ostentacyjnie, że wybiera się na daleki spacer z Rolfem Bonettim. Barbara była więc sama. Hendrik poszedł do niej.

Rozmowa przeciągnęła się, aż w końcu Hendrik padł na kolana i rozpłakał się. Z płaczem prosił Barbarę o litość.

— Jesteś mi potrzebna — łkał z czołem opartym o jej kolana. — Bez ciebie stoczę się na dno. Tyle jest we mnie zła. Sam nie znajdę dość sił, aby to zło zwalczyć, ty wzmocnisz we mnie to, co lepsze.

Rozpacz dyktowała mu te patetyczne i bolesne słowa. Zmieszany bowiem wzrok Barbary powiedział mu wyraźnie, że to, co mu z taką pewnością siebie wmawiała Nicoletta, było pomyłką albo bezczelnym podstępem: Barbarze nigdy przez myśl nie przeszło, by mogła związać życie z aktorem Höfgenem.

Hendrik uniósł powoli zalaną łzami twarz znad jej kolan. Błade usta drżały; zmętniał blask oczu lśniących zwykle jak klejnoty, oczy te były teraz ośleplę z żalu.

— Nie chcesz mnie — szlochał. — Jestem niczym, nic ze mnie nigdy nie będzie, nie chcesz mnie, koniec ze mną...

Nie mógł mówić dalej. To, co chciał jeszcze powiedzieć, przeszło w niewyraźny bełkot.

Barbara przyglądała się jego włosom spod przymkniętych powiek. Włosy te były rzadkie. Starannie zaczesane pasma miały przykryć niewielką łysinkę. Pasma te były teraz w strasznym nieładzie. Może to widok tych wątych, nędznych włosów wzruszył Barbarę.

Nie dotykając dłońmi mokrej od łez twarzy, którą ku niej wyciągał, i nie podnosząc powiek rzekła powoli:

— Jeżeli tego tak bardzo chcesz, Hendriku... Możemy przecież spróbować...

Z ust Hendrika wydarł się cichy, ochrypły szloch, który zabrzmiał jak stłumiony, tryumfalny krzyk.

Takie były ich zaręczyny.

IV

BARBARA

Barbara nie przestawała się dziwić tej niespodzianej przygodzie, na którą nie były przygotowane ani jej serce, ani myśli, a która mogła pociągnąć za sobą nieprzewidziane konsekwencje. Dokąd zabrnęła? Co jej się stało? Jakież ciężar wzięła na siebie? Czy ten skomplikowany, zręczny utalentowany człowiek, chwilami tak wzruszający, a chwilami niemal przejmujący odrazą, ten komediant Hendrik Höfgen mógł wzbudzić w niej choćby cień głębszego uczucia?

Barbarę trudno było uwieść, zachowywała niewzruszony chłód nawet wobec najbardziej wyrafinowanych chwytów. Tym silniej jednak przemówiło w niej współczucie oraz instynkt opiekuńczy. Hendrik, doświadczony i przebiegły, wyczuł to od razu. Poczynając od pierwszego wieczoru, kiedy w efektownym przeciwieństwie do hałaśliwego i brawurowego stylu Teofila starał się być dyskretny i subtelny, zrezygnował w stosunku do Barbary ze wszystkich swoich olśniewających sztuczek; była to z jego strony rozumna powściągliwość. Rozmawiali tylko o rzeczach poważnych i wzruszających: o jego poglądach etycznych i politycznych, o samotnym dzieciństwie, o trudnościach i urokach jego zawodu; a kiedy nadeszła rozstrzygająca chwila, Höfgen ukazał dziewczynie twarz zalaną łzami, ośleplą od duchowej męki — i to, co byłby mógł jej jeszcze powiedzieć, utonęło w niezrozumiałym bełkocie.

Barbara przywykła, że przyjaciele zwracają się do niej w chwilach smutku i zwątpienia. Nie tylko Nicoletta odbywała przed nią nieraz swą zawiłą spowiedź, ale często młodzi ludzie,

a nawet starsi, przyjaciele jej ojca, przychodzili do niej, jeśli potrzebna im była pocieszycielka. Wiedząc tak wiele o cierpieniach innych, od wczesnej młodości nie pozwalała sobie na to, aby własne cierpienia i własną bezradność brać poważnie i o nich mówić. Dlatego sądzono, że nic nie jest w stanie zachwiać jej równowagi. W oczach przyjaciół Barbara uchodziła za istotę o charakterze równym, za energiczną, rozumną, wszechstronnie uzdolnioną, dojrzałą, łagodną i pewną. Spośród wszystkich, którzy ją otaczali, tylko jeden człowiek wiedział o nękających ją wątpliwościach, o braku wiary we własne siły, o tęsknym umiłowaniu przeszłości i lęku przed przyszłością: stary Bruckner znał swoje ukochane dziecko.

Toteż list, który napisał po otrzymaniu wiadomości o jej zaręczynach, wyrażał nie tylko smutek, że zamierza opuścić jego dom, ale także serdeczną troskę. Ojciec zapytywał, czy Barbara wszystko dobrze przemyślała i postanowiła nieodwołalnie. Barbarę przestraszyło ostrzeżenie zawarte w tym poważnym pytaniu. Czyż naprawdę dobrze to sobie przemyślała i nieodwołalnie postanowiła? Każda rada, którą dawała przyjaciółom, była wynikiem starannych rozważań, długich namysłów, głębokiego zastanowienia. We własnym życiu natomiast z niefrasobliwą beztroską poddawała się biegowi wypadków. Chwilami bała się trochę, nigdy jednak dość silnie, by się przed nimi uchylać albo bronić; nie pozwalały jej na to zarówno ciekawość, jak duma. Sceptyczna, śmiało uśmiechnięta, nigdy zbyt wiele sobie osobiście nie obiecując, oczekiwała tego, co było jej sądzone. Z uśmiechem przyglądała się swojemu dziwnemu Hendrikowi, który z tak pełnym temperamentu krasoraóstwem żądał od niej, by stała się jego dobrym aniołem. Może warto było to zrobić, może było to jej obowiązkiem, może tkwiło w nim jakieś zagrożone ziarno, nad którym należało czuwać — i to na niej, właśnie na niej ciążył ów obowiązek. Gdyby tak być miało, Barbara nie będzie się opierać. Więcej niż o własny los troszczyła się o Nicolettę, która na swoją zgubę związała życie z Marderem.

Wypadki potoczyły się zresztą szybko. Hendrik nalegał, żeby ich ślub odbył się jeszcze w lecie. Nicoletta popierała go z wielką energią.

— Jeżeli się już chcecie pobrać, moi drodzy — mówiła tak, jakby miało się stać coś, czego im usilnie odradzała, ale z czym

się teraz, skoro rzecz zdawała się nieunikniona, godziła rozsądnie i z godnością — kiedy tak być musi — ciągnęła, akcentując starannie słowa — to już lepiej zaraz, nie zwlekając. Długie narzeczeństwo jest śmieszne.

Wyznaczono datę ślubu w połowie lipca. Barbara pojechała do domu: trzeba było załatwić wiele spraw, wiele rzeczy przygotować. Nicoletta i Hendrik objeżdżali tymczasem miejscowości kąpielowe nad Bałtykiem z komedią, w której były tylko dwie role.

Barbara przeprowadziła z Hendrikiem liczne i kosztowne rozmowy telefoniczne, zanim doprowadziła do tego, że jej przysłał papiery niezbędne dla Urzędu Stanu Cywilnego. Na dwa dni przed datą ślubu przyjechała Nicoletta — niezwykłe zjawisko dla małego miasteczka uniwersyteckiego na południu Niemiec, gdzie mieszkali Brucknerowie. Hendrik przybył następnego dnia, musiał się zatrzymać po drodze w Hamburgu, aby odebrać nowy frak. Powiedział Barbarze od razu na peronie, że frak jest wprawdzie olśniewająco piękny, ale niestety nie zapłacony. Śmiał się często i nerwowo, był opalony, miał na sobie bardzo jasne letnie ubranie, różową koszulę i miękki srebrzysto szary filcowy kapelusz. Im bliżej było do willi Brucknerów, tym śmiech jego stawał się bardziej nerwowy. Barbara miała wrażenie, że Hendrik lęka się spotkania z jej ojcem.

Radca czekał na młodą parę przed domem w ogrodzie. Przywitał Hendrika tak głębokim i uroczystym ukłonem, że można go było posądzić o ironię. Nie uśmiechał się jednak, twarz miał poważną. Jego głowa była tak szlachetna i tak rasowa, że budziła lęk. Poorane bruzdami czoło, długi orli nos, policzki, wszystko zdawało się wyrzeźbione z kosztownej, żółtawej, pociemniałej przez wiek kości słoniowej. Odległość pomiędzy nosem i ustami była duża, zakrywały ją siwe wasy. Może to właśnie owa nieproporcjonalnie duża odległość dzieląca górną wargę od nasady nosa sprawiała, że twarz wydawała się przerysowana, zniekształcona, podobna do odbicia w specjalnym lustrze albo do wizerunków męskich twarzy na obrazach prymitywnych mistrzów. Uderzająco wydłużony był również podbródek, także zarosnięty. Na pierwszy rzut oka miało się wrażenie, że radca nosi „hiszpankę”; w rzeczywistości jednak siwy zarost wystawał tylko

nieznacznie poza linię dolnej szczęki. Wrażenie wynikało jedynie z niezwyklej długości podbródka.

W twarzy tej, której delikatne rysy, wyraz uduchowienia i wiek nadawały dostojność budzącą zarazem onieśmienie i współczucie, zdumiewały oczy: był w nich głęboki, aksamitny, mieniący się czernią błękit, dobrze Hendrikowi znany — takie oczy miała Barbara. Co prawda łagodnie marzycielski wzrok ojca kryły ciężkie, najczęściej opuszczone powieki, a spojrzenie jego przesłaniała mgła, oczy zaś córki były otwarte i patrzyły szczerze na świat.

— Cieszę się, że pana poznaję, drogi panie Hófgem — powiedział tajny radca. — Mam nadzieję, że miał pan dobrą podróż.

Mówił nadzwyczaj wyraźnie akcentując słowa, choć nie z tak demoniczną precyzją, w jakiej ćwiczyła się Nicoletta. Tajny radca cyzelował każdy wyraz tak, jak gdyby wrodzona sprawiedliwość nie pozwalała mu zlekceważyć albo pominąć ani jednej zgłoski; nawet najmniej ważne końcówki, które wszyscy zazwyczaj „połykają”, traktował z największą pieczołowitością i dokładnością.

Hendrik był bardzo zmieszany- Zanim zdecydował się na przybranie uroczystej miny, śmiał się jeszcze przez chwilę bezmyślnie, trzęsąc się cały jak wówczas, kiedy witał się z Dorą Martin w knajpce teatralnej. Barbara patrzyła na niego zaniepokojona, radca wszakże zdawał się nie dostrzegać podobnie dziwnego zachowania. Był nadal idealnie poprawny, a przy tym życzliwy. Z przyjazną dobroduszością zapraszał oboje młodych, by weszli pod dach. Barbarze, która usunęła się ustępując mu miejsca w progu, powiedział:

— Idź naprzód, dziecko, i wskaż twemu przyjacielowi, gdzie może położyć swój piękny kapelusz.

W hallu panował chłodny półmrok. Hendrik z szacunkiem wciągnął w nozdrza zapach tego wnętrza. Woń kwiatów rozstawionych na stołach i gzymisie kominka mieszała się z pełnym powagi i godności aromatem książek: półki biblioteczne pokrywały wszystkie ściany sięgając niemal sufitu.

Przeprowadzono Hendrika przez kilka pokoi. Plółt coś nerwowo, chcąc dowieść, że nie jest bynajmniej przytłoczony okazałością wnętrza. Malo zresztą widział z tego, co go

otaczało, rzucały mu się w oczy przypadkowo jakieś pojedyncze szczegóły. Wielki pies o dość groźnym wyglądzie wstał warcząc na jego widok; Barbara pogłaskała go i odszedł z godnością, kołysząc się krokiem. To znów portret nieboszczki matki spojrzął na nich życzliwie spod staroświeckiej, wysokiej fryzury. Wreszcie sędziwa pokojówka czy też gospodyni, niziutka, dobrodusznna i gadatliwa, dygnęła przed narzeczonym swojej pani, długo i serdecznie potrząsała jego ręką, po czym wszczęła zaraz długą rozmowę z Barbarą o sprawach gospodarskich. Hendrik był zdumiony, jakimi szczegółami gospodarstwa zajmuje się Barbara, jak obeznana jest ze wszystkim, co dotyczy kuchni i ogrodu. Dziwiło go ponadto, że stara służąca tytułuje ją wprawdzie „jaśnie panienką”, ale mówi do niej „ty”.

A więc taki był dom Barbary; tu, w tych wielkopańskich pokojach, wśród pięknych dywanów, pociemniałych obrazów, brązów, tykających zegarów i aksamitnych mebli, spędziła swoją młodość. Czytała te książki, przyjmowała przyjaciół w tym ogrodzie. Nad jej dzieciństwem czuwało baczne oko i tkliwa miłość takiego ojca, dziewczęce lata były czyste, ożywione zabawami, których tajemnicze reguły znała tylko ona. Obok wzruszenia graniczącego ze czcią do serca Hendrika — choć sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać — wkradła się zazdrość. Dręczyła go myśl, że będzie musiał wprowadzić do tego domu i przedstawić temu ojcu swoją matkę Bellę i swoją siostrę Josy. Jakże wstydził się już teraz ich niefrasobliwie drobnomieszczańskich manier. Całe szczęście, że coś stanęło na przeszkodzie ojcu Kóbesowi, tak że nie mógł im towarzyszyć.

Obiad podano na tarasie. Hendrik chwalał piękno ogrodu, którego klomby kwiatowe, grupy drzew i aiejki tworzyły zachwycający widok. Radca wskazał mu posąg Hermesa; wdzięczna, młodzieńczo smukła i jakby gotowa do lotu postać przeglądała poprzez puszyste korony brzoź. To klasyczne dzieło sztuki zdawało się napawać pana domu szczególną dumą.

— Tak, tak, ładny jest ten mój Hermes — powiedział z dobrodusznym uśmiechem. — Co dzień cieszę się na nowo, że go mam i że się tak pięknie prezentuje wśród moich brzoź.

Cieszyło go także z pewnością, że wina i napoje są tak dobre, raczył się nimi bez przesadnego umiaru i chwalił wysoki gatunek wszystkiego, co mu podawano.

— Maliny — stwierdził z satysfakcją, kiedy już byli przy deserze. — To dobrze: odpowiada obecnej porze roku i rozsiewa piękny zapach.

Nastrój zaś, który rozsiewał radca, stanowił szczególną mieszaninę: składały się nań uroczysta dostojność i prostota, nieprzystępny chłód i dobroduszość. Przyszły zięć zrobił na nim, jak się zdawało, nie najgorsze wrażenie. Radca okazywał mu zyczliwość zaprawioną niejako szczyptą ironii. Uśmiech jego mówił jak gdyby: „I takie typy jak ty, mój drogi, muszą przecież istnieć na świecie. Obserwować je to rzecz nawet dość zabawna, przynajmniej się człowiek nie nudzi. Co prawda, nie wróżyło mi i nigdy sobie nie życzyłem, aby tego rodzaju figura miała zasiąść przy moim stole — i to w charakterze przyszłego zięcia. Jestem wszakże skłonny przyjąć rzeczy takimi, jakimi są — wszelkie zjawiska należy brać z najlepszej i najzabawniejszej strony, zresztą moja Barbara musiała mieć jakieś rozsądne powody, jeżeli postanowiła wyjść za ciebie...”

Hendrikowi zdawało się, że ma pewne szanse odniesienia tu sukcesu. Starał się więc wszystkim przypodobać. Nie mógł już dłużej odmówić sobie tej przyjemności — zamigotał uwodzicielskimi oczami. Odrzucił głowę w tył ze znaczącym i urzekającym uśmiechem i począł rzucać spojrzenia pełne blasku; radca nie pozostał nieczuły na ich czar. Starszy pan słuchał uważnie, a z twarzy jego nie zniknął dobroduszny wyraz nawet wówczas, kiedy przyszły zięć zaczął w efektownych i wy studiowanych słowach wyłuszczać swoje poglądy, przy czym ostro piętnował cynizm burżuazyjnych wyzyskiwaczy i zbrodniczy obłąd nacjonalizmu. Radca pozwolił mu marzyć i deklamować, raz tylko podniósł szczupłą piękną dłoń, aby wtrącić:

— Mówi pan z taką pogardą o burżuazji, drogi panie Hófgem, a przecież i ja się do niej zaliczam. Co prawda, nie jestem nacjonalistą ani też, pochlebiam sobie, wyzyskiwaczem — dodał uprzejmie.

Hendrik z twarzą zaczerwienioną winem i rozmową — co podkreślał jeszcze silniej odblask różowej koszuli — wyjąkał, że istnieją wśród wielkiej burżuazji wyjątki, górujące nad

typem przeciętnego mieszczaucha, dla których sympatycy komunizmu żywią szczerzy szacunek; że wielkie dziedzictwo rewolucji burżuazyjnych i liberalizmu żyje nadal w idei bolszewizmu, na zakończenie dodał jeszcze kilka podobnych frazesów utrzymanych w pojednawczym duchu.

Radca lekkim skinieniem i uśmiechem pokwitował ten potok słów. Po czym jednak — tak jak gdyby mu zależało na tym, aby przekonać Hófgena o swojej bezstronności politycznej — opowiedział we właściwy sobie rozważny sposób, z namysłem, a przy tym trochę drwiąco, zawile i sugestywnie, o głębokim wrażeniu, jakie wywarła na nim podróż po Rosji Radzieckiej.

— Każdy obiektywny obserwator musi to stwierdzić, my zaś wszyscy powinniśmy przyzwyczaić się do tej myśli, że powstaje tam nowa forma społeczności ludzkiej — powiedział powoli, patrząc w dal błękitnymi oczami, jak gdyby widział rozgrywane się tam wielkie, wstrząsające wypadki. I dodał surowo: — Ten stan rzeczy negują tylko głupcy albo kłamcy.

Nagle zmienił ton, poprosił, żeby mu podano salaterkę z malinami i nabierając je na talerz, rzekł z twarzą nieco przechyloną i uśmiechniętą:

— Nie chciałbym, by mnie pan źle zrozumiał, drogi panie Hófgem; oczywiście, świat ten jest dla mnie obcy, obawiam się, że aż nadto obcy. Ale czyż to znaczy, że nie mam zrozumienia dla jego przyszłej wielkości?

To mówiąc kiwnął głową Barbarze, która mu podsuwała śmietankę. Hendrik rad był, że może się znów odezwać. Przykłady z życia Rosji Radzieckiej nie zdawały się go zbytnio interesować, zaczął natomiast z wielkim temperamentem mówić o Teatrze Rewolucyjnym w Hamburgu i o przesładowaniach, na jakie był narażony ze strony tamtejszej reakcji. Ton jego stawał się coraz bardziej gwałtowny. Faszystów nazywał na przemian „zwierzętami”, „diabłami”, „idiotami” i w najostrzejszych słowach wyładowywał złość na intelektualistów, którzy przez najpospolitszy oportunistyczny sympatyzowali z wojującym nacjonalizmem.

— Tych należałoby wszystkich powiesić! — wykrzyknął Hendrik, przy czym uderzył nawet pięścią w stół.

Radca odparł uspokajającym tonem:

— Tak, tak, i mnie spotkały nieprzyjemności.

Mówiąc to miał na myśli głośne i skandaliczne wypadki: kocią muzykę, którą mu zgotowali studenci-nacjonaści, oraz ordynarne napaści skierowane pod jego adresem w prasie reakcyjnej.

Po obiedzie starszy pan poprosił aktora Höfgena o zademonstrowanie swego kunsztu dramatycznego. Hendrik, który nie był bynajmniej na to przygotowany, bronił się długo. Radca wszakże miał ogromną ochotę trochę się zabawić: skoro już jego rodzone dziecko bierze sobie za męża komedianta, który ubiera się w różową koszulę i nosi monokl, niechże chociaż ojciec ma z tego rozrywkę. Hendrik musiał więc deklamować w hallu wiersze Rilkego; nawet stara gospodyni i wielki pies przyszli posłuchać. Po chwili do małego audytorium przyłączyła się jeszcze Nicoletta; nie brała udziału w obiedzie i radca powitał ją teraz uroczyście, choć z lekką ironią. Hendrik dołożył wszelkich starań, użył najbardziej wyrafinowanych sposobów, wywiązał się z zadania znakomicie i zyskał szczyry aplauz. Kiedy zakończył fragment z *Kometa*, radca uściśnął mu dłoń ze wzruszeniem, zaś panna von Niebuhr, sama z precyzją wymawiając słowa, chwaliła jego „olśniewającą dykcję”.

Nazajutrz miały przyjechać obie panie Höfgen: matka i córka. Hendrik powiedział Barbarze, z którą czekał na peronie:

— Zobaczysz, Josy rzuci mi się na szyję i opowie, że się znowu zaręczyła. To okropne, zaręcza się co najmniej co pół roku i z jakimi typami! Cieszymy się zawsze, kiedy następuje zerwanie. Ostatnim razem mój biedny ojciec o mało tego życiem nie przypłacił. Narzeczony był zażartym automobilista, uczestniczył w rajdach samochodowych, zabrał ojca do swego wozu i cała wyprawa zakończyła się w rowie. Automobilista zabił się, ojciec, dzięki Bogu, złamał sobie tylko nogę, ale oczywiście bardzo jest zmartwiony, że nie może być dzisiaj z nami.

Stało się tak, jak Hendrik przepowiadał: siostra Josy, w jaskrawożółtej letniej sukni haftowanej w czerwone kwiaty, wyskoczyła zgrabnie z pociągu — matka tymczasem porała się jeszcze w przedziale z walizkami — rzuciła się bratu na szyję i zażądała, by jej złożył życzenia: chodziło tym razem o pew-

nego pana zajmującego poważne stanowisko w rozgłośni kolońskiej.

— Będę śpiewała przed mikrofonem! — radowała się Josy. — On uważa, że mam wielkie zdolności, pobierzemy się jesienią; jesteś szczęśliwy, Heini?... Hendriku? — poprawiła się szybko, zawstydzona. — Czy jesteś też taki szczęśliwy?

Höfgen opędał się od niej jak od natrętnego pieska; pobiegł pomóc matce, która przez okno przedziału wołała tragarza.

Josy tymczasem całowała Barbarę w oba policzki.

— Tak się cieszę, że cię poznaję — paplała. — Naturalnie musimy sobie mówić „ty”. „Pani” to byłoby za sztywno pomiędzy szwagierkami. Taka jestem rada, że Hendrik się nareszcie żeni, dotychczas to ja zawsze się zaręczałam, Hendrik opowiedział ci z pewnością, jak się wszystko ostatnim razem źle skończyło: noga ojca wciąż jeszcze tkwi w gipsie, ale Konstanty ma naprawdę dobrą posadę w radiu, pobierzemy się w październiku. Wyglądasz wspaniale, Barbaro! Skąd masz tę suknię? To z pewnością oryginalny model paryski.

Hendrik tymczasem przyprowadził matkę; twarz jej promieniała, wyciągnęła obie ręce do Barbary.

— Moje drogie, drogie dziecko — mówiła pani Höfgen, przy czym oczy jej nieco zwilgotniały.

Hendrik uśmiechał się z tkliwością i dumą. Kochał matkę. Barbara wyczuła to od razu i to ją ucieszyło. Wprawdzie czasem trochę się wstydził pani Belli, uważał, że nie jest dość dystygowana, raziły go jej drobnomieszczańskie cechy. Ale jednak ją kochał: zdradzało to radosne, żywe spojrzenie i sposób, w jaki przyciskał jej ramię.

Jakże byli do siebie podobni, matka i syn! Hendrik odziedziczył po pani Belli długi, prosty, nieco zbyt mięsisty nos o ruchliwych nozdrzach, szerokie, miękkie, zmysłowe usta, mocny, szlachetny zarys podbródka z wyraźnym dołkiem pośrodku, duże szarozielone oczy, wysoko zakreślone łuki jasnych brwi, od których biegło ku skroniom subtelne pulsowanie. Jednakże oblicze statecznej, zacnej damy cechowała większa bezpretensjonalność i skromność niż twarz syna: nie było w niej właściwego Hendrikowi piękna i tragizmu, i demoniczności. Oczy jej nie lśniły migotliwie, przez wargi nie przewijał się drański i uwodzicielski uśmiech, zagadkowy,

a zarazem żądający litości. Pani Bella była to energiczna, dobroduszna, wspaniale zakonserwowana kobieta około pięćdziesiątki, o świeżych rumieńcach na sympatycznej, szczerzej twarzy, o mile zaokrąglonym biuście, lekkim nalocie piegów na nosie i jasnych zaondulowanych włosach kunsztownie ułożonych pod słomkowym kapeluszem przybrany kwiatami. Nie miała powodu zaliczać się do starszych pań i całkowicie rezygnować z wszelkich uroków życia.

— Człowiek chce się przecież od czasu do czasu rozerwać — tłumaczyła rezolutnie; po czym zmieszała się trochę, ze zmieszania rozszechbiotała i zaczęła opowiadać skomplikowaną historię o jakiejś imprezie dobroczynnej, na której się bardzo wesoło bawiono: panie z towarzystwa koloriskiego urządziły kiermasz na rzecz biednych sierot, w kioskach sprzedawano napoje chłodzące, kwiaty i artystyczne drobiazgi. Wzięcie udziału w imprezie przynosiło zaszczyt, toteż pani Hófggen zgodziła się bez zastrzeżeń na objęcie kiosku z szampanem. Za kieliszek szampana żądała wprawdzie pięć marek, trochę drogo, ale przecież wszystko szło dla biednych dzieci. Wywołało to jednak potem najgorsze plotki: podli ludzie bezczelnie twierdzili, że pani Bella zachęcała do picia nie ze względów humanitarnych, przeciwnie, że robiła to za pieniądze, jako przedstawicielka dostawcy szampana, nie dość na tym, mówiono, że pozwalała się całować, proszę sobie tylko wyobrazić: pozwalała się całować, i to jeszcze w dekolt.

Pani Hófggen opowiadała o tym ze szczerym oburzeniem — jechali właśnie otwartym samochodem przez skąpane w letnim słońcu miasto — spąsowiała z gniewu, aż musiała sobie ocierać pot z czoła.

— To przecież jest bezgraniczna nikiemność! Oddałam wszystko co do grosza, a utargowałam więcej niż wszystkie panie, zarząd ochronki specjalnie mi podziękował, a kiedy jeden z panów chciał mnie tylko w rękę pocałować, powiedziałam mu od razu: „Daj pan spokój, głupcze jeden!” Byłabym go nawet s po liczko wała, gdyby mnie zaraz nie przeprosił. Ludzie są tacy złośliwi, gdyby nawet zachować się jak angielska lady, jeszcze gotowi są człowiekowi łatkę przypiąć. Ale teraz odchce im się tej złośliwej gadaniny, teraz zatkasz im gębę, prawda, Hendriku? — To mówiąc pani Bella rzuciła dumnie spojrzenie najpierw na syna, potem na Barbarę. Hendrik

cierpiał nad dezynwolturą i brakiem taktu matki. Zacerwienił się, zagryzł wargi i zaczął wreszcie, z rozpacz, rozprawiać o pięknie ulic, przez które przejeżdżali.

Radca przywitał panie w bramie ogrodu tak samo pogodnie i uroczyście jak wczoraj przyjął Hendrika. Barbara zaprowadziła Bellę i Josy na górę, gdzie obie panie szybko umyły ręce i upudrowały nosy. W godzinę potem jechali już dwoma samochodami do Urzędu Stanu Cywilnego: do wozu Brucknerów oprócz młodej pary wsiedli pani Hófggen i radca; za nimi, w taksówce, ulokowali się Nicoletta, Josy, stara gospodyni i przyjaciel lat dziecięcych Barbary, Sebastian, którego obecność zdziwiła trochę Hendrika.

Ceremonia urzędowa trwała krótko. Świadkami ślubu byli Nicoletta i tajny radca; wszyscy byli wzruszeni, pani Bella i gospodyni rozpląkały się, Josy zaś wybuchnęła nerwowym śmiechem. Hendrik odpowiadał na pytania urzędnika stanu cywilnego stłumionym głosem, oczy miał utkwione w jeden punkt i lekko zezował; Barbara skierowała swój łagodny, badawczy wzrok na mężczyznę, który stał tuż przy niej, a który miał, o dziwo, stać się jej mężem. Nastąpiły życzenia szczęścia i uściski. Ku ogólnemu zdziwieniu Nicoletta poprosiła donośnym głosem panią Hófggen, by pozwoliła mówić do siebie „ciociu Bello”, a kiedy ta wyraziła zgodę, Nicoletta z diaboliczną poprawnością pocałowała ją w rękę. Niezwykła dziewczyna olśniewała tego ranka urodą i strojem; była we wspaniałej formie, wesoła i szczebiocząco pogodna. Trzymała się bardzo prosto w białej, sztywnej jak pancerz płóciennej sukni, przepasanej w biodrach jaskrawoczerwonym lakierowanym pasem. Zwróciła się do Barbary:

— Cieszę się, moja droga, że się wszystko tak dobrze udało.

Była to uwaga trochę pozbawiona sensu, ale wypowiedziana z idealną precyzją. Piękne, kocie oczy Nicoletty lśniły. Wzięła pannę Josy na stronę, aby jej wskazać naprawdę niezawodny środek przeciwko piegom, który to środek, jak ni z tego, ni z owego skłamała, wynalazł jej ojciec i rozpowszechnił na całym Dalekim Wschodzie.

— Powinna by go pani używać, droga panno Josy! Te piegi szpecą pani nos — mówiła Nicoletta z groźną miną.

Wiedziona jakimś dziwnym kaprysem, wolała mówić po imieniu pani Belli, a nie Josy.

Zmierzyła surowym spojrzeniem siodełko rudawych plamek, które obsiadło nie tylko czupurnie zadarty nosok Josy, ale pokryło również częściowo policzki i czoło, choć tu plamki występowały już mniej zwarcie, tak jak pewne mgławice kosmiczne albo Mleczna Droga są na obrzeżach rzadsze, a tym samym bardziej przezroczyste.

— Tak, wiem o tym — przyznała Josy zawstydzona. — W lecie mam ich zawsze najwięcej. Ale Konstantemu się to podoba — dodała już znowu pocieszona i zaczęła opowiadać, jakie dobre stanowisko zajmuje jej narzeczony w koloriskim radiu.

Babka Barbary, generałowa, przybyła dopiero na śniadanie. Starsza pani z zasady nie używała samochodu: dziesięć kilometrów dzielące jej posiadłość od willi Brucknerów przebywała w wielkiej, staromodnej kolasie i spóźniała się zawsze na wszystkie uroczystości rodzinne. Pięknym głosem o pełnym brzmieniu, sięgającym od najniższych basowych tonów aż do dyszkantu, wyraziła ubolewanie, że ominęło ją widowisko w Urzędzie Stanu Cywilnego.

— No, niechże zobaczą, jak się prezentuje mój najnowszy wnuk! — powiedziała babka z humorem, przyglądając się bacznie Hendrikowi przez lornion zawieszony na długim srebrnym łańcuszku ozdobionym błękitnymi kamieniami.

Hendrik zaczerwienił się i nie wiedział, gdzie oczy podziać. Lustracja trwała długo, nie wypadła zresztą, jak się zdawało, zbyt niekorzystnie.

Kiedy generałowa opuściła wreszcie lornion, roześmiała się perlistym śmiechem:

— Wcale nieźle! — stwierdziła biorąc się pod boki. Kiwnęła mu głową przyjaźnie. Piękne, ruchliwe oczy, przezroczyste, chociaż ciemne, spoglądając z upudrowanej twarzy przemawiały mądrzej i bardziej wymownie niż usta, które odzywały się głosem o niezwykle rozległej skali.

Hendrik w życiu swoim nie spotkał tak wspaniałej starszej pani. Generałowa imponowała mu niezmiernie. Miała wygląd arystokratki z osiemnastego stulecia: jej dumną, mądrą, wesołą a zarazem surową twarz okalały siwe włosy zwinięte nad uszami w sztywne loki. Oko szukało mimo woli harcaca na

karku i doznawało zawodu, że go nie ma. Wdowa po generale, prosta jak świeca, miała iście wojskową postawę w swym perłowym letnim kostiumie, przybranym przy szyi i mankietach duszami z koronki. Szeroki naszyjnik zaczynający się nad koronkową riaszą, a kończący pod samą brodą — klejnot pięknej, antycznej roboty z matowego srebra i błękitnych kamieni, takich samych jak na dzwoniącym łańcuszku od lornionu — przypominał wysoki, sztywny, barwnie haftowany kołnierz munduru.

W jakimkolwiek towarzystwie znalazła się generałowa, zawsze w nim królowała: była do tego przyzwyczajona. U schyłku dziewiętnastego wieku uchodziła za jedną z najpiękniejszych kobiet w niemieckich wyższych sferach, a nawet jeszcze w pierwszym dwudziestolecu wieku obecnego odbierała liczne hołdy. Portretowali ją wszyscy wielcy malarze owej epoki. W salonie jej spotykali się książęta i generałowie z poetami, kompozytorami i malarzami. Przez długie lata mówiono w Berlinie i Monachium o rozumie i ekscentryczności generałowej tyle niemal co o jej urodzie. Ponieważ jej zmarły przed kilku laty mąż cieszył się sympatią najwyższych sfer, a ponadto był bardzo bogaty, wybaczano jej poglądy, sympatie i maniery, które u kogo innego uznano by za zbyt oryginalne, może nawet gorszące. Toteż wolno jej było już w 1900 roku domagać się praw wyborczych dla kobiet. Umiała na pamięć *Zaratustra* i ku przykremu zdziwieniu swoich arystokratycznych gości deklamowała od czasu do czasu całe fragmenty tego, ich zdaniem, socjalistycznego dzieła. Znała osobiście Liszta i Ryszarda Wagnera, korespondowała z Ibsenem i Björnsterne-Björnsonem. Prawdopodobnie była przeciwniczką kary śmierci. Trzeba było wszystko wybaczyć jej imponującej postaci, łączącej w sobie zuchwałą beztroskę z wyrafinowaną godnością.

Generałowa zrobiła na Hendriku znacznie silniejsze wrażenie niż tajny radca. Teraz dopiero zrozumiał, do jak świetnego środowiska się dostał. Jego pocziwiał matka, pani Bella, miała rację, tylko nie powinna była czynić tak nietaktownych aluzji: — Wobec takich paranteli mieszczy w Kolonii przestaną rozsiewać beczelne plotki o rzekomo podupadłej rodzinie Hófgénów. — Również Barbara urosła jeszcze w oczach Hendrika, kiedy się przekonał, w jak poufałym tonie

rozmawia z tą olśniewającą babunią. Spędzała stale wakacje, a poza tym prawie każdą niedzielę na wsi u generałowej; Hendrik przypomniał sobie, że Barbara już mu kiedyś o tym mówiła. Ta niezwykła starsza dama czytała wnuczce Dickensa albo Tołstoja — głośne czytanie było namiętnością generałowej i czyniła to z wielką swadą. Albo też odbywały wspólnie dalekie spacery konno po okolicy, którą Hendrik wyobrażał sobie wytworną niby angielski park, a zarazem romantyczną, leśną, falistą, poprzecinaną srebrzystymi rzekami, z nieskończonym bogactwem wodospadów, dolin i zachwycających widoków. I znów wkradła się do serca Hendrika zazdrość, kiedy pomyślał o pięknym dzieciństwie Barbary. Czy jej beztroska młodość nie upłynęła w atmosferze najdoskonalszej kultury i najpełniejszej swobody? Dni powszednie w ojcowskiej willi, dni świąteczne — które w swym regularnym następstwie stawały się niemal powszedniością — w rezydencji tej majestatycznej starszej damy: czyż mógł Hendrik oprzeć się uczuciu pewnej goryczy, kiedy porównywał takie dzieciństwo z własnym?

W Kolonii bowiem, u jego ojca, który teraz leżał ze złamaną nogą, nie było ani parku, ani wysłanych dywanami salonów, bibliotek ani obrazów; w dusznych pokojach Bella i Josy szczebiotały wesoło, eleganckie i strojne, jeśli przyszli goście. W gronie rodzinnym jednak chodziły niechlujnie ubrane, od razu wpadały w zły humor. Ojciec był stale w długach i skarżył się na ludzką nikczemność, jeśli gnębili go wierzyciele. Jeszcze przykrzejszy jednak od złych humorów bywał nastrój dobroduszości, któremu ulegał w dni uroczystych świąt albo czasem nagłe, bez żadnego powodu. Przyrządzano wówczas lekki kruszon i ojciec żądał, aby rodzina śpiewała z nim kanony. Hendrik uchylał się od tego obowiązku, siedział w kącie blady i zacięty. Jedyłą jego myślą było zawsze: „Muszę się wyrwać z tego środowiska, muszę uciec stąd jak najdalej...”

„Barbarze wszystko szło jak z płatka — myślał Hendrik prowadząc konwersację z generałową. — Wszystkie drogi miała utorowane, jest to typowe dziecko wielkiej burżuazji. Zdziwi się, kiedy się przekona, tak jak ja, że życie potrafi być twarde. To, do czego dojdę i do czego już doszedłem, zawdzięczam wyłącznie sobie.” Toteż z pewną pretensją

powiedział do swojej młodej żony, która zaprowadziła go do stołu, gdzie leżały depesze gratulacyjne i podarunki ślubne:

— Depesze są oczywiście tylko do ciebie. Do mnie nikt nie zatelegrafuje.

Barbara roześmiała się, zdaniem Hendrika, kpiąco i z wyższością:

— Przeciwnie, Hendriku. Dużo osób przysłało życzenia tylko pod twoim adresem, na przykład Marder.

Z wysokiego stosu listów, kart i depesz wyszukała te przeznaczone wyłącznie dla Hendrika. Oprócz Teofila Mardera, który wyraził gratulacje w paru dwuznacznych, choć poprawnych, prawdopodobnie zaprawionych ironią zwrotach, przysłali mu życzenia: mała Angelika Sieben, dyrektorzy Schmitz i Kroge, Hedda von Herzfeld i — ku jego przerażeniu — Julietta. Skąd znała adres i datę? Hendrik poblądł i zgniótł w rękę arkusik papieru. Chcąc odwrócić uwagę, podziwiał z nieco przesadnym zachwytem upominki, które otrzymała Barbara: porcelanę i srebro, kryształy, książki, biżuterię — mnóstwo potrzebnych i zbytkowych przedmiotów, wybranych przez krewnych i przyjaciół z serdeczną pieczołowitością.

— Gdzie my podziemy te wszystkie śliczne rzeczy? — zapytała Barbara patrząc bezradnie na piętrzące się prezenty. Hendrik pomyślał, że te eleganckie drobiazgi wyglądałyby bardzo ładnie w jego pokoju w Hamburgu, nie wypowiedział jednak tego głośno, tylko roześmiał się i wzruszył pogardliwie ramionami.

Podszedł do nich młodzieniec zwany Sebastianem, którego obecność zaniepokoiła trochę Hendrika. Rozmawiał z Barbarą szybkim, trudnym do zrozumienia, obfitującym w osobiste aluzje żargonem, za którego tokiem Hendrik z wysiłkiem tylko mógł nadażyć. Höfgen stwierdził w skrytości ducha, że ów człowiek jest mu wyraźnie antypatyczny. Barbara nazywała go swoim najlepszym przyjacielem młodości, pisał podobno piękne wiersze i rozumne artykuły.

„Jest zarozumiały i niezdolny!” — myślał Hendrik, czując się nieswojo w towarzystwie Sebastiana, chociaż ten był wobec niego bardzo uprzejmy. Ale właśnie ta trochę ironiczna uprzejmość kryła w sobie coś obraźliwego. Sebastian miał bujne popielatoblond włosy, których szeroki kosmyk opadał

mu na czoło, nieco znużoną twarz o delikatnych rysach, długi, sterczący nos i szare, zamglone oczy.

„Ojciec jego jest pewnie także profesorem albo czymś podobnym — zawyrokował Hendrik z goryczą. — Obcowanie z tym rozpieszczonym, przemądrzałym chłopakiem mogło mieć jak najgorszy wpływ na Barbarę.”

Po obiedzie zasiedli wszyscy razem w hallu, gdyż na tarasie zrobiło się za gorąco. Pani Bella czuła się w obowiązku mówić o literaturze. Opowiadała, że przeczytała w pociągu coś niezwykle ładnego, po prostu pasjonującego, nie pamięta tylko, kto był autorem.

— No, ten nasz Rosjanin, najwybitniejszy! — wołała biedaczka w udręce. — Jakże ja mogłam zapomnieć jego nazwiska, przecież to mój ukochany pisarz!

Nicoletta pośpieszyła na ratunek zapytując, czy nie chodzi czasem o Tołstoja.

— Ach, tak, właśnie Tołstoj! — potwierdziła pani Bella z ulgą. — Powiedziałaś przecież: najwybitniejszy — i to była rzecz całkiem nowa.

Okazało się jednak, że to krótka nowelka Dostojewskiego sprawiła mamie Hofgen tyle radości. Twarz Hendrika zalał krwisty rumieniec. Chcąc zmienić temat rozmowy, a także dowieść temu aroganckiemu towarzystwu, że nie opuścił matki w opresji, zaczął demonstracyjnie rozmawiać z panią Bella, przypominając jej ze śmiechem różne zabawne zdarzenia z ubiegłych lat. Tak, to było bardzo pocieszne, jak w zapusty we dwoje z matką urządzili maskaradę i nastraszyli papę! Pani Bella przebrała się za paszę, mały Hendrik, którego nazywano wówczas Heinzem, ale teraz nawet o tym nie wspomniano — za bajaderę. Całe mieszkanie wyrócono do góry nogami, papa Kòbes nie wierzył własnym oczom, kiedy wrócił do domu.

— Mama pierwsza zrozumiała, że powinienem wstąpić do teatru — oświadczył Hendrik patrząc z miłością na matkę. — Ojciec długi o tym nie chciał słyszeć.

Po czym opowiedział dzieje swojej kariery teatralnej. Było to jeszcze podczas wojny w 1917 roku; Hendrik, jako zaledwie osiemnastoletni młodzieniec, znalazł na kawałku podartej gazety ogłoszenie, że teatr na froncie, na okupowanym terenie Belgii, poszukuje młodego aktora.

— Ale gdzie znalazłem ten strzępek papieru, który miał rozstrzygnąć o moim losie — dodał Hendrik — tego nie mogę powiedzieć.

A że wszyscy wy buchnęli śmiechem, udał, że się bardzo wstydzi i wykrztusił tylko spoza złożonych dłoni, którymi zakrył twarz:

— Tak, tak, obawiam się, że państwo zgadli!...

— W klozecie! — ucieszyła się bezwstydnie generałowa, a jej głośny śmiech przebiegł całą skalę — od najgłębszego basu do srebrzystych wyżyn koloratury.

Nastrój stawał się coraz weselszy i bardziej ożywiony, toteż Hendrik przeszedł stopniowo do opowiadania anegdot 0 teatrze objazdowym, w którym grywał role szlachejnych ojców: mógł teraz z animuszem i bez żenady wyciągać wszystkie swoje oklepiane kawały i ukazać je w nowym blasku, gdyż w tym towarzystwie były jeszcze nie znane. Jedynie Barbara słyszała już niektóre z nich, dlatego też obserwowała opowiadającego ze zdziwieniem, a nawet z lekkim niesmakiem.

Wieczorem przyszło jeszcze kilka osób spośród przyjaciół i Hendrik mógł włożyć nie zapłacony frak — wyglądał w nim wspaniale. Stół był pięknie przybrany kwiatami; po pieczy-stym tajny radca zadzwonił w kieliszek szampana i wygłosił mowę. Powitał obecnych, przede wszystkim matkę i siostrę Hendrika, przy czym nazwał panią Bellę z żartobliwą kurtua-zją „drugą młodą panią Hofgen”, z kolei przeszedł na temat małżeństwa w ogóle, zaś na temat osoby i zasług artystycznych swego nowego zięcia w szczególności. Dobierając słowa starannie, z upodobaniem i zręcznością, uczynił z aktora HÓfgena prawie księcia z bajki, co wieczór w sposób magiczny przybie-rającego inną postać.

— Oto siedzi wśród nas! — wykrzyknął Bruckner wskazując długim, szczupłym palcem Hendrika, który lekko się zarumienił. — Oto siedzi wśród nas. Przyjrzyjmy mu się! Na pozór jest to smukły młodzieniec; wspaniale się prezentuje w swoim dobrze skrojonym fraku, ale nie wygląda znów tak frapująco. Nie wygląda frapująco, jeżeli go porównamy z barwną, czarowną postacią, w którą przekształca się wieczorem, na scenie, w świetle kinkietów. Tam zaczyna promienio-wać, wówczas urok jego staje się nieodparty!

Uczony, porwany swoim tematem, porównaj aktora Höfgena — choć go nigdy nie widział na scenie, a znał tylko jako recytatora wierszy Rilkego — do świętojańskiego robaczka; w dzień wskutek swej skromności uchodzi ludzkiej uwagi, a dopiero w nocy poczyna lśnić uwodzicielsko. Tu Nicoletta wybuchnęła głośnym śmiechem, zaś na piersiach generałowej zadzwonił srebrny łańcuch od łornionu.

Radca zakończył toast wznosząc zdrowie nowożeńców. Hendrik ucałował rękę Barbary.

— Jak pięknie wyglądasz! — powiedział i uśmiechnął się do niej serdecznie.

Barbara miała na sobie suknię z ciężkiego jedwabiu koloru herbacianej róży. Nicoletta skrytykowała ją, mówiąc, że jest niemodna; to jakiś fantazyjny strój, od razu widać, że jest uszyty przez domową szwaczkę. Nikt jednak nie mógł zaprzeczyć, że Barbarze było w nim bardzo do twarzy. Znad szerokiego kołnierza ze starych koronek — jeden z prezentów ślubnych generałowej — wychylała się jej wzruszająco smukła, smagła szyja. Uśmiech, jakim odpowiedziała Hendrikowi, był nieco roztargniony. Badawcze spojrzenie jej łagodnych ciemno szafirowych oczu zdawało się wybiegać ponad Hendrika stojącego naprzeciw niej. Do kogo zwrócone było to spojrzenie, zatroskane, ale zarazem trochę kąpiące? Hendrik odwrócił się pod wpływem nagłego rozdrażnienia. Ujrzał Sebastiana, przyjaciela Barbary: stał o parę kroków od nich w zwykłej sobte, niedbałej postawie, z obwisłymi ramionami i głową podaną naprzód. Na twarzy jego był smutek i wyraz wytężonego nasłuchiwania, jak gdyby usiłował coś złowić uchem. Poruszał przy tym w dziwny sposób palcami obu rąk, rzekłbyś, że w powietrzu gra na fortepianie. Co to miało znaczyć? Czy dawał Barbarze znaki, których ukryty sens ona jedna rozumiała? Czego nasłuchiwał ten zniechęcony młodzian? I skąd taki smutek na jego twarzy? Czy kocha Barbarę? Z pewnością kocha. Prawdopodobnie chciał się z nią ożenić, może, przed laty, byli z sobą po dziecięcemu zaręczeni. „No, a ja mu teraz popsuję szyki! — pomyślał Hendrik na wpół z tryumfem, na wpół z przerażeniem. — Jakże muszę mu być nienawistny!”

Odwrócił oczy od Sebastiana i popatrzył na pozostałych gości — przyjaciół tego znakomitego domu. Zdawało mu się,

że wszyscy mają zasmucone twarze. Mężczyźni o twarzach zmęczonych pracą umysłową, pełnych charakteru — Hendrik nie dosłyszał ich nazwisk przy prezentacji, lecz prawdopodobnie byli to profesorowie, głośni lekarze, literaci; było też kilku młodych ludzi, nieprzyjemnie przypominających mu Sebastiana; dziewczęta wyglądały jak przebrane w swoich wieczorowych sukniach, tak jak gdyby na co dzień chodziły w szarych flanelowych spodniach, płaszczach laboratoryjnych albo zielonych ogrodniczych fartuchach. Hendrik miał wrażenie, że w zwróconych na niego spojrzeniach miesza się szyderstwo z zawiścią. Czyżby wszyscy kochali Barbarę? Czyżby im wszystkim ją zabierał? Czyżby był dla nich natrętem, podejrzaną, niepoważną figurą, z którą niechętnie zasiadali przy jednym stole, czyniąc to tylko przez wzgląd na zagadkowy i zapewne przelotny kaprys Barbary? W rzeczywistości wszyscy ci ludzie mówili o stu obojętnych przedmiotach: o nowej książce, o przedstawieniu teatralnym albo o sytuacji politycznej, która wszystkich napełniała troską. Hendrik wyobrażał sobie jednak, że zajmują się wyłącznie nim; że mówią, śmieją się, kpią tylko z niego.

Byłby się zaszył w mysia dziurę, tak mu się nagle wstyd' zrobiło. A może i radca chciał sobie z niego zadrwić wygłaszając tę szumną mowę. W przeciągu paru sekund wszystko, co dziś przeżył, wydało mu się straszne, upokarzające. Pobłażliwa i pogodna, nieco ironiczna życzliwość radcy, z której tak niedawno jeszcze był dumny, czyż w gruncie rzeczy nie jest stokroć bardziej poniżająca niż najsurowsza, wyraźnie zmanifestowana wyniosłość? Teraz dopiero począł sobie Hendrik zdawać sprawę, ile ubliżającej ironii kryła w sobie rubaszna wesołość generałowej. Trzeba przyznać, że była to imponująca postać *grandę dame* i wyglądała bardzo pięknie, kiedy teraz oto, wyprostowana, miarowym krokiem, z wielkopańską nonszalancją podzwaniając łornionem, zbliżała się do młodej pary. Ubrana biało od stóp do głów, miała na szyi potrójny łańcuch matowo połyskujących pereł. Jeżeli w południe, w swoim jasnopopielatym kostiumie przypominała markiza z osiemnastego wieku, to teraz, w białej szacie i kosztownych klejnotach, miała w sobie niemal pontyfikalną dostojność. Swobodny, pełen życia sposób mówienia stanowił wspaniały kontrast z grandezzą jej postawy.

— Muszę się przecie trącić kieliszkiem z moim robaczkiem świętojańskim i z moją małą Barbarką! — wołała donośnym głosem, wznosząc wysoko kieliszek szampana.

Z drugiej strony zbliżała się Nicoletta, również z kieliszkiem w ręku. Oczy jej sypały iskry, jaskrawo umalowane usta były lekko skrzywione.

— Zdrowie państwa młodych! — wykrzyknęła generałowa.

— Niech żyją! — zawtórowała Nicoletta.

Hendrik trącił się kieliszkiem najpierw z królewską babunią, potem z Nicoletta, która, tak samo jak on, dostała się do tego środowiska niezwykłym zrządzeniem losu. Jej oryginalna postać nie raziła nikogo: tolerowano jej obecność, tajny radca przez nie pozbawioną ciekawości pobłażliwość, generałowa przez godną pewność siebie; przede wszystkim jednak chroniła ją miłość Barbary. W tej samej chwili uświadomił sobie Hendrik ze szczególną wyrazistością i siłą łączącą ich więź, poczuł braterską sympatię do Nicoletty. Zrozumiał: należała do tego samego co on gatunku, mimo że żywotność i cyniczna inteligencja jej ojca, literata i awanturnika, fascynowała cyganerię na przełomie dwóch wieków, podczas gdy drobnomieszczkańska niesolidność papy Købesa niezdolna była nikogo zafascynować, co najwyżej gniewała tylko jego wierzących. Tutaj jednak, pośród tych ludzi o wysokim wykształceniu i wielkim majątku — choć większość obecnych nie była zbyt bogata, Hendrik wszakże uważał ich bez wyjątku za magnatów — tutaj wśród tych ludzi pewnych siebie, ironicznych i rozsądnych, w których kręgu Barbara obracała się z tak drażniącą swobodą, tutaj odgrywali oboje, Hendrik i Nicoletta, tę samą rolę niby dwa egzotyczne ptaki o pstrym upierzeniu. Oboje w głębi serca powzięli mocne postanowienie, że zgromadzonego tutaj towarzystwa, w którym czuli się intruzami, użyją jako dźwigni mającej ich wywindować w górę; będą niczym zemsta.

— Zdrowie wszystkich obecnych! — zawołał Hendrik, przy czym kieliszek, którym trącił się z Nicoletta, lekko zadzwieczał.

Tymczasem Barbara gawędząc i śmiejąc się okrążyła stół, dotarła wreszcie do ojca. W milczniu objęła go rękami za szyję i pocałowała.

Nicoletta, towarzysząca młodej parze w krótkiej podróży poślubnej, doradziła im piękny hotel położony nad jeziorem w Górnej Bawarii. Barbara czuła się tam bardzo szczęśliwa: podobał się jej ten krajobraz z falistymi łączkami, lasami i rzekami, choć jeszcze pozbawiony patosu, ale zawierający już w sobie możliwości i pierwiastki bohaterstwa i męstwa. Kiedy wiał wiatr południowy, góry podchodziły, rzekłbyś, całkiem blisko. Zachodzące słońce barwiło krwawo zębate szczyty i śnieżne stoki. Ale jeszcze piękniejsze wydawały się one Barbarze, kiedy na krótko przed zapadnięciem zmroku stały w swej dumnej bladeści i lodowatym spokoju, jak gdyby ukształtowane z jakiejś obcej, kruchej, niezmiernie kosztownej i pomimo niezwykłej twardości, bardzo delikatnej substancji, która nie była ani szkłem, ani metalem, ani kamieniem, a raczej jakimś niezmiernie rzadkim i całkowicie nie znanym tworzywem.

Hendrik był niewrażliwy na urok i majestat krajobrazu. To atmosfera eleganckiego hotelu niepokoiła go i podniecała. Wobec kelnerów zachowywał się z nieufnością, irytowali go; twierdził, że traktują go znacznie gorzej niż pozostałych gości, i robił wyrzuty Barbarze, że zmusza go już teraz do życia na stan. Skądinąd podobało mu się to wytworne otoczenie.

— Poza nami są tu niemal wyłącznie Anglicy — skonstatował z zadowoleniem.

Pomimo zdenerwowania Hendrika, młodzi przeżywali razem przyjemne godziny. Przed obiadem leżeli we trójkę na drewnianym moło biegnącym het, w błękitną wodę, do którego w południe przybijał biały, zabawnie przystrojony złotymi ozdobami stateczek. Nicoletta gimnastykowała się i trenowała, skakała przez sznur, chodziła na rękach, przeginała się w tył, aż czoło jej dotykało ziemi, Barbara zaś leniwie wylegiwała się w słońcu. Później jednak, w kąpieli, ona brała górę nad gorliwą Nicoletta: pływała szybciej i wytrwałej. Jeśli chodzi o Hendrika, nie robił nikomu konkurencji w sporcie: krzyczał, zaledwie dotknął palcami nóg zimnej wody; Barbara namawiała go długo, nie szczędząc drwin, zanim udało się jej nakłonić Hendrika, by spróbował wykonać kilka ruchów pływackich. Bacząc lekliwie, by nie zapuścić się na głębsze wody, z twarzą ściągniętą lękiem, zmagął się Hendrik z niebezpiecznym

żywołem. Barbara obserwowała go, rozbawiona. Nagle zawołała:

— Jakiś ty śmiesznie podobny do matki, a najbardziej, kiedy pływasz. Mój Boże, przecież to kubek w kubek ta sama twarz!

Hendrik tak się rozchichotał, że nie mógł poruszać ramionami, nałykał się wody i o mało nie utonął.

Za to był niedościgły wieczorem, w tańcu. Wszyscy goście hotelowi, a nawet kelnerzy, zachwycali się, jak zręcznie prowadzi Nicolette albo Barbarę w rytmie tanga. Żaden z panów nie potrafił się poruszać z takim wdziękiem i taką dystynkcją. Hendrik dawał istne przedstawienia; po skończonym tańcu wszyscy bili brawo. Kłaniał się z uśmiechem, zupełnie jak na scenie. Gdy on z kolei był publicznością, takim samym człowiekiem jak wszyscy, czuł się zażenowany, często nawet stropiony; dopiero kiedy mógł ukazać się w jaskrawym świetle i zabłysnąć, wracała mu zwycięska pewność siebie. Naprawdę bezpieczny czuł się dopiero na podwyższeniu, mając przed sobą tłum, który po to tylko istniał, by mu składać hołdy, podziwiać go i okłaskiwać.

Okazało się pewnego dnia, że Teofil Marder posiada wille nad tym samym właśnie jeziorem, którego uroki Nicoletta tak gorliwie zachwalała. Barbara dowiedziawszy się o tym zamilkła, a oczy jej stały się aż czarne z zamyślenia. Broniła się z początku, nie chciała odwiedzić satyryka, w końcu jednak udało się Nicoletcie namówić ją na tę wycieczkę. Białym, ozdobionym złoceniami stateczkiem, który tak często obserwowali z przystani, pojechali na przeciwległą stronę jeziora. Pogoda była piękna, lekki, orzeźwiający wietrzyk marszczył wodę równie błękitną jak rozżarzone słońcem niebo. Im weselsza była Nicoletta, tym bardziej milcząca stawała się jej przyjaciółka Barbara.

Teofil Marder oczekiwał gości na brzegu. Miał na sobie sportowe ubranie w wielką kratę, szerokie spodnie i biały hełm tropikalny, co razem dość dziwacznie wyglądało. Nie wypuszczał z ust krótkiej angielskiej fajki nawet podczas rozmowy. Kiedy Nicoletta zapytała go, od jak dawna pali fajkę, odpowiedział uśmiechając się z roztargnieniem:

— Nowy człowiek nabiera nowych przyzwyczajęń. Przeistaczam się. Co dzień przerażam się sam siebie. Kiedy się

budzę, jestem już innym człowiekiem niż ten, który zasnął z wieczora. Duch mój nabiera przez noc zdumiewającej wielkości i mocy. Najbardziej rewelacyjne objawienia przychodzą mi zawsze we śnie. Dlatego tyle sypiam, co najmniej czternaście godzin na dobę.

Temu oświadczeniu, które nie mogło bynajmniej złagodzić niepokojącego wrażenia, jakie wywołał jego hełm tropikalny, towarzyszył serdeczny, rubaszny śmiech. Po czym Teofil stał się znów światowcem. Wobec Hendrika i Nicoletty siłił się na najbardziej wyszukane uprzejmości, Barbary zdawał się nie dostrzegać.

Po obiedzie, który **2jedli** w dużej, jasnej, eleganckiej jadalni wyłożonej naturalnej barwy drewnem, Teofil objął Hendrika ramieniem i odprowadził go na stronę.

— No więc, mówiąc między nami — dramaturg błysnął płomiennym okiem i mlaskając sinawymi wargami pod ciemnym wąsem, zapytał: — Zadowolony pan ze swego eksperymentu?

— Z jakiego eksperymentu? — odpowiedział Hendrik pytaniem na pytanie.

Teofil roześmiał się głośno i począł jeszcze mocniej poruszać łakomymi wargami.

— No, jak to? Mam oczywiście na myśli pańskie małżeństwo! — szepnął ochryple. — Numer z pana! Wdać się w coś podobnego! Niełatwo dojść do ładu z tą panną. Próbowałem przecież — przyznał się, a oczy jego zabłysły gniewem. — Niewiele pan z nią użyje, mój drogi. To kulawe kaczątko, proszę wierzyć na; wytrawni ej szemu fachowcowi naszego wieku: to kulawe kaczątko.

Hendrik był tak zaskoczony tym określeniem, że wypuścił monokl z oka. Marder tymczasem roześmiał się wesoło i szturchnął go w brzuch.

— Proszę mi nie brać tego za złe! — wykrzyknął wpadając nagle w znakomity humor. — Może panu się uda, nigdy nie wiadomo! Z pana to numer!

Przez całe popołudnie skarżył się na całkowity brak dyscypliny, który w tak smutny sposób cechuje obecną epokę. Powtarzał przy tym niezmiernie, niezliczoną ilość razy te same tezy i hasła. Zapewniał bez końca:

— Całkowity brak indywidualności! Tylko ja jeden istnieję! Choć rozglądam się tak starannie na wszystkie strony, znajduję zawsze tylko siebie!

To powiedziawszy porównał siebie z kilkoma wielkimi ludźmi przeszłości, i to zarówno z Hölderlinem, jak z Aleksandrem Wielkim; potem z rozdrażnieniem wychwalał „dawne dobre czasy”, kiedy był jeszcze młody, w związku z czym zaczął mówić o radcy Brucknerze.

— Fenomenalnie nudny starszy pan. Ale to jednak solidna, stara szkoła, nie żaden szarlatan. Niewątpliwie facet godny szacunku. Ci, co po nim przyjdą, będą dużo gorsi. W dzisiejszych czasach rodzą się tylko kretyni albo kryminaliści.

Po czym zaprowadził Nicolettę, Barbarę i Hendrika do swojej biblioteki liczącej kilka tysięcy tomów i zachęcał, aby „nie zwlekając zabrali się do nauki”.

— Wy wszyscy przecież nic nie umiecie! — huknął na nich niespodzianie. — Powszechne nieuctwo i głupota wołają o pomstę do nieba! Całkowicie skarłałe pokolenie. Katastrofa europejska jest więc nieunikniona, a z wyższego punktu widzenia — usprawiedliwiona!

Kiedy jednak począł egzaminować Hendrika z odmiany nieregularnych czasowników greckich, Barbara uznała za właściwe się pożegnać.

W drodze powrotnej na parowcu Nicoletta próbowała dowiedzieć, że jej ojciec, ów brat Łata, był z pewnością zupełnie podobny do Teofila.

— Nie mam ani jednej fotografii papy — powiedziała patrząc w zamyśleniu na wodę, na której nie grało już światło słoneczne; nieruchoma szara tafla, podobna do perłowej masy, leżała cicha w mroku zapadającego wieczoru. — Ani jednej fotografii, tylko tę fajkę do palenia opium. Ale jestem pewna, że miał wiele wspólnego z Teofilem. Czuję to.. I dlatego łączy mnie z Marderem tak głębokie pokrewieństwo duchowe.

Barbara odezwała się po krótkim milczeniu:

— Twój ojciec był z pewnością znacznie sympatyczniejszy. Marder wcale nie jest sympatyczny.

Nicoletta patrzyła przekornie swoimi zielonymi, kocimi oczami, rozbawiona, wstrząsana cichym, wewnętrznym śmiechem.

Odtąd przeprawiała się niemal co dzień statkiem na przeciwny brzeg jeziora, gdzie stała willa Mardera. Wybiegała się w południe, a wracała zwykle późną nocą. Barbara stawała się coraz bardziej milcząca i zamyślona, zwłaszcza w ciągu rzadkich godzin, które Nicoletta spędzała przy jej boku.

Zresztą ów nierozsądny, uparty flirt Nicoletty z Teofilem nie był jedyną troską Barbary. Kiedy leżała nocą sama w łóżku — leżała bowiem sama — nasłuchiwała głosu serca, chcąc się dowiedzieć, czy dziwaczne i trochę kompromitujące zachowanie Hendrika, które można chyba nazwać dezercją, jest dla niej ulgą czy zawodem. Tak, było dla niej ulgą, ale niemniej także pewnym zawodem...

Pokoje Barbary i Hendrika łączyły drzwi wewnętrzne. Höfgen wchodził nieraz do żony o późnej godzinie, malowniczo otulony w strojny, podniszczony szlafrok. Z głową odrzuconą w tył, przysłaniając na pół powiekami migotliwie lśniące oczy, śpieszył przez pokój, by śpiewnym głosem zapewnić Barbarę, jaki jest szczęśliwy i jaki wdzięczny, że zgodziła się zostać na zawsze treścią jego życia. Obejmował ją, ale tylko przelotnie, a kiedy ją trzymał w ramionach, bladł jak płótno. Cierpiał, drżał, pot występował mu na czoło. Łzy wstydu i gniewu napełniały mu oczy.

Nie był przygotowany na to fiasko. Sądził, że kocha Barbarę, i kochał ją naprawdę. Czyżby przyjaźń z księżniczką Tebab tak go zdeprawowała? Ach, nie mógł sobie wyobrazić pięknych nóg Barbary w zielonych butach z cholewami... Żałosne i daremne uściski stały się dla niego udręką. Zdawało mu się, że w oczach Barbary, które wyrażały tylko nieco zdziwione pytanie, czyta drwinę i wymówkę. Szukając wyjścia z tej okropnej sytuacji, plótł, co mu tylko przyszło do głowy; nagle ożywiał się i wstrząsany nerwowym śmiechem biegał po pokoju.

— Czy i ty miewasz takie wstrętne wspomnienia jak ja? — zapytał Barbarę, która leżała bez ruchu w łóżku i obserwowała go. — Wiesz, takie wspomnienia, od których człowiekowi robi się zimno i gorąco, kiedy się o nich pomyśli, a często musi się o nich myśleć...

Staną! oparty o łóżko Barbary; z gorączkowym pośpiechem i niezdrowymi wypiekami na policzkach, wciąż jeszcze śmiejąc się — zaczął opowiadać:

— Miałem może jedenaście czy dwanaście lat, kiedy pozwolono mi śpiewać w chórze chłopców w naszym gimnazjum. Cieszyłem się z tego ogromnie i wyobrażałem sobie, że śpiewam ładniej niż wszyscy chłopcy. Teraz nastąpi to diabelskie wspomnienie; uważaj, na pozór nie będzie brzmiało zbyt groźnie, kiedy ci je opowiem. Nasz chór miał z racji jakiegoś ślubu wziąć udział w uroczystości kościelnej. To nie bagatela, rozumiesz, toteż byliśmy dość silnie podnieceni. Mnie jednak diabeł podkusił; chciałem wyróżnić się czymś nadzwyczajnym. Kiedy nasz chór zaintonował pieśń pobożną, strzeliła mi obrzydliwa myśl do głowy, żeby zaśpiewać o całą oktawę wyżej niż oni. Miałem bardzo wygórowane pojęcie o swoim sopranie i wyobrażałem sobie, jaki to będzie czarujący efekt, kiedy mój falset zabrzmi pod sklepieniem kościoła. Stałem dumny i nadęty i śpiewałem co sił w płucach; nagle spojrzał na mnie nauczyciel muzyki, który dyrygował chórem, a spojrzenie to było bardziej pogardliwe niż karcące, po czym powiedział: „Cicho bądź!” Rozumiesz, Barbaro! — wykrzyknął Hendrik i zakrył dłońmi rozpaloną twarz. — Rozumiesz, jakie to było piekielne? Tak całkiem sucho, prawie szeptem, powiedział mi: „Cicho bądź!” A ja sobie wyobrażałem, że jestem tryumfującym archaniołem...

Hendrik zamilkł. Po dłuższej przerwie dodał:

— Takie wspomnienia są jak małe piekła, do których musimy czasem zstępować. — Iz nieufnym wyrazem twarzy zapytał: — Ty pewnie nie masz tego rodzaju wspomnień, Barbaro?

Nie, Barbara nie miała takich wspomnień. Hendrika to zirykowało, rozzłościło niemal.

— No właśnie! — wykrzyknął nienawistnie, a oczy jego załśniły złowrogo. — No właśnie! Tyś się jeszcze nigdy w życiu naprawdę nie wstydziła... Mnie się to często potem zdarzało, wtedy był to pierwszy raz. Wstydzę się nieraz tak strasznie, wstydzę się tak do głębi... Czy rozumiesz, co chcę powiedzieć, Barbaro? Czy możesz mnie zrozumieć?

V

MAŁŻONEK

W końcu sierpnia udali się młodzi państwo Höfgeowie z Nicoletta von Niebuhr do Hamburga. Hendrik wynajął w willi pani konsulowej Mönkeberg całe mieszkanie na parterze, składające się z trzech pokoi, małej kuchni i łazienki. Urządzenie dużych, wygodnych pokoi uzupełniono nowo nabytymi sprzętami; związane z tym dość wysokie koszty pokrył radca Bruckner.

Nicoletta wolała zamieszkać w hotelu.

— Nie mogę znieść filisterskiej atmosfery w domu tej pani Mönkeberg — oświadczyła wyniośle i niecierpliwie.

Barbara odparła pojednawczo, że pani konsulowa jest na swój sposób zana i reprezentacyjnie wyglądającą osobą.

— Ja w każdym razie doskonale z nią dochodzę do ładu — stwierdziła.

Pani Mönkeberg podarowała jej na powitanie dwa małe kotki: jednego czarnego, drugiego białego, i w ogóle okazywała jej wszelkie możliwe względy.

— Rada jestem, moje dziecko, mieć panią w swoim domu — zapewniła starsza dama nową lokatorkę. — Należymy przecież do tej samej sfery.

Pani konsulowa, której ojciec był profesorem uniwersytetu, znała w młodości Brucknera, kiedy był jeszcze docentem w Heidelbergu. Zaprosiła Barbarę do siebie na herbatę, pokazała jej fotografie rodzinne i przedstawiła swoim przyjaciołkom.

Nicoletta irytowała się i szydziła z Barbary, że przyjmuje podobne zaproszenia. Ona natomiast podejmowała w swoim

pokoju hotelowym akrobatów z Variété, fordanserów i kokoty. Hendrik drżał na myśl, że w tym oryginalnym kółku mogła, drogą niefortunnego, ale dość prawdopodobnego przypadku, znaleźć się kiedyś Julietta, Księżniczką Tebab". Z jakąż przyjemnością przyjęłaby panna von Niebuhr u siebie czarną Wenus! Gotowa była zrobić wszystko, aby zaspokoić swój snobizm, podkreślić ekscentryczność i brak przesądów.

— Ludzie, których ojciec nie wahał się nazwać swoimi przyjaciółmi, mnie również ujmy nie przyniosą — zapewniała z dumnie podniesioną głową każdego, kto chciał słuchać.

Zresztą Nicoletta była wówczas niezaprzeczenie w olśniewającej formie. Wszystko w niej zdawało się napięte do ostateczności, wszystko lśniło, uwodziło, trzaskało jak naładowane elektrycznością. Bardziej niż kiedykolwiek pewna zwycięstwa, nosiła wysoko śmiałą główkę pacholęcia o wypukłym czole, dużym orlim nosie i jaskrawo umalowanych wargach, spomiędzy których błyskały białe zęby. Większość kolegów z zespołu Teatru Artystycznego była w niej już po uszy zakochana; Hilda Motz narzekała i szlochała, gdyż Petersen całkiem stracił głowę i popełniał szaleństwa: zaprosił Nicolettę na bardzo drogą kolację do hotelu „Atlantic”. Rachela Mohrenwitz miała również powody do rozgoryczenia: przyzwyczała się już, że służy pięknemu Bonettiemu za namiastkę nieugiętej Angeliki, a teraz widziała, że jej demoniczne wdzięki ustępują przed pikantniejszym, naturalniejszym i silniejszym urokiem Nicoletty. Na cóż się zdało ambitnej Racheli szminkować wargi na kolor czarniawo-fioletowy, golić brwi tak, że nie pozostawało po nich niemal śladu, i palić długie cygara virginia, choć ją przyprawiały o mdłości? Wystarczyło, by Nicoletta błysnęła swymi kocimi oczami, a już zawarta w nich hipnotyczna siła wpajała wszystkim przekonanie, że panna von Niebuhr ma przesłiczne nogi; podobnie jak owi sugestywni bazarze hinduscy, którzy doprowadzają oczarowaną publiczność do takiej ekstazy, że widzi rosnące palmy i skaczące małpy tam, gdzie jest tylko powietrze i błękit nieba.

Chociaż Oskar Kroge w gruncie rzeczy nie cierpiał panny von Niebuhr, uległ jednak natarczywym radom swego przyja-

ciela Schmitza, który twierdził, że ludzie chcą zobaczyć „coś takiego”, i powierzył jej główną rolę w nowej sztuce rozpoczynającej sezon jesienny. Nicoletta grała we francuskiej sensacyjnej sztuce rolę tragicznej damy z półświatka, którą na zakończenie trzeciego aktu kochanek morduje przy podniesionej kurtynie. Młodego mordercę miał odegrać Bonetti; jego zblazowanie, pyszałkowatość i zmanierowana mimika doskonale nadawały się do tej roli. Protektorem damy z półświatka — na pozór wielki pan, w istocie łajdak i gbur — był Höfgen, reżyserię zaś objęła pani von Herzfeld, która sztukę przetłumaczyła i opracowała.

— W tej szmirze będzie pani miała jeszcze większe powodzenie niż w *Knorkem* — przepowiadała Nicolettę; okazywała jej teraz macierzyńską troskliwość, odkąd zazdrość o Hendrika skoncentrowała na innym obiekcie.

— Ja również jestem tego zdania — odparła ostro i chłodno Nicoletta. — Takiej sztuki, jakiej jutro tu dokonam, nie widziano chyba jeszcze w Hamburgu.

— Na psa urok, tfu, tfu, tfu, zdaje mi się jednak, że będziemy mogli dać tę sztukę co najmniej trzydzieści razy pod rząd — mówił Schmitz z uśmiechem zadowolenia, stukając przesądnie palcem w stół.

Kurtyna spadła, sala trzęsła się od oklasków. Wywoływano wciąż pannę von Niebuhr, domagając się, by powtórzyła scenę zabójstwa. Krzyki i gesty Nicoletty, w chwili gdy Rolf wycelował w nią lufę rewolweru, były istotnie wstrząsające. Huknął strzał; tragiczna kurtyzana pada na ziemię, ręce i nogi wykręca śmiertelny skurcz; aktorka wyje, po czym konając wygłasza długą tyradę, w której zasypuje gorzkimi wyrzutami zazdrosnego kochanka w szczególności, a wszystkich mężczyzn w ogóle, modli się, znów wyje, wreszcie umiera.

Krytycy nazajutrz zgodnym chórem wyrażali swoje zachwyty. Wszystkie gazety orzekły jednomyślnie, że Nicoletta dała kreację niezwyklej klasy.

«Nicoletta von Niebuhr wkracza na drogę wielkiej kariery» — głosił nagłówek na pierwszej stronie najpoczytniejszej gazety popołudniowej. W tym samym duchu poszły depesze do prasy berlińskiej. Przed kasą Teatru Artystycznego stały już długie kolejki, co się od wielu lat nie zdarzyło. Na pięć

następnych przedstawień efektownego „dramatu kurtyzany” bilety byty z góry wyprzedane.

Nicoletta tymczasem otrzymała w południe nazajutrz po premierze następujący telegram od Teofila Mardera:

„Żądam abyś natychmiast do mnie przyjechała stop zabraniam ci dłużej prostytuować się jako aktorka stop męskie poczucie honoru protestuje we mnie przeciwko twojemu poniżeniu stop zdyscyplinowana kobieta winna być bezwzględnie posłuszna genialnemu mężczyźnie, który ją chce wznieść ku sobie stop oczekuję cię jutro rano na dworcu stop jeżeli w tym rozstrzygającym momencie odmówisz i pod jakimkolwiek pozorem odłożysz przyjazd, porzucę cię na zawsze ja sumienie świata Teofil.”

Nicoletta rozkazującym tonem wyprosiła z pokoju kilka baletnic i fordanserów, którzy przyszli jej powinszować sukcesu. Zatelefonowała do Hófgena i oświadczyła mu szorstko, że zamierza wyjechać za kilka godzin na południe Niemiec. Hendrik zapytał ją, czy żartuje, czy też zwariowała. Odparła sucho: ani jedno, ani drugie. Nie dość na tym, rezygnuje ze swego engagement i w ogóle z kariery scenicznej. Rolę we francuskiej szmirze można będzie bez trudu obsadzić: Rachelą Mohrenwitz z pewnością się już do niej przygotowała. Dla Nicoletty jedno jest teraz ważne na świecie: miłość Teofila Mardera. Miejsce zdyscyplinowanej kobiety jest bezwzględnie przy boku genialnego mężczyzny, który chce ją wznieść ku sobie — oświadczyła panna von Niebuhr przez telefon ku zdumieniu Hófgena.

Hendrikowi z przerażenia głosu zabrakło; mruknął tylko:

— Jesteś chora. Wsiadam w taksówkę i jadę do ciebie.

W dziesięć minut potem byli już oboje z Barbarą w hotelu; Nicoletta pakowała kufry.

Szlachetna i subtelna twarz Barbary była blada jak ściana, o którą się opierała plecami. Barbara milczała, Nicoletta milczała, Hendrik mówił. Szydził zrazu, potem zaczął błagać, wreszcie grozić i szaleć.

— Podpisałaś kontrakt! Istnieją kary za zerwanie umowy!

Nicoletta odpowiedziała cicho, ale z największą precyzją wymawiając słowa:

— Wątpię, aby pan Kroge chciał się procesować z Teofilem Marderem o moją osobę.

Hendrik przemawiał jej do rozumu:

— Zrzuńujesz sobie karierę. Żaden teatr na świecie nigdy cię już nie zaangażuje.

A Nicoletta na to:

— Powiedziałam ci już, że z największą radością rezygnuję z tej kariery. To, co otrzymuję w zamian, jest nieporównanie cenniejsze, istotniejsze i piękniejsze.

Głosej stracił ostrość, brzmiał powstrzymany radością. Hendrik z trudem ukrywał, jak jest wstrząśnięty. Ta dziewczyna zaczęła być dla niego zagadką. A więc istniały namiętności zdolne tak silnie zawładnąć człowiekiem, że porzuca pięknie zapowiadającą się karierę? Fantazja Hendrika nie była w stanie wyobrazić sobie uczuć, do których serce jego nie dorosło. Namiętności, na które sobie pozwalał, miawały zazwyczaj konsekwencje raczej korzystne dla jego kariery; nie dałby im nigdy zagrozić jej, a cóż dopiero zrujnować.

— I wszystko dla tego pyskatego proroka — powiedział wreszcie.

Nicoletta wyprostowała się na to jak struna, podniosła głowę i zasyczała:

— Zabraniam mówić w ten sposób o moim narzeczonym, największym spośród żyjących ludzi!

Hendrik uśmiechnął się wyczerpany i otarł pot z czoła.

— Cóż — bąknął — będę to musiał powiedzieć biednemu Ottonowi.

Podczas gdy Hendrik telefonował do Teatru Artystycznego, odezwała się po raz pierwszy Barbara głosem jakby zawoalowanym smutkiem:

— Chcesz go więc poślubić? — zapytała.

— Jeśli on mnie zechce! — odparła Nicoletta z wesołością budzącą dreszcz, starannie unikając przy tym wzroku przyjaciółki.

— Jest o trzydzieści lat od ciebie starszy — powiedziała Barbara. — Mógłby być twoim ojcem.

— To prawda — odrzekła Nicoletta, a w jej pięknych oczach zapalił się płomień szaleństwa. — Jest taki jak mój ojciec. Odnalazłam w nim tego, kogo straciłam. Stara więc odnawia się w cudowny sposób.

Barbara zaklinała ją:

— To chory człowiek.

Zaślepiąca dziewczyna powtarzała jednak z podniesioną głową:

— Może, ale jest w nim coś większego niż zdrowie — geniusz.

Barbara jęknęła tylko: — Mój Boże, mój Boże! — i zakryła twarz rękami.

Kiedy w kwadrans potem przybyli Oskar Kroge, dyrektor Schmitz i pani von Herzfeld, Nicoletta zapakowawszy już swoje liczne kufry, stała w hallu hotelowym oczekując na samochód, który miał ją zawieźć na dworzec.

Głos Schmitza nagle stracił zwykłą miękkość; dyrektor krzyczał, groził policją i więzieniem. Oskar Kroge prychał jak stary kocur, Nicoletta broniła się niczym drapieżny ptak. Pani von Herzfeld próbowała przemówić jej do rozsądku, umilkła wszakże wobec niemiłosiernego szyderstwa i lodowatego patosu Nicoletty. Wszyscy krzyczeli jedno przez drugie: Schmitz biadał nad wyprzedaną salą, Kroge rozwodził się nad brakiem poczucia odpowiedzialności artystycznej i ludzkiej przyzwoitości, pani Herzfeld zaś nazywała postępowanie Nicoletty wybrykiem spóźnionej i obrzydliwej hysterii wieku dojrzewania. Barbara tymczasem wymknęła się niepostrzeżenie z hotelu. Nicoletta wyjechała nie pożegnawszy się z przyjaciółką.

Nagły wyjazd Nicoletty boleśnie dotknął Barbarę, ale przyniósł jej jak gdyby ulgę. Wiadomość o cichym ślubie Nicoletty i Teofila Mardera przyjęła bez większego wzruszenia. „Biedna Nicoletta” — to było właściwie wszystko, co pomyślała. Serce jej zaczynało już rezygnować z problematycznych rozkoszy przyjaźni, która ją przez tyle lat absorbowała, będąc zarazem szczęściem i udręką. Barbara przestała już myśleć o przyszłości wspólnej z Nicoletta, lubiła natomiast wspominać wspólną przeszłość i opowiadać samej sobie historię przyjaźni, zawiązanej w tak fantastycznych i smutnych okolicznościach, a rozwijającej się według tak przedziwnych praw.

Willy von Niebuhr, ojciec, miał bardzo burzliwe życie — choć może nie tak pełne przygód, jak to zwykła opowiadać jego córka — i nigdy nie troszczył się zbyt o Nicolettę. Dziewczynka skończyła zaledwie trzynaście lat, kiedy umarł

w Chinach. Stało się to wkrótce po wydaleniu — z wielkim hukiem — Nicoletty z internatu w Lozannie. Niebuhr, który wiedział, że już niedługo pociągnie, napisał z Szanghaju do Brucknera, przyjaciela z lat studenckich: „Zajmij się moim dzieckiem!” Radca postanowił wziąć dziewczynkę na kilka tygodni do siebie, dopóki nie znajdzie się odpowiedni pensjonat albo jakiś inny sposób jej ulokowania. Tak to pojawiła się Nicoletta w domu Brucknerów: poważne, skupione, mądre i uparte stworzenie o dużym orlim nosie, błyszczących, kocich oczach, chudej, giętkiej postaci i dumnie, zwycięsko podniesionej głowie.

Wszystko wydawało się radcy niesamowite w jego młodym gościu: spojrzenie wabiące i groźne, zbyt wyraźna, ostra, precyzyjna wymowa, diablo poprawne zachowanie. Było coś przykuwającego, ale zarazem przykrego w bliskim obcowaniu z tą osobliwą córką interesującego przyjaciela; obserwował ją całąmi dniami.

Zdziwiło go, że Barbara powzięła dla Nicoletty tak gorącą przyjaźń. Co pociągało córkę do tej obcej, szorstkiej, dziwacznej dziewczyny? Ojciec rozmyślał nad tym z serdeczną troską. Miał wrażenie, że Barbara szuka w Nicoletcie istoty krańcowo od siebie różnej. Ta przyjaźń jednak wydawała mu się na tyle niebezpieczna, że starał się usunąć Nicolettę ze swego domu. Umieszczono ją w internacie na Riwierze Francuskiej, ale i tam wybuchł skandal — Nicoletta wróciła do Willi Brucknerów. Oddalano ją i znów powracała; zabawa ta powtarzała się wielokrotnie. Po licznych przygodach, jakie niosło z sobą jej młode, dość barwne, a zarazem lekkomyślnie pędzone życie, odpoczywała przy boku Barbary. Barbara zawsze na nią czekała, otwierała drzwi, ilekroć Nicoletta do nich zapukała. Radca widział to, dziwił się, gniewał może, ale nie zabraniał. Zresztą mógł stwierdzić, że jego piękna i rozumna córka, choć brała tak żywy udział w dziwacznej egzystencji przyjaciółki, nie zaniedbywała przez to własnego życia. Z natury skłonna do refleksji, choć wesołego usposobienia, zajmowała się tysiącem spraw: miała przyjaciół, których kaprysy znosiła cierpliwie i współczuła ich troskom; była lekkomyślna, a zarazem rozważna, dzielna jak amazonka, a równocześnie czuła jak siostra, chłodna, a jednak dobrotliwa, bardzo nieprzystępna, ale zawsze gotowa do okazania czułości, która wszakże nigdy nie

przekraczała pewnych ściśle określonych granic. Tak żyła Barbara i może właśnie ta okoliczność, że czekała na Nicolettę, że o każdej godzinie przygotowana była na niespodziewany jej przyjazd, nadawała jej życiu pewien tajemniczy sens, stanowiła ową zagadkową treść, której mu było potrzeba.

Nicoletta zawsze powracała. Barbara czuła i wiedziała, że tym razem nie powróci. Teraz stało się coś definitywnego, rozstrzygającego. Nicoletta wierzyła, że w Teofilu Marderze znalazła męża podobnego i dorównującego ojcu czy też legendarnej postaci, którą z ojca uczyniła. Barbara była jej już niepotrzebna. Odnalezionemu ojcu, nowemu kochankowi powierzyła całe swoje życie z dramatycznym patosem właściwym wszelkim jej poczynaniom. Nicoletta, która wprawdzie nosiła głowę bardzo wysoko, lubiła jednak, gdy jej rozkazywano — poddała się jego chorobliwie despotycznej woli. Czego mogła spodziewać się Barbara? Zbyt dumna, żeby się narzucać, zbyt ambitna, żeby się choć tylko poskarżyć, zamilkła i zachowała nieprzeniknione, pogodne oblicze.

„Biedna Nicoletto — pomyślała — musisz teraz sama radzić sobie z życiem. A nie będzie ono łatwe, biedna Nicoletto!”

Barbara nie miała zresztą wiele czasu, by rozmyślać nad losem przyjaciółki; jej własny los, nowy dzień powszedni w obcym mieście, przy boku obcego człowieka, pochłaniały ją całkowicie. Musiała nawyknąć do współżycia z Hendrikiem Höfgenem. Czyż potrafi z czasem pokochać tego człowieka, którego patetycznym zakłębieniem uległa trochę przez ciekawość, a trochę przez współczucie? Zanim Barbara postawiła sobie to pytanie, usiłowała odpowiedzieć na inne, jej zdaniem rozstrzygające, a mianowicie: czy Hendrik ciągle jeszcze ją kocha i czy ją w ogóle kiedykolwiek kochał? Barbara, skłonna do sceptycyzmu dzięki wrodzonej mądrości i nabytemu doświadczeniu w wielu ludzkich sprawach, zaczynała wątpić, czy namiętność, którą jej Hendrik w pierwszych tygodniach znajomości okazywał albo przed nią odgrywał, była kiedykolwiek szczerą.

„Oszukano mnie — myślała teraz często. — Dałam się oszukać komediantowi. Małżeństwo ze mną wydawało mu się korzystne dla kariery, a poza tym chciał mieć przy sobie żywą

ludzką duszę. Ale nigdy mnie nie kochał. Prawdopodobnie nie jest w ogóle zdolny do miłości...”

Duma, dobre wychowanie i litość nie pozwalały jej wypowiedzieć głośno swojej urazy, okazać rozczarowania. Hendrik wszakże był dość wrażliwy, by wyczuć to, co przed nim raczej przez dumę niż przez dobroć ukrywała. Choć tak rozumna, nie dostrzegała, że i on cierpi.

Cierpiał dotkliwie nad porażką swoich uczuć do Barbary, jak również nad swoją fizyczną porażką, która się coraz częściej powtarzała w sposób haniebny i śmieszny zarazem. Bolał nad tym, gdyż poryw jego uczucia, rozplomienie jego serca było szczerze — albo prawie szczerze — w najwyższym, dostępnym dla niego stopniu.

„Nie doznam już nigdy silniejszego i czystszyego uczucia niż to, które przeżyłem w owe wiosenne dni po premierze *Knorkego* — myślał Hendrik. — Jeżeli tym razem przegram, będzie to ostateczna klęska. Wówczas byłoby pewne, że przez całe życie skazany będę na takie kobiety jak Julietta...”

Ponieważ jednak samooskarżenie — choćby nawet najuczciwsze i najgorętsze — zamienia się prawie u wszystkich w pewnym momencie w samousprawiedliwienie, począł Hendrik w głębi serca gromadzić argumenty, które mógł obrócić przeciwko Barbarze, a siebie samego oczyścić. Jeżeli się tak głębiej zastanowić: czy to nie Barbara zawiodła, czy jej arogancki chłód nie zmroził jego porywu? Czy Barbara nie szczyliła się zbyt zarównie szlachetnym urodzeniem, jak subtelną inteligencją? Czy na dnie jej oczu, których badawcze spojrzenie tak często na niego kierowała, nie czaiło się zimne szyderstwo, pycha i wysokie o sobie mniemanie? Hendrik począł bać się tych oczu, które tak niedawno jeszcze zdawały się najpiękniejsze na świecie. Jego zraniona miłość własna doszukiwała się w każdej najobojetniejszej, najbardziej marginesowej uwadze Barbary upokarzającego dla siebie sensu, nadawała jej słowom jakieś ukryte lub uboczne znaczenie. Drobne przyzwyczajenia Barbary i niezmacony spokój, z jakim pozostała im wierna, denerwowały go i obrażały w najwyższym stopniu, choć sam w chwilach rozważań musiał przyznać, jak bardzo jest niesprawiedliwy.

Barbara jeździła konno przed śniadaniem, a kiedy ukazywała się około dziewiętej w jadalnym pokoju, wносиła z sobą

zapach i powiew świeżego poranka. Hendrik tymczasem siedział z twarzą wspartą na rękach, zmęczony i markotny w swoim coraz bardziej wyświechtanym szlafroku, błądy i mizerny. O tej porze nie potrafił się nawet zdobyć na swój drański uśmieszek ani na uwodzicielsko lśniące spojrzenia. Hendrik ziewał.

— Jeszcze się chyba całkiem nie obudził — powiedziała Barbara z humorem, wlewając zawartość jajka na miękko do szklanego kieliszka. W taki sposób jadała zawsze jajka na śniadanie: w kieliszku, mocno przyprawione solą, pieprzem, ostrym angielskim sosem, sokiem z pomidorów i odrobiną oliwy.

Hendrik odparł urażony:

— Przeciwnie, wcale nie jestem śpiący i nawet już trochę pracowałem. Zatelefonowałem na przykład do kupca kolonialnego, którego zaczyna niecierpliwie nasz wzrastający rachunek. Wybacz, że od samego rana nie prezentuję się dość odświętnie i świeżo. Gdybym co dzień rano odbywał przejażdżkę konną tak jak ty, wyglądałbym prawdopodobnie bardziej ponętnie. Obawiam się jednak, że nawet ty nie zdołasz mi zaszcześcić zwyczajów eleganckiego świata. Jestem za stary, żeby się zmieniać, a pochodzę ze środowiska, w którym ten szlachetny sport nie jest uprawiany.

Barbara, nie chcąc sobie zepsuć dobrego nastroju, wolała potraktować jego słowa jak dowcip.

— Doskonale podchwyciłeś właściwy ton — roześmiała się. — Można by prawie uwierzyć, że mówisz serio.

Hendrik milczał gniewnie; a chcąc nadać sobie wygląd bardziej reprezentacyjny, wsadził monokl w oko.

Zresztą Barbara zaraz znów go uraziła, choć z pewnością nieumyślnie. Z apetytem wyjadając łyżeczką korzennie przyprawione jajko, powiedziała:

— Powinieneś kiedyś przyrządzić sobie jajka w taki sposób. Uważam, że tak prosto ze skorupki, bez ostrych przypraw, mają strasznie nudny smak...

Po chwili Hendrik spytał siłąc się na grzeczność, głosem drżącym z irytacji:

— Czy wolno mi zwrócić ci na coś uwagę, moja droga?

Odpowiedziała z pełnymi ustami:

— Ależ oczywiście.

Hendrik zabębnił palcami po blacie stołu, podniósł głowę i zagryzł wargi, co nadawało mu wygląd surowej guwernantki.

— Twoja naiwna i pretensjonalna maniera — cedził wolno — wydziwiania albo wyśmiewania się, jeżeli ktokolwiek robi cośkolwiek inaczej, niż było we zwyczaju w domu twego ojca czy twojej babki, mogłaby kogoś, kto cię mniej zna niż ja, zdziwić, a nawet zrazić.

Oczy Barbary, przed chwilą jeszcze jaśniejące radością, zachmurzyły się, a wzrok stał się badawczy. Po krótkim milczeniu zapytała cicho:

— Dlaczego to właśnie teraz zauważyłeś?

Odpowiedział surowo, bębniąc dalej palcami po stole:

— Jest rzeczą powszechnie przyjętą jeść jajka na miękko ze skorupki i tylko z solą. W waszym domu jada się je w kieliszku i z sześcioma korzennymi przyprawami. To jest niewątpliwie bardzo oryginalny sposób. Ale nie widzę powodu wyśmiewania się z kogoś, kto nie nawykł do podobnych oryginalności.

Barbara zamilkła, pokręciła głową zdziwiona i wstała od stołu. Wodził za nią oczami, kiedy poruszała się po pokoju zwykłym swoim niedbałym krokiem, szurając z lekka nogami. Nagle strzeliła mu myśl do głowy:

„Dziwna rzecz, ma teraz buty z cholewami, które mi się tak podobają, ale na jej nogach nie działają na mnie tak, jak bym sobie tego życzył i jak mi to jest potrzebne. Na niej to po prostu poprawny szczegół sportowego stroju. Jeżeli je włoży Julietta, nabierają od razu innego znaczenia...”

Powtarzać w myśli* imię Julietty w obecności Barbary był to pewien złośliwy tryumf, zadośćuczynienie za niejedną ranę zadaną miłości własnej.

„A niech sobie jeździ konno — myślał szyderczo — niech sobie robi koktajle z jajka na miękko! Nie dowie się nigdy, z kim się spotykam dziś po południu przed próbą!”

Podczas gdy Barbara, wyniosła i milcząca, opuszczała pokój, Hendrik rozkoszował się pospolitą zemstą męża, który zdradza żonę i dumny jest, że się jej nie da przytapać.

Już w dwa tygodnie po powrocie do Hamburga spotkał znów czarną Wenus. Czyhała na niego, kiedy szedł wieczorem do teatru. Jakiż go przebiegł dreszcz przerażenia i rozkoszy, kiedy z ciemności bramy doleciał go jej ochrypty, dobrze znany głos:

— Heinz!

To imię, którego się wstydził i które odrzucił, wymówione stłumionym głosem Murzynki, sprawiło mu przyjemność jak okrutna pieśczoła. Mimo to zmusił się do krzyku:

— Na co ty sobie pozwalasz?! Szpiegujesz mnie?

W odpowiedzi machnęła mu przekornie piękną, silną, nerwową ręką:

— Daj spokój, mój złoty! Jak będziesz niegrzeczny, pójdę do teatru, narobię hałasu i będzie skandal!

— Chcesz mnie szantażować? — syknął przez zęby, ale to nic nie pomogło.

— Jakbyś zgadł! — zaśmiała się łyskając zębami i białkami oczu.

W jej szerokim śmiechu była trywialność, która wydała mu się straszna, ale zarazem pełna nieodpartego uroku. Wepchnął Juliettę w otwór bramy, drżał bowiem, że ktoś nadejdzie i zobaczy go w tak podejrzanym towarzystwie. Istotnie, księżniczka Tebab wyglądała bardzo obskurnie. Mały filcowy, wciśnięty na czoło kapelusik i znoszony ciasny żakiecik były tej samej jaskrawozielonej barwy co wysokie lakierowane buty. Dookoła szyi miała boa z brudnych, potarganych białych piórek. Nad tym smętnym strojem widniała ciemna plama szerokiej twarzy z wywinętymi, popękanymi wargami i spłaszczonym nosem.

— Chcesz pieniędzy? Ile? — zapytał prędko. •— Jestem sam chwilowo w dość trudnej sytuacji...

Odpowiedziała niemal figlarnie:

— Pieniędzmi się nie wykręcisz, moja małpeczko z cukru. Musisz mnie odwiedzić.

— Co ci przyszło do głowy? — wymamrotał drżącymi wargami. — Jestem żonaty...

Ona jednak przerwała mu surowo:

— Nie pleć głupstw, ośle jeden. Twoja szanowna małżonka nie może ci dać tego, czego ci potrzeba. Przyjrzałam się przecież dokładnie tej twojej Barbarze.

Skąd Julietta znała jej imię? Ten niewinny szczegół, że Julietta zna imię Barbary, napełnił Hendrika osobliwym lękiem.

— Przecież ona nie ma szpiku w kościach — dodała księżniczka Tebab i dziko łypnęła oczami.

Hendrik, któremu ze strachu pot wystąpił na czoło, spodziewał się, że Murzynka nazwie jego Barbarę, córkę profesora Brucknera, „kulawym kaczątkiem”. Tymczasem Julietta nie była skłonna prowadzić dalej abstrakcyjnej rozmowy. Z pogroźką w głosie, tonem żądającym szybkiej i dokładnej odpowiedzi, zapytała:

— Więc kiedy przyjdiesz do mnie?

W pokoiku na poddaszu o szarych, nagich ścianach (wisząca nad łóżkiem reprodukcja Madonny Rafaela nie tylko nie zdobiła, lecz raczej podkreślała ich brzydotę) rozpoczęły się makabryczne ćwiczenia, którym niegdyś służył za tło mieszczański pokój konsulowej Mönkeberg. Tu poczuł znów młody małżonek ów obcy, dziki, a tak dobrze znany zapach, rzekłbyś, mieszanina najtańszych perfum i aromatu dżungli. Tu był znów posłuszny szorstkiemu, szczekającemu głosowi, klaskaniu w dłonie, rytmicznemu tupaniu swojej pani. Tu deklamował znów francuskie wiersze, kiedy jęcząc z wyczerpania padał na twarde tapczan służący córce królewskiej za posłanie. Höfgen, tak jak dawniej, pozwalał sobie na owe ponure obrzędy dwa razy na tydzień — teraz wszakże osiągały one pewien ohydny punkt szczytowy, którego im dawniej brakowało. Kiedy już było po wszystkim i panna Julietta dawała swemu zaspokojonemu i zmęczonemu uczniowi odpocząć, wówczas zaczynał Hendrik w tym pokoju i wobec tej kobiety mówić o swojej żonie Barbarze.

To, co ukrył przed dyskretną, badawczą i zazdrosną ciekawością swojej przyjaciółki Heddy von Herzfeld, przed koleżeńskim zainteresowaniem towarzysza Ottona Ulrichsa, to wyznał czarnej Wenus, której wolno było nazywać go Heinzem; jej to wyspowiadał się, jak cierpi z powodu Barbary. Jedynie i wyłącznie wobec niej zmuszał się do szczerości. Nie zataił nic, nawet własnej hańby. Kiedy panna Martens dowiedziała się o jego fizycznej porażce, o małżeńskim blamażu, śmiała się ochryple, długo, serdecznie. Hendrik wił się, śmiech ten był cięższy do zniesienia niż najostrzejsze cięgi. Córa królewska patrzyła na niego z szdetczym grymasem.

— No, jeżeli tak, mój złociutki, jeśli tak się rzeczy mają, to nie możesz się spodziewać, żeby twoja ślicznotka traktowała cię z szacunkiem.

Opowiedział Julietcie o rannych przejażdżkach Barbary, na które reagował jak na stałą prowokację; skarżył się na jej wszystkie wymysły i ekstrawagancje:

— Z jajek na miękko przyrządza sobie koktajle z dziesięcioma ostrymi sosami i patrzy na mnie z góry, dlatego że jem jajko ze skorupki, jak każdy zwykły śmiertelnik! Wszystko w moim mieszkaniu musi wyglądać tak samo jak w domu jej ojca i babki. Dlatego nie pozwoliła, żebym przyjął małego Bocka za służącego; to bardzo pocziwy chłopak, szczerze mi oddany, z nim nie udałoby się jej zawrzeć przymierza przeciwko mnie. Ale nie zniosłaby w naszym domu człowieka, który byłby do mnie przywiązany. Wynajduje różne wykręty: twierdzi, że mały Bock nie potrafiłby utrzymać mieszkania w czystości. W dodatku wcale go nie zna, a on przecież od roku usługuje mi w garderobie i mogę przysiąc, że to uosobienie ładu i porządku. Zamiast niego mamy więc jakąś niesympatyczną starszą osobę, która była przez dwadzieścia lat pokojówką na wsi u generałowej: byleby się nic nie zmieniło w trybie życia jaśnie pani.

Czarna Wenus wysłuchiwała tego wszystkiego cierpliwie. Przyjęła także do wiadomości, że Barbara bywa w najlepszych domach w Hamburgu. — U radców i dyrektorów banku — mówił Hendrik z nienawiścią; jego, aktora Hófgena, w ogóle się nie zaprasza albo w pogardliwy, zmuszający do odmowy sposób „doprasza”. Barbara bywała w różnych miejscach, które jemu wydawały się obce i wrogie: w audytoriach uniwersyteckich czy też salonach. Nawet jej rozległa, szeroko rozgałęziona korespondencja przyprawiała go o irytację. Wciąż pisała albo dostawała listy, Hendrik nie wiedział nawet, kim są ci ludzie, z którymi utrzymuje tak zażyłe stosunki; skarżył się na to przed czarną Wenus. Czy Julietta nie jest także zdania, że długie epistoły, które Barbara wysyła do ojca, do generałowej albo do nieszczęsnego przyjaciela młodości, Sebastiana, zawierają przede wszystkim wiadomości poniżające jego, Hendrika? Księżniczka Tebab nie mogła i nie chciała zaprzeczyć podobnej możliwości.

— Z pewnością kpi sobie ze mnie w listach! — wykrzyknął Hendrik podniecony. — Gdyby miała czyste sumienie, byłaby mi na pewno choć raz pokazała jedną z tyłu odpowiedzi, które odbiera, ale nigdy mi nawet nie da zajrzeć.

Ta okoliczność wydawała się Hendrikowi dlatego tak przykra i zastanawiająca, że on ze swej strony często pokazywał Barbarze listy, które odbiera! od matki.

— Ale nigdy już tego nie zrobię — oświadczył stanowczo ciemnonolicyj córce królewskiej. — Dlaczego mam jej okazywać zaufanie, jeżeli ona ze wszystkim się przede mną kryje? W dodatku jest tak bezczelna, że wyśmiewa się z listów mojej matki.

Rzeczywiście, Barbara ubawiła się serdecznie, kiedy Hendrik pokazał jej list, w którym pani Hófgen donosiła mu o zerwaniu ostatnich zaręczyn Josy.

„Naturalnie, bardzo się wszyscy cieszymy, że się ta cała sprawa tak dobrze skończyła” — pisała biedna mama. To zdanie właśnie rozśmieszyło Barbarę, zresztą Hendrik także szczerze dzielił jej wesołość; wtedy ów ustęp listu wydał mu się równie śmieszny jak Barbarze. Później dopiero ogarnął go gniew, który teraz wylewał przed czarną Wenus z irytacją i skargą w głosie.

— Jeśli chodzi o jej rodzinę, wszystko jest święte! — wykrzyknął. — O pani generałowej i jej lornionie nie wolno słowa powiedzieć. Ale z mojej matki się śmieje.

Takimi to opowiadaniem i lamentami kończyły się wizyty w mrocznym pokoiku Julietty na poddaszu. Hendrik, zanim położył pięć marek na stoliku, powiedział swojej księżniczce, że kocha ją znacznie bardziej niż Barbarę.

— To nieprawda — odpowiedziała Julietta spokojnym głosem. — Znowu kłamiesz.

Hendrik uśmiechnął się na to wymownym, bolesnym, szyderczym, marzycielskim uśmiechem.

— Kłamię? — zapytał cicho. I zaraz potem, z głową podniesioną w górę, powiedział donośnym głosem: — No, muszę już iść do teatru.

Próby nowej inscenizacji *Snu nocy letniej*, w której Hendrik grał króla elfów Oberona, oraz przygotowania do wielkiej rewii były ważniejsze i bardziej podniecające od skomplikowanego, a zarazem jałowego problemu, którą więcej kocha: Barbarę czy Juliettę.

— My, artyści, nie możemy sobie na to pozwolić, aby sprawy osobiste odwoływały nas od naszej pracy, nie mamy do tego prawa — tłumaczył swej przyjaciółce Heddzie. — Osta-

teczenie, jesteśmy przede wszystkim artystami — zawyrokowałam, a twarz jego wyrażała równocześnie dumę, pewność zwycięstwa i cierpienie.

Barbara, która spędzała dni na sportach, lekturze, nad rysunkami, korespondencją lub w aulach uniwersyteckich, przychodziła czasem pod wieczór do teatru po Hendrika. Niekiedy zatrzymywała się godzinę w garderobie albo w knajpcie teatralnej, na co zresztą Hendrik patrzył niezbyt chętnym okiem. Ponieważ podejrzewał żonę, że usiłuje podjudzić przeciwko niemu kolegów, nie chciał za żadną cenę dopuścić do zacieśnienia kontaktów pomiędzy nią a zespołem Teatru Artystycznego. Na próżno starała się Barbara, by jej powierzono dekoracje chociażby jednej z wielu nowych inscenizacji, jakie w ciągu zimy wystawiano. Hendrik przyrzekał stale, że postara się u dyrekcji o zamówienie dla niej, i stale powracał z odpowiedzią, że dyrektorzy Schmitz i Kroge nie mieliby nic przeciwko temu, wszystko jednak rozbija się o opór pani von Herzfeld.

To twierdzenie nie było całkowicie wyssane z palca. Istotnie, Hedda była zawsze w opozycji, skoro zaczynano mówić o Barbarze. Rozżalenie i zazdrość sprawiały, że ta mądra kobieta stawała się złą i niesprawiedliwą. Nie mogła darować Barbarze, że Hendrik się z nią ożenił. Pani von Herzfeld nie była z pewnością nigdy tak szalona, aby żywić jakieś nadzieje na związek z Hendrikiem. Znała specyficzne gusta ukochanego, ponury i upokarzający stosunek łączący go z księżniczką Tebab nie był dla niej tajemnicą. Rola, którą musiała się zadowolić i którą się przez długie lata zadowalała, była to rola siostrzanej przyjaciółki i powiernicy. I tę właśnie rolę chciała jej odebrać Barbara. Hedda tryumfowała, że rywalka nie potrafiła tej godnej pozazdroszczenia roli wypełnić w sposób zadowalający. Wprawdzie Hendrik nie powiedział tego otwarcie, ale wysubtelnionym instynktem zazdrosnej kobiety odgadła, jak się rzeczy mają. Pani von Herzfeld wiedziała, jaka była tego przyczyna: córka radcy miała zbyt wielkie wymagania. Trzeba było zrezygnować z własnych ambicji, jeśli się chciało żyć w zgodzie z Hendrikiem Höfgenem. Bo taki człowiek jak on myślał przede wszystkim o sobie. Barbara natomiast wymagała, spodziewała się czegoś od niego. Miała pretensje do szczęścia. Tu pani von Herzfeld

rozeźmiała się szyderczo. Czyż ta arogantka tego nie rozumie? Jedynym szczęściem, jakie zapewnić mogą mężczyźni typu Hendrika Hofgena, jest ich podniecająca obecność, ich czarująca bliskość...

Podobnych uczuć doznawała Angelika Siebert. Ale to wdzięczne i subtelne stworzenie umiało, jeśli chodziło o Hendrika, zdobyć się na jeszcze więcej rezygnacji niż starzejąca się pani von Herzfeld. Małżonkę Hofgena, Barbarę, traktowała z nieśmiałym szacunkiem. Kiedy ta godna zazdrości istota upuszczała chusteczkę do nosa, Angelika schylała się szybko, aby ją podnieść. Barbara dziękowała jej wówczas nieco zdziwiona, mała Angelika zaś rumieniła się, uśmiechała bezradnie i mrużyła lękliwie swoje oczy krótkowidza.

Jeżeli stosunki Barbary z panią von Herzfeld i Angeliką, obu beznadziejnie zakochanymi w Hendriku kobietami, były skomplikowane i uciążliwe, to tym łatwiej i serdeczniej układały się one, jeśli chodzi o pozostałe panie z zespołu. Z Hildą Motz rozprawiała zawsze długo na temat cen artykułów żywnościowych, krawcowych i wad mężczyzn w ogóle, zaś aktora charakterystycznego Petersena w szczególności. Barbara umiała tak cierpliwie słuchać wynurzeń zacnej i pełnej temperamentu kobiety, że Hilda Motz doszła do wniosku, któremu chętnie dawała głośny wyraz, że młoda pani Höfgen ro „klasa”. Rachela Mohrenwitz podzielała całkowicie jej zdanie: Barbara nie używała nawet szminki ani nie miała pretensji, aby wyglądać demonicznie, nie mogła więc stanowić nigdy konkurencji dla „perwersyjnej” Racheli.

Zarówno Petersen, jak Rolf Bonetti mówili o młodej żonie Hendrika, że to „morowa baba”; stary Hansemann żywił dla niej mrukliwą życzliwość, ponieważ płaciła regularnie rachunki; portier Knurr salutował jej po wojskowemu, gdyż wiedział, że jest córką tajnego radcy; dyrektorzy Schmitz i Kroge chętnie z nią rozmawiali. Schmitz zadowalał się zrazu żarcikami dobrodusznego wujaszka, zaprawionymi odrobiną kokieterii, wkrótce jednak pomiarkował, że Barbara słucha z rozumnym zainteresowaniem, gdy wspomni o kłopotach finansowych teatru, toteż począł ją wciągać w długie rozmowy na ten temat, zawsze aktualny, zawsze przysparzający tyle trosk. Oskar Kroge ze swej strony zwierzał się jej, że boleje nad wątpliwą wartością repertuarem Teatru Artystycznego. Stary

bojownik o teatr intelektualny patrzył ze zgrozą, jak na jego scenie farsy i operetki wypierają poważne sztuki. Za tak pożałowania godny stan rzeczy ponosił odpowiedzialność nie tylko Schmitz, który przy doborze sztuk musiał się kierować ich przypuszczalną kasowością; odpowiedzialność za obniżenie poziomu literackiego ponosił także Hófggen, choć to brzmi może paradoksalnie. Prowadził o Teatrze Rewolucyjnym, a reżyserował głupie sztuki salonowe. Teatr Rewolucyjny, który dotąd nie został otwarty, służył mu jako pretekst do wystawiania sztuk kasowych. Kroge, pomimo zasadniczych uprzedzeń do komunizmu, teraz już gorąco pragnął otwarcia projektowanego studia, miało bowiem ono wnieść do teatru nie tylko rewolucyjnego, lecz i literackiego ducha. Hendrik jednak twierdził z podziwu godną elokwencją, że Teatr Artystyczny winien koniecznie przez widowiska lżejsze i przypadające do gustu szerokich kół stać się ulubiecem prasy i publiczności, zanim odważy się wystąpić z Teatrem Rewolucyjnym. Otto Ulrichs — cierpliwy i skłonny do entuzjazmu — wierzył może tym argumentom swego najlepszego przyjaciela. Barbara natomiast była bardziej sceptyczna i mniej pobłażliwa.

Lubiła rozmawiać z Ulrichsem; imponowała jej bezkompromisowość i prostota jego rozumowania. Ona sama była nadal skłonna do powątpiewania, zresztą zastrzegła zawsze, że nie zna się ani trochę na polityce, co Hendrik drwiąco potwierdzał.

— Nie masz najmniejszego pojęcia, nie domyślasz się nawet doniosłości tych spraw — mawiał robiąc przy tym charakterystyczną minę surowej guwernantki. — Wszystko traktujesz jak zabawkę, z chłodnym zaciekawieniem. Wiara rewolucyjna jest dla ciebie ciekawym zjawiskiem psychologicznym. Dla nas zaś jest ona najświętszą treścią życia.

Tak mówił Hendrik. Otto Ulrichs, który połowę swego czasu i dochodu poświęcał robocie politycznej, zdawał się znacznie mniej surowy. Przemawiał do Barbary tonem nieco ojcowskim, pouczającym, ale pełnym sympatii.

— I pani znajdzie drogę do nas, Barbaro, na pewno — mówił przyjaźnie i z ufnością. — Już dziś wie pani przecież, że po naszej stronie jest prawda, że do nas należy przyszłość. Pani się tylko troszkę boi do tego przyznać i wyciągnąć z tego należyte wnioski.

— Może to i prawda, że się troszkę boję — uśmiechała się Barbara.

Nie mogła się jednakże nadziwić cierpliwej dobroduszości, z jaką Ulrichs pozwalał Hófggenowi odwlekać otwarcie Teatru Rewolucyjnego. Ona zaś starała się wyrzucić presję, do czego miała swój osobisty, egoistyczny powód: chciała nazkicować projekt dekoracji do pierwszej sztuki z cyklu rewolucyjnego.

— To nie moja sprawa — powtarzała prawie co dzień Hendrikowi — i nie należę do tych, dla których wiara w rewolucję światową jest treścią życia. Ale wstyd mi za ciebie, Hendriku, jeżeli wkrótce nie weźmiesz się do rzeczy — ośmieszysz się.

Twarz Hendrika stawała się blada, zamknięta na cztery spusty. Tylko oczy płonęły — nie przez kokieterię, lecz z gniewu. Odpowiadał z niebywałą wyniosłością:

— To są dyletanckie rozważania. Jesteś kompletną ignorantką w zagadnieniach taktyki rewolucyjnej.

Jego zaś taktyka rewolucyjna polegała na tym, że co dzień wynajdywał nowe wybiegi, żeby nie rozpoczynać prób Teatru Rewolucyjnego. Jednakże, chcąc uczynić coś dla dobra rewolucji światowej, zdecydował się nagle wygłosić odczyt *O teatrze współczesnym i jego obowiązkach moralnych*. Oskara Kroge temat ten zawsze jednakowo entuzjasmował, oddał więc Hófggenowi do dyspozycji Teatr Artystyczny któreś niedzieli przed południem. Odczyt Hendrika był to bardzo zręczny zlepek zaczerpnięty częściowo ze słownictwa jego dyrektora-entuzjasty, częściowo ze skarbicy Ottona Ulrichsa. Powstało z tego patetyczne i nie zobowiązujące przemówienie, w którym zarówno liberalnie nastroszeni słuchacze, jak i marksistowsko-rewolucyjna młodzież zasiadająca w krzesłach parterowych odnajdywali swoje ulubione slogany. Na zakończenie wszyscy klaskali i prawie wszyscy byli przekonani o rzetelnej dobrej woli Hendrika tak w dziedzinie polityki, jak i sztuki; zostało to nazajutrz obszernie skomentowane i potwierdzone przez krytyków prasowych.

Hendrik Hófggen czekał właśnie na to potwierdzenie.

— Teraz sytuacja dojrzała, możemy zacząć działać — skonstatował i zamienił konspiratorskie spojrzenia z Ulrichsem. Ustalono termin pierwszej próby Teatru Rewolucyj-

nego. Co prawda, nie rozpoczęto pracy nad ową radykalną sztuką, którą wyszukano w zeszłym roku. Hendrik zdecydował się — w ostatniej chwili i ze względów taktycznych — na tragedię wojenną, której trzy ponure akty przedstawiały zimę 1917 roku i jej niedole w jednym z wielkich miast niemieckich; charakter sztuki był raczej ogólnie pacyfistyczny i nie zdradzał bynajmniej tendencji wyraźnie socjalistycznych. Barbara zrobiła projekt dekoracji: ciemny pokój, szara ulica, rząd kobiet stojących w kolejce po chleb. Otto Ulrichs i Hedda von Herzfeld mieli grać główne role.

Höfgen, reżyser, wykazał wielki rozmach podczas pierwszej próby. Kiedy z opanowanym, dyskretnym patosem zadeklamował mowę oskarżycielską, którą pani von Herzfeld miała wygłosić pod koniec trzeciego aktu w roli tragicznej matki, Otto Ulrichs ocierał oczy ukradkiem, a nawet Barbara była pod silnym wrażeniem. Na drugiej próbie wszakże schwyciła Hendrika nerwowa chryпка, na trzecią przyszedł kulejąc. Prawe kolano mu raptem zeszczywniało, skarżył się, że nie może go wcale zginać. Na czwartej ukazał się z twarzą pobladłą i tak wściekłą, że wszyscy się go przestraszyli, nie bezpodstawnie, jak się potem okazało. Był w strasznym humorze, powiedział pani von Herzfeld, że jest „głupia gęś”, i zagroził suflerce, pannie Efeu, że ją zwolni bez odszkodowania.

— Pani sabotuje naszą pracę! — krzyczał. — Myśli pani, że nie wiem dlaczego? Prawdopodobnie zachęcili panią do tego przyjaciele partyjni pana Miklasa. Ale my was ukroćmy: panią, tego pani Miklasa, tego łajdaka Knurra i całą tę przeklętą bandę, zapamiętajcie to sobie!

Biednej pannie Efeu nie pomogły Izy ani zapewnienia o swojej niewinności.

Po tej próbie, która wszystkim uczestnikom pozostawiła bardzo przykre wspomnienie, Höfgen położył się do łóżka i dostał żółtaczkę. Przez dwa tygodnie nie przestąpił progu teatru. Ulrichs, Bonetti i Hans Miklas dzielili się jego popisowymi rolami. Po powrocie do zdrowia wyglądał nadal bardzo mizernie, był wyczerpany, a jego oczy, lśniąco zazwyczaj jak klejnoty, powlekała żółtawa mgiełka. Otwarcie Teatru Rewolucyjnego zostało odłożone na czas nieograniczony: lekarz zabronił kategorycznie panu Höfgenowi zajmowania się jaką-

kolwiek pracą poza sprawami bieżącymi i nie cierpiącymi zwłoki.

W zespole Teatru Artystycznego znalazł się przynajmniej jeden człowiek, który był uradowany z takiego obrotu rzeczy: Hans Miklas promieniał i tryumfował.

— Wiedziałem z góry, że cała historia z tym tak zwanym Teatrem Rewolucyjnym to ordynarny szwindel! — oświadczył głośno w knajpce teatralnej i nawet karcące spojrzenia pani von Herzfeld nie mogły go powstrzymać od kilkakrotnego powtórzenia tego zdania. Jego przekorna twarz zdawała się jaśnieć niezwykłą radością, jaką mu sprawiało fiasko Teatru Rewolucyjnego; przez cały dzień był w świetnym humorze, gwizdał i nucił, znikły czarne doły w policzkach, nie kasłał i zaprosił nawet pannę Efeu na wódkę.

Pocziwa kobiecina powiedziała:

— Chłopcze, tobie się dziś naprawdę w głowie pomieszało!

Ten pomyślny incydent tylko przelotnie wprawił Miklasa w tak dobry humor; poprawa nie była trwała. Już nazajutrz miał twarz złą i zawziętą, czarne doły w policzkach wystąpiły znowu, a kaszel brzmiał zatrwajająco.

„Jak on nas wszystkich nienawidzi!” — myślała Barbara, która go obserwowała. Potrafiła ocenić ponury wdzięk źle wychowanego chłopca. Jego twarz o jasnym czole ocienionym gęstą szopą niesfornych włosów, ciemnych obwódkach dokoła przekornych oczu i odpychająco wywiniętych, lśniących niezdrawą czerwienią wargach budziła w niej żywszą sympatię niż znużona własną próżnością mina pięknego Rolfa Bonettiego. W szczupłej, sprężystej postaci młodego Miklasa, w jego wytrenowanym, giętkim, dumnym ciele było coś, co wzruszało Barbarę. Toteż starała się niekiedy wciągnąć młodzieńca w rozmowę. Zrazu traktował ją — żonę znenawidzonego szefa — z zaciętą nieufnością. Stopniowo jednak udało się Barbarze usposobić go życzliwiej dla siebie, zdobyć jego zaufanie. Zapraszała go czasem na piwo i kanapki do knajpki teatralnej — była to atencja, którą Miklas bardzo sobie cenił. Zwłaszcza kiedy Barbara gniewała się o coś na Hendrika, sprawiała jej przyjemność rozmowa z tym złośliwym chłopcem.

— Może pozwolimy sobie znów na buntowniczy wieczór? — proponowała mu wówczas, on zaś chętnie przyjmował

zaproszenie. By) zawsze gotów na spędzenie buntowniczego wieczoru, zwłaszcza jeżeli mu w dodatku fundowano piwo i kawałek mięsa.

Z zainteresowaniem pomieszaniem z trwogą słuchała Barbara, kiedy Hans Miklas opowiadał jej o tym, co kocha, i o tym, czego nienawidzi. Nigdy jeszcze nie siedziała przy jednym stole z człowiekiem, który by przyznawał się do podobnych poglądów i pojęć, jakie ten chłopiec z fanatyzmem wygłaszał. Zrozumiała, że pogardza i brzydzi się wszystkim, co jej samej, jej ojcu lub jej przyjacielom jest drogie i niezbędne. Co on ma na myśli, kiedy oskarża gwałtownie „przeklęty liberalizm” albo wyszydza „pewne żydowskie i zażydzone koła”, przez które, jego zdaniem, „niemiecka kultura schodzi na psy”.

„Przecież on ma na myśli wszystko to, co zawsze kochałam, w co wierzyłam; kiedy mówi «to żydostwo», ma na myśli ducha i wolność.”

Przestraszyła się do głębi. Jednak ciekawość zmuszała ją do prowadzenia dalej rozmowy, mimo że w jej pojęciu była to czysta fantazja. Miała wrażenie, że z cywilizowanej sfery, do której nawykła, przeniesiono ją w całkiem odmienną, obcą i barbarzyńską.

Czym entuzjazmował się Hans Miklas, to zagadkowe stworzenie? Jakież to idee, jakie ideały rozpałały w nim tak agresywny zapał? Marzył o jakiejś „wolnej od Żydów kulturze niemieckiej”. Barbara kiwała głową, zdziwiona. Kiedy osobliwy rozmówca wyłuszczał kolejno, że „haniebny traktat wersalski trzeba podrzeć na strzępy”, że „naród niemiecki musi być zdolny do obrony”, oczy mu płonęły i nawet od jego czoła bił blask.

— Nasz fuhrer przywróci honor narodowi niemieckiemu! — wykrzykiwał. Głos mu ochrypł; potrzasał czupryną, pewien zwycięstwa. — Nie zniesiemy dłużej tej haniebnej republiki, którą zagranica pogardza. Chcemy odzyskać honor, każdy uczciwy Niemiec tego żąda, a uczciwi Niemcy są wszędzie, nawet tu, w tym bolszewickim teatrze. Gdyby pani słyszała, co mówi pan Knurr, kiedy się nie boi, że go ktoś podsłuchuje. Stracił trzech synów na wojnie, ale powiada, że to nie jest jeszcze najgorsze, gorzej, że Niemcy straciły honor, i właśnie ów honor może nam zwrócić fuhrer, tylko fuhrer!

Barbara myślała w duchu:

„Dlaczego on się tak zaperza, kiedy mówi o honorze Niemiec? Co właściwie rozumie pod tym nieścisłym określeniem? Czy to dla niego naprawdę takie strasznie ważne, żeby Niemcy miały znów czołgi i łodzie podwodne? Powinien się najpierw pozbyć tego okropnego kaszlu, zdobyć sobie powodzenie w jakiejś ładnej roli, trochę lepiej zarabiać, żeby móc się co dzień najeść do syta. Z pewnością jada za mało, a za dużo pracuje — jest niewątpliwie bardzo wyczerpany.”

Zapytała, czy chciałby jeszcze zjeść bułkę z szynką; kiwnął głową przelotnie i marzył dalej:

— Przyjdzie ów dzień! Nasz ruch musi zwyciężyć!

Podobne słowa pełne entuzjastycznej ufności słyszała Barbara niedawno z ust Ottona Ułrichsa. Temu nie odważyła się zaprzeczyć — jej rozum zarówno jak uczucie były niemal całkowicie przekonane o słuszności jego mądrej i płomiennej wiary; natomiast Hansowi odpowiedziała:

— Gdyby Niemcy miały naprawdę stać się takie, jak pan i pańscy przyjaciele tego pragną, wówczas wolałabym nie mieć nic wspólnego z moją ojczyzną. Wówczas wyjechałabym stąd — oświadczyła Barbara uśmiechając się do Miklasa w zamyśleniu, ale bez niechęci.

On jednak rozpromienił się:

— Pewnie! Różni państwo sobie stąd wyjadą, to znaczy, o ile im na to pozwolimy i nie wsadzimy pierwej do paki! Wtedy my będziemy u władzy! Wtedy wreszcie Niemcy będą mieli znowu coś do powiedzenia w Niemczech!

Z grzywą rozwichrzonych włosów i błyszczącymi oczami wyglądał teraz na egzaltowanego szesnastolatka. Barbara nie mogła zaprzeczyć, że jej się ten chłopiec podoba, chociaż każde jego słowo było dla niej obce i odpychające. Z elokwencją, chwilami nieco zagmatwaną, lecz mimo to sugestywną, tłumaczył jej, że wiara, o którą walczy, jest w gruncie rzeczy wiarą rewolucyjną.

— Kiedy nadejdzie ów dzień i nasz fuhrer obejmie całą władzę, wówczas koniec z kapitalizmem i rządami bonzów; wyzysk zostanie zniesiony, wielkie banki i giełdy, które dziś wysysają soki z gospodarki narodowej, mogą zamknąć budę; nikt po nich płakać nie będzie!

Barbara zapytała, dlaczego Miklas nie przyłączy się do komunistów, skoro jest przeciwko kapitalizmowi. Miklas

objaśni! skwapliwie, jak dziecko wydające wyuczoną na pamięć lekcję:

— Dlatego że komuniści nic uznają miłości ojczyzny, bo są internacjonalistami zależnymi od Żydów rosyjskich. Nie mają też pojęcia o idealizmie, wszyscy marksiści myślą, że w życiu chodzi tylko o pieniądze. My chcemy naszej własnej rewolucji, naszej niemieckiej, idealistycznej rewolucji, nie tej, którą rządzą masoni i mędrcy Syjonu!

Tu zwróciła Barbara uwagę rozgorączkowanemu chłopcu, że jego fiihrer, który chce zniweczyć kapitalizm, dostaje bardzo dużo pieniędzy od ciężkiego przemysłu i obszarników, na co Miklas się rozgniewał i odpar! ostro, że podobne insynuacje to „typowo żydowskie szczucie”. Dyskutowali w ten sposób do późna w noc i Barbara przysłuchiwała się przekornemu chłopcu ironicznie, łagodnie i z zaciekawieniem, starając się przemówić mu do rozsądku. On jednak z dziecięcym uporem trwa! ptzy swojej krwiożerczej wierze w świętą naukę o rasizmie, o zniesieniu wyzysku i o rewolucji idealistycznej. Suflerka, panna Efeu, która obserwowała zatopioną w rozmowie parę zazdrosnym okiem, szepnęła Knurrowi do ucha:

— Pani Hófggen zagięła parol na mego chłopca — tego mi tylko brakowało. Pani Hófggen chce mi zabrać mego chłopca...

Tej samej nocy zrobiła panna Efeu straszną scenę Hansowi, Barbara natomiast miała bardzo przykre przejście z mężem; Hendrik wściekał się „nie przez drobnomieszczańską zazdrość mężowską” — jak nie omieszka! zaznaczyć — ale raczej ze względów politycznych.

— Któż to widział siedzieć z takim łajdakiem, narodowym socjalistą, cały wieczór przy stoliku! — krzyczał trzęsąc się ze złości.

Barbara zaprotestowała; jej zdaniem Hans Miklas wcale nie jest łajdakiem. Hendrik odpar! ostro:

— Wszyscy narodowi socjaliści to łajdaki. Człowiek się kała, kiedy się z którymś z nich zadaje. Przykro mi, że nie masz dość rozsądku, aby to zrozumieć. Zepsuły cię tradycje liberalizmu pokutujące w twoim domu. Nie masz żadnych określonych poglądów, tylko jakąś niezdrową ciekawość.

Stał wyprostowany na środku pokoju, ściśle odmierzonym słowom towarzyszyły nerwowe, kanciaste ruchy ramion.

Barbara odrzekła cicho:

— Przyznaję, że żał mi tego chłopca i że mnie trochę interesuje. Jest chory i ambitny, i nie dojada. Ty i twoja przyjaciółka pani von Herzfeld, w ogóle wy wszyscy bardzo go źle traktujecie. Ten chłopiec szuka czegoś, czego by mógł się uchwycić i stanąć na nogi. W ten sposób popadł w obłąd, który z taką dumą nazywa idea...

Hendrik parsknął szyderczym śmiechem.

— Ileż ty masz zrozumienia dla tego łobuza! Źle go traktujemy! To znakomite! Aż posłuchać miło! Czy ty sobie wcale nie zdajesz sprawy, jak by on i jego przyjaciele nas traktowali, gdyby ta zgraja doszła do władzy?

Hendrik pochylił tors ku przodowi, podparł się pod boki; stawał pytania natarczywie i z wściekłością.

Barbara odpowiedziała powoła, nie patrząc na niego:

— Niech nas Pan Bóg broni, żeby ci szaleńcy mieli kiedykolwiek dojść do władzy. Nie chciałabym wówczas mieszkać w tym kraju.

Wzdrygnęła się, jak gdyby poczuła już ohydne dotknięcie brutalności i kłamstwa, które zapanowałyby w Niemczech, gdyby narodowi socjaliści doszli do władzy.

— To piekło... — powiedziała trzęsąc się ze zgrozy. — To piekło sięga po władzę...

— A ty zasiadasz z nim przy stoliku i gawędzisz sobie w najlepsze. — Hendrik chodził wielkimi krokami po pokoju z miną tryumfatora. — Oto do czego doprowadza szlachetna tolerancja mieszczańska. Chcą mieć zawsze subtelne zrozumienie śmiertelnego wroga, to znaczy tego, co dziś jeszcze nazywamy śmiertelnym wrogiem. Jeśli o ciebie chodzi, moja droga, spodziewam się, że byś z tym piekłem była w doskonałej komitywie, gdyby kiedyś miało przyjść do władzy: byłabyś zdolna znaleźć cechy interesujące nawet w terrorze faszystowskim. Wasz liberalizm doszedłby wkrótce do ładu z dyktaturą narodową. Tylko my, wojujący rewolucjoniści, jesteśmy jej śmiertelnymi wrogami i tylko my zdołamy przeszkodzić jej zwycięstwu.

Przechadzał się po pokoju, zadzierzysty jak kogut, oczy jego lśniły ekstazą, broda sterczała dumnie w górę. Barbara natomiast stała bez ruchu. Gdyby Hendrik spojrzął na żonę w tej chwili, przestraszyłby się powagi zastygłej na jej twarzy.

• — A więc myślisz, że bym poszła na kompromis — powiedziałam głosem niemal bezdźwięcznym. — Sądziś, że bym się pogodziła — pogodziła ze śmiertelnym wrogiem?

W kilka dni potem doszło pomiędzy Hendrikiem i Miklasem do scysji; skończyło się na tym, że Hófggen przeforsował w dyrekcji Teatru Artystycznego niezwłoczne zwolnienie młodego aktora. Powód katastrofy, która była tryumfem dla Hendrika, dla Hansa Miklasa natomiast okazała się fatalna i druzgocąca — zdawał się na p02Ór błaży.

Hendrik był tego wieczoru w złotym humorze, jakiś chochlik w niego wstąpił, tryskał istic nadreńską wesołością i zadziwiał rozbawionych, a zarazem pełnych podziwu kolegów coraz to nowymi żartami i dowcipami. Ponieważ w gazetach czytywał gruntownie tylko wiadomości teatralne, interesował się żywo tylko sprawami dotyczącymi teatru, znał więc na wrywki zespoły wszystkich niemieckich scen komediowych, operowych, operetkowych; jego wyćwiczona pamięć potrafiła zapamiętać nazwisko drugiej śpiewaczki koniraltowej w Królewcu, jak również „zasłużonej weteranki” grywającej role salonowe w Halle nad Saalą. Wiele było zabawy i śmiechu, kiedy Hendrik zachęcił kolegów do przeegzaminowania go z tej osobliwej wiedzy. Odpowiadał natychmiast na pytanie: „Kto gra role młodych lekkoduchów w Halberstadzie?” Nie zawahał się ani chwili, gdy ktoś się zainteresował: „Gdzie też została chwilowo zaangażowana pani Turkheim-Gavernitz?” — „Do Heidelbergu, do ról charakterystycznych” — odpowiadał z punktu, jak gdyby to rozumiało się samo przez się.

Starcie z Miklasem wywołało pytanie kogoś z obecnych:

— Proszę mi powiedzieć, kto jest pierwszą naiwną w Teatrze Miejskim w Jenie?

Hendrik odrzekł bez namysłu:

— Jakaś głupia krowa. Nazywa się Lotta Lindenthal.

Na to wtrącił się Miklas, który trzymał się na uboczu i nie śmiał się wraz z innymi:

— Dlaczego, zdaniem pana, Lotta Lindenthal jest głupią krową?

Hófggen odparł lodowatym tonem:

— Nie wiem dlaczego, ale tak jest.

Miklas powiedział ochryplym, przyciszonym głosem:

— Ale ja za to wiem i mogę panu powiedzieć, panie Hófggen, dlaczego pan tę właśnie panią chce obrazić: bo pan dobrze wie, że jest ona przyjaciółką jednego z naszych przywódców natodowosocjalistycznych, a mianowicie naszego bohaterskiego lotnika...

Tu przerwał mu Hófggen bębniąc głośno palcami o stół; twarz jego aż skamieniała z buty.

— Nazwisko i tytuł gacha panny Lindenthal mało mnie interesują — rzeki nie zaszczyciwszy Miklasa ani jednym spojrzeniem. — Zresztą usłyszeliśmy chyba długą listę. Panna Lindenthal zabawia się nie tylko z tym oficerem lotnictwa.

Miklas z zaciśniętymi pięściami i wysuniętą naprzód głową stał w postawie gotowej do walki niby ulicznik, który lada chwila weźmie się za bary z przeciwnikiem. Spod pochylonego czoła jasne oczy zdawały się ośleplę ze złości.

— Wara! — ryknął i wszyscy na sali przerazili się tego zuchwalstwa. — Nie ścierpię, by obrażano publicznie kobietę tylko dlatego, że należy do NSDAP i że jest przyjaciółką niemieckiego bohatera. Nie ścierpię!!! — zazgrzyta! zębami i groźnie postąpił naprzód o kilka kroków.

— Nie ścierpi pan! — powtórzył Hendrik i uśmiechnął się szatańsko. — Ejże! — dodał szydyczko.

Miklas tym razem już naprawdę chciał rzucić się na niego. Ale powstrzymał go Otto Ulrichs, który mocno złapał go za ramiona.

— Urznąłeś się chyba! — krzyczał Ulrichs potrząsając Miklasem. Chłopak wykrztusił:

— Nie jestem urznięty, przeciwnie! Ale może ja jeden w tej budzie mam jeszcze jakieś resztki honoru w sercu! Nikt w tym zażydzonej środowisku nie widzi nic złego, kiedy lżą kobietę w jego obecności...

— Dość!!! — Ten metalicznie brzmiący okrzyk wydarł się z ust Hófggena, który stał wyprostowany jak struna. Wszyscy patrzyli na niego. Mówił z przerażającą powolnością:

— Jestem gotów uwierzyć, mój drogi, że pan teraz nie jest urznięty. Nie będzie się pan mógł powoływać na okoliczności łagodzące. Ale proszę mi wierzyć, niedługo już będzie pan zmuszony znosić to „zażydzone” środowisko.

I Höfgen opuścił knajpkę drobnym, sztywnym krokiem.

— Aż mróz człowiekowi przebiega po krzyżu — szepnęła Hilda Motz wśród pełnej szacunku ciszy.

Ale z jakiegoż to kąta dolatywał teraz cichy płacz? Suflerka, panna Efeu, oparła się ciężko o stół, a spomiędzy jej grubych palców płynęły łzy.

Kroge, który nie był świadkiem skandalicznego zajścia w knajpce teatralnej, nie od razu uległ życzeniu Höfgena, by oddalić niezwłocznie młodego aktora. Pani von Herzfeld i Hendrik użyli całej swej elokwencji, by rozproszyć jego prawne, polityczne i czysto ludzkie wątpliwości. Dyrektor kręcił głową zatroskany, marszczył czoło, chodził nerwowo po pokoju mrucząc:

— Może i macie rację, przyznaję, ten chłopak zachował się niedopuszczalnie. Ale mimo to wszystko się we mnie żyłymi na myśl, że mam pozbawionego środków do życia, chorego człowieka wyrzucić na bruk...

Hendrik i Hedda z zapałem poczuli go przekonywać, że ta niezdecydowana postawa, ta kompromisowość są diabłu podobne do niedołęznego, tchórzliwego stanowiska, jakie partie rządzące republiki weimarskiej zajmują wobec bezczelnego terroru narodowych socjalistów.

— Musimy pokazać tej zgrai morderców, że nie wolno im sobie na wszystko pozwalać.

To powiedziawszy Hendrik uderzył pięścią w stół.

Argumenty dwóch najbliższych współpracowników przekonały już niemal Krogego, kiedy, ku zdumieniu wszystkich obecnych, Miklas znalazł nowego rzecznika: był nim Otto Ulrichs, który nagle kazał się zameldować prosząc, by pozwolono mu wziąć udział w konferencji.

— Zaklinam was, nie róbcie tego! — nalegał. — Wydaje mi się, że ten chłopiec będzie już i tak dostatecznie ukarany, jeżeli nie dostanie engagement na następny sezon. Głuptas nie zastanowił się z pewnością nad tym, co tu wczoraj napłół. Każdemu może się zdarzyć, że go nerwy poniosą...

— Dziwi mnie — powiedział Hendrik i obrzucił swego przyjaciela Ottona karcącym spojrzeniem przez monokl. — Bardzo mnie dziwi, że ty, właśnie ty, mówisz w ten sposób.

Ulrichs gniewnie machnął ręką.

— Dobrze — powiedział — zostawny więc humanitarne względy na stronie. Przyznaję, że żał mi tego biedaka z tym jego kaszlem i ciemnymi dołami w policzkach. Jednakże z tak czysto osobistych pobudek nie byłbym się nigdy za nim ujmował — znasz mnie chyba dość dobrze, Hendriku, by w to nie wątpić. O mojej postawie decydują, jak zawsze, względy polityczne. Nie należy tworzyć męczenników. W obecnej sytuacji politycznej byłoby to wielkim błędem...

Hendrik wstał z krzesła.

— Przepraszam, że ci przerywam — powiedział z druzgocącą uprzejmością. — Jednakże dalsze prowadzenie tej niewątpliwie nader interesującej dysputy wydaje mi się bezcelowe. Sprawa jest prosta. Macie do wyboru: mnie albo pana Hansa Miklasa. Jeżeli on zostanie w tym teatrze — ja stąd ustąpię.

Powiedział to z tak uroczystą prostotą, że nie można było ani na chwilę wątpić w powagę jego słów. Stał przy stole opierając ciężar tułowia na rękach. Oczy miał spuszczone, wpatrywał się w rozczapierzone palce, jak gdyby przez wrodzoną skromność nie chciał wpływać na decyzję obecnych nieodpartą siłą swego wzroku.

Wszyscy drgnęli, kiedy te straszne słowa padły z ust Hendrika. Kroge zagryzł wargi; pani von Herzfeld nie mogła się opanować i przycisnęła dłonią bijące serce; dyrektor Schmitz zbladł: zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że po ucieczce efektownej Nicoletty von Niebuhr Teatr Artystyczny mógłby jeszcze utracić Höfgena, niezastąpionego Höfgena.

— Niech pan nie gada głupstw — szepnął dyrektor ocierając pot z czoła. I dodał swym zadziwiająco miękkim i przyjemnym głosem: — Proszę się uspokoić. Ten chłopak wyleci.

Miklas wyleciał. Kroge zdołał tylko przeforsować z wielkim trudem, i to dzięki gorliwemu poparciu Ulrichsa, by odprawiony młody aktor otrzymał dwumiesięczną gażę. Nikt nie wiedział, dokąd Miklas jedzie, nawet biedna panna Efeu nie zobaczyła go już więcej; od owego przykrego zajścia noga Hansa nie powstała w Teatrze Artystycznym — wycofał się pełen gniewu i znikł bez śladu.

Wyjechał więc Miklas, ofiara dziecinnej przekory i równie płomiennych, jak nie przemyślanych przekonań. Hendrik Höfgen rozprawił się z wicherzycielem, usunął krnąbrnego chłopca. Tryumf jego był zupełny, cały zespół Teatru Artystycznego, poczynając od Hildy Motz, a kończąc na Bocku, podziwiał go więcej niż kiedykolwiek. Maszyniści teatralni, komuniści, wychwalali jego energiczną postawę, gdy się schodzili w swojej piwiarni. Portier Knurr snuł się posępny, ze złowieszczą miną, nie śmiał jednak powiedzieć ani słowa i jeszcze staranniej chował swastykę pod klapą surduta. Kiedy jednak Höfgen pokazywał się w teatrze, z mroków dyżurki przeszywały go groźne spojrzenia, z których można było łatwo wyczytać pogroźkę: „Czekaj, ty przekłety bolszewiku, zrobimy z tobą porządek. Nasz fihrer i zbawca jest już w drodze. Dzień jego nadejścia się zbliża.”

Hendrikiem wstrząsał dreszcz, twarz mu kamieniała tworząc pełną pychy, nieprzeniknioną maskę — mijał go bez ukłonu.

Nikt już nie wątpił, że Höfgen zajmuje dominujące stanowisko: rej wodzi! w knajpce teatralnej, w gabinecie dyrekcji, na scenie. Podniesiono mu gażę do tysiąca pięciuset marek. Nie zadawał sobie teraz trudu: zamiast wpaść jak burza do gabinetu dyrektora Schmitza i długo się z nim droczyć, aby osiągnąć swój cel, zażądał podwyżki w paru krótkich słowach. Krogego i panią von Herzfeld traktował niemal jak podwładnych, Angeliki Siebert zdawał się w ogóle nie dostrzegać, gdy zaś przemawiał do Ottona Ulrichsa, do koleżeńskiego tonu wkładała się protekcyjnalna, prawie pogardliwa nuta.

W jego otoczeniu znajdowała się tylko jedna osoba, którą musiał jeszcze przekonać, zjednać sobie, uwieść. Nieufność, z jaką Barbara patrzyła na Hendrika, pogłębiła się i zaostrzyła od czasu zajścia z Miklasem. Hendrik wszakże nie znosił, by w jego bliskości przebywał ktoś, kto go nie podziwia i w niego nie wierzy. Obcość, jaka wkradła się pomiędzy niego i Barbarę, wzmogła się tej zimy. Hendrik rozpoczął więc na nowo zabiegi, by zdobyć żonę. Czy tylko próżność skłaniała go do rozwinięcia na nowo tak energicznych zalotów? A może inne uczucie zmuszało go do wypróbowania na Barbarze swej uwodzicielskiej siły? Nazwał ją kiedyś swoim „dobrym aniołem”. Tymczasem ów dobryanioł stał się wyrzutem sumienia.

Cicha dezaprobata Barbary rzucała cień na jego tryumfy. Cień ów należało usunąć za wszelką cenę, aby Hendrik mógł bez przeszkód rozkoszować się swoimi sukcesami. Starał się zjednać sobie Barbarę z równym niemal zapałem jak w pierwszych tygodniach znajomości. Nigdy nie tracił przy niej panowania nad sobą, zawsze miał w pogotowiu jakiś żart albo poważną rozmowę.

Chcąc, aby Barbara widziała go w chwilach najintensywniejszej pracy, w najbardziej olśniewających kreacjach, zachęcał ją, by częściej przychodziła na ważniejsze próby do teatru.

— Jestem pewien, że dasz mi niejedną cenną radę — powiedział tonem tak skromnym, że aż żałosnym, i zakrył powiekami oczy pełne blasku.

Pewnego razu, kiedy Hendrik prowadził próbę kostiumową operetki Offenbacha w nowym opracowaniu, Barbara weszła cicho na widownię i zasiadła w ostatnim rzędzie mrocznego parteru. Na scenie stały girlsy wyrzucając wysoko nogi i wykrzykując refren piosenki. Przed tym idealnie wyciągniętym frontem podskakiwała Angelika Siebert w przebraniu Amora ze śmiesznymi skrzydełkami przypiętymi do obnażonych ramion, z zawieszonym na szyi łukiem i kołczanem, i czerwono wymalowanym noskiem w bladej, zalęknionej, ładnej twarzyczce.

„Jakąż niekorzystną maskę Hendrik jej narzuca — myślała Barbara. — Melancholijny Amor.” Ukryta w swym ciemnym kącie poczuła coś niby sympatię dla biednej Angeliki, która tam na scenieskakała i podrygiwała. Może Barbara zrozumiała w tej chwili, że Hendrik jest przyczyną żałosnego i lęklivego wyrazu Angeliki.

Höfgen stał po prawej stronie sceny wyprostowany i sztywny niczym tyran, z szeroko rozpostartymi ramionami, i panował nad wszystkimi. Tupał nogą w rytm orkiestry, jego blada twarz fascynowała wyrazem bezgranicznej stanowczości.

— Stop! stop! stop! — wrzeszczał. Orkiestra nagle urwała, Barbara zaś przestraszyła się prawie tak bardzo jak girlsy, które stanęły bezradnie, i jak mała Angelika, Amor ze zmarzniętym noskiem, walcząca ze łzami.

Tymczasem reżyser wyskoczył na środek sceny.

— Macie otów w nogach! — krzyczał na girlsy, które smutnie zwiesiły głowy jak kwiaty ścięte mroźnym wiatrem. — Nie tańczycie przecież marsza pogrzebowego, tylko Offenbacha.

Skinał rozkazująco orkiestrze, a gdy znów zagrała, zaczął tańczyć sam. Patrząc na niego zapominało się, że to tańczy już prawie łysy pan w szarym, trochę znoszonym ubraniu spacerowym. Jakaż bezwstydną, jakaż podniecająca przemiana w biały dzień! Czyż nie był podobny do Dionizosa, boga pijaństwa, kiedy tak w ekstazie wymachiwał rękami i nogami? Widok ten zrobił na Barbarze wstrząsające wrażenie. Przed chwilą był Hendrik Höfgen wodzem, który gniewny, dumny, nieubłagany stał przed frontem swoich wojsk-chórzystek. Nagle, bez przejścia, wpadł w bachiczne szaleństwo. Jego bladą twarz wykrzywiały drgawki, lśniące oczy przewracały się w orbitach w ekstazie, z na pół otwartych warg rwały się ochryple wrzaski pożądania. Tańczył zresztą wspaniale, girlsy patrzyły z szacunkiem na niebywałą technikę, z jaką poruszał się w zapamiętaniu ich reżyser. Księżniczka Tebab byłaby dumna ze swego ucznia.

„Gdzie on się tego nauczył? — myślała Barbara. — I co on w tej chwili czuje? Czy on w ogóle teraz coś odczuwa? Pokazuje girlsom, jak mają fikać nogami. To są jego ekstazy...”

W tym samym momencie Hendrik przerwał swoje frenetyczne ćwiczenia. Młody urzędnik dykcji przeszedł na palcach przez widownię i wdrapał się na scenę. Dotknął delikatnie ramienia upojonego reżysera, szepcząc:

— Proszę mi darować, że panu przeszkadzam, panie Höfgen. Dyrektor Schmitz prosi, żeby pan zaakceptował projekt plakatu zapowiadającego premierę operetki — trzeba go niezwłocznie odesłać do drukarni.

Hendrik dał znak orkiestrze, stanął w niedbałej pozycji i włożył monokl w oko. Patrząc na tego człowieka, który teraz z miną surowego krytyka oglądał arkusz papieru, nikt nie byłby się domyślił, że jeszcze przed paru minutami członkami jego wstrząsał dionizyjski trans. Po chwili zgniół afisz w dłoni i krzyknął gniewnym skrzeczącym głosem:

— Trzeba to wszystko złożyć na nowo! Niestychane! Znowu błąd w moim imieniu! Czyż naprawdę nawet tu, w tej budzie, nie można nauczyć ludzi, żeby prawidłowo pisali moje

imię? Nie nazywam się Henrik! — To mówiąc cisnął ze złością afisz na ziemię. — Nazywam się Hendrik — zapamiętajcie to wreszcie: Hendrik Höfgen.

Młodzieniec z dykcji schylił głowę i wymamrotał coś o nowym zecerze, który przez nieświadomość dopuścił się tego niewybaczalnego błędu. Z szeregu girls doleciał leciutki chichot, zabrzmiał srebrzyście, jak gdyby ktoś poruszył delikatnie sznur dzwoneczków. Hendrik wyprostował się, a jego piorunujący wzrok zmusił dzwoneczki do milczenia.

VI

NA TO PO PROSTU NIE MA SŁOW

Hendrik Höfgen cierpiał czytając berlińskie gazety; serce mu się ścisnęło z zazdrości. Sukces, tryumf Dory Martin! W Teatrze Państwowym nowa inscenizacja *Hamleta*, w teatrze przy Schiffbauerdamm sensacyjna premiera... A on siedzi na prowincji! Stolica obchodzi się bez niego! Przedsiębiorstwa filmowe, wielkie teatry nie dobijają się o niego. Nikt go nie wzywał. Nazwisko jego byto w Berlinie nie znane. A jeżeli je czasem wymienił korespondent jakiejś berlińskiej gazety, to z pewnością przekręcił: „W roli antypatycznego intryganta występował niejaki pan Henrik Höpfgen...” Niejaki pan Henrik Höpfgen! Pochylił nisko czoło. Pragnienie sławy — wielkiej, prawdziwej sławy, sławy w stolicy, drażyło go niczym fizyczne cierpienie. Hendrik schwycił się za policzek, jak gdyby go ząb zabolał.

— Być pierwszym w Hamburgu to mi dopiero sztuka! — skarżył się pani von Herzfeld, która go zapytała ze współczuciem, czemu tak źle wygląda, a teraz starała się go uspokoić zręcznym pochlebstwem. — Być ulubieńcem prowincjonalnej publiczności — pięknie dziękuję. Wolę zacząć w Berlinie jeszcze raz od początku, niż dreptać dalej w tym małomiasteczkowym kieracie.

Pani von Herzfeld przestraszyła się nie na żarty.

— Naprawdę chciałby pan stąd wyjechać, Hendriku? — zapytała otwierając przy tym żałośnie złotobrazowe, łagodne oczy, a przez jej szeroką, miękką twarz pokrytą, niby puchem, grubą warstwą pudru, przebiegły leciutkie drgawki.

— To jeszcze nic pewnego — Hendrik zmierzył srogim spojrzeniem panią von Herzfeld i wzruszył nerwowo ramionami. — Na razie pojedę na gościnne występy do Wiednia.

Powiedział to niedbale, jak gdyby wspomniął o fackie od dawna Heddzie wiadomym. W rzeczywistości Hedda nie domyślała się nawet, tak jak nikt zresztą w teatrze, ani Kroge, ani Ulrichs, ani nawet Barbara, że Hendrik wybiera się na gościnne występy do Wiednia.

— Otrzymałem propozycję od profesora — oświadczył przecierając monokl jedwabną chustką do nosa. — Całkiem przyjemna rola. Chciałem właśnie odmówić ze względu na nieodpowiedni sezon. Kto siedzi jeszcze w Wiedniu w połowie czerwca? W końcu jednak zdecydowałem się ją przyjąć. Nigdy nie wiadomo, jakie następstwa może mieć taki gościnny występ u profesora... Zresztą Dora Martin będzie moją partnerką — dodał wsadzając znowu monokl w oko.

„Profesor” był to reżyser i dyrektor teatrów cieszących się legendarną sławą i olbrzymim uznaniem na całym świecie, rządził niepodzielnie kilkoma teatrami w Berlinie i Wiedniu. W rzeczywistości sekretariat „profesora” zaproponował Höfgenowi drugorzędną rolę w starowiedeńskiej farsie, którą zamierzano wystawić w ciągu letniego sezonu w jednym z teatrów wiedeńskich, z udziałem Dory Martin. Jednakże propozycja ta nie wypłynęła bynajmniej samorzutnie: Höfgen znalazł sobie protektora w osobie Teofila Mardera, który rzecz doprowadził do skutku. Wprawdzie Marder był skłócony z profesorem, tak jak w ogóle z całym światem, słynny reżyser zachował jednak dla satyryka, którego sztuki wystawiał niegdyś z dużym powodzeniem, życzliwość zaprawioną w równym stopniu ironią co szacunkiem. Bywało niekiedy, że Marder w rozdrażnionym, groźnym tonie polecał dyrekcjom teatrów jakąś młodą aktorkę, którą się interesował, nie zdarzyło się jednak prawie nigdy, żeby przemawiał za mężczyzną. Toteż słowa polecające Hofgena zrobiły wrażenie na profesorze, chociaż były właściwie dla niego obraźliwe.

„Na teatrze zna się pan równie mało jak na literaturze — pisał Teofil Marder do potentata. — Przepowiadam, że skończy pan jako dyrektor cyrku pcheł w Argentynie, proszę wspomnieć moje słowa, kiedy do tego dojdzie. Tymczasem bajeczne szczęście, jakie przeżywam z całkowicie mi uległą

młoda żoną, usposabia mnie łagodnie nawet wobec pana, który przez podłość i głupotę od lat całych bojkotuje moje genialne sztuki. A wie pan przecież, że w tych nędznych czasach ja jeden zachowałem niezawodne oko w rozpoznawaniu prawdziwych wartości artystycznych. Skłonny jestem w swej wspaniałomyślności wzbogacić marny zespół pańskiego, jak słyszę, źle prosperującego zakładu rozrywkowego artystą, któremu nie można odmówić cech pewnej oryginalności. Aktor Hendrik Höfgen wstawił się w Hamburgu grą w mojej klasycznej komedii *Knorke*. Nie ma dwóch zdań, że pan Höfgen wart jest więcej niż wszyscy pozostali pańscy komedianci, co nie jest znów taką wielką sztuką."

Profesor roześmiał się, zamyślił, przez kilka minut wypychał językiem policzki, wreszcie zadzwonił i polecił sekretarce, by się połączyła telefonicznie z Höfgenem.

— Ostatecznie można spróbować — powiedział powoli, skrzeczącym głosem.

Hendrik nie przyznał się nikomu, nawet Barbarze, iż tę zaszczytną ofertę zawdzięcza Teofilowi; nikt nie wiedział, że Höfgen utrzymuje stosunki z mężem Nicoletty, Hendrik traktował swoje gościnne występy w Wiedniu, które sobie tak energicznie i przebiegle przygotował, ze zblazowaną niedbałością.

— Muszę pojechać do Wiednia na gościnne występy u profesora — wspomniał mimochodem, uśmiechając się swoim drańskim uśmiechem, i obstał sobie letnie ubranie u najlepszego krawca. Miał już i tak tyle długów, u pani konsulowej Mönkeberg, u dziadzi Hansemanna, w sklepie kolonialnym i w składzie win; co znaczy te czterysta marek więcej czy mniej?

Nagły wyjazd Hendrika wywołał w pocziwym Hamburgu wielkie zdziwienie i niepokój; jego wdzięk podbił niejedno serce. Jeszcze bardziej zaniepokojony niż pani von Herzfeld i Angelika Siebert był dyrektor Schmitz, Hendrik bowiem, używając licznych kokieteryjnych wybiegów, uchylił się od przedłużenia swego kontraktu z Teatrem Artystycznym na następny sezon. Różowa twarz Schmitza pożółkła, grube worki wystąpiły pod oczami, kiedy Hendrik z uporem, okrutnie, choć krygując się, powtarzał:

— Nie mogę się wiązać, papcio Schmitz... Mam wstręt do wszelkich więzów, moje nerwy tego nie znośną... Może wrócę, a może nie... Sam jeszcze nie wiem. Muszę być wolny, papcio Schmitz, zrozum to, proszę.

Hendrik wyruszył do Wiednia, Barbara tymczasem pojechała do ojca i na wieś, do generałowej. Höfgen uczynił z pożegnania z młodą małżonką piękną, wzruszającą scenę.

— Spotkamy się na jesieni, moje kochanie — powtarzał stojąc przed Barbarą z pochyloną głową w postawie zarazem dumnej i pokornej. — Spotkamy się i będę wówczas zupełnie inny niż dawniej. Muszę się wybić, muszę... A ty wiesz przecie, moje kochanie, dla kogo mam te ambicje... dla kogo chciałyby zdobyć sławę... — Głos jego brzmiał zarazem zwycięsko i żałośnie. Zamilkł. Hendrik pochylił wzruszoną, bladą twarz nad smagłą ręką Barbary.

Czy scena ta była ryłko komedią, czy też tkwiła w niej choć odrobina prawdy? Barbara zastanawiała się nad tym podczas rannych spacerów konnych lub po południu, w ogrodzie, kiedy ciężka książka opadała jej na kolana. Gdzie w tym człowieku zaczyna się fałsz, a gdzie się kończy? Barbara rozważała to, rozmawiała też o tym z ojcem, z generałową i ze swoim mądrym i oddanym przyjacielem Sebastianem.

— Zdaje mi się, że go przejrzałem — powiedział Sebastian. — Kłamię zawsze i nie kłamię nigdy. Fałsz jest jego prawdą, to brzmi zawile, ale jest bardzo proste. Wierzy we wszystko i w nic nie wierzy. To aktor. Ale tyś go sobie jeszcze z głowy nie wybiła. Jesteś nim zajęta, zaciekawia cię w dalszym ciągu. Musisz więc na razie przy nim pozostać, Barbaro.

Publiczność wiedeńska była zachwycona Dorą Martin, która w słynnej farsie ukazywała się na przemian w postaci subtelnej panienki i czeladnika szewskiego. Uwodziła zagadkowymi, szeroko otwartymi oczyma dziecka, gruchającym, to znów ochrypłym głosem. Przeciągała samogłoski wedle własnego widzimisię, chowała głowę w ramionach i poruszała się w sposób zarazem zadziwiająco lekki i skrępowany. Podobna ni to do chudego, kanciastego trzynastolatka, ni to do uroczo płochliwego elfa, skakała i fruwała, polatywała nad sceną lub snuła się po niej. Sukces jej był tak ogromny, że zaćmiewał wszystkich, którzy znajdowali się w jej kręgu. Krytycy prasowi, obok długich hymnów pochwalnych opiewających jej

geniusz, przelotnie tylko wspominali partnerów. Hendrik natomiast, który grał rolę groteskowego trzpiota, zasłużył sobie nawet na naganę: zarzucano mu, że szarżuje i jest zmanierowany.

— Wpadłeś, mój drogi! — gruchała Dora powiewając złośliwie wycinkami z gazet. — To prawdziwe fiasko. A co gorsze, nazywają cię wszędzie Henrikiem, co cię zawsze tak bardzo gniewa. Jakże mi przykro! — usiłowała zrobić smutną minę, ale jej piękne oczy uśmiechały się spod wysokiego, poważnie zmarszczonego czoła. — Naprawdę, tak mi przykro. Ale trzeba przyznać, że jesteś fatalny w tej roli — powiedziała niemal tklawie. — Ze zdenerwowania podrygujesz na scenie jak pajac; strasznie mi przykro. Naturalnie, doskonale zdaję sobie sprawę, że masz wielki talent, Powiem profesorowi, żeby cię zaangażował do Berlina.

Zaraz nazajutrz wezwano Hófgena przed oblicze profesora. Wielki człowiek przyglądał mu się swoimi blisko osadzonymi, zamyślnymi, ale zarazem bystrzymi oczami, wypychał językiem policzki, chodził wielkimi krokami po pokoju, skrzyżowawszy ręce na plecach; wyrzucał od czasu do czasu jakieś zgrzytliwe dźwięki, które brzmiały mniej więcej tak:

— Aha, więc to jest ten Hofgen...

Powiedział wreszcie stojąc przed biurkiem w postawie napoleońskiej, ze spuszczoną głową:

— Pan ma przyjaciół, panie Hofgen. Pewni ludzie, którzy znają się trochę na teatrze, zwrócili mi uwagę na pana. Taki na przykład Marder... — Tu parsknął krótkim, skrzeczącym śmiechem. — Tak, ten Marder — powtórzył tym razem już poważnie, po czym dodał z szacunkiem, wysoko podnosząc brwi: — Pański teść, radca, wspominał mi także o panu, kiedyśmy się niedawno spotkali u ministra kultury. A teraz jeszcze Dora Martin...

Profesor zatopił się znów w milczeniu, przerywanym tylko od czasu do czasu chrząkaniem. Hofgen bladł i czerwieniał na przemian; uśmiech na jego twarzy gasł z każdą sekundą. Trudno było znieść myślący i zimny, daleki, a zarazem przeszywający wzrok tego niskiego, korpulentnego jegomościa. Hendrik zrozumiał raptem, dlaczego wielbiciela przewali profesora „Magiem”: taka potęga była we wzroku tego człowieka.

Wreszcie Hendrik przerwał ów przykry, niemy egzamin oświadczając swoim śpiewnym, przypochlebnym głosem:

— W życiu jestem niepozorny, panie profesorze. Ale na scenie...

Wyprostował się, nagle szeroko rozpostarł ramiona i nadając głosowi metalicznie lśniącej brzmienie rzeki:

— Na scenie potrafię być zabawny...

Słowom tym towarzyszył drański uśmieszek. Po chwili dodał z uroczystą miną:

— Tę zdolność metamorfozy scharakteryzował kiedyś mój teść w bardzo ładnych słowach.

Na wzmiankę o starym Brucknerze profesor podniósł brwi z szacunkiem. Głos jego wszakże brzmiał chłodno, gdy odezwał się po paru sekundach znaczącego milczenia:

— No, można by ostatecznie z panem spróbować...

Hofgen wyprostował się radośnie, ale profesor otrzeźwit go natychmiast.

— Niech pan sobie zbyt wiele nie obiecuje — powiedział z powagą, mierząc wciąż Hendrika zimnym spojrzeniem. — Nie proponuję panu żadnego wielkiego engagement. W roli, którą pan tu teraz grywa, nie jest pan zabawny, powiedziałbym nawet — marny.

Hendrik drgnął, profesor zaś uśmiechnął się do niego życzliwie.

— Dość marny — powtórzył bezlitośnie. — Ale to nic nie szkodzi. Mimo to możemy spróbować. A jeżeli chodzi o gażę... — Uśmiech profesora stał się prawie szelmowski, a język poruszał się w ustach ze zdwojoną energią. — Prawdopodobnie przywykł pan w Hamburgu do stosunkowo przyzwoitych dochodów. U nas będzie się pan musiał na początek zadowolić skromniejszym wynagrodzeniem. Czy ma pan duże wymagania?

Profesor powiedział to takim tonem, jak gdyby to było pytanie czysto teoretyczne. Hendrik zapewnił go skwapliwie:

— Nie zależy mi wcale na pieniądzu. Naprawdę — powtórzył, starając się intonacją dodać wiarygodności słowom, widział bowiem, że twarz profesora wykrzywił sceptyczny grymas. — Nie jestem rozpieszczony. Potrzebna mi jest tylko co dzień świeża koszula i butelka wody kolońskiej na nocnym stoliku.

Profesor zaśmiał się raz jeszcze krótko, po czym rzeki:

— Szczegóły będzie pan mógł omówić z Katzem. Dam mu instrukcje.

Audycja była skończona. Profesor pożegnał Höfgena niedbałym ruchem ręki.

— Proszę, niech pan pozdrowi ode mnie teścia — powiedział i zaczął znów chodzić po grubym dywanie wyściełającym pokój, z rękami skrzyżowanymi na plecach, niski i skulony, w napoleońskiej postawie.

Pan Katz był generalnym sekretarzem profesora; kierował interesami teatrów mistrza, miał głos równie skrzeczący jak on i tak jak on wypychał językiem to jeden, to drugi policzek. Rozmowa pomiędzy nim a aktorem Höfgeniem odbyła się jeszcze tego samego dnia. Hendrik bez wahania przyjął kontrakt, który byłby cisnął w twarz dyrektorowi Schmitzowi: marne siedemset marek miesięcznie, od których będą jeszcze potrącone podatki, bez zagwarantowania określonych ról. Czyż Hendrik był zmuszony przyjąć takie warunki? Tak, skoro chciał się dostać do Berlina, a w Berlinie nie był znany. Znowu być debiutantem! Niełatwa to rzecz, ale trzeba zęby zaciąć i wytrzymać. Należy ponieść ofiary, jeśli się chce wydostać na szczyty.

Hendrik posłał Dorze Martin duży bukiet żółtych róż. Do pięknych kwiatów, za które kazał zapłacić portierowi w hotelu, dołączył bilecik. Napisał na nim wielkimi, patetycznie kanciastymi literami jedno tylko słowo: „Dziękuję!” Równocześnie wystosował list do dyrektorów Schmitza i Krogego: krótko, oschle doniósł tym ludziom, którym tyle zawdzięczał, że ku swemu ubolewaniu nie może odnowić kontraktu z Teatrem Artystycznym, gdyż profesor zaproponował mu świetne warunki. Wsuwając list do koperty wyobraził sobie przez sekundę zaskoczone miny zarządu teatru w Hamburgu. Na myśl o łzawym spojrzeniu pani von Herzfeld zachichotał z cicha. Pojechał do teatru w nastroju wielkiego podniecenia.

Zameldował się w garderobie Dory Martin, ale pokojówka odpowiedziała mu, że jej pani przyjmuje w tej chwili profesora.

— Postąpiłem zgodnie z pani osobliwym życzeniem — powiedział profesor patrząc pożądliwie na ramiona Dory Martin,

których chudość przykrywał peniuar. — Zaangażowałem tego... tego, jakże się on nazywa?

— Höfgem — roześmiała się Dora. — Hendrik Höfgem. Zapamięta pan sobie jeszcze to imię, mój drogi.

Profesor wzruszył wyniośle ramionami i począł wypychać językiem policzki, wydając przy tym skrzeczące dźwięki.

— Nie podoba mi się ten człowiek — powiedział w końcu. — To komediant.

— A odkąd to ma pan coś przeciwko komediantom? — Dora pokazała zęby w uśmiechu.

— Tylko przeciwko złym komediantom — profesor zdawał się zagniewany. — Przeciwno prowincjonalnym komediantom — dodał złośliwie.

Dora Martin nagle spoważniała, oczy jej pociemniały.

— Ten człowiek mnie interesuje — szepnęła. — Jest całkowicie pozbawiony sumienia — uśmiechnęła się tkliwie — człowiek zły do szpiku kości. — Przeciągnęła się niemal lubieżnie, przechylając w ty! dziecięcą, mądrą głowę. — Może nam sprawić niejedną niespodziankę — powiedziała marząco, patrząc w sufit.

W parę sekund potem zerwała się raptownie i trzepoczącymi ruchami rąk, niby skrzydłami, poczęła zaganiać profesora ku drzwiom.

— Najwyższy czas! — śmiała się. — Precz! Precz stąd czym prędzej! Muszę nałożyć perukę!

Profesor, już prawie wypchnięty za próg, zapytał jeszcze:

• — Czy nie wolno mi popatrzeć, jak pani nakłada perukę? Nie wolno mi nawet tego? — powtórzył, a oczy jego załśniły pożądliwie.

— Nie, nie, to wykluczone! — Dora aż zatrzęsała się z przerażenia. — O tym nie ma mowy! Peniuar mógłby mi się ześliznąć z ramion... — To mówiąc otulała się jeszcze szczelniej kolorowym szalem.

Głos profesora brzmiał bardzo smutno, kiedy powiedział:

— Szkoda!

Słynny czarnoksiężnik, którego wszystkie prawie kobiety jego otoczenia znudziły swoją zbytnią przystępnością, opuszcza! garderobę z uczuciem, że z chwilą gdy Dora Martin zostanie sama, może się za jego plecami przeistoczyć w rusał-

kę, kobolda albo jakąś inną istotę, tak dziwną i obcą, że nikt nawet nie zna jej imienia.

Wyrafinowana i osobiwa wstydlivość wielkiej aktorki wprawiła profesora w taką zadumę, że nie poznał przebranego birbanta, który uchylił przed nim strojnego w barwne pióro kapelusza. Później dopiero uprzytomnił sobie, że to „ten Höfgen” przywitał go z tak uniozoną kokieterią.

Nowa niespodziewana sytuacja odmładza Hendrika Höfgena. Prowincjonalną sławę, w której tak wygodnie żył, ma za sobą. Jest na nowo debiutantem, musi raz jeszcze iść przebojem. Aby wspiąć się w górę, tym razem na sam szczyt — trzeba wyteńczyć wszystkie siły. Stwierdza z zadowoleniem: nie wyczerpał ich, są gotowe do startu. Ciało jego się pręży, tłuszcz znikł prawie bez śladu; ruchy są taneczne, a zarazem zaczepne. Ten, kto się tak uśmiecha, czyje oczy rozsiewają takie blaski, musi zdobyć powodzenie. Już w głosie jego brzmi radość z tryumfu, który w rzeczywistości jeszcze się nie zaczął, ale niedługo już da na siebie czekać.

Barbara obserwuje ten nowy tryw swego małżonka z najwyższym zainteresowaniem, w którym szczerą sympatią łączy się z chłodną i obojętną ciekawością. Na pół kpiąco, na pół z podziwem patrzy na Hendrika, który w wiatrem podszytym skórzanym płaszczu i lekkich sandałach zdaje się nieustannie działać i być bliskim wielkich rozstrzygnięć. Barbara wróciła do Hendrika, tak jak to Sebastian przepowiadał. Nie żałuje tego. Zmieniony, żyjący w ciągłym napięciu Hendrik, z którym zajmują teraz dwa skromne, umeblowane pokoiki, lepiej się jej podoba niż ulubieniec prowincjonalnej publiczności, który zaczynał już tyć, gromadził dookoła siebie krąg towarzyski w knajpcie teatralnej, zaś w przytulnym mieszkaniu pani konsulowej Mönkeberg próbował grać rolę mieszczchańskiego małżonka. Barbara nie czuje się wcale nieszczęśliwa w dwóch ciemnych pokojach, które teraz dzieli z Hendrikiem. Lubi spotykać się z nim wieczorem, po przedstawieniu, w marnej kawiarence, gdzie elektryczne pianino skarży się w półmroku, gdzie ciastka wyglądają, jakby były ulepione z kleju i papier mâché, i gdzie ich nikt nie zna.

Słucha, zafascynowana, relacji rozdygotanego, podnieconego Hendrika o postępach jego kariery. Wierzy w takich chwilach w jego szczerość. W tej ponurej, przesyconej pode-

jrzanymi zapachami cukiernice błada twarz Hendrika zdaje się fosforyzować jak próchno w ciemną noc. Chciwe usta o pełnych, pięknie wygiętych wargach uśmiechają się i mówią. Siinie zarysowana dolna szczęka z głębokim dołkiem pośrodku podbródka wysuwa się naprzód władcym ruchem. W oku błyszczą monokl. Szerokie, porośnięte rudawym włosem ręce, które mocą jakiegoś tajemniczego wysiłku woli wydają się piękne, bawią się nerwowo obrusem, zapałkami, wszystkim, co znajdzie się w ich zasięgu.

Hendrik, pełen gorączkowego zapału, rozpacza swoje nadzieje, plany, rachuby. Barbara bierze w nich żywy udział, nie zamyka się przed nimi z rezerwą — to wzmacnia jego siły życiowe, daje bodźca ambicji. Tak Barbara przyczynia się aktywnie do utworzenia mu drogi życiowej. Nie na próżno ma tę wysublimowaną twarz Madonny. Jest przebiegła; ubiera się w czarną jedwabną suknię i składa wizytę profesorowi, przynosząc mu pozdrowienia od ojca, radcy Brucknera. Wszecpotężny władca wszystkich teatrów na Kurfurstendam przyjmuje łaskawie żonę młodego aktora, jest to przecież córka tajnego radcy, którego nazwisko czyta się tak często w gazetach i którego niedawno spotkał u ministra. Pałac profesora mógłby śmiało służyć za rezydencję panującemu. Właściciel tych wszystkich barokowych mebli, gobelinów, płócien starych mistrzów patrzy z upodobaniem na złotawe ramiona i chytrze melancholijną twarzyczkę swego gościa.

— No, więc wyszła pani za tego Höfgena — powiedział skrzeczącym głosem na zakończenie długiej lustracji, podczas której ze szczególną dokładnością wypychał językiem policzki. — Musi w nim jednak coś być...

Wszystko to dzieje się oczywiście z wielką korzyścią dla Hendrika; z pozostałymi dyktatorami scen Kurfurstendammu, panem Katzem i panną Bernhard, jest zresztą i tak w jak najlepszych stosunkach. Z panem Katzem, kierownikiem administracyjnym, grywa Höfgen w karty — pan Katz nie bywa stale tak „napoleoński”, za jakiego czasem chciałby uchodzić. Wobec panny Bernhard, wpływowej i energicznej sekretarki, krępej brunetki, osóbkę o murzyńskich wargach, z binoklami na nosie — zachowuje się z taką kokieterią jak dawniej wobec dyrektora Schmitza. Czyżby ktoś, kto niebacznie otworzył bez pukania drzwi do gabinetu, ujrzał go

siedzącego u niej na kolanach? Tak czy inaczej, każdy o czym wie, że Hendrik Hófggen, który zaledwie od dwóch tygodni jest w teatrze, mówi do surowej panny Bernhard: „Róžo”.

„Piękny początek kariery w Berlinie — szepczą sobie na ucho koledzy. — Jego ładna żona odwiedza profesora, on z Katzem grywa w karty, a pannę Bernhard głaszcze pod brodę. Będą z niego ludzie!”

Tak, będą ludzie. I to już niedługo.

Z początku jest to tylko mała rola, ale go zauważono: gazety wymieniają już „utalentowanego pana Hendrika Hófggena”, a przecież w sztuce rosyjskiej pozwolono mu zaledwie zagrać pijanego chłopca, który się zatacza po scenie, bełkocze coś, a wreszcie zaczyna tańczyć. Ale jak bełkocze, a przede wszystkim jak tańczy! Pojętny uczeń księżniczki Tebab zdobył szturmem publiczność berlińską: kiedy kończy, zrywa się burza oklasków. Ten chłopak wymachuje kończynami jak opętany! Cały świat rozplywa się w zachwytach nad ekstatycznym wyrazem, jaki przybiera jego twarz podczas tańca. Róža Bernhard, stojąc przy bufecie w otoczeniu panów z prasy i pań z towarzystwa, konstatuje: „Ten człowiek ma w sobie coś bachicznego.”

Publiczność zaabsorbowana tysiącem trosk i rozrywek zapomina wkrótce nazwisko szalonego tancerza. Natomiast wtajemniczeni, ci, o których chodzi, notują sobie w pamięci ów pierwszy sukces Hendrika w Berlinie. A już o drugim sukcesie mówi cała stolica.

W sensacyjnej sztuce o fenomenalnej inscenizacji udało się Hófggenowi skupić na sobie lwią część zainteresowania prasy i publiczności. O jego kreacji mówiono jeszcze więcej niż o autorze podniecającego dramatu *Wina*, owym tajemniczym nieznanym, którego zagadkowa postać stanowiła od pewnego czasu ulubiony temat dyskusji w kawiarniach, kancelariach teatralnych, salonach i gabinetach redakcji. Kto jest owym autorem, co kryje się pod pseudonimem Ryszard Loser, który przedstawił w swojej tragedii taką otchłań grzechu, nieszczęścia, nędzy i zbłąkania? Gdzie znaleźć tego wybrańca bogów, który nas prowadzi poprzez labirynt brudnych komplikacji, który zna i ukazuje tyle zbrodni, tyle zgubnych namiętności, tyle udręki i rozpacz? Niewątpliwie autor tego wstrząsającego i pasjonującego dramatu, łączącego w sposób

śmiały i sugestywny pierwiastki dwóch różnorodnych stylów — symbolizmu i naturalizmu — musi być „dziki”; jakiś samotnik trzymający się z dala od giełdy literackiej. Literaci, zawsze nieufni wobec swego własnego zawodu, przysięgają: to nie* jest literat. Nie ma żadnej rutyny, wszystko w nim jest genialne, żywiołowe. Nigdy jeszcze dotąd nie napisał ani jednego wiersza. To młody lekarz neurolog — twierdzą niektórzy wtajemniczeni — mieszka stale w Hiszpanii. Nie odpowiada na listy, można się z nim porozumiewać jedynie przez kilku pośredników. Wszystko to jest niezmiernie interesujące, gorączkowo komentowane w kołach elity intelektualnej.

Młody lekarz neurolog, mieszka w Hiszpanii: wersja bardzo prawdopodobna, toteż ludzie w nią wierzą, przyjmują jako pewnik. Tylko lekarz chorób nerwowych może być tak obeznany z wypaczeniami ludzkiej duszy, wiodącymi do okrutnych zbrodni. Ten się na tym zna! W jego dramatach występują wszystkie grzechy główne. To społeczność potępieńców, która żyje i cierpi. Każda z osób występujących zdaje się nosić ciemne piętno na czole; panie z Grunewaldu i Kurfurstendamm są tym oczarowane.

A ze wszystkich potępionych najbardziej potępiony jest Hendrik Hófggen, dlatego też cieszy się największym powodzeniem. Jego błada, szatańska twarz, jego ochrypli i znużony głos zdradzają, że wszystkie występki są mu dobrze znane, a nawet ciągnie z nich materialne zyski. Na pozór jest to szantażysta w wielkim stylu; z drańskim uśmiechem, bez cienia skrupułów wtrąca młodych ludzi w najgorsze nieszczęścia; jeden z nich popełnia samobójstwo przy podniesionej kurtynie; Hendrik z papierosem w ustach, rękami w kieszeniach i monoklem w oku przechadza się dokoła trupa. Publiczność przeszywa dreszcz zgrozy: ten człowiek to wcielenie Zła. Jest taki na wskroś, tak skończenie zły, jak się to rzadko zdarza. Chwilami, rzekłbyś, i jego ogarnia przerażenie swoim absolutnym zepsuciem; wówczas twarz jego blednie i nieruchomieje; zimne, podobne do szlachetnych kamieni oczy lśnią beznadziejnie smutnym blaskiem, na nerwowo pulsujących skroniach pogłębia się cierpienie.

Hófggen daje zamożnej publiczności Berlina obraz krańcowego zwyrodnienia i wzbudza sensację. Upodlenie człowie-

ka podane jako przysmak bogaczom — Hófggen odnosi w tej roli sukces. I to jaki sukces! Podziwiają jego znużoną, a zarazem pełną napięcia grę fizjonomii, jeszcze bardziej podziwiają jego niedbale miękkie, wdzięczne, skradające się ruchy.

— Rusza się jak kot! — zachwyca się panna Bernhard, która pozwala, by mówił do niej „Róžo”. — Jak zły kot! Ach, on jest taki bosko zły!

Koledzy z pomniejszych scen naśladowują już jego sposób mówienia: ochrypły szept przechodzący chwilami w czarujący zaśpiew.

— A co, nie miałam racji? Coś jednak tkwi w tym człowieku — mówi Dora Martin do profesora, który nie może już dłużej przeczyc.

— No, tak... — odzywa się skrzeczącym głosem i w zadumie porusza językiem w ustach. W gruncie rzeczy nie bierze on „tego Hófggena” wciąż jeszcze serio, tak samo jak niegdyś Oskar Kroge. „T o komediant” — myśli profesor tak samo jak ów.

Fascynujący komediant — tego zdania są krytycy, tego zdania są bogate damy, tego zdania jest również panna Bernhard, nawet koledzy nie mogą temu **zaprzeczYĆ**. Dramat *Wina* zawdzięcza swoje niezwykłe powodz^g^^E znacznej mierze kreacji Hófggena. Idzie s^o.? a z^J^^u, profesor zarabia góry złota. Staje się rzecz niewiarygodna: podnosi gażę Hendrikowi w środku sezonu, do czego nie zobowiązuje go żaden kontrakt — panna Bernhard i pan Katz przeforsowali to u swego szefa.

Sztuka byłaby może grana sto pięćdziesiąt albo dwieście razy z rzędu, stopniowo wszakże zaczynają krążyć o autorze słuchy, które działają druzgocąco. Podobno nie jest to żaden dziwak neurolog zamieszkały w Hiszpanii. Nie jest to bynajmniej łaik w dziedzinie literatury, obeznany tylko z otchłaniami ludzkiej duszy, lecz nie znający się na banalnych tajemnicach „branży”. Nie jest to w ogóle żaden szlachetny nieznajomy, tylko po prostu pan Katz, na którego się każdy nie mało nazłościł. Rozczarowanie jest powszechne. To pan Katz, rutynowany biznesmen, napisał dramat *Wina* \ Wszyscy stwierdzają nagle, że sztuka jest nagromadzeniem wulgarnych okropności, równie pospolita jak niesmaczna. Ludzie się irtują, uważają, że ich nabrano, i są zdania, że cała ta historia

to beczelność ze strony pana Katza. Czy pan Katz jest Dostojewskim? Odkąd to? Pytania te powtarzane są powszechnie w kołach nadających ton opinii. Pan Katz jest doradcą finansowym profesora — zresztą stanowisko godne pozazdroszczenia. Nikt nie przyznaje mu jednak prawa podawania się za hiszpańskiego neurologa i zstępowania do otchłani ludzkich dusz. Dramat *Wina* musi zejść z afisza.

Kapryśna publiczność odwraca się od Karzą; Hófggen jednak potrafił się utrzymać i swą zdumiewającą przewrotnością podbił wszystkie serca. Ku końcowi pierwszego berlińskiego sezonu może być zadowolony i dobrej myśli. Nazywają go powszechnie przysłą sławą, wschodzącą gwiazdą, nadzieją sceny. Jego kontrakt na sezon następny 1929/30 wygląda całkiem inaczej niż poprzedni: gaża została niemal potrojona, profesor mruczając i stękając musiał się na to zgodzić, gdyż konkurencja zaczynała się ubiegać o Hófggena.

-- No, teraz może pan sobie nie żałować czystych koszul i wody lawendowej — powiedział profesor swojej nowej gwieździe.

Na co Hendrik odpowiedział z ujmującym uśmiechem:

— Wody kolońskiej, panie profesorze! Używam tyJko wody kolońskiej! -

Nadeszło 'Tato. Hendrik Hófggen porzuca dwa ciemne pokoiki, wynajmuje słoneczne mieszkanie w nowoczesnej dzielnicy zachodniej przy Reichskanzlerplatz, kupuje sobie koszul bez liku, żółte buty i ubrania w pastelowych tonach; uczy się prowadzić samochód i pertraktuje z kilkoma firmami o kupno eleganckiego kabrioletu; chciałby go nabyć po cenie reklamowej. Barbara wyjeżdża na wieś do babki. Mąż stojący u szczytu powodzenia interesuje ją mniej niż ów walczący, zżerany niezaspokojoną ambicją debutant. Pani von Herzfeld przybywa w odwiedziny, by pomóc Hendrikowi w urządzeniu nowego mieszkania; wybiera metalowe meble, a ściany ozdabia reprodukcjami van Gogha i Picassa. Pokoje są puste, nagie, noszą na sobie piętno pretensjonalnej elegancji. Hendrik rozkoszuje się uwielbieniem pani von Herzfeld, miłość jej, która przybrała chyba jeszcze na sile, przyjmuje jako zasłużony hołd. Hedda porzuciła ironiczną maskę, jaką zwykła była wobec niego przywdziewać. Jej łagodne, złotobrazowe oczy wpatrują się w okrutny

przedmiot uwielbienia z melancholijnym pożądaniem i pełnym rezygnacji bólem.

— Biedna Angelika Siebert aż pobladła z tęsknoty za panem — oznajmia, przemilcza zaś, że sama posunęła się tak daleko, że płakała kiedyś razem z Angeliką długo i gorzko za utraconym, który nigdy do niej nie należał.

Höfgen pozwala pani von Herzfeld towarzyszyć sobie do atelier filmowych, występuje bowiem tego lata po raz pierwszy w filmie. W scenariuszu kryminalnym *Lapać złodzieja!* gra główną rolę nieznanego i tajemniczego złoczyńcy, który ukazuje się przeważnie w czarnej masce zasłaniającej twarz. Ubrany jest od stóp do głów czarno, nie wyłączając koszuli: barwa odzieży jest wykładnikiem jego mrocznej duszy. Nazywają go „Czarnym Szatanem”, jest szefem bandy fałszerzy pieniędzy, którzy zajmują się również handlem narkotykami, dokonują niekiedy napadów na banki i mają niejedno morderstwo na sumieniu.

Czarny Szatan popełnia tak wiele zbrodni nie tylko przez chciwość czy też żądę przygód, ale z zasady. Ponure przeżycia, jakie miał niegdyś z pewną młodą dziewczyną, uczyniły z niego wroga ludzkości. Wyrządzanie szkód i krzywd stało się dla niego potrzebą serca — jest złoczyńcą z przekonania. Wyznaje to, na krótko przed aresztowaniem, swoim kameratom, którzy dziwią się i boją, oni bowiem kradli z mniej skomplikowanych przyczyn. Pełnym czi szeptem wyrażają zdumienie, kiedy się dowiadują, jakie dziwne są losy ich szefa, Czarnego Szatana: zanim stał się przestępcą, był oficerem huzarów. W ciągu tej dramatycznej sceny złoczyńca zdejmuje maskę; twarz jego pomiędzy sztywnym czarnym kapeluszem i wysoko zapiętą ciemną koszulą jest przeraźliwie blada, zresztą pomimo całego upodlenia wciąż jeszcze arystokratyczna i nie pozbawiona tragicznego piętna.

Miarodajni panowie z wielkiego towarzystwa filmowego są pod silnym wrażeniem tej groźnej i bolesnej postaci. Höfgen jest zaskakujący, oryginalny i będzie z pewnością robił kasę zarówno w stolicy, jak na prowincji; tak mówią sobie miarodajni panowie, toteż propozycje, jakie Hendrik otrzymuje, przekraczają jego najśmielsze marzenia. Niektóre z nich musi odrzucić — jest związany kontraktem z profesorem. Ponieważ się ceni, potentaci filmowi zaczynają tracić głowę. Telefonują

do pana Katza i panny Bernhard, proponują olbrzymie odszkodowania, jeżeli zarząd teatru zgodzi się odstąpić im pana Höfgena na kilka tygodni podczas sezonu. Następuje ożywiona wymiana listów, rozmów telefonicznych, toczą się pertraktacje. Panna Bernhard i Katz są nieugięci, nawet za grube pieniądze nie chcą zrezygnować ze swego ulubieńca. Höfgen jest rozrywany. Wszyscy się o niego dobijają. On zaś siedzi w swoim gołym, wytwornym mieszkaniu z metalowymi meblami, uśmiecha się drariskim uśmiechem i pełen wyższości komentuje z ironią walki toczące się pomiędzy sceną i filmem o jego drogocenną osobę.

To się nazywa kariera! Sen przemienia się w rzeczywistość. „Wystarczy tylko szczerze pragnąć — myśli Hendrik — a śmiałe życzenie stanie się rzeczywistością.” Ach, rzeczywistość jest wspanialsza, niż Hendrik kiedykolwiek śmiał marzyć! W każdej gazecie, którą otworzy, znajduje teraz swoje nazwisko — doświadczona panna Bernhard dba o tego rodzaju reklamę — i to zawsze prawidłowo wydrukowane prawie tak tłustymi czcionkami jak nazwiska owych od dawna popularnych gwiazd, o których sukcesach czytawali nieraz z zazdrością w knajpce teatralnej na prowincji. Jedno z czołowych pism ilustrowanych daje podobiznę Hendrika na karcie tytułowej. Jaką Kroge zrobi minę, kiedy to zobaczy! A pani konsulowa Mönkeberg? A radca Bruckner? Wszyscy ci, którzy zachowywali się wobec Hendrika sceptycznie, a nawet trochę wyniośle, zadrzą pełni szacunku, oszołomieni jego zawrotną karierą.

W końcu sezonu teatralnego 1929/30 stoi Hendrik nieskończenie wyżej niż na początku. Wszystko mu się szczęści, każde przedsięwzięcie staje się tryumfem. W teatrach profesora ma już niemal więcej do powiedzenia niż szef, który zresztą rzadko przebywa w Berlinie; przeważnie w Londynie, Hollywood albo w Wiedniu. Höfgen rządzi panem Katzem i panną Bernhard, może sobie z nimi pozwalać na takie samo nieskrępowanie jak niegdyś ze Schmitzem i panią von Herzfeld. Höfgen decyduje, które sztuki należy przyjąć, a które odrzucić; razem z panną Bernhard rozdziela role aktorom. Autorzy, którzy chcą, by wystawiono ich sztuki, schlebiają mu, aktorzy, którzy chcą występować, schlebiają mu, towarzystwo, a raczej nadający sobie to miano klan bogatych snobów, schlebia mu: jest on bowiem bohaterem dnia.

Wszystko jest znowu tak, jak było w Hamburgu, tylko w większym stylu, w większych wymiarach. Szesnaście godzin pracy na dobę i od czasu do czasu interesujące ataki nerwowe. W eleganckim lokalu nocnym „Pod Szalonym Jeźdźcem”, gdzie Hendrik niekiedy od pierwszej do trzeciej w nocy gromadzi dokoła siebie grono wielbicieli, zdarza się czasem, że wzdycha i nie wypuszczając z ręki kieliszka koktajlu, osuwa się z wysokiego barowego stołka. To tylko chwilowe omdlenie, nic strasznego, dość jednak straszne, aby wszystkie panie podniosły krzyk; panna Bernhard jest pod ręką z solami trzeźwiącymi, zawsze znajdzie się w pobliżu jakaś oddana kobieca dusza, kiedy aktor Hófgem dostaje ataku. Pozwala sobie teraz dość często na te małe histeryczne załamania, które objawiają się lekkim febrycznym dreszczykiem, cichym omdleniem, kończą jednak niekiedy spazmatycznym krzykiem połączonym z konwulsyjnymi drgawkami, służą zaś Hendrikowi znakomicie: budzi się z nich odświeżony jak po kąpieli leczniczej, pełen nowych sił do wytężonego, męczącego, pełnego uciech życia, jakie prowadzi.

Zresztą rzadziej teraz szuka ucieczki w uzdrawiających atakach, odkąd ma znowu w pobliżu księżniczkę Tebab. Przez całą pierwszą zimę w Berlinie pozostawiał bez odpowiedzi listy czarnej królowej, pełne pogrózek, pisane dziwnym stylem, rojące się od błędów ortograficznych. Teraz jednak Barbara odsunęła się od niego prawie całkowicie; nie znosi wiru, jaki się dokoła jej wytwornego małżonka wytwarza, coraz rzadziej przyjeżdża do Berlina. Jej pokój w luksusowym apartamencie przy Reichskanzlerplatz jest prawie stale nie zamieszkały, Barbara woli cichsze wnętrza domu tajnego radcy lub willi generałowej. Po jej wyjeździe Hendrik powziął decyzję: wysłał Jułietcie pieniądze na podróż. Życie bez niej pozbawione jest wszelkiego smaku, nie potrafiły mu jej zastąpić damy, które spacerują nocą po Tauentzienstrasse, mimo że spoglądają groźnie i noszą buty z cholewami. Księżniczka Tebab nie każe się długo prosić. Przyjeżdża.

Hendrik wynajmuje dla niej pokój w odległej dzielnicy. Odwiedza ją tam co najmniej raz na tydzień; jak przestępca zmierzający do miejsca zbrodni, z szyją okręconą szalem aż pod brodę i kapeluszem głęboko wciśniętym na czoło, skrada się do ukochanej.

— Gdyby mnie tak ktoś przyłapał w tym przebraniu! — szepcze wciągając gimnastyczne spodenki. — Byłbym zgubiony! Koniec!

Księżniczkę Tebab bawi to, że Hendrik aż trzęsie się ze strachu; śmieje się ochryple, z całego serca. Dla przyjemności patrzenia, jak dygocze, a także chcąc wyciągnąć z niego więcej pieniędzy, zapowiada mu po raz setny, że przyjdzie do teatru i zacznie się drzeć jak dzika kotka, z chwilą gdy Hendrik ukaże się na scenie.

— Uważaj, chłopczyku! — drażni go okrutnie — kiedyś zrobię to naprawdę, na przykład podczas wielkiej premiery w przyszłym tygodniu. Włożę jaskrawą jedwabną suknię i siądę w pierwszym rzędzie. Dopiero będzie skandal!

Czarna pannica zaciera ręce rozbawiona. Potem żąda, żeby jej zapłacił sto pięćdziesiąt marek, zanim zacznie z nim ćwiczyć nowe taneczne pas. Im bardziej Hendrik idzie w górę, tym większe stają się jej wymagania. Używa teraz kosztownych perfum, kupuje sobie całe stopy kolorowych jedwabnych chustek, bręczące bransoletki i owoce w cukrze, które lubi lasować wyciągając je z dużych tytek szorstkimi, zgrabnymi palcami. Kiedy żuje słodycze, szczerząc zęby w uśmiechu i drapiąc się beztrudnie w głowę, podobna jest łudzaco do ogromnej małpy. Hendrik musi więc płacić i płaci chętnie. Sprawia mu to szczególną przyjemność, że tak się daje wyzyskiwać czarnej Wenus.

— Kocham cię jak pierwszego dnia — zapewnia ją. — Kocham cię nawet więcej niż pierwszego dnia. Kiedy cię nie ma, wtedy dopiero rozumiem, czym dla mnie jesteś. Srogie damy z Tauentzienstrasse są nieznośnie nudne.

— A twoja żona? — dopytuje się dziewczyna z dżungli, chichocąc złośliwie. — A twoja Barbara?

— Ach, ona... — odpowiada Hendrik z żalem i pogardą i chowa w cieniu pobladałą twarz.

Barbara coraz rzadziej przyjeżdża do Berlina; nawet tajny radca nie pokazuje się już prawie w stolicy, choć niegdyś bywał tu kilka razy w ciągu zimy, aby wygłosić parę odczytów i wziąć udział w oficjalnym życiu towarzyskim. Radca powiada:

— Nie lubię już jeździć do Berlina. Zaczynam się bać tego miasta. Gotują się tam rzeczy, które mnie napełniają przerażeniem, a najokropniejsze, że ludzie, z którymi mam do czynie-

nia, jakby nie zdawali sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Są dotknięci ślepotą. Bawią się, spierają, biorą się nawzajem na serio, a tymczasem niebo przesłaniają ciemne chmury; ale oni nie widzą zbliżającej się, wiszącej nad nimi burzy. Nie, nie lubię jeździć do Berlina. Unikam go może dlatego, by nim nie pogardzać...

Tajny radca przybywa tam jeszcze raz, nie po to wszakże, aby wziąć udział w oficjalnym życiu towarzyskim ani mieć wykład w uniwersytecie; przybywa, aby wygłosić wielkie przemówienie w sprawie kultury i aktualnej polityki. Przemówienie nosi tytuł: *Groźba barbarzyństwa*. Tajny radca chce po raz ostami ostrzec inteligencję przed tym, co dochodzi do głosu, a co jest równoznaczne z panowaniem ciemnoty i wsteczności, chociaż ma czelność nazywać siebie „Przebudzeniem” i „Rewolucją narodową”. Stary radca przemawia półtorej godziny przed publicznością, która częściowo głośno wyraża swoją aprobatę, częściowo — równie głośno — swój sprzeciw.

Podczas ostatniego pobytu w stolicy Bruckner, który na skutek swojej wizyty w Związku Radzieckim naraził się na nienawiść prawicy i nieufność demokratów, rozmawiał z wieloma przyjaciółmi — politykami, pisarzami, profesorami. Wszystkie te rozmowy doprowadziły do najgwałtowniejszej różnicy zdań. Przyjaciele zapytują szydlerczo:

— Gdzież się podziała pańska tolerancja, panie radco? Co się stało z pańskimi demokratycznymi zasadami? Poznać pana nie możemy. Mówi pan jak radykał i politykier, nie jak kulturalny, rozsądny człowiek. Wszyscy ludzie kulturalni powinni być zgodni pod jednym względem, że wobec narodowych socjalistów można stosować jedyną metodę: metodę wychowawczą. Musimy się starać poskromić tych ludzi w sposób demokratyczny. Musimy ich sobie zjednać, zamiast ich zwalczać. Musimy tę młodzież nawrócić na wiarę republikańską. Zresztą — dodają panowie socjaldemokraci czy liberałowie poufnie zniżonym głosem i z poważnym spojrzeniem — zresztą, drogi panie radco, wróg nasz stoi po lewicy.

Wiele musiał się Bruckner nasłuchać o „zdrowych siłach dążących do odbudowy”, które „mimo wszystko” tkwią w narodowym socjalizmie, jak również o szlachetnym patosie narodowym młodzieży, wobec którego „nam, starszym” nie

wolno dłużej pozostać głuchymi i opornymi. Nasłuchał się też o „instynkcie politycznym narodu niemieckiego”, o jego „zdrowym rozsądku”, który zawsze potrafi uchronić przed najgorszym („Niemcy to przecież nie Włochy”). Rozgorzcony i zawiedziony odjechał z mocnym postanowieniem w sercu, że tu nigdy nie wróci. Tajny radca Bruckner usunął się ze społeczności, w której Hendrik Hófggen święcił tryumfy.

W salonach berlińskich mile widziany jest każdy, kto ma pieniądze albo czyje nazwisko często figuruje w prasie. Na parkietach willi w okolicach Tiergartenu albo Grunewaldu spotykają się spekulanci z dżokejami, bokserami i słynnymi aktorami. Wielki bankier jest dumny, że przyjmuje u siebie Hendrika Hófggena; chętniej jeszcze widziałyby w swoim domu Dorę Martin, ale Dora Martin nie przychodzi, nie przyjmuje zaproszeń albo zjawia się najwyżej na dziesięć minut.

Oczywiście Hófggen także nie ukazuje się przed północą. Po wieczornym przedstawieniu występuje jeszcze w music-hallu, gdzie za trzysta marek Śpiewa piosenkę trwającą zaledwie siedem minut. Doborowe towarzystwo, które zaszczyca swoją obecnością, nuci mu na powitanie refren piosenki zawdzięczającej mu sławę:

Na to po prostu nie ma słów...
Czyżby mi przyszło zdzićzeć znów
Mój Boże, cóż się ze mną stało!

Jakże piękny i wytworny jest Hendrik — na to po prostu nie ma słów! Rozdając ukłony i uśmiechy, eskortowany przez pana Katza i pannę Bernhard, swoich wiernych trabantów, porusza się Hófggen w tym towarzystwie, złożonym z żydowskich finansistów-snobów, z pisarzy-radykałów w polityce, a impotentów w sztuce oraz ze sportowców, którzy w życiu nie przeczytali książki i z tej racji są przedmiotem uwielbienia literatów.

— Czyż nie wygląda jak lord? — szepcą bogato wystrojone panie o wschodnim typie.

— Ten zdeprawowany wyraz ust, a te cudne zblazowane oczy! Frak od Kinzego, kosztował tysiąc dwieście marek!

W kącie salonu twierdzi ktoś, że Hófggen jest kochankiem Dory Martin.

— Ależ nie, on sypia z panną Bernhard! — przeczy ktoś, kto chce uchodzić za bardziej wtajemniczonego.

— A jego żona? — zapytuje jakiś naiwny młodzieniec, który widać od niedawna obraca się w berlińskim towarzystwie.

Odpowiada mu jedynie pogardliwy uśmiech. Rodziny Brucknerów nie można już brać na serio, odkąd się ten stary radca w tak gorszący i zresztą bezsensowny sposób naraził politycznie. Uczeni nie powinni się wtrącać do rzeczy, których nie rozumieją — pod tym względem są wszyscy zgodni — poza tym wszyscy uważają za niedorzeczny upór chcieć płynąć przeciwko prądowi. Każdy nowoczesny człowiek zrozumie ruch narodowosocjalistyczny, do którego należy przyszłość, który zawiera tyle pierwiastków dodatnich, zaś pewnych drobnych błędów, jak na przykład antysemityzmu, niewątpliwie się z czasem pozbędzie.

— Liberalizm się przeżył i nie ma przed sobą przyszłości, to jest fakt, który chyba nie podlega dyskusji — mówili literaci, a zarówno bokserzy, jak i bankierzy nie przeczyli im.

— Jak to miło, że znalazł pan dla nas godzinkę, drogi panie Höfgen — wita słodziutkim głosem pani domu swego atrakcyjnego gościa, podając mu talerzyk kawioru. — Wiemy przecież, jaki pan jest zajęty! Czy mogę panu przedstawić dwóch pańskich najpłomienniejszych wielbicieli? Oto pan Müller-Andrea, którego czarujące pogawędki w „Dzienniku Ciekawostek” są panu z pewnością znane. A to nasz przyjaciel, słynny pisarz francuski Pierre Lanie...

Pan Müller-Andrea jest to elegancki siwowłosy mężczyzna o wyłupiastych, wodnistobłękitnych oczach w różowej twarzy. Wszyscy wiedzą, że żyje wyłącznie dzięki koneksjom żony pochodzącej z arystokratycznej rodziny. Przez nią dowiaduje się o wszystkich plotkach krążących w towarzystwie berlińskim, z których kompiluje artykułiki do „Dziennika Ciekawostek”. W tym cieszącym się złą sławą sensacyjnym brukowcu prowadzi pan Müller-Andrea swoje tygodniowe pogawędki pod tytułem: *Czyście się tego domyślali?* Tym to właśnie zabawnym artykułikom zawdzięcza „Dziennik Ciekawostek” swoją popularność; dowiadujemy się, że małżonka przemysłowca X wybrała się na krótką wycieczkę do Biarritz z tenorem lirycznym Y i że hrabina Z ukazuje się codziennie na

popołudniowym dansingu w hotelu Adlon nie tyle z uwagi na dobrą orkiestrę, ile na pewnego żigolo... Pan Müller-Andrea potrafi podobnymi rewelacjami przykuć uwagę czytelników, jak również ich pouczyć, Jednakże koszty na dość wysokiej stopie prowadzonego domu pokrywa on nie tyle z ogłoszonych drukiem artykułów, ile z sum, które każe sobie płacić za nieopublikowanie „ploteczek”. Niejedna pani przekazała już poważne sumy na konto pana Mullera-Andrea, aby jej nazwisko nie ukazywało się w rubryce *Czyście się tego domyślali?* Pan Müller-Andrea jest ordynarnym szantażystą, nikt temu nie przeczy — nawet on sam, ale nikt się tym zbyt nie przejmie.

Drugi „płomienny wielbiciel” aktora Höfgena, monsieur Larue, jest to niziutki człowieczek. Podaje Hendrikowi białą szpiczastą dłoń i mówi żalonym sopranem:

— Jakże rad jestem, że poznaję tak interesującego człowieka, drogi panie Höfgen! Czy mogę sobie zanotować pański adres? — To mówiąc wprawnym ruchem wyciąga z kieszeni grubego notes. — Mam nadzieję, że zechce pan wkrótce zjeść ze mną obiad w „Esplanadzie” — wykrzykuje swym płaczliwym, ale niczym śpiew syreny kuszącym głosem.

W staropanieńskiej, szpiczastej, niezliczoną ilością zmarszczek pooranej twarzy monsieur Larue tkwi para dziwnie kłujących i przenikliwych oczu; błyszczy w nich niemal ekstatyczny płomień bezgranicznej ciekawości; lśnią pożądaniami nowych ludzi, nazwisk, adresów — jest to główny motor, jedyna istotna treść jego życia. Monsieur Larue umarłby, usnąłby smętnie jak rybka wyjęta z wody w dniu, w którym nie dano by mu zawrzeć żadnej nowej znajomości. Jednakże ta pożałowania godna ewentualność zostanie małemu zbieraczowi ludzi oszczędzona, w każdym razie dopóty, dopóki przebywa w Berlinie. Cudzoziemcy mają bowiem jedwabne życie w berlińskich salonach: gość, który mówi po niemiecku złym akcentem, cieszy się w towarzystwie takim samym uznaniem jak bokser, hrabina albo aktor filmowy, a cóż dopiero cudzoziemiec, który ma pieniądze, wydaje interesujące obiady w hotelu „Esplanade”, był przedstawiony wielu koronowanym głowom i nawet zna księcia Walii. Wszystkie drzwi są otwarte przed monsieur Larue, nawet stary, czcigodny prezydent Rzeszy raczył go przyjąć. Jest stałym gościem najbardziej

reakcyjnych i ekskluzywnych rodzin w Poczdamie, skądinał jednak widuje się go w towarzystwie skrajnie radykalnych młodzieńców, których przedstawia jako „*mes jeimcs camarades communistes*” i chętnie wprowadza do domów wielkiej finansjery.

— Podziwiałem pana wczoraj w „Wintergartenie” — oświadcza Pierre Larue zanotowawszy skrętnie numer telefonu Hófgena i powtarza żartobliwie, ale żalonym tonem, popularny refren: „Na to po prostu nie ma słów...” Po czym wybucha śmiechem podobnym do szelestu zeschniętych jesiennych liści. — Cha, cha, cha! — śmieje się monsieur Larue, zaciera blade, kościste rączki złożone na piersiach i chowa głęboko twarz w fałdach czarnego wełnianego szala, którym pomimo wysokiej temperatury salonów okręcił sobie szyję, zaśnając kołnierz smokinga.

Na to po prostu nie ma słów — tego świat jeszcze nie widział — to się może zdarzyć tylko raz, to się już nigdy nie powtórzy! W Niemczech wszystko idzie wspaniale, lepiej być nie może, tylko żyć beztrąsko i być dobrej myśli. Kryzys? Walki polityczne? Republika, której brak nie tylko poczucia honoru, ale nawet instynktu samozachowawczego, która pozwala w oczach całego świata szydzić z siebie swemu najbardziej zuchwałemu i zaciekłemu wrogowi? A wroga tego popierają i faworyzują bogacze, lękający się tylko jednego, że znajdzie się rząd, któremu przyjdzie do głowy odebrać im trochę pieniędzy. Czy to prawda, że zdarzają się w Berlinie bójki w lokalach partyjnych i nocne walki uliczne? Czy to prawda, że wre już wojna domowa, która niemal co dzień żąda nowych ofiar? Czy to prawda, że chłopcy w brunatnych mundurach depeczą już po twarzach robotników i podrzynają im gardła, a „wielki uwodziciel” narodu, przywódca „żywiółów dążących do odbudowy”, ulubieniec przedstawicieli ciężkiego przemysłu i generałów ogłasza bezwstydnie swój telegram gratulacyjny adresowany do bestialskich morderców? Czy to prawda, że ten sam podżegacz, który żąda „nocy długich noży” i który publicznie zapowiedział, że potoczą się głowy, przysięga teraz, że chce tylko „legalną drogą” dojść do władzy? Czy może już sobie na to pozwolić? Czy wolno mu bezkarnie wykrzykiwać co dzień na cały świat swoim szczekającym głosem tyle pogroźek i potwarzy?

Na to po prostu nie ma słów! Gabinety ministrów padają, powstają nowe, ani trochę mądrzejsze od poprzednich. Czyż kraj ma zdziżyć całkowicie? W pałacu czcigodnego generała-feldmarszałka obszarnicy knują spisek przeciwko drżącym w posadach republice. Demokraci przysięgają, że wróg jest po lewicy. Szefowie policji, którzy zwa się socjalistami, każą strzelać do robotników. A szczekającemu głosowi wolno co dzień bez przeszkód wróżyć „systemowi” sąd i krwawy koniec.

Świat nie widział jeszcze nic podobnego! Czy nie widzi tego suto opłacany trefniś „systemu”, „systemu”, pod którego adresem ów szczekający głos ciska nieustanne pogroźki? Czyż Hendrikowi Hófgeni nigdy nie przyjdzie do głowy, że widowiska, których jest wątpliwym bohaterem, są w gruncie rzeczy makabryczne i że taniec, którego jest jednym z najzapamiętalszych wykonawców, z zawrotną szybkością wiedzie ku przepaści?

Hendrik Hófgem, specjalista od ról eleganckich łajdaków, morderców we fraku, intrygantów historycznych, nic nie widzi, nic nie słyszy, nic nie spostrzega. Nie mieszka właściwie w Berlinie, tak jak swego czasu nie mieszkał w Hamburgu — zna tylko sceny, studia filmowe, garderoby teatralne, kilka nocnych lokali, kilka sal, gdzie odbywają się wielkie uroczystości, i kilka snobistycznych salonów. Czy odczuwa, że zmieniają się pory roku? Czy zdaje sobie sprawę, że lata mijają, ostatnie lata tej z taką nadzieją witanej, teraz tak żałośnie ginącej republiki weimarskiej? Lata 1930, 1931, 1932? Hófgem żyje od premiery do premiery, od filmu do filmu; liczy dni prób i dni zdjęć, ale nie dostrzega prawie, że śnieg topnieje, że drzewa i krzewy pokrywają się pąkami lub liśćmi, że wiatr niesie ze sobą zapach pól, że istnieją na świecie kwiaty i szmerzące wody. Zamknięty we własnej pysze jak w więzieniu, nie nasycony i niezmordowany, wiecznie w stanie histerycznego napięcia nerwów, Hófgem używa życia, lecz zarazem znosi los, który jemu wydaje się niezwykły, a który w istocie jest tylko pospolitą, błyszczącą arabeską na krawędzi skazanej na zagładę, obcej wszelkiemu duchowi, zdążającej ku niechybnej katastrofie aktywności.

Na to nie ma słów, to się w ogóle nie da zliczyć, czego on nie wyprawia, jak różnorodnymi pomysłami i niespodziankami

potrafi ściągnąć na siebie uwagę publiczności. Ku bezgranicznej rozpaczy panny Bernhard rozwiązał kontrakt z teatrem profesora; chce być wolny, aby korzystać z tych wszystkich kuszących okazji, które mu się same narzucają. Gra więc teraz i reżyseruje to tu, to tam, jeśli intratna praca w filmie pozostawi mu trochę czasu dla sceny. Na ekranie czy też na scenie widzimy goto w awantazowyro stroju apasza — czerwony krawat, czarna koszula; to znów w blond peruce z opadającymi na czoło lokami, co nadaje mu wygląd jeszcze bardziej podejrzany; to w haftowanym kostiumie wytwornego księcia z epoki rokoka; w strojnych szatach wschodniego despoty, w todzie rzymskiej czy w biedermeierowskim surducie, w postaci króla pruskiego czy zdegenerowanego lorda angielskiego; w stroju do golfa, w pidżamie, we fraku albo w mundurze huzarskim. W wielkich operetkach śpiewa bzdury, sprytnie akcentując puenty, a głupcy myślą, że to bardzo dowcipne. W dramatach klasycznych porusza się z tak wytworną nonszalancją, że dzieła Schillera czy Szekspira robią wrażenie lekkich sztuk salonowych. Z modnych fars, skleconych w Paryżu albo Budapeszcie wedle tanich recept, wyczarowuje subtelne efekciki, które pozwalają zapomnieć o braku wartości artystycznej utworu. Ten Hofgen wszystko potrafi! Jego olśniewająca, niezawodna zdolność metamorfozy ma w sobie znamiona geniuszu. Gdybyśmy się przyjrzeliby każdej jego poszczególnej kreacji, doszlibyśmy zapewne do wniosku, że żadna z nich nie jest najwyższej klasy. Jako reżyser nie dorówna nigdy profesorowi, jako aktor nie wytrzymuje porównania ze swą wielką rywalką Dorą Martin. Pozostanie ona gwiazdą pierwszej rangi na niebie, po którym on przesuwając się zaledwie niby lśniącą kometą. Wszechstronność kreacji tworzy jego sławę i wciąż ją na nowo odradza. Publiczność woła jednogłośnie: „To fenomenalne, czegoż ten człowiek nie potrafi!” Prasa powtarza to samo zdanie w bardziej wyszukanej formie.

Hendrik jest ulubielem lewicowo-burżuazyjnych i lewicowych pism, tak samo jak był i jest nadal faworytem wielkich żydowskich salonów. I właśnie ta okoliczność, że nie jest Żydem, czyni go tym cenniejszym w tych kołach, żydowska bowiem elita w Berlinie uwielbia blondynów. Gazety radykalnej prawicy, gniewnie propagujące co dzień odnowienie

niemieckiej kultury przez nawrót do „rdzennej ludności”, do „krwi i ziemi”, traktują Höfgena niechętnie i podejrzliwie: uchodzi za bolszewika w dziedzinie kultury. Już samo to, że żydowscy redaktorzy felietonów cenią go tak wysoko, czyni go podejrzanym w równym stopniu, jak jego upodobanie do sztuk francuskich oraz ekscentryczny, nic z ludowością nie mający wspólnego wygląd światowca. Ponadto, nacjonalistyczni dramatopisarze nienawidzą go i prześladują, gdyż stale odrzuca ich sztuki. Takim przykładem Cezar von Muck, reprezentacyjny pisarz pnącego się w górę ruchu narodowosocjalistycznego, w którego dramatach zaduszeni Żydzi i rozstrzelani Francuzi zastępują brakujące puenty dialogu. Otóż Cezar von Muck, najwyższa wyrocznia w sprawach kultury w obozie zdecydowanych jej wrogów, tak pisze o nowej inscenizacji jednej z oper wagnerowskich, którą Höfgen zrobił ostatnio sensację: „Jest to sztuka brukowa w najgorszym stylu, rozkładowy eksperyment pod wyraźnym wpływem żydowskim, bezczelne pohańbienie niemieckich dóbr kulturalnych. Cynizm pana Höfgena nie zna granic. Chcąc dostarczyć nowej rozrywki publiczności z Kurfürstendamm, waży się tknąć najczcigodniejszego, największego z niemieckich mistrzów — Ryszarda Wagnera.”

Hendrik wraz z paru radykalnymi literatami uśmieł się serdecznie z tych wypowiedzi skryby, propagatora „krwi i ziemi”.

Höfgen nie wyrzekł się bynajmniej stosunków z komunistycznymi albo komunizującymi kołami; podejmuje niekiedy w swoim mieszkaniu przy Reichskanzlerplatzu młodych pisarzy albo funkcjonariuszy partyjnych, których w coraz to nowych i zawsze efektownych zwrotach zapewnia o swojej nieprzejednanej nienawiści do kapitalizmu i płomiennej wierze w rewolucję światową. Stosunki z rewolucjonistami podtrzymuje nie tylko dlatego, że sądzi, iż dojdą kiedykolwiek do władzy, a wówczas wszystkie te obiady opłaciłyby mu się stokrotnie, ale także dla spokoju własnego sumienia. Jest ambitny, chciałby być czymś więcej niż dobrze zarabiającym komediantem; człowiek nie chce pograć się całkiem w życiu, którym rzekomo pogardza, wówczas gdy w istocie jest pod jego urokiem.

Hendrik pochlebia sobie, że w jego życiu istnieją treści i problematy, którymi koledzy nie mogą się poszczycić. Dora Martin na przykład, ta niezwykła Dora Martin, wciąż jeszcze 0 jeden decydujący niuans słynniejsza od niego: cóż może się dziać w jej duszy? Zasypia z myślą o swojej gaży, a budzi się z nadzieją nowych kontraktów filmowych. Tak myśli Hendrik, który nic nie wie o Dorze Martin. Natomiast w jego duszy dzieją się najoryginalniejsze rzeczy.

Związek z Juliettą, tym okrutnym dzieckiem natury, to coś więcej niż sprawa seksualna, to rzecz skomplikowana i tajemnicza: Hendrik przywiązuje wagę do tego ciekawego szczegółu. Czasami zdaje mu się, że jego związek z Barbarą — z tą Barbarą, którą nazywał swoim dobrym aniołem — nie jest bynajmniej zerwany i skończony, przeciwnie, mogą zajść jeszcze cuda, zagadki i niespodzianki. Kiedy sam dla siebie robi przegląd tego, co w jego życiu wewnętrznym najważniejsze, nie zapomina nigdy wymenić Barbary, z którą w istocie coraz bardziej traci kontakt.

Najważniejszym jednak punktem na liście niezwykłych wewnętrznych przeżyć Hendrika pozostają zawsze jego przekonania rewolucyjne. Nie chciałby za żadną cenę wyrzec się tej rzadkiej i cennej osobliwości, która go tak pochlebnie wyróżnia spośród reszty „koryfeuszów” berlińskiego życia teatralnego.

Z tego względu zrećnie i gorliwie podtrzymuje przyjaźń z Ottonem Ulrichsem, który porzucił Teatr Artystyczny w Hamburgu i prowadzi kabaret polityczny w północnej dzielnicy Berlina.

— Trzeba teraz wszystkie siły poświęcić robocie politycznej — tłumaczy Otto Ulrichs. — Nie mamy czasu do stracenia. Rozstrzygający dzień się zbliża.

W jego kabarecie noszącym nazwę „Zwiastun Burzy” i budzącym sensację — nie tylko w dzielnicy zamieszkałej przez proletariata — zarówno odwagą, jak wysoką wartością artystyczną spektakli, występowali młodzi robotnicy obok słynnych autorów i aktorów.

Hendrik sądzi, że może sobie pozwolić na ukazanie się na ciasnej scenie „Zwiastuna Burzy”. W związku z uroczystością organizowaną przez Ulrichsa z okazji odwiedzin autorów rosyjskich zapowiedziano publiczności jako szczególną atrak-

cję występ słynnego Hófgena z Teatru Państwowego. Ulrichs wszakże nie dokończył jeszcze zapowiedzi, kiedy zza kulis wyskoczył sprężyste Hendrik; włożył tego dnia najskromniejsze szare ubranie i nie przyjechał, jak zwykle, własnym mercedesem, tylko taksówką.

— Ani sławny, ani z Teatru Państwowego! — wykrzykuje metalicznym, dźwięcznym głosem i pięknym gestem otwiera ramiona. — Jestem wasz towarzysz Höfgen!

Publiczność robi mu owację.

Nazajutrz oświadcza surowy krytyk marksistowski doktor Radig w „Neues Börsenblatt”, że Hendrik Höfgen wstępnym bojem zdobył sobie serca robotników berlińskich.

Tak wzruszające przeżycia w dzielnicach proletariackich uspokajały sumienie, które w przeciwnym razie mogłoby się buntować, że w zachodnich dzielnicach Berlina reżyserujemy i wystawiamy wyłącznie modne bzdury. Należymy przecie do awangardy: mówiło o tym nie tylko własne sumienie, potwierdzali to literaci, którzy przecie coś wiedzieć muszą, na przykład Radig; napaści takich śmiesznych figur jak Cezar von Muck były również bardzo znamienne. Wszak jesteśmy duchowym puklerzem, strażą przednią! Nowa inscenizacja oper wagnerowskich jest śmiałym eksperymentem, nic więc dziwnego, że doprowadza do pasji wiecznych wsteczników. Ponadto Hendrik znów zaczyna mówić o stworzeniu studia literackiego; miałaby to być seria najbardziej nowoczesnych przedstawień kameralnych. Wprawdzie realizuje ów piękny plan podobnie, jak realizował Teatr Rewolucyjny w Hamburgu, jednakże mówi o rym często i kusząco, tak że wielu młodych aktorów i pisarzy przez całe lata cieszy się na tę imprezę. Należymy do elity rewolucyjnej, to pociąga za sobą oczywiście pewne koszty. Za pośrednictwem Ottona Ulrichsa wpłaca Höfgen sumy, wprawdzie niezbyt wielkie, ale przyjmowane z radością, pewnym komórkom partii komunistycznej.

Kto śmiałby twierdzić, że Hendrik żyje beztrudno i płocho, z dnia na dzień? Jego intensywne zainteresowanie wielkimi celami i zagadnieniami epoki jest rzeczą dowiedzioną. Toteż słusznie patrzy Hendrik z pogardą — pełen radosnej świadomości, że jego radykalnym przekonaniom nic nie można zarzucić — na tak niezdecydowane natury, jak na przykład

Barbara. Barbara, która w domu tajnego radcy lub na wsi u generałowej wiedzie próżniacze i egoistyczne życie, oмотana siecią błahych rozrywek i trosk intelektualnych.

Ale cóż Hendrik wie o troskach lub rozrywkach Barbary? Co Hendrik wie o ludziach? Czy jeżeli chodzi o ich losy, nie ma o nich tak samo bladego pojęcia jak o sprawach życia publicznego? Czy zajmował się kiedy poważnie i serdecznie tymi, których nazywał „treścią swojego życia”? Wyjątek stanowi chyba tylko mały Bock — jest on teraz naprawdę jego służącym — i monsieur Pierre Laruc, który daje w hotelu „Esplanade” wykwiłne kolacje dla „*mes jeunes camarades communhtes*”.

Czy Hendrik troszczy się może o życie wewnętrzne swojej przyjaciółki Julietty? Wymaga od niej stale, aby była okrutna i pogodna. Dostaje sporo pieniędzy i wolno jej wymachiwać batem: czy nie powinna być zadowolona? Hófggen nie zastanawia się nigdy nad tym, co znaczą ponure spojrzenia, które rzuca mu teraz tak często czarna dziewczyna. Czy to dziecko obcej krainy tęskni może do tych malowniczych wybrzeży, z których kapryśny los przrzucił ją do bardzo wątpliwej cywilizacji? Czy w swoim zagadkowym sercu zaczyna kochać płowowłosego, żądne cierpień przyjaciela, czy też zaczyna go nienawidzić? Hendrik nic o tym nie wie. Księżniczka Tebab uwodzi go swoim barbarzyństwem, jest pięknym, dzikim stworzeniem, a jej niewyczerpane siły odradzają go, kiedy się przed nią poniża.

Jeśli chodzi o Juliettę, wie o niej równie mało jak o Barbarze albo o swojej matce. Pobieżnie tylko czyta Hendrik listy od biednej mamy, której małżonek Kóbes i córka Josy — dwie wesołe i zatrwajająco lekkomyślne istoty — przyczyniają wiele trosk. Stary Kóbes jest już kompletnie zrujnowany. „Kryzys! — lamentuje w listach pani Bella. — Twój zacny ojciec jest jedną z licznych ofiar kryzysu.” Cały ich dobytek został opieczętowany i wielki wstyd byłby spadł na rodzinę Hófggenów, gdyby Hendrik w ostatniej chwili nie przekazał telegraficznie dość poważnej sumy. Josy zaręcza się co najmniej raz na pół roku; pani Bella oddycha z ulgą, ilekroć córka zrywa owe więzy, zawsze jakoś dziwnie nieszczęśliwe.

Pewnego razu zjawiła się w Berlinie Nicoletta, wkrótce jednak odjechała, wezwana pełnym pogróżek i skarg telegramem męża, Teofila Mardera.

— Jestem z nim bardzo szczęśliwa — oświadcza Nicoletta, starając się przywrócić swoim pięknym oczom dawny błask. Okazuje się jednak, że Marder od dwóch lat przebywa w sanatorium: Nicoletta spędza życie na pielęgnowaniu go; uśmiecha się, tkliwie i serdecznie, kiedy mówi o dziecięcej wdzięczności, jaką jej okazuje ten genialny człowiek. — Miewa się już znacznie lepiej — mówi pełna najlepszych nadziei. — Będziemy mogli wkrótce pojechać na Południe, potrzeba mu słońca...

Ową „treść życia”, którą Hendrik tak się chełpi, Nicoletta, kochająca Nicoletta, znalazła naprawdę. Są jeszcze inni, którzy mieliby prawo twierdzić, że ją znaleźli: na przykład Ulrichs; ten cierpliwie i mężnie czeka na „ów dzień”. „Dzień ten przyjdzie!” — obiecuje, natchniony wiarą, sobie i wierzącym jak on przyjaciom. „Dzień ten przyjdzie!” — podpowiada także młodemu Hansowi Miklasowi wewnętrzny głos. Dla niego będzie piękny ów dzień, kiedy fuhrer wreszcie dojdzie do władzy, a wszyscy jego wrogowie będą unicestwieni. Unicestwiony więc będzie przede wszystkim najgorszy i najwstrętniejszy wróg — Hófggen. Upadek znieprawdzonego Hófggena (Miklas zżymając się z bezsilnej złości śledzi z daleka bieg jego kariery) będzie najszczęśliwszym wydarzeniem w owym „wielkim dniu”, jego częściowym uzasadnieniem.

Hans Miklas, tak jak Otto Ulrichs, jego wróg polityczny, jest aktorem w służbie „wielkiej sprawy”, wielkiego celu. Od dawna już nie pracuje w teatrze, tylko w organizacjach młodzieżowych ruchu narodowosocjalistycznego. Działalność jego sprowadza się do szkolenia „młodzieży” swego fuhrera, reżyserowania sztuk propagandowych przeznaczonych do grania pod gołym niebem i w lokalach partyjnych; podobna praca zaspokaja jego serce, naiwne i pełne entuzjazmu. W deklamacji chóralnej chłopcy ryczą, że pobijają Francuzów i zawsze dochowają wierności fuhrerowi. Wyćwiczyli się w tym pod batutą Miklasa, który wygląda teraz o wiele zdrowiej i bardziej świeżo niż za hamburskich czasów, czarne doły w policzkach prawie znikły.

Dzień ów się zbliża! Myśli i marzenia zawładnęły Hansem Miklasem i Ottonem Ulrichsem, tak jak milionami innych młodych ludzi, napełniają im serca entuzjazmem. Na jaki jednak dzień czeka Hendrik Hófggen? Czeką zawsze tylko na nową rolę.

Jego wielka rola w sezonie 1932/33 to Mefisto; Hendrik grać ją będzie w nowej inscenizacji *Fausta*, z którą Teatr Państwowy występuje w setną rocznicę śmierci Goethego.

Mefistofeles, „przedziwny syn Chaosu”, to wielka rola aktora Hófggena, w żadną nie włożył jeszcze tyle zapału. Mefisto ma być jego arcydziełem. Już sama maska jest sensacyjna: Hendrik robi z księcia piekiel „błazna”, owego błazna, za którego Pan Niebios w swej niezmierzonej dobroci uważa diabła — diabła obdarzonego przywilejem przebywania w Jego obecności, ponieważ jest Mu najmniej niemiły ze wszystkich duchów, które przeczą. Hendrik gra go jak tragicznego kłowna, jak szatańskiego pierrot. Gładko ogolona czaszka jest upudrowana na biało, tak samo jak twarz; brwi są groteskowo wzniesione w górę, wydłużone, czerwone jak krew usta zastygły w uśmiechu. Szeroka przestrzeń pomiędzy oczami a sztucznie podniesionymi brwiami mieni się stubarwnie; fachowcy mają możliwość podziwiania kreacji kosmetycznej najwyższej klasy. Wszystkie odcienie tęczy zlewają się z sobą na powiekach Mefista i pod łukami brwi. Czerń przechodzi w czerwień, czerwień w barwę pomarańczową, w fiolet, w błękit; pomiędzy nimi przeświecają srebrzyste punkty, rozproszono też mądrze i z wyczuciem trochę złota. Cóż za ruchomy krajobraz barw nad kuszącymi, lśniącymi jak drogie kamienie oczami tego szatana!

Z wdziękiem tancerza sunie Hendrik-Mefisto po scenie w ciasno przylegającym, czarnym jedwabnym kostiumie; ze zdumiewającą i porywającą precyzją płyną z tych krwawych, wiecznie uśmiechniętych ust słowa głębokiej mądrości, dialektyczne żarty. Któż wątpi, że ten przerażająco wytworny trefniś może przemienić się w pudła, wyczarować wino z drewnianego stołu i na rozpostartym płaszczyku szybować w powietrzu, kiedy tylko mu na to przyjdzie ochota? Ten Mefisto zdolny jest do wszystkiego. Publiczność na sali czuje: jest silny, silniejszy od Pana Boga, którego od czasu do czasu chemie widuje, traktując go z nieco pogardliwą kurtuazją. Czyż niema

podstaw, by patrzeć na Niego trochę z góry? Jest o wiele dowcipniejszy, o wiele więcej wie, a w każdym razie jest o wiele bardziej nieszczęśliwy niż Tamten i może właśnie dlatego jest silniejszy, że jest bardziej nieszczęśliwy. Ogromny optymizm dostojnego Starca, który każe aniołom w pompatycznych pieśniach wychwalać na wyścigi swą osobę i piękno swego dzieła, dobroduszość Wszechmocnego wydają się niemal naiwne i dostojnie zdziecinniałe wobec straszliwej melancholii, lodowatego smutku, w jaki chwilami wśród całej swojej wątpliwej wesołości zapada ów niegdyś ulubiony anioł zamieniony w Szatana, przeklęty i w otchłań piekielną stracony. Jakiż dreszcz przesywa audytorium teatru, kiedy Hófggen-Mefistofeles krwawymi wargami wymawia te słowa:

...bo wszystko, co powstaje,
słusznie się pastwą zatracenia staje;
więc lepiej, żeby nic nie powstawało...*

Teraz ów aż nazbyt zwinny arlekin przestaje się ruszać. Stoi, jak gdyby wrósł w ziemię. Czyżby skamieniał z bólu? Pod barwnym krajobrazem szminki w oczach jego tkwi wyraz rozpacz. Niech sobie anioły śpiewają radośnie dokoła tronu Stwórcy, nie rozumieją ludzi. Diabeł zna ludzi, jest wtajemniczony w ich najgorsze sekrety, członki mu omdlewają, tak boleje nad nimi, a rysy kamienieją, przybierają wyraz beznadziejnego smutku.

Po premierze *Fausta*, zakończonej owacją, Hófggen zamyka się w swojej garderobie — nie chce nikogo widzieć. Jednego tylko gościa nie śmie mały Bock odprawić. Rzadko się zdarza, by Dora Martin przychodziła na przedstawienie, w którym sama nie bierze udziału. Jej obecność w teatrze tego wieczoru wywołuje sensację. Mały Bock kłania się nisko i otwiera przed nią drzwi do sanktuarium — do garderoby Hendrika Hófggena.

Oboje wydają się znużeni, zarówno Hófggen, jak jego koleżanka i rywalka. Jego porwały i wyczerpały uniesienia gry, które już ma za sobą; ją — nie znane Hófggenowi troski.

* Cytowane w powieści fragmenty *Fausta* Goethego przełożył Emil Zegadłowicz.

— Dobrze było — mówi Dora Marcin cicho i rzeczowo; siada, zanim zdążył jej podsunąć krzesło. Kuli się na wąskim krzeselku, twarz o wysokim czole i wielkich, zamyślonych, dziecięcych oczach ginie w wysokim kołnierzu z brązowego futra. — Dobrze było, Hendriku. Wiedziałam, że to potrafisz. Mefisto to twoja największa rola.

Hófgem, który siedzi przed toaletą zwrócony do niej plecami, uśmiecha się w lustrze:

— Mówisz to z pewną złośliwością, Doro.

Odpowiada wciąż tym samym spokojnym, rzeczowym tonem:

— Mylisz się, Hendriku. Nie mam nikomu za złe, że jest taki, jaki jest.

Teraz Hendrik zwraca ku niej twarz, z której usunął już diabelskie brwi i przepych barw na powiekach.

— Dziękuję, że dziś przyszłaś — mówi miękko, a jego oczy zaczynają migotliwie lśnić.

Ona jednak macha ręką niemal pogardliwie, jak gdyby chciała powiedzieć: „Dajmy spokój tym żartom!”

On udaje, że tego nie widzi, i zapytuje łagodnie:

— Jakie są twoje najbliższe plany, Doro?

— Uczę się angielskiego.

Hendrik robi zdziwioną minę:

— Angielskiego? Jak to? Dlaczego właśnie angielskiego?

— Bo chcę grać w Ameryce — odpowiada Dora Martin nie spuszczać z niego spokojnych, badawczych oczu.

A że Hófgem wciąż jeszcze udaje, że nie rozumie, i dopytuje się dalej: „Jak to? Dlaczego właśnie w Ameryce?” — odpowiada z lekkim zniecierpliwieniem:

— Bo tu się skończyło, mój drogi. Czyś tego nie zauważył?

Hendrik obruszył się:

— Ale co też ty mówisz, Doro! Dla ciebie nic się nie zmieni! Twoja pozycja jest niezachwiana! Ciebie kochają tysiące, naprawdę kochają! Nikt z nas — wiesz o tym doskonale — nie wzbudza tyle miłości co ty!

Uśmiech Dory staje się tak smutny i szydyczny, że Hendrik milknie.

— Miłość wielu tysięcy! — rzuca Dora z pogardą, głosem niemal bezdźwięcznym. Po czym wzrusza ramionami. I po

krótkim milczeniu mówi, ponad głową Hendrika, w próżnię:

— Znajdą sobie innych ulubieńców.

Hendrik papie dalej podniecony:

— Teatry będą zawsze robiły dobre interesy! Teatr zawsze ludzi interesuje, cokolwiek się w Niemczech stanie.

— Cokolwiek się w Niemczech stanie — powtarza Dora Martin szeptem i nagle wstaje. — Życzę ci więc wszystkiego dobrego, Hendriku — mówi z pośpiechem. — Nieprędko się zobaczymy. Wyjeżdżam już w tych dniach.

— Już w tych dniach? — zapytuje Hófgem zmieszany.

Ona zaś odpowiada utkwivszy w dal pociemniały wzrok:

— Nie ma sensu czekać dłużej. Nic tu po mnie — a po chwili milczenia dodaje: — Ale tobie będzie się dobrze wiodło, Hendriku — cokolwiek się w Niemczech stanie.

Pod rudawą, ciężką koroną włosów na jej twarzy, nieco za dużej do szczupłej i drobnej postaci, maluje się wyraz dumy i bólu. Dora Martin zmierza powoli ku drzwiom i opuszcza garderobę Hendrika Hófgena.

panuje nad naszą ojczyzną. Żli władcy przemierzają kraj w wielkich samochodach, samolotach albo pociągach specjalnych. Podróżują gorliwie. Wrzeszczą na wszystkich rynkach, głosząc swoje kłamstwa. Gdziekolwiek pokażą się oni lub ich nikczemni słudzy, tam wszędzie gaśnie światło rozsądku i zapada mrok.

VII

PAKT Z DIABŁEM

Biada, niebo nad tym krajem pociemniało. Bóg odwrócił twarz swoją od tego kraju, strumień krwi i łez płynie ulicami jego miast.

Biada, kraj ten jest splamiony i nikt nie wie, kiedy dane mu będzie się oczyścić — za cenę jakiej pokuty i jak potężnej ofiary dla szczęścia ludzkości będzie mógł zmasać z siebie tę straszliwą hańbę. Wraz z krwią i łzami tryska błoto ze wszystkich ulic wszystkich jego miast. Co było piękne, zostało splugawione, co było prawdą, zostało zakrzyczane przez kłamstwo.

Brudne kłamstwo objęło władzę nad tym krajem. Drze się na salach zebrań, przez głośniki, panoszy się na szpaltach dzienników, na ekranie filmu. Otwiera mordę, a z jego paszczy bluzga smród gangreny i zarazy. Kłamstwo skłania wielu ludzi do ucieczki z tego kraju, jeżeli jednak zmuszeni są tam pozostać, wówczas kraj ten staje się dla nich więzieniem, cuchnącym więzieniem.

Biada, jeźdźcy Apokalipsy są w drodze; tu zatrzymali się na postój i wystawili swój obmierzły hufiec. Stąd chcą zawojować cały świat: takie bowiem jest ich zamierzenie. Chcą panować nad lądami, a także i nad morzami. Wszędzie ma być czczona i uwielbiana ich potworna postać. Ich szpetota ma być podziwiana jako nowe piękno. Tam, gdzie dziś jeszcze budzą tylko śmiech, tam jutro padnie się przed nimi na twarz. Postanowili napaść na świat, zawojować go, by upokorzyć go i zdeprawować, tak jak dziś upokarzają i deprawują kraj, który opanowali. To nad naszą ojczyzną niebo pociemniało, to od naszej ojczyzny Bóg w gniewie odwrócił swoje oblicze. Noc

Hendrik Höfgen był w Hiszpanii, kiedy na skutek intryg w pałacu czcigodnego prezydenta Rzeszy i generała-feldmarszałka człowieka ów, którego Hans Miklas, a z nim wielka rzesza nieświadomych lub zrozpaczonych ludzi nazwała swoim führerem, został kanclerzem Rzeszy. Hendrik Höfgen grał rolę eleganckiego oszusta w filmie detektywistycznym, do którego zdjęcia w plenerze nakręcano pod Madrytem. Po wyczerpującym dniu wrócił do hotelu, kupił sobie gazety u portiera i przestraszył się. Jak to, ten gadatliwy facet, z którego sobie tak często pokpiwano w kółku dowcipnych i postępowych kolegów, ten facet miał stać się nagłe najpotężniejszym człowiekiem w państwie?! „To okropne! — myślał Höfgen. — To okropna niespodzianka! A ja byłem najmocniej przekonany, że tych narodowych socjalistów nie trzeba wcale brać na serio! A to wpadłem!”

Stał w swoim pięknym beżowym ubraniu wiosennym w hallu hotelu Ritz, gdzie międzynarodowa publiczność omawiała złowieszcze wypadki w Niemczech oraz reakcje giełdy.

Biednemu Hendrikowi robiło się zimno i gorąco, kiedy pomyślał, co go czeka. Mnóstwo osób, którym zawsze tylko zło wyświadczał, miało teraz sposobność się na nim zemścić. Na przykład Cezar von Muck. Ach, gdybyż był lepiej trochę traktował piewę „krwi i ziemi”, zamiast odrzucać wszystkie jego sztuki! Ileż człowiek narobił błędów nie do darowania, a zrozumiał to dopiero wtedy, kiedy było za późno. Teraz było już za późno, Hendrik miał wśród narodowych socjalistów samych nieprzejednanych wrogów. Był tak poruszony, że przypomniał sobie nawet małego Hansa Miklasa — cóż by dał za to, gdyby można było cofnąć owo niefortunne zajście w Hamburskim Teatrze Artystycznym! I jakaż bagatelka stała się wówczas powodem kłótni, która przybrała tak pożałowania godny obrót! Aktorka nazwiskiem Lotta Lindenthal. Bardzo

możliwe, że i ona wyrosła teraz na wielką figurę mogącą w najwyższym stopniu pomóc albo zaszkodzić...

Hendrik wszedł do windy — kolana się pod nim ugięły. Odwołał umówione na wieczór spotkanie z kolegami. Kazał sobie obiad podać do pokoju. Po wypiciu pół butelki szampana nastrój jego nieco się poprawił.

Trzeba zachować spokój i zimną krew, strzec się przed paniką. A więc ten tak zwany fuhrer został kanclerzem Rzeszy, to źle, bardzo źle, ale nie jest przecież jeszcze dyktatorem i prawdopodobnie nigdy nim nie zostanie. „Ludzie, którzy mu dali władzę, ci nacjonaści niemieccy, będą już nad tym czuwać, żeby ich zanadto nie wziął za łeb” — myślał Hendrik. Potem przypomniały mu się wielkie stronnictwa opozycyjne, które ostatecznie nie przestały istnieć. Socjaldemokraci i komuniści będą stawiali opór, może nawet zbrojny opór — tak wnioskował z rozkosznym dreszczykiem Hendrik Hófgem w swoim pokoju hotelowym po opróżnionej do połowy butelce szampana. Nie, do dyktatury narodowosocjalistycznej jest jeszcze daleko! Sytuacja może nawet w zdumiewająco szybki sposób się odwrócić; próba wydania narodu niemieckiego w łapy faszyzmu może się skończyć rewolucją socjalistyczną. To bardzo możliwe, a wówczas okazałoby się, że Hófgem spekulował bardzo chytrze i na długą metę. Powiedzmy jednak, że narodowi socjaliści pozostaną przy władzy: czego miałby się właściwie Hófgem obawiać z ich strony? Nie należy do żadnej partii, nie jest Żydem. Przede wszystkim ta okoliczność, że nie jest Żydem, wydała się nagle Hendrikowi niezmiernie pocieszająca i doniosła. Jakiż to niespodziewany, a jak ważny przywilej — człowiek się nigdy nad tym poważnie nie zastanawiał! Nie jest Żydem, a więc można mu wszystko przebaczyć, nawet to, że robiono mu owacje w kabarecie „Zwiastuna Burzy” jako „towarzyszowi”. Jest jasnowłosym Nadreńczykiem. Ojciec Kóbes był także jasnowłosym Nadreńczykiem, zanim osiwił skutkiem finansowych trosk i zgryzot. Matka, pani Bella, jak również siostra Josy są niezaprzeczenie jasnowłosymi córami Nadrenii.

„Jestem jasnowłosym Nadreńczykiem” — nucił Hendrik Hófgem rozweselony szampanem oraz wynikiem swoich rozważań i położył się spać dobrej myśli.

Nazajutrz rano co prawda poczuł się znowu bardzo nie-swojo. Jak go potraktują koledzy, którzy nigdy nie występowali w „Zwiastunie Burzy” i których poeta Muck nigdy nie nazwał „bolszewikami w dziedzinie kultury”? Zdawało mu się, że przywitani go dość oziębłe, wyruszając razem na zdjęcia w plenerze. Tylko komik Żyd wdał się z nim w dłuższą rozmowę, co było jednak raczej objawem niepokoju. Hendrik poczuł się osamotniony i wchodząc już w rolę męczennika, stał się przekorny i nieopanowany. Wobec komika wyraził pogląd, że narodowi socjaliści się tylko ośmieszają i że z nimi bardzo prędko zrobią porządek. Komik wszakże odrzekł lekliwie:

— Ach, nie, jeżeli już doszli do władzy, to długo się przy niej utrzymają. Dałby Bóg, żeby nabrali trochę rozsądku i lepiej nas traktowali. Jeżeli człowiek będzie siedział cicho jak mysz pod miotłą, to mu się chyba nic nie stanie — westchnął. Hendrik, choć zbyt dumny, aby to okazać, westchnął w duchu z nim razem.

Niepogoda przeszkadzała niemieckiej grupie aktorów w zdjęciach plenerowych; trzeba było do końca lutego pozostać w Madrycie. Wiadomości nadchodzące z kraju były sprzeczne i podniecające. Zdawało się nie ulegać wątpliwości, że Berlin szaleje z entuzjazmu dla narodowosocjalistycznego kanclerza. Inaczej natomiast stały sprawy — jeśli można wierzyć wiadomościom z gazet oraz informacjom prywatnym — na południu Niemiec, a zwłaszcza w Monachium. Twierdzono, że należy się spodziewać oderwania Bawarii od Rzeszy i przywrócenia monarchii pod berłem Wittelsbachów. Były to jednak może bezpodstawne plotki albo też tendencyjna przesada. Lepiej w każdym razie nie ufać zbyt tym pogłoskom i ostentacyjnie podkreślać swoje sympatie dla nowej władzy. Tak też uczynili niemieccy aktorzy zgromadzeni w Madrycie w celu nakręcenia filmu detektywistycznego. Młody amant — przystojny mężczyzna noszący długie nazwisko o słowiańskim brzmieniu — zaczął się nagle chełpić, że jest już od wielu lat członkiem NSDAP, co dotychczas konsekwentnie przemilczał; jego partnerka, której łagodne ciemne oczy i lekko garbaty nos nasuwały wątpliwości, czy należy do czystej rasy germańskiej, dawała do zrozumienia, że jest prawie zaręczona z wysokim funkcjonariuszem.

szem tejże partii; komik natomiast był z każdym dniem bardziej przybity.

Hendrik ze swej strony wybrał najprostszą i najskuteczniejszą taktykę: zachował tajemnicze milczenie. Nikt nie powinien się nawet domyślać, ile trosk ukrywa przed światem. Wiadomości bowiem, które odbierał od panny Bernhard i innych oddanych mu osób w Berlinie, były druzgocące. Róża pisała, że trzeba się przygotować na najgorsze, robiła ponure aluzje do jakichś „czarnych list”, prowadzonych przez narodowych socjalistów już od wielu lat, na których nie brakowało ani tajnego radcy Brucknera, ani profesora, ani Hendrika Hófgena. Profesor był w Londynie i nie myślał chwilowo o powrocie do Berlina. Panna Róża dawała swemu Hendrikowi do zrozumienia, żeby i on trzymał się na razie z daleka od stolicy Niemiec — zimny dreszcz przebiegł mu po krzyżu, kiedy czytał te słowa. Tak niedawno był jednym z wybranych, a tu ma się nagle stać wygnańcem! Niełatwo mu przyszło zachować maskę obojętności wobec podejrzliwych kolegów, zaś w czasie zdjęć był płochym i zimnym draniem, jak się tego po nim spodziewano.

Kiedy grupa poczęła zbierać się do powrotu i nawet komik Żyd z zatroskaną miną pakował walizki, Hendrik oświadczył, że poważne pertraktacje w sprawach filmowych wzywają go do Paryża. Myślał przy tym: „Muszę zyskać na czasie. Nie jest chyba rzeczą wskazaną teraz właśnie pokazywać się w Berlinie. Za kilka tygodni wszystko się prawdopodobnie uspokoi.”

Ale czekały go dopiero piorunujące niespodzianki. Pierwszą wiadomością, jaką odebrał po przyjeździe do Paryża, był komunikat o pożarze niemieckiego Reichstagu. Hendrik, który przez długoletnie występy w rolach łajdaków nabrał wprawy w odgadywaniu zbrodniczych powiązań, a z natury obdarzony był instynktem wyczuwania brudnych machinacji świata przestępców, zrozumiał od razu, kto wymyślił i wykonał ową prowokacyjną zbrodnię. Niegodziwa, a zarazem infantylna przebiegłość narodowych socjalistów kształciła się przecie i rozpaliała na tych filmach i sztukach scenicznych, w których Hendrik grywał czołowe role. Hendrik nie mógł zataić przed sobą, że oprócz zgrozy, która go ogarnęła na wieść o brutalnym chwycie, jakim było owo podpalenie, poczuł dziwną błogość, niemal zmysłową rozkosz. Zdeprawowana

wyobrażenia awanturników odważyła się na to zuchwałe, łatwe do przejrzania oszustwo, które tylko dlatego mogło się udać, że w samych Niemczech nikt już się nie ośmielił podnieść głosu protestu, a także dlatego, że cały świat więcej dbał o własny spokój niż o dobre obyczaje w Europie i nie zdawał się skłonny wtrącać w ciemne afery tej w najwyższym stopniu podejrzanej Rzeszy.

„Jak wielka jest potęga Zła! — • myślał Hófgen z dreszczem podziwu. — Na co może sobie bezkarnie pozwalać! Na świecie dzieje się naprawdę tak jak w filmach i sztukach, których tak często bywałem bohaterem.” To była w tej chwili najśmielsza myśl, na jaką potrafił się zdobyć. Podświadomie jednak, nie chcąc się przyznać do tego sam przed sobą, poczuł po raz pierwszy tajemniczy związek pomiędzy własną osobą a tą osławioną, zdeprawowaną sferą, w której mogą zrodzić się i dojść do skutku podobnie ordynarne łajdactwa, jak owo podpalenie.

Na razie jednak nie był Hendrik skłonny długo się zastanawiać nad psychologią niemieckich złoczyńców, jak również nad tym, co go właściwie łączy z tymi typami ze świata przestępców — najbliższa przyszłość nie bez powodu napełniała go poważną troską. Po podpaleniu Reichstagu zaarrestowano kilka osób, z którymi łączyły go zażyłe stosunki, między innymi Ottona Ułrichsa. Róża Bernhard porzuciła stanowisko w zarządzie teatrów i na łeb, na szyję wyjechała do Wiednia. Stamtąd zaklinała listownie swego przyjaciela Hofgena, żeby pod żadnym pozorem nie wracał do Niemiec. „Życie twoje byłoby w niebezpieczeństwie!” — Tak alarmująco pisała Róża z hotelu Bristol w Wiedniu.

Hendrik sądził, że należy to złożyć na karb romantycznej przesady. Mimo to był zaniepokojony. Z dnia na dzień odkładał wyjazd. Bezcynny i zdenerwowany włóczył się po ulicach Paryża. Nie znał miasta, ale nie był bynajmniej usposobiony, by cieszyć się jego urokiem; po prostu go nie dostrzegał.

Były to ciężkie tygodnie, najcięższe może, jakie kiedykolwiek przeżywał. Nie widywał nikogo. Wiedział wprawdzie, że parę osób znajomych przyjechało do Paryża, ale nie miał odwagi nawiązać z nimi kontaktu. O czymże mogliby z sobą mówić? Denerwowaliby go tylko patetycznymi wybuchami

oburzenia z powodu wypadków w Niemczech, które istotnie stawały się coraz bardziej szaleńcze, coraz bardziej budzące grozę. Ludzie ci z pewnością spalili za sobą wszystkie mosty wiodące do ojczyzny, do której tyranów płonęli tak nieubłagana nienawiścią. Byli już emigrantami. „Czy i ja nim jestem?” — z przerażeniem zadawał sobie Hendrik to pytanie. Ale wszystko w nim broniło się przed przyznaniem do tego.

Jednak w ciągu tych długich, samotnych godzin spędzanych w pokoju hotelowym, na mostach, ulicach, w kawiarniach Paryża, począł się w nim budzić głuchy protest — szlachetny protest, najlepsze uczucie, jakie w nim kiedykolwiek zakiełkowało.

„Miałbym więc żebrać o przebaczenie te bestie, tych morderców? — myślał wtedy. — Czyż jestem od nich zależny? Czyż moje nazwisko nie ma już międzynarodowego rozgłosu? Wszędzie mógłbym się wybić, nie byłoby to może całkiem łatwe, ale w końcu by się udało. Jakażby to była ulga, jakież wyzwolenie: dumnie i dobrowolnie usunąć się z kraju, gdzie powietrze jest zarażone; wielkim głosem oznajmić swoją solidarność z tymi, którzy chcą walczyć ze splamionym krwią reżymem! Jakiż bym się poczuł czysty, gdybym mógł się zdobyć na taką decyzję! Jakiegoż nowego sensu, nowej godności nabrałoby moje życie!”

Wraz z tymi nastrojami, które występowały gwałtownie i sprawiały mu ponurą rozkosz, ale nigdy nie były trwałe, powracało stale pragnienie zobaczenia Barbary, długiej z nią rozmowy, Barbary, którą nazywał swoim dobrym aniołem. Jak bardzo była mu teraz potrzebna! Ale od tak dawna — miesiące całe — nie miał wiadomości od niej, nie wiedział nawet, gdzie się znajduje. „Prawdopodobnie siedzi na wsi u generałowej i nie troszczy się o nic! — pomyślał z goryczą. — Przepowiadałem jej to przecież, że potrafi znaleźć interesujące strony nawet w terrorze faszystowskim. Tak się musiało stać: ja jestem męczennikiem, błędę po ulicach obcego miasta, a ona może właśnie gawędzi sobie z jednym z tych morderców i katów, tak jak kiedyś gawędziła z Hansem Miklasem.”

A że samotność stawała się już nie do zniesienia, rozmyślał nad tym, żeby sprowadzić księżniczkę Tebab z Berlina do Paryża. Jakimż odświeżeniem, jakąż podporą byłby jej grzmiący śmiech, dotknięcie jej mocnej ręki, której skóra swą

szorstkością przypominała korę drzewną! Odwrócić się od Niemiec i rozpocząć nowe, szalone życie z księżniczką Tebab. Ach, jakie by to było piękne i właściwe! Czyby rak być nie mogło? Czyż nie było to możliwe? Wystarczyłoby zatelegrafować do Berlina, a czarna Wenus zjawiłaby się tu nazajutrz — z zielonymi butami i czerwonym batem w walizce. Hendrik miewał słodkie, buntownicze sny, których główną postacią była księżniczka Tebab. W jaskrawych, podniecających barwach malował sobie życie, które wiedliby razem. Można by zacząć od tego, aby jako para tancerzy zarabiać na chleb w Paryżu, Londynie albo Nowym Jorku; Hendrik i Juhetta, najlepsi tancerze scepa na świecie. Ale prawdopodobnie nie skończyłoby się na tańcu. Hendrik snuł śmielsze marzenia. Z pary tancerzy mogłaby wyrosnąć para niebieskich ptaków. Jak by to było zabawnie odegrać naprawdę rolę wielkoświatowych przestępców, które tak często grywało się w teatrze, ze wszystkimi niebezpieczeństwami i konsekwencjami! Ręka w rękę z tą pierwotną kobietą oszukiwać i brutalizować znienawidzone społeczeństwo, które dopiero w faszyzmie ukazywało swoje prawdziwe, straszne oblicze — cóż to za wspaniała wizja! Opanowała ona Hendrika z taką siłą, że przez kilka dni chodził jak nieprzytomny. Może byłby naprawdę uczynił pierwszy krok do jej urzeczywistnienia i zadesperzował do czarnej córy królewskiej, gdyby nie była go dosięgła pewna wiadomość, która z punktu zmieniała całkowicie jego sytuację.

Ów ważki list napisała mała Angelika Siebert — kto by pomyślał, że właśnie ona, której Hendrik tak wyniośle i okrutnie zadawał się nigdy nie dostrzegać, odegra kiedyś rozstrzygającą rolę w jego życiu! Od jak dawna o niej nawet nie pomyślał, a kiedy teraz próbował przypomnieć sobie jej twarz, tę miłą, wylęknioną twarzyczkę trzynastoletniego chłopca o przymrużonych jasnych oczach krótkowidza, wydało mu się, że widział ją zawsze zalaną łzami. Bo czyż mała Angelika nie płakała prawie bezustannie? I czy nie dawał jej aż zbyt często powodu do łez? Hendrik pamiętał, jak niegodziwie z nią najczęściej postępował. Ale jej uparte, tkliwe serce mimo wszystko pozostało mu wierne. I to dziwiło Hendrika. Mając ku temu poważne powody — sądził bowiem innych według siebie — był zawsze przygotowany na samolubną nikczemność swoich bliźnich. Uczciwe postępowanie, zacny, z serca płyną-

cy czyn zdumiewały go, wytrącały z równowagi. W zimnym pokoju hotelowym, którego ściany i meble znał już tak dobrze, że zaczynały budzić w nim lek i nienawiść, rozplakał się nad listem Angeliki. I dziwna rzecz, to nie tylko stargane nerwy skłaniały go do szlochu, szczere wzruszenie wycisnęło mu z oczu łzy. Jakaż niebiańska radością, jakimż zadośćuczynieniem dla małej Angeliki byłoby, gdyby mogła zobaczyć, jak ten, przez którego ryle łez wylała, sam teraz płacze i że to jednak jej miłość sprawiła, że te najdroższe, niebezpieczne i zimne oczy napełniły się słonymi kroplami.

Angelika donosiła w liście, że jest w Berlinie, grywa trochę w filmie i powodzi jej się nie najgorzej. Młody, obiecujący reżyser chce się koniecznie z nią ożenić. „Ale ja naturalnie wcale o tym nie myślę” — pisała i Hendrik uśmiechnął się czytając te słowa. Tak, taka właśnie była — oporna i nieczuła na zaloty i propozycje, choćby najbardziej kuszące; uparcie goniąca za tym, co niedościgłe, i stałe trwoniąca uczucia, gdzie ich nie dostrzegano i gdzie je lekceważono. W czasie zdjęć do wielkiej komedii filmowej z epoki biedermeier poznała aktorkę Lindenthal, tę samą, która grywała kiedyś w Jenie role sentymentalnych dziewczątek, a równocześnie była przyjaciółką jednego z oficerów lotnictwa — narodowego socjalisty. Hendrik, który chciwie i z nienawiścią śledził w gazetach bieg wypadków w Niemczech, wiedział, że ów oficer lotnictwa należy do największych potentatów nowej Rzeszy. A więc i Lotta Lindenthal stała się osobą wpływową. U niej to szukała Angelika Siebert poparcia dla Hendrika i osiągnęła całkowity sukces.

Tonem pełnym uwielbienia opisywała w liście nieprzeparaty urok, rozum, miękkość charakteru i wielką godność osobistą Lotty Lindenthal. Zdaniem Angeliki, można było mieć całkowitą pewność, że ta śliczna pani o złotym sercu będzie miała na swego potężnego przyjaciela jak najlepszy wpływ. Dawała tego dowody już teraz, zwłaszcza we wszystkim, co dotyczyło teatru. Wielki człowiek okazywał zainteresowanie i przychylność dla sztuki scenicznej, operetki i opery. Jego kochankami, czy też damami, które darzył szczególnym uwielbieniem, bywały przeważnie aktorki o bujnych kształtach i sentymentalnym usposobieniu. Wyświadczał im chętnie różne przyśługi, póki nie chodziło o sprawy poważne, tylko o takie

drobiazgi, jak na przykład kariera jakiegoś aktora. Angelika Siebert opowiedziała Lotcie Lindenthal, że Hendrik Hófggen siedzi w Paryżu i nie ma odwagi wrócić do Niemiec. Faworyta wszechpotężnego uśmiechnęła się na to dobroduszenie. — Czego się ten człowiek boi? — zapytała otwierając naiwnie oczy. — Hófggen nie jest przecież Żydem; przeciwnie, jasnowłosym Nadreńczykiem, i nigdy nie należał do żadnej partii. Poza tym jest to wybitny artysta — panna Lindenthal widziała go w roli Mefistofelesa. — Tacy [udzie są nam bardzo, aie to bardzo potrzebni — powiedziała ta nieoceniona kobieta i obiecała zaraz tego samego dnia pomówić o tej sprawie z potężnym przyjacielem.

— Hermann jest przecie człowiekiem na wskroś liberalnym — zapewniała aktorka grająca w Jenie role sentymentalnych dziewczątek. Wszystkich obecnych przeszedł dreszcz podziwu słysząc, jak mówi w tak poufały sposób o groźnym olbrzymie. — Nie jest także ani trochę zawzięty. Jeśli nawet ten Hófggen pozwalał sobie dawniej na jakieś ekstrawagancje, a nawet niewinne głupstwa, Hermann takie rzeczy rozumie, zwłaszcza jeżeli chodzi o aktora wysokiej klasy. Najważniejsza rzecz przecie to dobre, zdrowe ziarno — mówiła Lotta trochę wprawdzie bez sensu, ale w serdecznym tonie. I zrobiła to, co obiecała. Kiedy wszechpotężny złożył jej codzienną wieczorną wizytę, zaczęła go błagać. — Hermannie, bądź dobry! — Wbiła sobie w głowę, że w komedii, którą ma zadebiutować na scenie Berlińskiego Teatru Państwowego, partnerem jej musi być koniecznie Hendrik Hófggen. — Nikt się lepiej nie nadaje do tej roli — szczebiotała pierwsza naiwna. — Ostatecznie i tobie chyba na tym zależy, żebym miała miłego partnera, kiedy po raz pierwszy zagram w Berlinie!

Generał zapytał, czy Hófggen jest Żydem. A skoro się dowiedział, że wręcz przeciwnie, chodzi tu o najczystszej krwi jasnowłosego Nadreńczyka, obiecał, że „temu chłopcu” nic się nie stanie, choćby nawet dawniej nie wiem co wyprawiał.

Lotta Lindenthal powiadomiła natychmiast swoją koleżankę Angelikę Siebert o pomyślnym przebiegu pertraktacji, ta zaś nie mogła się doczekać chwili, kiedy doniesie Hendrikowi o tak świetnym wyniku swoich starań.

A więc skończył się okres męczarni w Paryżu. Nie będzie już samotnych spacerów wzdłuż bulwaru St. Michel, nad

brzegami Sekwany lub przez Champs Elysees, na których piękno Hendrik był dotąd ślepy. Czy Höfgen oddawał się kiedykolwiek śmiałym i buntowniczym snom w zimnym pokoju hotelowym? Czy kiedykolwiek odczuwał potrzebę oczyszczenia się, wyzwolenia, ucieczki w nowe, wolne życie? Nie pamiętał już tego, zdążył o tym zapomnieć, zanim zapakował kufry. Nucąc wesoło i z trudem opanowując pokusę — miał ochotę skakać z radości — pospieszył do biura podróży Cooka przy Place de la Madeleine, by zamówić miejsce sypialne do Berlina.

W drodze powrotnej do hotelu, położonego w pobliżu bulwaru Montparnasse, przechodził Hendrik koło „Cafe du Dome”. Dzień był ciepły, dużo osób siedziało na powietrzu, stoliki i krzesła pod lekką płócienną markizą sięgały aż do połowy chodnika. Hendrik, rozgrzany szybkim spacerem, miał ochotę usiąść tu na kwadrans i wypić szklankę soku pomarańczowego. Przystanął, ale w miarę jak obejmował wyniosłym spojrzeniem rozgadany tłum, zmienił zamiar. Pomyślał sobie: „Kto wie, na kogo mógłbym się natknąć. Może są tu jacyś starzy znajomi, których wolałbym uniknąć. «Cafe du Dome» to przecież miejsce spotkań wszystkich emigrantów. Nie, nie, lepiej pójść dalej.”

Już miał się odwrócić, kiedy wzrok jego zatrzymał się na grupie osób siedzących w milczeniu dokoła okrągłego stolika. Hendrik drgnął. Przestraszył się tak bardzo, że aż zakłuło go w okolicy dołka i przez kilka sekund nie mógł się poruszyć.

Najpierw poznał panią von Herzfeld, potem dopiero zauważył, że przyniejmniej siedzi Barbara. Barbara w Paryżu! Przez cały czas, kiedy tak za nią tęsknił, kiedy była mu potrzebna, jak nigdy dotąd, znajdowała się blisko niego, mieszkała w tym samym mieście, w tej samej dzielnicy, oddalona może zaledwie o parę domów! Barbara opuściła Niemcy i oto siedzi na tarasie „Cafe du Dorne” obok Heddy von Herzfeld, z którą w Hamburgu nigdy nie żyła w przyjaźni. Teraz wszakże wyjątkowo trudne i ciężkie warunki zbliżyły do siebie te kobiety... Siedziały przy jednym stoliku. Obie milczały, obie miały podobny smętny, zamyślony, głęboki wzrok, który zdawał się patrzeć w dal, ponad otaczającymi je przedmiotami.

„Jakże blada jest Barbara” — myślał Hendrik, który miał wrażenie, jak gdyby osoby siedzące naprzeciw niego nie były

rzeczywistością, tylko wytworem jego podnieconego mózgu, jak gdyby istniały tylko w jego wyobraźni, były jedynie wizją. Jeżeli żyją, dlaczegoż się nie ruszają? Dlaczego siedzą nieme i bez ruchu i mają takie smutne oczy?

Barbara oparła na dłoni szczupłą, bladą twarz. Pomiędzy jej ciemnymi, ściągniętymi brwiami wystąpił rys, którego Hendrik nigdy dotąd nie zauważył; może powstał z intensywnych, gorzkich rozmyślań i nadawał jej twarzy wyraz głębokiej zadumy, bez mała gniewny. Miała na sobie szary płaszcz nieprzemakalny, a spod wysoko podniesionego kołnierza wyglądał jaskrawoczerwony szal. Strój ten, jak również bolesny, zdradzający silne nerwowe napięcie wyraz twarzy, nadawały jej wygląd niepokojący, niemal groźny.

Pani von Herzfeld również była blada, ale na jej szerokiej i miękkiej twarzy brak było owego groźnego rysu, malował się na niej tylko łagodny smutek. Oprócz Barbary i Heddy siedziała przy stole dziewczyna, której Hendrik nigdy dotąd nie widział, i dwóch młodych Judzi: jeden z nich był to Sebastian. Höfgen poznał go po charakterystycznym pochyleniu głowy, po zamglonych, łagodnych i myślących oczach, po paśmie popielatoblond włosów opadających na czoło.

Hendrik chciał zawołać, ukłonić się; spontanicznym odruchem, potrzebą serca byłoby objąć Barbarę, pomówić z nią, pomówić o wszystkim, jak tego tak często pragnął, jak sobie to wyobrażał w dniach samotności. W głowie jego poczęły wirować sprzeczne myśli: „Jak oni mnie przyjmą? Będą mi stawiać pytania — co mógłbym na nie odpowiedzieć? Tu, w kieszeni na piersiach, mam bilet sypialny do Berlina, za pośrednictwem dwóch jasnowłosych, życzliwych mi kobiet zawarłem już niemal zgodę z reżyserem, od którego ci ludzie tutaj uciekli, a któremu ja tak często wobec Barbary przysięgałem nieprzejednaną nienawiść. Z jak pogardliwym uśmiechem popatrzyłby na mnie ten Sebastian! I jak mógłbym znieść spojrzenie Barbary, pociemniałe, drwiące, bezlitosne spojrzenie?... Muszę uciekać, nikt z nich mnie chyba jeszcze nie zauważył, wszyscy tak jakoś dziwnie patrzą w próżnię. Trzeba stąd odejść jak najprędzej, to spotkanie przerasta moje siły...”

Towarzystwo przy stoliku nie poruszało się w dalszym ciągu; wszyscy zdawali się nie dostrzegać Hendrika, jak gdyby

był przezroczystry. Siedzieli bez ruchu, zda się, skamieniali w wielkim bólu, podczas gdy Hendrik odchodził drobnymi, sztywnymi krokami jak ktoś, kto w wielkiej trwodze oddala się od niebezpieczeństwa, chciałby jednak ukryć przed wszystkimi, że ucieka.

Po pierwszej próbie Lotta Lindenthal powiedziała Höfgenowi:

— Jaka szkoda, że generał jest właśnie teraz tak bardzo zajęty. Gdyby to było możliwe, przyszedłby z pewnością na próbę i przyjrzał się nam troszkę przy pracy. Nie wyobraża pan sobie, jakie świetne rady daje czasem nam, aktorom. Mam wrażenie, że zna się na teatrze tak jak na lotnictwie, a to coś znaczy!

Hendrik był o tym przekonany i skinął głową z szacunkiem. Po czym zapytał pannę Lindenthal, czy pozwoli, aby ją odwiózł do domu swoim wozem. Zgodziła się z łaskawym uśmiechem. Podając jej ramię rzeki niższym głosem:

— Jest to dla mnie wielką, nieopisanie wielką radością, że wolno mi grać z panią. Cierpiałem dotąd zbyt głęboko nad zmanierowaniem moich partnerek. Dora Martin dała niemieckim aktorkom zły przykład swego nienaturalnego stylu — to już nie była gra, to jakieś historyczne piski. A teraz słyszę panią, jej szczerzy, prosty, pełen uczucia ciepły ton!

Popatrzyła na niego z wdzięcznością swymi trochę wyłupiastymi fiołkowymi, głupimi oczami.

— Tak się cieszę, że mi pan to mówi — szepnęła przyciskając nieco mocniej jego ramię. — Bo jestem pewna, że to nie pochlebstwa. Człowiek, który z taką powagą jak pan traktuje swój zawód, nie schlebia w sprawach sztuki.

Hendrik przeraził się na samą myśl, że mógłby komuś schlebiać.

— Ależ, proszę pani! — tu położył rękę na sercu. — Ja i pochlebstwo! Moi przyjaciele zawsze mi wyrzucają, że chętnie mówię ludziom w oczy przykre prawdy.

Pannę Lindenthal ucieszyło to serdecznie.

— Lubię szczerych ludzi — powiedziała z prostotą.

— Szkoda, że już jesteśmy na miejscu — rzekł Hendrik zatrzymując wóz przed zaciszną, elegancką willą przy Tiergartenstrasse — tu mieszkała Lotta Lindenthal. Pochylił się, by ucałować jej rękę, przy czym odwinął lekko szarą zamszową

rękawiczkę, chcąc dotknąć wargami jej mlecznobiałej skóry. Zdawała się nie dostrzegać tej niewinnej poufałości, a w każdym razie nie wzięła jej za złe, gdyż z ust jej nie zniknął promienny uśmiech.

— Dziękuję stokrotnie, że wolno mi byto panią odprowadzić! — powiedział wciąż jeszcze pochylony nad jej dłonią.

Aktorka zmierzała w stronę drzwi swego domu. Hendrik pomyślał: „Jeżeli się jeszcze raz odwróci, to znaczy, że wszystko pójdzie giadko, a jeżeli w dodatku kiwnie mi ręką, to będzie tryumf, a ja już potrafię go wykorzystać!”

Wyprostowana szła przez ulicę, a kiedy stanęła przed drzwiami, odwróciła głowę pokazując rozjaśnioną twarz i, o radości, podniosła rękę kiwając nią na pożegnanie. Hendrik zadrzał ze szczęścia, gdyż Lotta Lindenthal zawołała figlarnie: „Pa, pa!”

To było więcej, niż śmiał oczekiwać. Z głębokim westchnieniem ulgi oparł się o skórzane poduszki swojego mercedesa.

Hendrik wiedział o tym, zanim jeszcze przyjechał do Berlina: bez protekcji Lotty Lindenthal byłby zgubiony. Mała Angelika, która przyszła po niego na dworzec, mogła mu o tym nie napomykać — i tak zdawał sobie jasno sprawę z sytuacji. Mia! straszliwych wrogów, a wśród nich osobistości tak wpływowe jak Cezar von Muck — minister propagandy mianował go intendentem Teatru Państwowego. Dramatopisarz, którego sztuki Höfgen stale odrzucał, zgotował mu lodowate przyjęcie. Twarz o stalowych oczach i zaciśniętych ustach miała wyraz nieprzejednanej surowości i godności, kiedy mówił:

— Nie wiem, czy pan się zdoła żyć z nami, panie Höfgen. Teraz panuje tu inny duch, nie ten, do którego pan przywykł w tych ścianach. Koniec z bolszewizmem w kulturze. — Autor dramatu *Tannenberga* wyprostował się groźnie. — Nie będzie już pan miał sposobności występowania w sztukach pańskiego przyjaciela Mardera ani też w pańskich ulubionych farsach francuskich. Teraz nie będziemy tu uprawiać ani sztuki semickiej, ani galijskiej, lecz wyłącznie niemiecką. Musi pan dowieść, panie Höfgen, że potrafi pan pomóc nam w tak szczytnej pracy. Szczerze mówiąc, nie widziałem powodu ściągania pana tu z Paryża. — Przy słowie „Paryż” oczy

Cezara von Mucka zabłystły srogo. — Ale panna Lindenthal życzyła sobie, aby pan był jej partnerem w komedii, którą ma tu zadebiutować. — Muck powiedział to dość pogardliwym tonem. — Nie chciałem odmawiać prośbie kobiety — dodał z fałszywą dobroduszością, zakończył zaś wyniośle: — Zresztą jestem przekonany, że rola eleganckiego przyjaciela domu i uwodziciela nie nastreczy panu żadnych trudności. — Intendent zakończył rozmowę krótkim, po żołniersku oszczędnym gestem.

Był to zastraszający początek, tym bardziej zastraszający, kiedy Hendrik zastanowił się, że za mściwym poetą, który teraz doszedł do władzy, stoi minister propagandy we własnej osobie. Ten zaś był w sprawach kultury niemal wszechmocny i byłby nim nawet całkowicie, gdyby oficer lotnictwa, który awansował na premiera Prus, nie wbił sobie do głowy, że i on ma coś do powiedzenia, jeżeli chodzi o teatry państwowe. Grubas interesował się tymi sprawami bardzo żywo, chociażby ze względu na Lottę. Doszło do sporów kompetencyjnych między dwoma mocarzami — tym od propagandy i tym od lotnictwa. Hendrik nie ujrzał jeszcze na oczy żadnego z tych półbogów, ale wiedział, że będzie mógł wytrzymać wrogość jednego tylko wówczas, jeżeli sobie zapewni protekcję drugiego. Droga do prezesa Rady Ministrów wiodła przez aktorkę. Hendrik musiał zdobyć Lottę Lindenthal.

W ciągu pierwszych tygodni swego pobytu w Berlinie miał tylko jedną myśl w głowie: „Lotta Lindenthal musi mnie pokochać. Oczom jak klejnoty i drańskiemu uśmiezkowi żadna się jeszcze nie oparła, a ostatecznie i ona jest tylko człowiekiem. Teraz idę na całego, puszczę w grę wszystkie moje talenty, muszę Lottę zdobyć jak twierdzę. Niech sobie ma zbyt wydatny biust i krowie oczy, niech wygląda jeszcze bardziej prowincjonalnie ta banalna blondyna z podwójnym podbródkiem i trwałą ondulacją. Dla mnie jest bardziej godna pożądania niż bogini.”

Hendrik walczył. Był głuchy i ślepy na wszystko, co się działo dokoła niego, jego wola, jego inteligencja skoncentrowały się na jednym celu: wzięcie w jasyr złotowłosej Lotty. Oczy miał tylko na nią zwrócone, nikogo nie widział poza nią. Mała Angelika myliła się licząc, że Höfgen przez wdzięczność będzie ją darzył pewnymi względami. Tylko pierwszych kilka

godzin po przyjeździe był dla niej miły. Z chwilą jednak, kiedy go przedstawiła pannie Lindenthal, Angelika przestała jak gdyby dla niego istnieć. Wypłakiwała gorzkie łzy na ramieniu swego reżysera filmowego, Hendrik udawał, że tego nie widzi: szedł konsekwentnie do celu, a celem tym była Lotta.

Czy zauważył choć, jak zmieniły się ulice Berlina? Czy widział brązowe i czarne mundury, sztandary ze swastyką, maszerującą młodzież? Czy słyszał wojownicze pieśni rozbrzmiewające na ulicach, z głośników, z ekranów filmowych? Czy słyszał mowy führera, jego pogrózki i przechwałki? Czy czytał pisma, które wiele rzeczy starały się upiększyć, wiele pomijały milczeniem lub pokrywały kłamstwem, a jednak zdradzały i tak dość okropności? Czy troszczył się o los ludzi, których kiedyś nazywał swoimi przyjaciółmi? Nie wiedział nawet, gdzie się znajdują. Może siedzieli przy stolikach jakiejś kawiarni w Pradze, Zurychu albo Paryżu, może wysłano ich do obozu koncentracyjnego, może ukrywali się w Berlinie, gdzieś na poddaszu albo w piwnicy. Hendrikowi nie zależało ani trochę na wiadomości o ich losie. „I tak nie mogę im nic pomóc — była to formułka, którą odpędzał od siebie wszelką myśl o cierpiących. — Sam jestem w ciągłym niebezpieczeństwie, kto wie, czy Cezar von Muck jutro nie przeforsuje mego aresztowania. Dopiero kiedy stanę mocno na nogach, będę mógł być użyteczny innym.”

Niechętnie i jednym uchem słuchał Hendrik, gdy mu powtarzano słuchy krążące o losie Ottona Ulrichsa. Aktor — komunista i agitator — został aresztowany natychmiast po podpaleniu Reichstagu, przeszedł przez liczne, straszliwe procedury, które nazywano „przesłuchaniami”, a które w istocie były bezlitosnymi torturami. „Mówił mi to ktoś, kto siedział w więzieniu w sąsiedniej celi.”

Tak opowiadał Hendrikowi trwożnie zniżonym głosem krytyk teatralny Radig, który aż do 30 stycznia 1933 roku należał do radykalnej lewicy i był gorliwym propagatorem literatury ściśle marksistowskiej, służącej jedynie walce klasowej. Teraz był w trakcie zawierania pokoju z nowym reżymem. Jakże drżeli niegdyś przed dr. Radigiem pisarze posądzeni o przekonania burżuazyjno-liberalne albo nacjonalistyczne! On, ten najczujniejszy, najbardziej nieprzejednany kapłan ortodoksyjnego marksizmu, rzucał na nich klątwy,

wyklina' ich i unicestwiał, denuncjując jako estetyzujących żołądków kapitalizmu. „Czerwony papież literatury” nie był skłonny do szukania niuansów i do subtelnych rozróżnień, jego pogląd wyrażał się, jak następuje: kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie, kto nie pisze według recept, które ja zaaprobowane, ten jest krwio pijcą, wrogiem proletariatu, faszystą, a jeżeli jeszcze o tym nie wie, to się dowie ode mnie, autora felietonów w „Neues Börsenblatt”. Wszyscy, którzy się zaliczali do lewicowej awangardy, uważali dr. Radiga za wyrocznie, chociaż jego kategoryczne sądy ukazywały się w piśmie kapitalistycznym. Gazety giełdowe lubiły bowiem, jak świat światem, pozwalać sobie na taki żart, jak zamieszczanie felietonu marksistowskiego; dodawało to pismu pikanterii, a nie mogło nikomu zaszkodzić. Sprawy dotyczące żywotnych interesów królowały niepodzielnie w dziale handlowym. Niechaj „czerwony papież” wyładowuje swoją furię w felietonie — żaden poważny człowiek interesu i tak nigdy tam nie zagląda.

Dr Radig wyładowywał swoją furię przez długie lata i stał się jedną z rozstrzygających instancji w sprawach marksistowskiego poglądu na sztukę. Z chwilą gdy narodowi socjaliści doszli do władzy, redaktor naczelny „Neues Börsenblatt”, który był Żydem, złożył swoją rezygnację. Dr Radig jednak pozostał, ponieważ mógł udowodnić, że wszyscy jego przodkowie zarówno ze strony ojca, jak ze strony matki byli „aryjczykami” i że żaden z nich nigdy nie należał do jednej z partii socjalistycznych. Bez wahania zobowiązał się redagować odtąd felieton „Neues Börsenblatt” w duchu ściśle narodowym, zapożyczając teraz szpalty działu politycznego, wkradającym się nawet aż do „Wiadomości ze Świata”. „I tak byłem zawsze przeciwnikiem burżuazji i demokratów” — mówił przebiegle dr Radig. Istotnie mógł, tak jak poprzednio, nadal piorunować przeciwko „reakcyjnemu liberalizmowi”, jedynie punkty wyjścia jego anty liberalnych przekonań uległy zmianie.

— Okropna jest ta historia z Ottonem — rzekł zacy dr Radig z miną zatroskaną. W licznych artykułach nazywał rewolucyjny kabaret „Zwiastun Burzy” jedynym mającym przyszłość i w ogóle godnym uwagi przedsięwzięciem teatralnym w stolicy. Ulrichs należał do kółka najzażyłszych

przyjaciół słynnego krytyka. — Okropne, okropne! — mamrotał doktor i nerwowym ruchem zdjął okulary w rogowej oprawie, by przetrzeć szklą.

Hófggen również podzielał jego zdanie, że to okropne. Poza tym ci dwaj panowie niewiele mieli sobie do powiedzenia. Nie czuli się dobrze w swoim towarzystwie. Jako miejsce spotkania wybrali odległą, mało uczęszczaną kawiarnię. Obaj mieli za sobą kompromitującą przeszłość, obaj mogli być nadal posądzeni o przekonania opozycyjne; gdyby ich razem spotkano, wyglądałoby to może na jakiś spisek.

Milczeli i zamyśleni patrzyli w przestrzeń, jeden przez rogowe okulary, drugi przez monokl.

— Oczywiście, nie mogę chwilowo nic zrobić dla tego biedaka — odezwał się wreszcie Hófggen.

Radig, który chciał to samo powiedzieć, kiwnął głową, po czym obaj zapadli znowu w milczenie. Hófggen bawił się ustnikiem papierosa. Radig chrząkał. Może wstydzi się jeden drugiego. Jeden wiedział, co myśli drugi. Hófggen myślał to samo o Radigu co Radig o Hófggenie: „Tak, tak, mój drogi, taki sam z ciebie gałgan jak ja.” Myśl tę odgadywali sobie z oczu nawzajem. I dlatego się wstydzi.

Milczenie stawało się nieznośne, Hófggen wstał.

— Trzeba wytrwać — powiedział cicho, ukazując krytykowi rewolucyjnemu bladą twarz surowej gubernantki. — To nie jest łatwe, ale trzeba być wytrwałym. Bywaj zdrów, drogi przyjacielu!

Hendrik miał wszelkie powody do zadowolenia: uśmiech Łotry Lindenthal stawał się coraz słodszy, coraz bardziej obiecujący. Kiedy podczas prób powtarzali czułe sceny — a komedia *Serce* składała się niemal wyłącznie z czułych scen pomiędzy żoną wielkiego finansisty, której rolę grała panna Lindenthal, a zalotnym przyjacielem domu, którego odtwarzał Hendrik — przyciskała nieraz falującą pierś do swego partnera, rzucając mu wilgotne spojrzenia. Hófggen zaś zachowywał powściągliwość pełną melancholii i hartu ducha; pod tą powłoką zdawało się jednak kryć gorączkowe pożądanie. Traktował pannę Lindenthal z rozmyślnie podkreślaną rezerwą, mówił do niej najczęściej „łaskawa pani”, w rzadkich tylko chwilach „pani Lotto”, a jedynie podczas pracy, w zapa-

le wspólnych prób pozwolił sobie raz jeden na koleżeńsko poufałe „ty”. Jego oczy wszakże zdawały się zawsze mówić: „Ach, gdybym mógł, jakżebym pragnął, jakżebym cię wziął w objęcia, moja najśodsza! Jakżebym cię uścisnął, ty cudna! Muszę jednak zadawać sobie gwałt, panować nad sobą przez lojalność wobec bohatera niemieckiego, do którego należysz...” Takie to namiętne, lecz męską wolą tłumione myśli zdradzały piękne oczy Hendrika Hófgena. W duchu jednak mówił sobie:

„Dla czego, na miłość boską, dlaczego premier, który mógł mieć każdą kobietę, wybrał sobie ją właśnie? To może bardzo zacna osoba, doskonała gospodyni, ale jest strasznie gruba, a przy tym tak śmiesznie afektowana. A w dodatku to bardzo zła aktorka...”

Na próbach miał czasem ochotę ofuknąć pannę Lindenthal. Każdej z koleżanek powiedziała by prosto w oczy: „To, co pani robi, moja droga, trąci najgorszym teatrem prowincjonalnym. Gra pani wielką damę, ale to jeszcze nie powód, by mówić wysokim, nienaturalnym głosem i w tak śmieszny sposób zakrzywiać mały paluszek, jak pani to robi. Wielkie damy wcale nie mają podobnych przyzwyczajęń. I gdzie pani widziała, żeby żona wielkiego finansisty flirtując z przyjacielem domu rozstawiała tak szeroko łokcie, jak gdyby oblała sobie bluzkę jakimś cuchnącym płynem i bała się dotknąć jej rękawami? Niechże pani da spokój tym bzdurom!”

Rzecz prosta Hendrik nie ośmieliłby się w ten sposób przemawiać do Lotty. Ona zaś, choć nie usłyszała tych, zasłużonych zresztą, grubiańskich uwag, widocznie zdawała sobie sprawę, że się na próbach blamuje.

— Czuję się jeszcze tak niepewnie — narzekała robiąc dziecinną minkę. — To berlińskie środowisko wyprowadza mnie całkiem z równowagi. Ach, z pewnością się skompromituję i będę miała fatalną prasę!

Udawała młodziutką debiutantkę, która naprawdę boi się berlińskich krytyków.

— Ach, proszę, niech mi pan powie, Hendriku — to mówiąc składała podniesione w górę rączki jak małe bobo — czy obejdą się ze mną bardzo okrutnie? Czy wygwizdzą mnie, rozszarpiają na kawałki?

Hendrik mógł śmiało odpowiedzieć tonem najgłębszego przekonania, że uważa to za zupełnie wykluczone.

Odbyszał jeszcze próby komedii *Serce* z Lotta Lindenthal, kiedy zapadła decyzja, że *Faust* powróci do repertuaru Teatru Państwowego. Hendrik dowiedział się ku swemu przerażeniu, że Cezar von Muck — z pewnością w porozumieniu z ministrem propagandy — postanowił powierzyć rolę Mefista aktorowi, który od wielu lat był członkiem partii narodowosocjalistycznej i którego przed kilku tygodniami wezwano do Berlina. Była to zemsta autora *Tannenbergu* na Hófgenie za to, że stale odrzucał jego sztuki. Hendrik zrozumiał: „Jeżeli Muck przeprowadzi swój niegodziwy plan — koniec ze mną. Mefisto to moja rola popisowa. Jeżeli nie pozwolą mi go zagrać, będzie to dowód, że jestem w niełasce. Wtedy okaże się: albo Lotta Lindenthal nie starała się użyć dla mnie swego wpływu na prezesa Rady Ministrów, albo wpływ, który jej przypisują, nie jest w istocie tak wielki. W tym wypadku nie pozostawałoby mi nic innego, tylko spakować kufry i wracać do Paryża, skąd może nie powinienem być w ogóle wyjeżdżać; bo tu jest w gruncie rzeczy okropnie. Moja pozycja jest smężna, zwłaszcza jeżeli się ją porówna z tą, którą miałem kiedyś. Wszyscy patrzą na mnie podejrzliwie. Wiadomo, że intendent Teatru Państwowego i minister propagandy nienawidzą mnie z całej duszy, a nie ma jeszcze najmniejszych na to dowodów, że cieszę się naprawdę względami generała lotnictwa. Znalazłem się w ładnym położeniu! Mefisto mógłby mnie uratować, od niego teraz wszystko zależy.”

Pewnego razu, przed rozpoczęciem próby, podszedł Hendrik do Lotty Lindenthal stanowczym krokiem i drżącym ze wzruszenia, bynajmniej nie sztucznym tonem powiedział:

— Mam do pani wielką, wielką prośbę, pani Lotto.

Uśmiechnęła się trochę przestraszona.

— Chętnie zawsze pomagam moim kolegom i przyjaciołom, jeśli tylko mogę.

Wówczas zaczął mówić zatapiając w jej oczach hipnotyczny wzrok:

— Muszę zagrać Mefista. Czy pani mnie rozumie, Lotto? Muszę.

Przeraziła ją głęboka powaga, z jaką do niej mówił, ponadto podniecała ją bliskość Hófgena: od dawna już nie był jej

obojętny. Lekko zarumieniona, ze spuszczoneymi oczami, jak młode dziewczę, które poproszono o rękę i które odpowiada, że zapyta rodziców, szepnęła:

— Spróbuję, zrobię, co będę mogła. Dziś jeszcze z nim pomówię.

Hendrik westchnął z ulgą.

Nazajutrz rano sekretariat intendencji Teatru Państwowego zakomunikował mu telefonicznie, że prosi się go po południu na próbę czytanej nowej inscenizacji *Fausta*. Prezes Rady Ministrów interweniował w jego sprawie. „Jestem uratowany” — pomyślał Hendrik Höfgen.

Posłał Lotcie Lindenthal ogromny bukiet żółtych róż; do pięknych kwiatów dołączył karteczkę, na której wielkimi, patetycznie kanciastymi literami napisał jedno tylko słowo: „Dziękuję!”

Wydało mu się już teraz rzeczą naturalną, że intendent Cezar von Muck poprosił go przed rozpoczęciem próby do swego gabinetu. Poeta narodowy okazał mu niezwykłą serdeczność — był to wyczyn aktorski o wiele bardziej godny podziwu niż nacechowana dystynkcją powściągliwość Höfgena.

— Cieszę się, że pana zobaczę w roli Mefista — zaczął dramaturg ściskając z męską szczerością obie ręce tego, którego chciał unicestwić, przy czym jego stałowobłękitne oczy rzucały ciepłe blaski. — Cieszę się jak dziecko, że pana zobaczę w tej nieśmiertelnej, na wskroś niemieckiej roli.

Było to wyraźne: z chwilą gdy prezes Rady Ministrów interweniował na rzecz tego aktora, intendent postanowił z miejsca całkowicie zmienić swój stosunek do Höfgena. Oczywiście Cezar von Muck nie poniechał poprzedniego zamiaru: nie pozwolił temu przekłętemu kabotynowi wyrosnąć zbyt wysoko i przy pierwszej sposobności, możliwie jak najprędzej, usunie go z Teatru Państwowego. Uważał jednak za wskazane prowadzić na przyszłość walkę ze starym wrogiem w sposób mniej jawny i bardziej przebiegły. Pan von Muck nie pragnął bynajmniej zrazić sobie z powodu Hendrika prezesa Rady Ministrów albo pannę Lindenthal. Intendent Pruskiego Teatru Państwowego winien starać się w równym stopniu o zaskarwienie sobie względów prezesa Rady Ministrów, jak ministra propagandy.

— Mówiąc między nami — ciągnął dalej intendent z koleżeńską poufałością — mnie pan zawdzięcza, że będzie pan znowu grał rolę Mefista.

W wymowie jego brzmiał dziś ze szczególną siłą akcent saksoński; chciał może w ten sposób podkreślić swoją szczerą dobroduszość.

— Były pewne zastrzeżenia — zniżył głos i zrobił ubolewającą minę — pewne zastrzeżenia w kołach ministerialnych, rozumie pan, drogi panie Höfgen... obawiano się, że mógłby pan wnieść ducha poprzedniej inscenizacji *Fausta*, ducha nieco bolszewickiego, jak się wyrażono, do naszej nowej koncepcji. No, ale udało mi się te obawy rozproszyć i przemóc! — zakończył intendent wesoło i serdecznie poklepał aktora po ramieniu.

W tym tak pomyślnym dniu najadł się jednak Hendrik niemało strachu. Przy wejściu na scenę, na której odbywała się próba, natknął się na młodego człowieka — był to Hans Miklas. Hendrik nie myślał o nim już od wielu tygodni. Naturalnie, Miklas żył, został nawet zaangażowany do Teatru Państwowego i miał grać ucznia w nowej inscenizacji *Fausta*. Hendrik nie był przygotowany na to spotkanie; wobec emocji, jakie przeżywał, nie troszczył się dotąd jeszcze o obsadę pomniejszych ról. Teraz rozważał błyskawicznie: „Jak mam się zachować? Ten uparty chłopak nienawidzi mnie; nawet gdyby to nie było zrozumiałe samo przez się, złe spojrzenie bladych oczu, jakim mnie teraz obrzucił, musiałyby mi to zdradzić. Nienawidzi mnie, o niczym nie zapomniał i może mi szkodzić, jeśli będzie miał ochotę. Cóż go powstrzyma od opowiedzenia Lotcie Lindenthal, dlaczego doszło wtedy między nami do scysji? Gdyby mu to strzeliło do głowy, byłbym zgubiony. Ale on się na to nie odważy, nie posunie się chyba tak daleko. — Hendrik postanowił: — Zlekceważę go, onieśmielę pewnością siebie. Pomyśli, że jestem u szczytu, że mam wszystkie atuty w rękę, że nic mi już nie może zaszkodzić.” Wsadził monokl w oko, zrobił drwiącą minę i powiedział przez nos:

— Kogo ja widzę? Pan Miklas! Że też pan się jeszcze tuła po świecie!

Mówiąc to przyglądał się swoim paznokciom, uśmiechał się drariskim uśmiechem, kaszlnął i nonszalanckim krokiem ruszył dalej.

Hans Miklas zaciął zęby i milczał. Twarz mu skamieniała, ale kiedy Hendrik tego już nie mógł zobaczyć, wykrzywił ją skurcz bólu i nienawiści. Nikt nie troszczył się o przekornego chłopca, który stał samotnie, oparty o kulisy. Nikt nie widział, że zaciska pięści i że jego jasne oczy napełniły się łzami. Hans Miklas drżał na całym ciele, smukły chudy, podobny do niedożywnego ulicznika, a zarazem do przetrenowanego akmbaty. Dlaczego Hans Miklas drżał? I dlaczego płakał? Czy zaczynał rozumieć, że został oszukany, oszukany w sposób straszliwy, i że tego się już nigdy nie da naprawić? Nie nadeszła jeszcze chwila, kiedy to zrozumie. Jednakże zaczynały się już budzić w nim pierwsze podejrzenia. A były one takie, że ręce jego zaciskały się w pięści, a oczy napełniały się łzami.

W pierwszych tygodniach po objęciu władzy przez narodowych socjalistów i ich fuhrera młodzieniec czuł się jak w niebie. Piękny i wielki dzień, dzień spełnienia, na który tak długo i z taką tęsknotą czekano, nadszedł wreszcie. Co za radość! Młody Miklas szło chał i tańczył ze szczęścia. Twarz jego promieniała wówczas szczerym entuzjazmem, czoło jaśniało blaskiem i blask bił z jego oczu. Kiedy na cześć kanclerza Rzeszy, furera, zbawcy, urządzono pochód z pochodniami, Miklas ryczał na ulicy, wymachiwał rękami i nogami jak opętany, porwał go wir, w który rzuciło się milionowe miasto, w który rzucił się cały naród. Teraz wszystkie obietnice zamieniają się w czyn. Niewątpliwie — to brzask złotego wieku. Niemcy odzyskały swój honor, wkrótce całe społeczeństwo zmieni się w prawdziwą społeczność ludową, odrodzi się w cudowny sposób. Tak bowiem obiecywał fuhrer po stokroć, zaś męczennicy ruchu narodowosocjalistycznego krwią przypieczętowali jego obietnice.

Czternaście lat hańby skończyło się, minęło. Wszystko dotychczas było walką i przygotowaniem, teraz zaczyna się życie. Teraz wreszcie będzie można pracować, brać udział w odbudowie zjednoczonej, potężnej ojczyzny. Hans Miklas dostał złe płatne engagement do Teatru Państwowego: sprokurował mu je wyższy funkcjonariusz partyjny. Hofgen siedział w Paryżu, Hofgen był emigrantem, a Miklas zajmował stanowisko w Pruskim Teatrze Państwowym; magiczny czar

tego stanowiska był tak potężny, że przesłaniał chłopcu wszystko to, co może byłoby dla niego rozczarowaniem.

Czy świat, w którym się obracał, był naprawdę nowym, lepszym światem? Czy nie było w nim wielu tych samych braków i błędów starego świata, których tak gorzko nienawidził, i w dodatku wielu nowych, dotychczas nie znanych wad? Jednakże Hans Miklas nie miał jeszcze odwagi wyznać tego wobec siebie. Jego młoda, zmizerowana, blada twarz o zbyt czerwonych wargach i ciemnych obwódkach dookoła jasnych oczu miewała znowu właściwy jej niegdyś bolesny wyraz przekory. Dumnie i ze złością odwracał krnąbrny chłopiec głowę, kiedy widział, jak obsypują pochlebstwami intendenta Cezara von Mucka — jeszcze bezwstydniej, niż czyniono to dawniej w stosunku do profesora. I jak Cezar von Muck nisko się kłania i omal się nie rozplywa z uniżonej służalczości, kiedy minister propagandy wkracza do teatru. Był to niezmiernie przykry widok. Owa sytuacja, którą agitatorzy-nacjonaliści chętnie nazywali „panowaniem bonzów”, nie przestała istnieć, przyjęła tylko jeszcze gorsze, jeszcze bardziej wybujałe formy. Wśród aktorów nie brak było nadal „Olimpijczyków”, patrzących z góry na mniejszych od siebie; zajeżdżali potężnymi limuzynami przed wejście dla artystów, odziani w kosztowne futra. Wielka gwiazda nie nazywała się teraz Dora Martin, tylko Loita Lindenthal; nie była to już dobra aktorka, tylko zła, ale cieszyła się łaskami potężnego człowieka. Miklas o mało się nie bil o jej cześć — czy tak dawno? — i stracił przez to posadę. Ale ona nie wie, on zaś jest zbyt dumny, by o tym teraz wspomnieć. Wydymał przekorne wargi, miał odpychającą minę, toteż wielka dama nie raczyła nawet na niego spojrzeć.

Niemcy odzyskały utracony honor: wszak komuniści i pacyfiści siedzieli w obozach koncentracyjnych, a częściowo byli już wymordowani; świat zaczynał się lękać narodu, który wybrał sobie tak niepokojącego fuhrera. Natomiast odrodzenie życia społecznego wciąż nie nadchodziło: o socjalizmie w ogóle jeszcze nie było mowy. „Nie można stworzyć wszystkiego na raz” — myśleli młodzi ludzie pokroju Hansa Miklasa, który zbyt szczerze wierzył, by już uznać, że go spotkało rozczarowanie. „Nawet mój fuhrer nie jest w stanie tego

dokonać. Musimy być cierpliwi. Niemcy muszą wprawdzie przyjść do siebie po tych długich latach hańby."

Chłopiec ten wciąż jeszcze był pełen ufności. Doznał wszakże głębokiego wstrząsu, kiedy przeczytał na afiszu roboczym, że Hendrik Höfgen będzie grał Mefista. A więc ten stary sprytny wróg, całkowicie wyzuty z sumienia, był tu znowu, cynik, który zawsze potrafi spaść na cztery łapy, pozyskać sobie względy wszystkich: Höfgen — odwieczny przeciwnik! Kobieta, o którą omal się kiedyś nie pobili, wezwała go tu sama, gdyż był jej potrzebny jako partner w komedii salonowej. A teraz wywalczyła dla niego jeszcze tę klasyczną rolę, a wraz z nią możliwość wielkiej wygranej — sukces... Czyż Miklas nie mógł pójść do Lotty Lindenthal i powtórzyć jej, co Höfgen wygadywał na nią w knajpce teatralnej? Któż mu tego broni? Ale czy to warto? Czy mu uwierzą? Czy się tym nie ośmieszy? I czy Höfgen tak bardzo niesłusznie nazwał tę pannę Lindenthal głupią krową? Czyż nią w istocie nie jest?

Miklas milczał, zaciskał pięści i odwracał głowę w cień, aby nikt nie zobaczył, że ma łzy w oczach.

W godzinę potem miał próbę sceny z Höfgenem-Mefistofešem. W postawie pełnej pokory musiał się zbliżyć do uczonego, który właściwie był diabłem, i wypowiedzieć te słowa:

Niedawno tu przybyłem; wraz kieruję kroki)
mistrz sławny, do ciebie, pełen czci głębokiej.

Głos ucznia brzmiał ochryple, przechodził w jęk, kiedy młodzieniec odpowiadał na wszystkie oszłamiające go mądrości, na szydercze sofizmaty zamaskowanego szatana:

Do cna zgłupiałem — toż to straszna praca —
koło się młyńskie w mej głowie obraca.

Premier i generał lotnictwa w towarzystwie swojej przyjaciółki Lotty Lindenthal był obecny na premierze *Fausta* w Teatrze Państwowym. Przedstawienie rozpoczęło się z piętnastominutowym opóźnieniem, ponieważ wielki człowiek kazał na siebie czekać. Telefonowano z jego pałacu, że

zatrzymuje go konferencja z ministrem Reichswehry. Aktorzy w swoich garderobach szeptali jednak z ironią, że jak zawsze nie może wydażyć na czas z toaletą.

— Przebiera się zawsze co najmniej godzinę — chichotała aktorka grająca rolę Małgorzaty; była tak jasną blondynką, że mogła sobie pozwolić na niewinne wybryki. Wejście dostojnej pary odbyło się zresztą z rozmyślnie zaakcentowaną dyskrecją. Prezes Rady Ministrów pozostał w głębi łoża i przebywał tam, póki nie zgasły światła. Jedynie publiczność z pierwszymi rzędów krzesła zauważyła go i przyglądała się z szacunkiem jego strojnemu mundurowi z purpurowym kołnierzem i szerokimi srebrnymi mankietami, jak również brylantowemu diademowi jego przyjaciółki o bujnym biuście i włosach jasnych jak żyto. Dopiero z podniesieniem kurtyny minister usiadł z cichym sieknięciem — było bowiem rzeczą trudną uplastować zwały tłuszczu, pokrywające jego ciało, na stosunkowo wąskim fotelu.

Podczas prologu w niebie dostojny słuchacz starał się nadać swemu obliczu wyraz przepisowego wzruszenia. Następne sceny tragedii, jej przebieg aż do chwili, kiedy Mefistofešes w postaci pudła wślizguje się do pracowni Fausta, zdawały się go nudzić; w czasie długiego monologu Fausta ziewał kilkakrotnie, nawet scena przed bramą miejską wyraźnie go nie bawiła; szepnął coś na ucho pannie Lindenthal, prawdopodobnie w dość niezyczliwym sensie.

Natomiast wszechpotężny ożywił się, gdy Höfgen-Mefisto wszedł na scenę. Kiedy doktor Faust zawołał:

Więc tuś-mi, bracie zmiana taka!
miast psa mam wędrownego żaka!

wysoki dostojnik roześmiał się, i to tak głośno i serdecznie, że wszyscy go usłyszeli. Nie przestając się śmiać ociężały człowiek pochylił się do przodu, oparł się oburącz o wyściełany czerwonym aksamitem parapet łoża i odtąd śledził już z rozbawioną uwagą akcję, ściśle mówiąc, tanecznie zwinną, pełną wdzięku i temperamentu, perwersyjnie uroczą grę Hendrika Höfgena.

Lotta Lindenthal, która znała swego Hermanna, zrozumiała w lot: „To jest miłość od pierwszego wejrzenia.

Höfgen oczarował mego grubasa — nic dziwnego zresztą. Ten człowiek jest naprawdę czarujący, a w swoim czarnym kostiumie z diabelską maską pierrotta działa silniej niż kiedykolwiek, oprzeć mu się po prostu nie można."

Tak, Hofgen był zarazem zabawny i wymowny, wykonywał! przepięknie skoki niczym tancerz, chwilami wszakże oczy jego stawały się groźne, głębokie, straszliwie płomienne, wtedy na przykład, kiedy recytował:

A wszystko to, co wy zbyt śmiało
zo wiecie grzechem, złem, przeklętem —
moim jest właśnie elementem.

W tym miejscu prezes Rady Ministrów znacząco kiwnął głową. Potem, podczas sceny z uczniem — w której Miklas był dziwnie sztywny i zakłopotany — wielki człowiek zdawał się bawić jak na najśmieszniejszej farsie. Jego dobry humor wzrósł jeszcze w czasie pociesznych wydarzeń w piwnicy Auerbacha w Lipsku, gdzie Höfgen ze złośliwym junactwem odśpiewał piosenkę o królu i pchle, a następnie, wywierciwszy otwór w stole, napełnił szklanice pijanych kumpli słodkim tokajem i musującym szampanem. A kiedy w ciemnościach kuchni czarownicy odezwał się Höfgen przeszywającym, wibrującym głosem księcia piekieł, grubas po prostu nie posiadał się z radości:

Poznałaś już, więdźmo i jędzo,
swego pana i mistrza?
Zawalę dom — ostaną zgliszcza,
a wiatry kory twe rozpędzą!
Gdzież respekt twój przed tą czerwienią —
Kogucie pióra — spójrz no blisko!
jak się w tym ogniu lśnią i mienią —
cóż? *może* podać mam nazwisko?

Słowa te skierowane były do czarownicy, tego potwora w kobiecej postaci, która aż skuliła się ze strachu. Generał lotnictwa bil się po udach z uciechy, tak go bawiła bezgraniczna zarozumiałość złego ducha, buta, jaką napełniał Szatana jego obmierzły urząd. Rechoczącemu śmiechowi generała towarzyszył srebrzysty śmiech panny Lindenthal. Po scenie

czarownic w kuchni nastąpił wielki antrakt. Premier kazał poprosić aktora Höfgena do swojej łoży.

Hendrik zbladł jak kreda i zamknął oczy na parę sekund, kiedy mu mały Bock przekazał to ważne wezwanie. Stanie przed półbogiem, spojrz mu oko w oko... Angelika, która była właśnie w tej chwili u niego w garderobie, przyniosła mu szklankę wody. Wypił ją jednym haustem i był już zdolny zdobyć się na swój drański uśmiech. Był nawet w stanie powiedzieć: „Wszystko zgodnie z życzeniem i wedle programu!” — jak gdyby żartował sobie z rozstrzygającego wydarzenia, ale wargi mu pobladły, kiedy wymawiał te ironiczne słowa.

W chwili gdy Hendrik wchodził do łoży wysokiego dygnitarza, grubas siedział na przedzie, a jego mięsiste palce igrały po czerwonym aksamicie bariery. Hendrik stanął przy drzwiach. „Jakie to śmieszne, że mi serce tak mocno bije!” — pomyślał i przez parę sekund nie odezwał się ani słowem. Lotta Lindenthal zauważyła niemal zaraz jego obecność. Powiedziała słodkim głosem:

— Hermannie, pozwól, że ci przedstawię mego znakomitego kolegę Hendrika Höfgena.

Olbrzym obrócił się. Hendrik usłyszał jego rechoczący, a zarazem ostry głos:

— Aha, nasz Mefistofeles... — powiedział, po czym wybuchnął śmiechem.

Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się Hendrik tak zmieszany; wstydził się swego zdenerwowania, co jeszcze je wzmagало. Oczy zaszyły tnu mgłą, nawet Lotta Lindenthal wydała mu się zupełnie inna niż zazwyczaj. Czy sprawiła to olśniewająca biżuteria, która nadawała jej majestatyczny wygląd, czy to, że wystąpiła oficjalnie jako osoba tak zażyłe bliska swemu potężnemu panu i protektorowi? Tak czy inaczej, Hendrikowi wydała się wróżką, i to wdzięczną, łagodną, ale mogącą się stać niebezpieczną. Jej uśmiech, dobroduszny zazwyczaj i trochę głupekowaty, wydał mu się nagle tajemniczy i podstępny.

Hendrik był tak wystraszony i nerwy miał tak napięte, że prawie nie widział tłustego olbrzyma w kolorowym mundurze, pompacyjnego półboga. Ciężką postać wszechpotężnego zdawała się kryć zasłona, owa mistyczna mgła, od wiek wieków kryjąca przed oczami zwykłych śmiertelników obraz bogów

i mocarzy, od których zależą ludzkie losy. Jedyne gwiazda orderu migotała przez ten gesty opar, rysowały się także napełniające lekkiem kontury tłustego karku, a następnie odezwał się znów rechoczący, a zarazem ostry głos wodza:

— Niechże pan podejdzie bliżej, panie Höfgen.

Publiczność, która gawędząc pozostała na parterze, poczęła się interesować grupą w łoży prezesa Rady Ministrów. Szeptano, wykręcano szyje. Ani jeden ruch wszechpotężnego nie uszedł uwagi gapiów tłoczących się w krzesłach. Stwierdzono, że wyraz twarzy generała lotnictwa jest coraz życzliwszy, coraz bardziej rozbawiony. Teraz śmiał się — publiczność na parterze skonstatowała to ze wzruszeniem i szacunkiem — wielki człowiek śmiał się głośno, serdecznie, szeroko otwierając usta. Lotta Lindenthal także rozsypała koloraturową gamę perlistego śmiechu, zaś na ustach Höfgena, udrapowanego nadzwyczaj dekoracyjnie w czarną pelerynę — ukazał się lekki uśmiech, który na ponurej masce Mefistofelesa przypominał raczej tryumfujący, a zarazem bolesny grymas.

Rozmowa pomiędzy wszechpotężnym a Hendrikiem stawała się coraz bardziej ożywiona. Nie ulegało wątpliwości: premier się bawił. Jakież niezwykle anegdoty opowiadał Höfgen, jeżeli osiągnął to, że generał lotnictwa wydawał się wręcz upojony? Publiczność na parterze usiłowała uchwycić choć parę słów z krwawo umalowanych, sztucznie wydłużonych warg Hendrika. Ale Mefisto mówił cicho, tylko wszechpotężny słyszał jego subtelne żarty.

Höfgen pięknym ruchem rozpostarł szeroko ramiona pod peleryną, zdawało się, że mu wyrosły czarne skrzydła. Wszechpotężny poklepał go po ramieniu, nie uszło to bacznych oczu publiczności na parterze, począł wzmagać się szmer pełen szacunku. Jednakże szmer ów ucichł jak muzyka w cyrku przed najniebezpieczniejszymi numerami w obliczu niezwyklej sceny, która się tu rozgrywała.

Premier podniósł się; stał teraz w całej okazałości swej imponującej tuszy i podał rękę komediantowi. Czy wieszował mu pięknej kreacji? Wyglądało to raczej, jak gdyby wszechpotężny zawarł jakiś pakt z komediantem.

Publiczność na parterze szeroko otwierała oczy i usta. Chłonęła ruchy tych trojga ludzi tam, w łoży, jak najniezwyklejsze widowisko, jak czarodziejską pantomimę, której tytuł

brzmi: *Aktor uwodzi Władzę*. Nigdy jeszcze nie był Hendrik przedmiotem tak gwałtownej zazdrości. Jakże musiał czuć się szczęśliwy!

Czy ktokolwiek z ciekawych odgadł, co się naprawdę działo w sercu Hendrika w chwili, gdy pochylał się nad tłustą i owłosioną ręką wszechpotężnego? Czy dreszcz, który nim wstrząsnął, był tylko dreszczem szczęścia i dumy? A może czuł jeszcze coś — ku swemu własnemu zdziwieniu? I co to było takiego? Może strach? Było to niemal obrzydzenie.,.

„Teraz się splugawiłem — pomyślał Hendrik przerażony. — Mam teraz płamę na rękę, płamę, której się nie pozbędę... Teraz się zaprzedałem... Teraz jestem napiętnowany!...”

VIII

PO TRUPACH

Nazajutrz rano całe miasto wiedziało: prezes Rady Ministrów przyjął w swojej łoży aktora Hófgena i gawędził z nim przez dwadzieścia pięć minut. Przedstawienie rozpoczęło się po pierwszym antrakcie ze znacznym opóźnieniem, publiczność czekała — czekała zresztą z przyjemnością. Scena, która rozgrywała się przed nią w łoży premiera, była stokroć ciekawsza niż *Faust*.

Hendrik Hófgen, który w „Zwiastunie Burzy” występował jako „towarzysz”, na którym już prawie postawiono krzyżyk, uważano go za wyrzutka społeczeństwa, zaliczono do emigrantów, siedział teraz na oczach wszystkich ramię przy ramieniu z potężnym grubasem, a grubas był, jak się zdawało, w niezwykle ożywionym nastroju. Mefistofeles flirtował i żartował z wszechpotężnym, ten poklepał go kilkakrotnie po ramieniu, a żegnając się długo nie wypuszczał jego ręki ze swojej. Audytorium Teatru Państwowego szeptało, przejęte podobnym widowiskiem. Już tej samej nocy w kawiarniach, salonach i redakcjach namiętnie omawiano i komentowano owo sensacyjne zdarzenie. Nazwisko Hófgena, które od wielu miesięcy wymawiano sceptycznie, ze złośliwym uśmiechem albo z politowaniem wzruszając ramionami — dziś budziło powszechny szacunek. Padł na niego promień niebywałego blasku, jaki otacza potęgę.

Potężny oficer lotnictwa, niedawno mianowany generałem, był u szczytu władzy despotycznego i totalnego państwa. Nad nim stał już tylko fuhrer, którego nie można chyba zaliczyć do zwykłych śmiertelników. Tak jak Pan Niebios jest

otoczony archaniołami, tak dyktatora otaczali paladyni. Po jego prawicy stał ruchliwy człowieczek o twarzy drapieżnika, kaleki prorok, pochlebca, zausznik i podżegacz o rozdwójnym języku żmii, który co minuta wymyślał nowe kłamstwa. Po lewicy zaś dyktatora obrał sobie miejsce słynny grubas: stał szeroko w rozkroku, wsparty na mieczu katowskim. Było to zjawisko monstrialne, połyskujące orderami, wstęgami i łańcuchami, co dzień odziane w odmiennie, wspaniale przebranie. Podczas gdy człowieczek po prawej stronie tronu koncypował kłamstwa, grubas obmyślał co dzień nowe niespodzianki ku rozrywce własnej i ludu: uroczystości, egzekucje lub nowe paradne stroje. Zbierał gwiazdy orderowe, fantastyczną garderobę i fantastyczne tytuły. Naturalnie zbierał także pieniądze. Wybuchał błogim, rechoczącym śmiechem, kiedy mu powtarzano liczne dowcipy krążące pośród ludu na temat jego zamiłowania do zbytku. Czasem, kiedy był w złym humorze, kazał zamknąć i wychłostać kogoś, kto się odezwał zbyt zuchwale. Najczęściej jednak uśmiechał się jowialnie. To, że był przedmiotem publicznej uciechy, wydawało mu się oznaką popularności, a o tę mu właśnie chodziło. Nie umiał paplać tak fascynująco jak jego rywal, demon reklamy, musiał więc robić ją sobie na swój sposób, za pomocą niezgrabnych i bardzo kosztownych ekstrawagancji. Cieszył się życiem i sławą. Stroił swoje opaste ciało, jeździł na polowania, żarł i chlał. Kazał wykradać obrazy z muzeów i zawieszać je na ścianach swego pałacu. Obcował z bogatymi i dystygowanymi ludźmi, przyjmował przy swoim stole książąt i wielkie damy. Nie tak dawno jeszcze był biedny i nikomu nie znany; tym intensywniej więc radował się, że ma teraz tyle pieniędzy i tyle pięknych rzeczy, ile dusza zapagnie. „Czy moje życie nie jest jak bajka?” — myślał często. Miał skłonność do romantyzmu. Dlatego też lubił teatr, z rozkoszą wciągał w nozdrza powietrze za kulisami i z przyjemnością zasiadał w swojej aksamitnej łoży, gdzie był przedmiotem podziwu publiczności, zanim jemu pokazano coś ładnego na scenie.

Życie takie, jakie wiódł obecnie, wydawało mu się przyjemne, ale naprawdę piękne, odpowiadające jego awanturniczemu i wynaturzonemu gustom będzie dopiero wtedy, kiedy zacznie się wojna. Wojna — tak sądził grubas — jest rozrywką bardziej intensywną niż wszystkie rozkosze, na jakie sobie

teraz pozwalał. Cieszył się na wojnę, tak jak dziecko cieszy się na gwiazdkę, uważał za swój najistotniejszy obowiązek przygotowywać ją z roztropną przebiegłością. Niech sobie ten karzeł od reklamy robi swoje, niech kupuje za granicą pisma na tuziny, niech wydaje miliony na przekupstwo, niech organizuje sieć szpiegów i prowokatorów w pięciu częściach świata, niech napełnia eter beczelnymi pogrozkami albo jeszcze bardziej beczelnymi zapowiedziami o zamiarach pokojowych: on, grubas, troszczy się tylko o samoloty. Niemcy bowiem muszą mieć przede wszystkim lotnictwo. Ostatecznie, zatruwanie świata pomówieniami było jedynie zabawą, przygotowaniem. Przyjdzie dzień — grubas marzył, aby dzień ten nie był zbyt odległy — kiedy powietrze miast europejskich będzie zatruwane nie tylko w sensie przenośnym: o to stę już postara generał lotnictwa, który bynajmniej nie trawił swoich dni wyłącznie na siedzeniu w teatrze i przebieraniu się w coraz to inny strój.

Stoi na swoich grubych nogach jak na słupach, wypina obrzymi brzuch i promienieje. Na niego, tak jak i na gorliwego szefa reklamy, pada tyle samo światła co na „fuhrera”, który stoi między nimi. Ten zaś zdaje się nic nie widzieć, czy jego nie patrzą i są pozbawione wyrazu jak oczy ślepca. Czyżby patrzył w głąb siebie? Nasłuchiwał, co się w nim dzieje? I co też tam słyszy? Czy głosy mówiące i śpiewające w jego sercu powtarzają mu tylko i wciąż to samo, co minister propagandy oraz wszystkie pisma pod jego batutą twierdzą niezmordowanie: że jest wysłańcem Boga, że winien zawsze iść za swoją gwiazdą, by Niemcy, a z nimi cały świat, osiągnęły szczęście pod jego przewodem? Czy słyszy to naprawdę? Czy istotnie temu wierzy? Jego twarz, nalana twarz drobnomieszczanina z wyrazem zadowolenia z siebie graniczącego z ekstazą, zdaje się zdradzać, że naprawdę słyszy te słowa, że naprawdę w nie wierzy. Ale zostawmy go jego rozkoszom czy zwątpieniom. Ta twarz nie kryje żadnych tajemnic, które mogłyby nas na dłużej oczarować i przykuć. Nie ma w sobie godności, jaką daje duch, ani szlachetności, jaką daje cierpienie. Odwróćmy się od niej.

Niech sobie stoi, ten wielki człowiek, pośrodku swego w najwyższym stopniu podejrzanego Olimpu. Któż to się tam dokoła niego tłoczy? A to dopiero piękne zgromadzenie

bogów! Uroczą grupą groteskowych i niebezpiecznych typów, przed którymi opuszczony przez Boga lud wije się w delirium uwielbienia. Ukochany fuhrer skrzyżował ramiona, schylił złośliwie czoło, a jego ślepy, okrutny, otepiający wzrok biegnie ponad tłumami, które klęcząc u jego stóp szepczą pacierze. Szef propagandy kracze, a minister lotnictwa szerzy zęby w szyderyczym uśmiechu. Co go tak wesoło usposabia, co sprawia, że ma tak pogodną minę? Czy myśli o wyrokach śmierci, czy też podniecona wyobraźnia podszeptuje mu nowe, nie znane dotąd metody zagłady? Widzicie, wznosi powoli w górę ciężkie ramię. Oko wszechpotężnego spoczęło na jednym z tłumu. Czy ten nieszczęśnik zostanie zaraz wzięty na tortury i stracony? Przeciwnie: spływa na niego łaska, zostanie wywyższony. Któż to taki? Aktor? Wiadomo, że wielcy panowie mają słabość do komediantów. Stąpa skromnie, ale stanowczymi krokami ku przednim szeregom. Musicie przyznać: nieźle wygląda w tym towarzystwie, ma taką samą fałszywą godność, taką samą historyczną energię, taki sam bije z niego próżny cynizm i tania demoniczność. Aktor podnosi głowę, wysuwa szczękę, oczy jego lśnią jak klejnoty rzucają iskry. I oto grubas wyciąga ku niemu obie ręce niemal z miłością. Aktor jest już całkiem blisko grupy bogów. Już wolno mu się pławić w ich blasku. On zaś z wdziękiem dwornego kawalera schyla głowę i kolano przed tłustym olbrzymem.

W mieszkaniu Hendrika przy Reichskanzlerplatz telefon nie przestawał dzwonić. Cilly Bock siedział przy aparacie z notatnikiem w ręku, zapisując nazwiska tych, którzy telefonowali. Byli to dyrektorzy teatrów i towarzystw filmowych, aktorzy, krytycy, krawcy, firmy automobilowe i zbieraczkę autografów. Höfgen nie chciał z nikim mówić. Leżał w łóżku i przeżywał historię szczęścia. Prezes Rady Ministrów zaprosił go do pałacu na obiad w małym gronie. „Będzie tylko paru przyjaciół” — powiedział. Tylko paru przyjaciół! Hendrik zaliczał się więc do grona zaufanych! Podskakiwał i wydawał okrzyki radości, tarzając się wśród jedwabnych poduszek i kołder; skrapiał się perfumami, stłukł mały wazonik, cisnął pantoflem o ścianę. Nie posiadał się z radości:

— Na to po prostu nie ma słów! Teraz dopiero będę naprawdę wielki! Grubas zrobi ze mnie wielkiego, wielkiego człowieka!

Nagle sposepniał i przywołał do siebie Bocka.

— Willy, słuchaj, mój mały! — mówił rozciągając sylaby i patrząc na niego z ukosa. — Czy jestem bardzo wielkim łajdakiem?

Bock patrzył nie rozumiejącymi, wodnistoniebieskimi oczami.

— Jak to... łajdakiem? — zapytał. — Dlaczego łajdakiem, proszę pana? Przecież pan ma tylko ogromne powodzenie.

— Mam tylko ogromne powodzenie — powtórzył Hendrik i spojrzął w sufit błyszczącymi oczami.

Przeciągnął się lubieżnie.

— Tylko ogromne powodzenie... Postaram się je właściwie wykorzystać. Będę robił dużo dobrego, czy wierzysz mi, Willy?

I Willy mu uwierzył.

Hendrik wzniosł się więc w górę, po raz trzeci w życiu. Pierwsze wywyższenie było najsolidniejsze i najbardziej zasłużone, w Hamburgu bowiem Hendrik pracował rzetelnie, publiczność zawdzięczała mu niejedną piękną wieczór. Drugi okres koniunktury w Berlinie za czasów „systemu” miał już przesadne, gorączkowe tempo i wiele chorobliwych objawów. Ale ta trzecia koniunktura miała charakter awansu wojskowego, zastosowanego „uderzeniowo”, jak wszelkie posunięcia rządu narodowosocjalistycznego. Niedawno Hendrik Höfgen był emigrantem, wczoraj jeszcze na pół podejrzaną figurą, z którą niechętnie pokazywano się publicznie; dosłownie w ciągu jednej nocy wyrósł na wielkiego człowieka — jedno skinienie grubego ministra dokonało tego cudu.

Intendent Teatru Państwowego wystąpił od razu z poważnymi propozycjami. Może nie było to u niego całkiem spontaniczne, może działał na rozkaz z góry, w każdym razie nadrabiał miną, na powitanie wyciągnął do artysty obie ręce i na dowód serdeczności mówił z silnym akcentem saksońskim.

— To wspaniale, że będzie pan teraz należał już całkiem do naszego grona, mój drogi panie Hofgen. Szczerze pragnę

panu powiedzieć, jak bardzo podziwiam pański rozwój. Z nieco płochoego lekkoducha wyrósł pan na poważnego, pełnowartościowego człowieka.

Cezar von Muck wiedział dobrze, dlaczego z takim zrozumieniem i tak życzliwie sądzi o wszelkiego rodzaju krzywych rozwoju, które przed chwilą tak eufemistycznie opisał. On sam przeżył podobną ewolucję; jednakże jego płochą, to znaczy politycznie godną potępienia przeszłość dzieliło od niego znacznie więcej czasu niż stosunkowo świeże grzechy Höfgena. Zanim Cezar von Muck wyrósł na przyjaciela fuhrera i literacką gwiazdę narodowego socjalizmu, zdobył już sobie sławę jako autor dramatów pełnych pacyfistyczno-rewolucyjnego patosu.

Kto wie, może dramatopisarz, który potrafił przejść taką ewolucję — porzuciwszy pierwotne karygodne przekonania zdołał sobie wytworzyć bohaterski światopogląd i zdobyć stanowisko intendenta teatru — może wspominał literackie grzechy swojej marzycielskiej młodości teraz, kiedy ze szczególnym szacunkiem mówił o krzywej rozwoju Hendriks Höfgena. Dodał jeszcze z ciepłym spojrzeniem:

— Będę miał zresztą sposobność wieczorem przedstawić pana ministrowi propagandy. Zapowiedział dziś swoją wizytę w teatrze.

Hendrik poznawał więc kolejno półbogów i przekonał się, że można z nimi równie łatwo dojść do ładu, jak na przykład z takim Oskarem Krogem, a już nieporównanie łatwiej niż ze wzbudzającym nabożny lęk profesorem. „Wcale nie są tacy groźni” — pomyślał Hendrik i zrobiło mu się lżej na sercu.

A więc to ten mały, ruchliwy jegomość kierował olbrzymim aparatem reklamy Trzeciej Rzeszy; ten, co przemawiając do robotników chętnie mówił o sobie: „wasz stary doktor”; swoją energią i wymową zdołał przy pomocy uzbrojonych band zdobyć dla narodowego socjalizmu sceptyczny, trzeźwy Berlin, który nie tak łatwo dawał się otumanić. A więc to on był najtęższą głową w partii, on to wszystko obmyślał: kiedy ma się odbyć pochód z pochodniami, kiedy trzeba wymyślać na Żydów, a kiedy na katolików. Tak jak intendent używał gwary saksońskiej, tak minister propagandy mówił z akcentem nadreńskim, przez co Hendrik poczuł się zaraz swojsko w jego towarzystwie. Zresztą w tym elastycznym

człowieczku o wystrzępionych bezustannym paplaniem ustach tkwiło pełno ciekawych i nowoczesnych idei. Mówił o „dynamice rewolucyjnej”, o „rasie i jej mistycznym prawie życiowym”, a potem po prostu o balu prasy, na którym Höfgen miał się produkować.

Na tej reprezentacyjnej imprezie Hendrik po raz pierwszy ukazał się w kręgu półbogów. Przypadł mu zaszczytny obowiązek wprowadzenia na salę panny Lindenthal, ponieważ prezes Rady Ministrów i tym razem się spóźnił. Lotta przywdziała cudowną suknię utknaną z nitok purpurowych i srebrnych; Hendrik był tak wytworny i pełen godności, że wydawał się niemal chory. W ciągu wieczoru fotografowano go kilkakrotnie nie tylko z generałem lotnictwa, ale także w rozmowie z ministrem propagandy, który sam do tego zachęcił ukazując na fotografii swój „uroczy”, słynny uśmiech; darzył nim nawet tych, którzy kilka miesięcy później mieli paść ofiarą reżimu. Nie mógł natomiast zgasić złośliwych błysków w oczach. Nienawidził bowiem Höfgena, tego faworyta swego rywala — prezesa Rady Ministrów. Jednakże minister propagandy nie należał do ludzi, którzy ulegaliby uczuciom i pozwolili im wpływać na swoje postępowanie. Przeciwnie — zachował dość zimnej krwi i rozważa, aby pomyśleć: „Jeżeli ten aktor ma stać się jedną z wielkości artystycznych Trzeciej Rzeszy, byłoby błędem taktycznym pozostawić grubasowi całą chwałę tego odkrycia. Trzeba zaciąć zęby i stanąć z uśmiechem przed obiektywem.”

Jak łatwo wszystko szło! Jak szczęśliwie się wszystko układało: Hendrik poczuł, że jest dzieckiem szczęścia. „Wszystkie te wielkie laski — myślał sobie — spadły mi po prostu jak z nieba. Czyż mogłem odrzucić tak świetną przyszłość? Nikt na moim miejscu nie byłby tego zrobił, a jeżeli ktoś oświadczy, że postąpiłby inaczej, nazwę go kłamcą i obłudnikiem. Mieszkać w Paryżu jako emigrant, nie, ja się do tego nie nadaję, po prostu się nie nadaję” — stwierdził przekornie. Wśród życiowego zgiełku, w jakim znów się znalazł, myślał czasem przelotnie, ale z wielkim obrzydzeniem, o samotnych, jakże smętnych spacerach po paryskich ulicach i placach. Dzięki Bogu! Teraz znowu otaczają go ludzie.

Jakże się też nazywa ten elegancki siwy pan z wyłupiastymi niebieskimi oczami, co z takim zapałem do niego gada?

Prawda, to Müller-Andreä, słynny gawędziarz z „Dziennika Ciekawostek”. Czy nadal zarabia tyle pieniędzy rewelacyjnymi artykułami: *Czyście się tego domyślali?* Nie, „Dziennik Ciekawostek” przestał istnieć. Natomiast pan Müller-Andreä żyje, jest już znowu na wozie, patrzy, skąd wiatr wieje, chytra sztuka! Już w 1931 roku wydał książkę *Wierni Führerowi* — co prawda wówczas pod pseudonimem. Teraz wszakże przyznał się do swego dzieła i najwyższe czynniki zwróciły na niego uwagę. Pan Müller-Andreä świetnie sobie radzi, nie żał mu „Dziennika Ciekawostek”, ministerstwo propagandy lepiej płaci, a wesoły staruszek pracuje teraz w ministerstwie propagandy. Serdecznie ściska dłoń Höfgena: a tośmy się spotkali! Czasy się zmieniają, ale my obaj mamy szczęście; pan Müller-Andreä był przecież zawsze wielbicielem talentu Höfgena.

A tam, ten niski człowieczek wymachujący notesem jak sztandarem — to Pierre Larue. Tylko że teraz nie ma przy jego boku żadnych *jeunes camarades communistes*, tylko zgrabni, dzielni chłopcy w uwodzicielskich, a zarazem budzących grozę mundurach esesmanów. Monsieur Larue czuł się jeszcze lepiej na zabawach i przyjęciach u wysokich funkcjonariuszy narodowosocjalistycznych niż na obiadach u żydowskich bankierów. Rozkwitał po prostu, poznawał tylu ciekawych ludzi: bardzo miłych morderców, zajmujących teraz wysokie stanowiska w gestapo; nauczyciela szkół średnich, niedawno wypuszczonego z domu wariatów, który jest obecnie ministrem kultury; prawników, którzy uważali prawo za przesąd liberałów, lekarzy, którzy mieli medycynę za żydowski szwindel, filozofów, dla których „rasa” była jedyną obiektywną prawdą. Całe to świetne grono zapraszał Pierre Larue na kolację do „Esplanady”. Tak, narodowi socjaliści potrafili ocenić jego gościnność i wytworne maniery. Pozwolili mu nawet troszkę dla siebie pointrygować w poselstwach zagranicznych, a w nagrodę za to zgodzili się, by przemawiał w Pałacu Sportowym. Ludzie śmiali się, kiedy ta nędzna wiązka kosteczek weszła na podium i zaczęła coś popiskiwać o głębokim zrozumieniu „prawdziwej Francji dla Trzeciej Rzeszy”, ale zaraz spoważniali, gdyż ich „stary doktor”, minister propagandy we własnej osobie, przywołał ich gniewnie do porządku. Pierre Larue mógł więc bez przeszkód deklamować coś w rodzaju miłosnego hymnu do Horsta

Wessela, sutenera, który zginął w burdzie ulicznej, męczennika nowych Niemiec; nazywał go rękonią wiecznego pokoju między obu wielkimi narodami: Niemcami i Francją.

Monsieur Larue omal nie rzucił się na szyję Höfgenowi, tak bardzo ucieszył się, że go znów spotyka. — Och, och, *mon très cher ami! Enchanté, charmé de vous voir!* — Uściski rąk, najserdeczniejszy śmiech. — Czyż to nie szczęście żyć w takich Niemczech? Czy mój nowy ulubieniec nie wygląda ładniej w swoim twarzowym mundurze esesmana, niż kiedykolwiek wygląda! którykolwiek z tych zasmolonych komunistów? *Bonsoir, mon cher, je suis tout à fait ravi*, niech żyje führer, jeszcze dziś wieczorem poinformuję Paryż, jaki wesoly i pokojowy nastrój panuje w Berlinie, nikt nie ma żadnych złych zamiarów, jakże pięknie wygląda panna Lindenthal, ach, idzie do nas doktor Radig, witamy, witamy!

Nowe uściski dłoni, gdyż dr Radig istotnie przyłączył się do nich. On również wydawał się w świetnym humorze, miał ku temu wszelkie powody: jego stosunki z reżyserem narodowosocjalistycznym, z początku tak napięte, poprawiały się z każdym dniem. — Serwus, Radig, jak się masz, stary druhu! — Höfgen i Radig śmieli się do siebie jak dwaj pocziwcy. Teraz mogli się znów bez żenady pokazywać razem publicznie ani się nawzajem nie kompromitując, ani jeden drugiego nie wstydząc; sukces, najwyższe, nieodwołalne usprawiedliwienie każdej podłości, sprawił, że obaj zatracili wszelki wstyd.

Rozpromienieni skłonili się wszyscy czterej: monsieur Larue, panowie Radig, Müller-Andrea i Höfgen, gdy prezes Rady Ministrów, kołyszając się w takt walca z Lotta Lindenthal, kiwnął im dłonią w przelocie.

Stosunki między Hendrikiem i Lotta Lindenthal stawały się coraz cieplejsze, coraz bardziej zażyłe. Oboje zbierali laury w komedii *Serce*. Obawy Lotty przed surowością prasy berlińskiej okazały się bezpodstawne. Przeciwnie, wszyscy krytycy rozpyłwiali się w pochwałach nad jej „kobiecy wdziękiem”, wytrawną prostotą oraz iście niemiecką szczerością gry. Nikt nie postawił jej drażliwego pytania, dlaczego zawsze w tak śmieszny sposób zakrzywia mały paluszek. Natomiast dr Radig w swojej obszernej recenzji wyraził

zdanie, że Lotta Lindenthal jest prawdziwie reprezentacyjną odtwórczynią ludzi nowych Niemiec.

— Widzi pan, Hendriku, to już w głównej mierze panu zawdzięczam — mówiła dobrodusznie złotowłosa. — Gdyby pannie pracował ze mną tak energicznie i po koleżeńsku, nigdy nie przypadłby mi w udziale równie wspaniały sukces!

Hendrik pomyślał, że Lotta zawdzięcza ów wspaniały sukces raczej generałowi lotnictwa niż jemu, ale tego nie wypowiedział głośno.

Grywał razem z Lotta Lindenthal komedię *Serce* w kilku większych miastach, w Hamburgu, Kolonii, Frankfurcie i Monachium. W całym kraju występował jako partner „reprezentacyjnej odtwórczyni ludzi nowego państwa”. W rozmowach, jakimi go zaszczyciała w ciągu długich podróży koleją, pozwoliła mu dostojna pani zajrzeć głębiej w swoje życie prywatne, niż to było na ogół w jej zwyczaju. Mówiła mu nie tylko o swoim szczęściu, ale także o swoich troskach. Grubas bywał często taki gwałtowny. — Pan nie ma pojęcia, ile czasem muszę wycierpieć — powiedziała Lotta, ale zapewniła, że to w gruncie rzeczy jednak bardzo dobry człowiek. — Cokolwiek mówią o nim jego wrogowie — to w gruncie rzeczy uosobienie dobroci! I taki romantyczny! — Lotta miała łyzy w oczach opowiadając, jak niekiedy o północy jej premier odziany w skórę niedźwiedzia, z obnażonym mieczem odprawia krótkie nabożeństwo żałobne przed portretem swej zmarłej małżonki. — Była przecież Szwedką — powiedziała panna Lindenthal, jak gdyby to wszystko tłumaczyło. — Należała do rasy nordyckiej i wiozła Hermanna przez całe Włochy, kiedy został ranny podczas monachijskiego puczu. Naturalnie, rozumiem, jest do niej tak przywiązany — wielki z niego romantyk. Ale ostatecznie ma przecież teraz mnie — dodała jednak trochę urażona.

Höfgenowi pozwolono brać udział w życiu prywatnym bogów. Kiedy wieczorem, po przedstawieniu siadywał u Lotty w jej pięknym domu przy *Tiergartenstrasse* grając z nią w karty albo w szachy, zdarzało się czasem, że prezes Rady Ministrów wchodził niespodziewanie do pokoju, tupiąc głośno. Czy nie robił wrażenia, że jest najdobroduszniejszym człowiekiem na świecie? Czy widać było po nim, jak mrozące krew sprawy miał już za sobą, a jakie planował na jutro?

Żartował z Lotta, pił powoli kieliszek czerwonego wina, wyciąga! przed siebie olbrzymie nogi. Z Höfgenem rozmawia! O rzeczach poważnych, najczęściej o Mefistofelesie.

— Dzięki panu dopiero zrozumiałem dobrze tego faceta, mój drogi — powiedział generał. — To przecież szalona pała! I czy w każdym z nas nie tkwi jakaś jego cząstka? Czy w każdym prawdziwym Niemcu nie tkwi jakiś kawałek Mefistofelesa, kawa! nicponia i niecnoty? To mam na myśli. Co prawda gdyby w nas nic więcej nie było oprócz tej faustowskiej duszy, ładnie byśmy wyglądali! To by nawet było na rękę naszym liczным wrogom! Nie, nie, Mefisto to jeden z naszych bohaterów narodowych. Tylko nie można tego ludziom mówić — zakończył minister lotnictwa i zarechotał z lubością.

Poufne godziny wieczorne spędzane w domu panny Lindenthal wykorzystywał Hendrik na to, by od swego dobrodzieja, protektora sztuk pięknych i eskadr bombowców, uzyskać wszystko, na czym mu zależy. Wbił sobie na przykład do głowy, by wystąpić na scenie Teatru Państwowego jako Fryderyk Wielki, król pruski, ot, taki miał kaprys.

— Nie chcę zawsze tylko grywać dandysów i przestępców — oświadczył nadąsany. — Publiczność znacznie mnie w końcu identyfikować z tymi typami; jeżeli wiecznie je będę odtwarzał. Potrzeba mi wielkiej roli patriotycznej. Ta marna sztuka o starym Frycu, którą przyjął nasz przyjaciel Muck, bardzo mi odpowiada. To byłoby coś dla mnie.

Na próżno generał tłumaczył, że Hofgen ani trochę nie jest podobny do słynnego przedstawiciela rodu Hohenzollernów, Hendrik upierał się przy swoim patriotycznym kaprysie, w czym mu Lotta Lindenthal dzielnie sekundowała.

— Przecież mogę się ucharakteryzować na starego Fryca! — zawołał w końcu. — Robiłem w życiu trudniejsze sztuki!

Grubas ufał całkowicie sztuce metamorfozy swego protegowanego. Dał rozkaz, by Höfgen grał starego Fryca. Cezar von Muck, który zarządził już inną obsadę ról, zagryzł wargi, ale zaraz potem uścisnął Hendrikowi obie ręce i z rozrzewnienia począł mówić saksońskim akcentem. Hendrik dostał więc swego króla pruskiego, przylepił sobie sztuczny nos, chodził o kuli i mówi! skrzeczącym głosem. Doktor Radig napisał, że talent jego wciąż się rozwija, że staje się reprezentacyjnym

aktorem nowego państwa. Pierre Larue poinformował pewne faszystowskie pismo ilustrowane w Paryżu, że teatr berliński osiągnął teraz taką doskonałość, o jakiej się przez czternaście lat hańby i polityki kompromisu nawet nie śniło.

Hendrik potrafił uzyskać znacznie więcej od swego potężnego protektora niż takie oto błahostki. Pewnego szczególnie intymnego wieczoru — Lotta przyrzadziła kruszon, a grubas opowiadał swoje wspomnienia wojenne — Höfgen postanowił zdobyć się na całkowitą szczerłość i zaczął mówić o swojej karygodnej przeszłości. Była to długa spowiedzi wszechpotężny przyjął ją łaskawie.

— Jestem artystą! — wykrzyknął Hendrik z płonącymi oczami i począł jak burza biegać po pokoju. — I tak jak każdy artysta popełniłem wiele głupstw. — Stanął, przechylił głowę w tył, rozpostarł lekko ramiona i oświadczył patetycznie: — Może mnie pan zniweczyć, panie premierze. Teraz wyznam wszystko!

Wyzna! więc, że nie pozostał nieczuły na rozkładowe prądy bolszewickie i że kokietował „lewicę”.

— Był to kaprys artysty — tłumaczy! z bolesną miną. — Albo szaleństwo artysty, jeżeli państwo chcą to tak nazwać.

Rzecz prosta, grubas wiedział od dawna to wszystko i jeszcze znacznie więcej, ale mało się tym przejmował. W kraju musi panować żelazny rygor i jak najwięcej ludzi winno otrzymać wyrok śmierci. Natomiast jeżeli chodziło o jego bliższe otoczenie — wielki człowiek był liberalny.

— No tak — powiedział tylko — każdy może się zapędzić i zrobić głupstwo. Takie to były złe, przewrotne czasy.

Ale Hendrik jeszcze nie skończył. Zaczął teraz wyluszczać generałowi, że inni zasłużeni artyści również popełnili podobne głupstwa jak on:

— Ci wszakże pokutują jeszcze za grzechy, które mnie tak wspaniałomyślnie zostały odpuszczone. Widzi pan, panie premierze, to mnie właśnie dręczy. Proszę o pewnego człowieka, o kolegę. Mogę zapewnić, że się poprawił. Panie premierze, proszę o wolność dla Ottona Ulrichsa. Mówiono, że już umarł. Ale on żyje. I zasługuje na to, by żyć w wolności!

To mówiąc nieopisanie pięknym gestem podniósł na wysokość twarzy złożone, wyciągnięte ręce, które robiły wrażenie, że są strzeliste i gotyckie.

Lotta Lindenthal drgnęła. Premier warknął: „Otto Ulrichs?... co to 2a jeden?” — Po czym przypomniało mu się, że był to kierownik kabaretu komunistycznego „Zwiastun Burzy”.

— Ależ ten to naprawdę wredny typ — powiedział zgryźliwie.

— Ach nie, nic podobnego! — Hendrik zaklinał generała, by w to nie wierzył. — Może trochę lekkomyślny, to muszę przyznać, trochę był nieopatrzny, ten mój przyjaciel Otto. Ale to nie jest wredny typ, a przy tym zupełnie się zmienił. Stał się nowym człowiekiem — twierdził Hendrik, który od wielu miesięcy nie miał żadnego kontaktu z Ulrichsem.

Ponieważ Lotta Lindenthal nawet w tej drażliwej sprawie użyczyła Hendrikowi poparcia, udało się w końcu uzyskać od grubasa to niewiarygodne ustępstwo: Ulrichsowi zwrócono wolność, a nawet zaproponowano mu małe engagement w Teatrze Państwowym. Tak więc Hendrik i Lotta wspólnymi siłami potrafili przeprowadzić rzecz najśmielszą i najbardziej nieprawdopodobną. Ulrichs jednak powiedział:

— Nie wiem, czy mogę się na to zgodzić. Brzydzę się wszelkiej laski z rąk tych morderców, nie chcę odgrywać roli skruszonego grzesznika, wszystko to mnie mierzi!

Czy Hendrik musi uczyć swego starego przyjaciela taktyki rewolucyjnej?

— Ależ, Ottonie! — wykrzyknął — chyba ci się rozum pomieszał! Jakże chcesz sobie dzisiaj dać radę w życiu bez podstępu i udawania? Bierz przykład ze mnie!

— Ja wiem — rzekł Ulrichs dobrodusznie, szczerze z troskany. — Ty jesteś sprytniejszy. Ale mnie to tak piekielnie ciężko przychodzi...

Hendrik odparł z emfazą:

— Trzeba się przełamać. Ja też się przełamałem. — I zaczął pouczać przyjaciela, jak go to przezwyciężenie samego siebie drogo kosztowało, jak trudno było krakać razem z wronami, co teraz, niestety, czyni. — Musimy się jednak wślizgnąć do jaskini Iwa — tłumaczył. — Jeżeli zostaniemy na zewnątrz, możemy tylko kłać, ale nic nie osiągniemy. Ja stoję przy wielkim ołtarzu i dlatego mogę coś niecoś zrobić. — Była to lekka aluzja, że przecież nikt inny, tylko Hendrik przeprowadził zwolnienie Ulrichsa. — Jeśli cię zaangażują do Teatru

Państwowego, możesz znowu nawiązać dawne kontakty i prowadzić robotę polityczną całkiem inaczej niż występując w jakiejś obskurnej norze.

Ten argument trafił Ulrichsowi do przekonania, kiwnął głową:

— A poza tym — perswadował dalej Hendrik — z czego będziesz żył, jeżeli nie dostaniesz engagement? Zamierzasz na nowo otworzyć „Zwiastuna Burzy”? — zapytał szyderczo.

— Czy chcesz zdechnąć z głodu?

Działo się to w mieszkaniu Hendrika przy Reichskanzlerplatz. Hendrik wynajął dla przyjaciela, który zaledwie przed paru dniami odzyskał wolność, mały pokoik w sąsiedztwie.

— Byłaby to wielka nieostrożność, gdybyś u mnie zamieszkał — powiedział mu. — Mogłoby to nam obu zaszkodzić.

Ulrichs zgadzał się na wszystko.

— Wiem, że ty już tak postąpisz, jak jest najwłaściwiej.

Wzrok jego był smutny i roztargniony, twarz wychudła. Poza tym skarżył się często na bóle w krzyżu.

— To nerki. Wzięto mnie ostro w obroty.

Ale kiedy Hendrik z nieco lubieżną ciekawością zaczął dopytywać się o bliższe szczegóły, Otto machnął ręką i zamilkł. Niechętnie mówił o tym, co przeszedł w obozie koncentracyjnym. Jeżeli przypadkiem wspominał o jakimś szczególe, zdawał się zaraz wstydzić i żałować, że to powiedział. Pewnego razu, kiedy spacerowali z Hendrikiem w Grunewaldzie, wskazał ręką drzewo mówiąc:

— Tak wyglądało drzewo, na które musiałem się wdrapać. Było dość trudno się dostać. A jak już siedziałem na górze, zaczęli rzucać we mnie kamieniami. Jeden trafił mnie w czoło — o, tu mam jeszcze bliznę. Kazano mi wołać z góry: „Jestem wstrętna komunistyczna świnia.” A kiedy mi wreszcie pozwolono zleźć z drzewa, czekali już na dole z batami.

Czy to ze zmęczenia, czy przez apatię — dość że Otto Ulrichs dał się przekonać argumentom Hendrika i przyjął engagement do Teatru Państwowego. Höfgen był bardzo zadowolony. „Uratowałem człowieka — myślał z dumą. — To jest dobry uczynek.” Takimi rozważaniami uspokajał sumienie, które w nim jeszcze nic całkiem zamarło, wbrew wszystkiemu, co mu przypisywano. Zresztą, nie tylko sumienie odzywało się czasem, lecz także zupełnie inne uczucie: strach.

Czyż len cały pęd, w którym i on bierze tak czynny udział, będzie trwał wiecznie? Czy nie może przyjść dzień wielkich zmian i wielkiej zemsty? Na wszelki wypadek było rozsądne, a nawet konieczne asekurować się na przyszłość. Dobry uczynek ratujący Ulrichsa był szczególnie cenną asekuracją. Hendrik bardzo się z tego cieszył.

Wszystko szło świetnie, Hendrik miał wszelkie powody do zadowolenia. Niestety, było coś, co mu przysparzało wiele troski. Nie wiedział, jak pozbyć się Julietty.

W gruncie rzeczy nie chciał jej się wcale pozbywać i gdyby mógł postępować wedle swoich życzeń, byłby ją na zawsze przy sobie zatrzymał, bo jeszcze ją kochał. Może nigdy dotąd nie tęsknił za nią tak silnie, jak właśnie teraz. Rozumiał, że żadna inna kobieta nie będzie mogła mu jej całkowicie zastąpić. Ale nie śmiał jej już odwiedzać. Ryzyko było zbyt wielkie. Musiał się liczyć z tym, że pan von Muck i minister propagandy otoczyli go szpiegami — było to całkiem możliwe, pomimo że intendent w przyływie serdeczności mówił z nim najczęściej saksońską gwara, a minister kazał się z nim fotografować. Gdyby się dowiedzieli, że ma stosunek z Murzynką, a w dodatku każe się przez nią chłostać, byłby zgubiony. Murzynka to co najmniej tak źle jak Żydówka. To właśnie nazywano teraz powszechnie „pohańbieniem rasy” i uważano za rzecz w najwyższym stopniu karygodną. Niemiec winien płodzić dzieci z jasnowłosą kobietą — führet potrzebuje żołnierzy. Pod żadnym pozorem nie mógł brać lekcji tańca od księżniczki Tebab, lekcji tańca, które były właściwie wyuzdanymi zabawami. Żaden szanujący się narodowy socjalista nie robił nic podobnego. Hendrik nie mógł już teraz sobie na to pozwolić.

Przez pewien czas żywił niedorzeczną nadzieję, że Julietta nie dowie się o jego powrocie do Berlina. Ale, rzecz prosta, dowiedziała się o tym zaraz w dniu jego przyjazdu. Cierpliwie czekała jego wizyty. Ponieważ milczał, ona ze swej strony przeszła do ataku. Zatelefonowała do niego. Hendrik kazał jej powiedzieć przez Bocka, że go nie ma w domu. Julietta szalała, zatelefonowała jeszcze raz, groziła, że przyjdzie do niego. Co Hendrik miał począć, na miłość boską? Napisać do niej? Nie wydawało mu się to wskazane, mogła go szantażować listem. Postanowił wreszcie wyznaczyć jej spotkanie w tej samej cichej

kawiarence, gdzie niegdyś miał rendez-vous z krytykiem Radigiem.

Julietta nie miała już na sobie ani zielonych lakierowanych butów, ani krótkiego żakiecika, przeciwnie, kiedy o oznaczonej godzinie weszła do kawiarni, ubrana była w skromną szarą suknię. Oczy miała czerwone i zapuchnięte. Widocznie płakała. Księżniczka Tebab, córka królewska z Konga, przelewała łzy z powodu niewiernego białego przyjaciela. Jej niskie czoło, na którym wznosiły się dwa wypukłe wzgórki, było poważne i groźne. „Płakała ze złości” — pomyślał Hendrik; nie wierzył bowiem, aby Julietta doznawała innych uczuć poza gniewem, chciwością, łakomstwem albo erotycznym podnieceniem.

— A więc wypędzasz mnie — powiedziała czarna dziewczyna zakrywając powiekami ruchliwe i mądre oczy.

Hendrik usiłował wytłumaczyć jej sytuację w sposób ostrożny, ale przekonywający. Starał się być ojcowski, troszczył się o jej przyszłość i łagodnym głosem radził, by jak najprędzej wyjechała do Paryża. Tam znajdzie z pewnością pracę jako tancerka. Poza tym obiecał jej posyłać co miesiąc trochę pieniędzy. Uśmiechając się kusząco, położył przed nią na stole duży banknot.

— Ależ ja nie chcę jechać do Paryża — upierała się księżniczka Tebab. — Mój ojciec był Niemcem. Ja czuję się Niemką. Mam jasne włosy, naprawdę nie są farbowane. I w ogóle nie umiem ani słowa po francusku. Co ja pocznę w Paryżu?

Hendrika rozśmieszył ten patriotyzm, co rozgniewało Juliettę. Otworzyła szeroko dzikie oczy i poczęła przewracać nimi groźnie.

— Jeszcze ci się odechce śmiać! — krzyknęła na niego. Podniosła ciemne, szorstkie ręce, wyciągnęła je ku niemu, jak gdyby chciała pokazać jasne wnętrza dłoni. Hendrik obejrzał się przerażony za kelnerką, gdyż Julietta zaczęła robić mu wyrzuty i skarżyć się głosem donośnym, zawodzącym, wyjąłym niemal.

— Tyś nigdy nic nie brał na serio — twierdziła z bólem i złością. — Nic, nic, nic na świecie, poza swoją przeklętą karierą! Mnie nie brałeś na serio ani twojej polityki, o której mi tyle zawsze opowiadałeś! Gdybyś był naprawdę należał do

komunistów, czy mógłbyś teraz żyć w zgodzie z ludźmi, którzy zamierzają rozstrzelać wszystkich komunistów?

Hendrik zbladł jak płótno. Wstał zza stołu.

— Dość tego! — powiedział cicho.

Ona jednak wybuchnęła szyderczym śmiechem, który rozległ się w całej kawiarni — na szczęście nie było tam nikogo oprócz nich.

— Dość tego! — małpowiała go szczerząc zęby. — Dość tego, tobie łatwo powiedzieć: dość! Lata całe musiałam udawać dziką kobietę, chociaż wcale na to nie miałam ochoty, a teraz ci się nagle zachciewa być silnym mężczyzną! Dość, dość! Tak, jestem ci już niepotrzebna, może dlatego, że teraz w całym kraju pełno takich, co biją ile wlezie? Więc dasz sobie radę i beze mnie?... Łajdak z ciebie! Ordynarny łajdak! — zasłoniła twarz rękami, łkała. — Rozumiem teraz, że twoja żona, że ta Barbara nie mogła z tobą wytrzymać — szlochała poprzez mokre od łez palce. — Dobrze jej się przyjrzałam. Szkoda jej było dla ciebie...

Hendrik znalazł się już przy drzwiach. Banknot został na stole, przed Juliettą.

Ach, nie, nie tak łatwo pozbyć się księżniczki Tebab, nie odejdzie z własnej woli. Jeżeli tym razem ustąpi — rozumiała to doskonale — straci go na zawsze, straci swego Hendrika, swego białego Murzyna, swego pana, swego Heinza, a nie miała nikogo poza nim na świecie. Wtedy, kiedy się ożenił z tą Barbarą, tą mieszczką, Julietta była pewna siebie, nie bała się ani trochę: wiedziała, że wróci do niej, do swojej czarnej Wenus. Teraz sprawy stały inaczej. Teraz drżał o swoją karierę. Wysyłał ją do Paryża. Ale ona nazywa się przecież Martens i jej ojciec byłby dziś bardzo szanowanym narodowym socjalistą, gdyby nie był przywiózł sobie malarii z Konga...

Julietta nie chciała ustąpić. Ale Hendrik był od niej silniejszy. Zawarł pakt z władzą.

Biedna dziewczyna niepokoiła go jeszcze przez pewien czas listami i telefonami. Potem czyhała na niego przed teatrem. Pewnego razu wychodząc z gmachu teatru po przedstawieniu — szczęśliwym zbiegiem okoliczności był sam — zobaczył ją: stała w zielonych lakierowanych butach, krótkiej spódniczce, z wypiętą piersią i niesamowicie błyskającymi zębami. Hend-

rik zdjęty paniką począł machać ręką, jak gdyby się opędał od ducha. W kilku wielkich susach dopadł swego mercedesa. Julietta wybuchnęła głośnym śmiechem za jego plecami.

— Wróć tu jeszcze! — krzyczała za nim, kiedy już siedział w samochodzie. — Od dziś będę przychodziła co wieczór — zapowiedziała z jadowitym śmiechem. Może zwariowała z bólu i zawodu, że ją opuścił? A może była tylko pijana? Miała w ręku czerwony pejcz, symbol jej związku z Hendrikiem Hófgeniem.

To okropne zajście nie powinno się pod żadnym pozorem powtórzyć. Hendrikowi nie pozostawało nic innego, musiał i w tym, rak przykrym wypadku, uciec się do swego grubego dobroczyńcy, premiera. On jeden mógł mu pomóc. Była to co prawda ryzykowna gra: wszechpotężny mógł się zniecierpliwić i cofnąć mu swoje poparcie. Jednakże należało powziąć jakąś radykalną decyzję, w przeciwnym razie nie da się uniknąć publicznego skandalu.

Hófgen poprosił o audiencję i złożył znowu obszerną spowiedź. Generał zresztą okazał zdumiewające i nawet jakby nieco rozbawione zrozumienie dla erotycznych wybryków, które ściągnęły na jego faworyta tyle groźnych i niemiłych konsekwencji.

— Żaden z nas nie jest przecie niewinnym aniołkiem — powiedział grubas; Hendrik był tym razem szczerze wzruszony jego dobrocią. — Murzynka czyha na pana przed Teatrem Państwowym z pejczem w ręku! — Premier śmiał się serdecznie. — A to ładna historia! Co my zrobimy?... Jedno jest pewne, tę dziewczynę trzeba usunąć...

Hendrik, który przecież nie chciał, aby księżniczkę Tebab zgładzono, prosił szeptem:

— Ale niech się jej tylko żadna krzywda nie stanie!

Maż stanu zaczął się przekomarzać:

— No, no — powiedział grożąc palcem — zdaje się, że ta czarna piękność nie jest panu jeszcze obojętna. Już niech pan mi zaufa! — dodał uspokajająco, po ojcowsku.

Tego samego dnia zjawili się u nieszczęsnej córy królewskiej dwaj panowie, którzy zakomunikowali jej dyskretnie, ale nieubłaganie, że jest aresztowana. Księżniczka Tebab krzyknęła: „Dlaczego?!“... Ale dwaj panowie powiedzieli równocześnie cichym i twardym głosem nie znoszącym najłżejszego

sprzeciwu: „Proszę iść z nami!” Wówczas zaszlochała: „Prze-
cież ja nic złego nie zrobiłam...”

Przed domem stał zamknięty samochód; z budzącą lęk uprzejmością poprosili panowie Juliettę, by wsiadła. Podczas drogi, która trwała dość długo, czarna dziewczyna szlochała, paplała na przemian, stawiała pytania, żądała, by jej powiedziano, dokąd ją wiozą. A że nie otrzymała odpowiedzi, zaczęła krzyczeć. Zamilkła jednak natychmiast, kiedy poczuła na ramieniu twardą jak żelazo dłoń jednego z towarzyszących jej mężczyzn. Zrozumiała: wszelkie słowa, wszelkie skargi nie miały sensu, a krzyk mogła nawet życiem przypłacić. A może i tak nie ujdzie z życiem? Hendrik wezwał przeciwko niej władzę. Hendrik posługuje się nieubłaganą władzą, aby ją, bezbronną dziewczynę, usunąć z drogi... Patrzyła przed siebie rozszerzonymi ze strachu, niemal ośleptymi oczami.

Nastąpiły teraz dla niej dni milczenia — czy było ich dziesięć, czternaście czy też tylko sześć? Wprowadzono ją do półciemnej celi, nie wiedziała, w jakim domu znajduje się owa cela. Nikt jej nie poinformował, ani gdzie jest, ani dlaczego i jak długo będzie musiała tam pozostać. Przestała się pytać. Trzy razy dziennie niema kobieta w błękitnym fartuchu stawiała przed nią jakieś jedzenie. Julietta płakała czasem, najczęściej jednak siedziała bez ruchu i wpatrywała się w ścianę. Czekwała, aż drzwi się otworzą i ukaże się w nich ktoś, kto poprowadzi ją w ostatnią drogę, ku niezrozumiałej, bolesnej, ale jednak wyzwalającej śmierci.

Kiedy któreś nocy zbudzono ją z ciężkiego, pozbawionego marzeń snu, pomyślała od razu niemal z ulgą: „A więc to już!”

Przed nią stał wszakże nie ów człowiek w mundurze, który miał polecenie ją zabić, ale Hendrik. Twarz jego była blada, a skronie pulsowały nerwowo. Julietta patrzyła na niego, jakby ujrzała widmo.

— Cieszysz się, że mnie widzisz? — zapytał cicho.

Księżniczka Tebab nie odpowiedziała ani słowem. Patrzyła na niego.

— Milczysz — stwierdził zatroskany. I zbolałym, śpiewnym głosem dodał, darząc ją czarującym spojrzeniem błyszczących oczu: — Ja, moja droga, cieszyłem się na tę chwilę. Jesteś wolna — powiedział, przy czym zrobił piękny gest ramieniem.

Księżniczka Tebab siedziała wciąż bez ruchu i tylko patrzyła, on zaś tymczasem tłumaczył jej, że musi natychmiast wyjechać do Paryża... Wszystko zostało załatwione: paszport jej opatrzony jest francuską wizą, bagaż czeka na dworcu. W Paryżu będzie mogła co miesiąc podjąć określoną sumę pod wskazanym adresem.

— Jeden tylko warunek przywiązany jest do tej niezwyklej łaski — mówił Hófgem, który przyniósł jej wolność, a jego słodkie oczy stały się nagłe surowe. — Musisz milczeć! Jeżeli nie potrafisz trzymać języka za zębami — powiedział zmienionym, grubiańskim tonem — wtedy czeka cię śmierć. Nie unikniesz swego losu nawet w Paryżu. Obiecujesz mi, moja droga, że będziesz milczała?

Jego głos stał się teraz błagalny, pochylił się tklawie nad swoją ofiarą. Julietta nie zaprzeczyła. Upór jej został złamany w ciągu owych długich dni w półciemnej celi. Milcząc kiwała głową.

— Nabrałaś rozumu, jak widzę — stwierdził Hendrik i uśmiechnął się z ulgą. Myślał przy tym: „To surowe traktowanie poskromiło ją. Z jej strony nic mi już nie grozi. Ale jaka szkoda, jaka straszna szkoda, że muszę ją stracić...”

Księżniczka Tebab wyjechała. Hendrik odetchnął, ciemna chmura ustąpiła z nieba jego szczęśliwości. Nie budziły go ze snu groźne dzwonki telefoniczne. Czy aby tylko ulgę odczuwał z tego powodu?

Julietta znikła z jego życia, Barbara znikła z jego życia, obu im przyrzekł, że będzie je kochał wiecznie. Czyż nie nazywa! Barbary swoim dobrym aniołem? „Szkoda jej było dla ciebie” — powiedziała księżniczka Tebab. „Co ta dzika Murzynka wie o mnie i skomplikowanych procesach mojej duszy?” Hendrik usiłował tak myśleć, ale nie zawsze pozwalało mu serce na tak tanie wykręty. Czasem wstydził się — może sam przed sobą, może przed Julietta, której wzrok utkwiony w niego w półciemnej celi był tak żaloszny; w oczach jej krył się wyrzut, ale zarazem i pogróżka. Teraz kiedy ją stracił, usunął i zdradził, Hendrik chcąc nie chcąc wracał czasem myślą do swojej czarnej Wenus. Była złą, niewyczerpaną, bezduszną siłą, w której odnawiała i odświeżała się jego energia. Zrobił z niej pogańskiego bożka, którego wielbił:

Viens-tu du ciel profond ou sors-tu de l'abîme, o Beauté?

— wolał do niej w ekstazie.

Tu marches sur des morts, dont tu te moques...

A może Julietta nie była demonem ani istotą, która kroczyła do celu po trupach? Może to wcale nie leżało w jej naturze? Odjechała teraz, płacząc gorzko, sama jedna do obcego miasta. Dlaczego? Czy to dlatego, że ktoś inny gotów był iść po trupach do swego celu?...

„Ten idzie po trupach” — w taki to pogardliwy sposób mawiał miody Hans Miklas o swoim sławnym koledze, aktorze Teatru Państwowego Hendriku Höfgenie. Krnąbrny chłopak nie zważał na to, że jego stary śmiertelny wróg cieszy się szczególną opieką prezesa Rady Ministrów i wielkiej Lotty Lindenthal. Miklas bywał bardzo nieostrożny: wymyślał nie tylko na kolegę Höfgena, ale również na panów, którzy stali znacznie wyżej od niego. Czyż nie wiedział, na co się naraża taką zuchwałą lekkomyślną gadaniną? A może wiedział, tylko nic sobie z tego nie robił? Może zamierzał postawić wszystko na jedną kartę? Może mu było wszystko jedno?

Patrząc na niego łatwo go było posądzić o podobne w duszy powzięte postanowienia. Nigdy, nawet w Hamburgu, nie patrzył tak gniewnie i z taką straszną przekorą jak właśnie teraz. Wtedy miał jeszcze w sercu nadzieję i wielką wiarę. Teraz nic mu nie pozostało. Chodził dokoła i mówił: „To wszystko gówno. Oszukano nas — tak mówił. — Führer chciał tylko władzy i nic więcej. Czy się co w Niemczech poprawiło od czasu, jak ją objął? Bogacze zrobili się jeszcze gorsi. Plotą tylko patriotyczne bzdury i dalej robią interesy — to jedyna różnica. Intryganci są nadal na wierzchu. — Miklas przypomniał sobie Höfgena. — Porządny Niemiec może zdechnąć i nikt się o niego nie zatroszczy — twierdził z goryczą i złością.

— Ale bonzom, tym dzieje się lepiej niż kiedykolwiek. Popatrzcie na grubasa, jak rozbija się swoją luksusową limuzyną, w kapiącym od złota mundurze! A i sam führer nie lepszy jest od niego, przekonaliśmy się o tym! Bo czyby to wszystko tolerował, gdyby było inaczej? Te straszliwe niesprawiedliwo-

ści? Myśmy walczyli o ideę, kiedy jeszcze była niczym, a teraz chcą nas wykiwać. Ale taki stary bolszewik jak Höfgen, ten jest znów wielką figurą...”

Takie to szalone i zbrodnicze słowa rozповідаł młody Miklas wszem wobec. Nie dziw, że członkowie zespołu Teatru Państwowego zaczęli go unikać. Intendent wezwał go kiedyś do siebie i ostrzegł:

— Wiem, jest pan od lat w partii — powiedział Cezar von Muck. — Dlatego właśnie powinien się pan był nauczyć dyscypliny; mamy prawo wymagać od pana szczególnie wysokiego stopnia uświadomienia politycznego.

Miklas uparł się niczym kozioł. Pochylił przekornie czoło, wydał zbyt jaskrawe, chorobliwie czerwone wargi i powiedział cichym, ochrypłym głosem:

— Wystąpię z partii.

Czyżby chciał doprowadzić do ostateczności?

Muck, oburzony, odwrócił się plecami do młodego aktora, Miklasa zaś porwał atak kaszlu. Kaszel wstrząsał jego chudym ciałem, od którego przez długie lata zbyt wiele wymagał. Nie przestając kasłać opuścił gabinet intendenta. Twarz miał szarą, pod żuchwami czarne doły. Pomiedzy podwójną smugą szaroczarnych cieni oczy płonęły jasnym, złym blaskiem. Gniewnie, lecz z pewnym zdziwieniem nie pozbawionym współczucia patrzył intendent za odchodzącym młodzieńcem.

„Ten jest zgubiony!” — pomyślał Cezar von Muck.

Jesteś zgubiony, biedny młody Hansie! Po tylu wysiłkach, po tak głębokiej, zmarnowanej wierze, cóż ci teraz pozostało? Tylko nienawiść, tylko smutek i dzika chęć przyspieszenia własnej zguby. Ach, zguba przyjdzie i tak dość prędko, tej jednej możesz być pewien, nie będziesz długo nienawidził, nie będziesz długo cierpieć. Śmiesz powstawać przeciwko tym potęgom i osobom, których dojścia do władzy tak gorąco pragnąłeś. Ale jesteś słaby, Hans, i nie masz obrońców.

Potęga, którą ukochałeś, jest okrutna. Nie toleruje żadnej krytyki, a kto się buntuje, zostanie zmiażdżony. Zmiażdżą cię, chłopcze, zmiażdżą cię bogowie, do których się tak serdecznie modliłeś. Padniesz, z małej ranki pocieknie trochę krwi na trawę — i już twoje wargi będą równie białe jak twoje jasne czoło.

Czy nikt nie zapłacze nad twoim upadkiem, nad takim zakończeniem wielkiej, płomiennej i tak gorzko zawiedzionej

nadziei? Któż by miał zapłakać? Byłeś prawie zawsze sam. Do matki nie pisywałeś już od wielu lat, poślubiła obcego człowieka, twój ojciec dawno już nie żyje, przecież poległ na wojnie. Któż by więc płakał? Któż miałby zasłonić oblicze nad tak żałośnie zmarnowaną młodością, nad twoją żalosną śmiercią? Zamknijemy ci więc powieki, żeby twoje oczy już dłużej nie były otwarte i przestały patrzeć w niebo z milczącą skargą, z niewymownym wyrzutem. Czy będziesz bardziej pobłażliwy w śmierci, moje biedne dziecko, niż bywałeś w życiu — to twarde życie nie pozwalało ci na pobłażliwość. A jeżeli tak, to może nam przebacysz, że my, twoi wrogowie, że my jedynie pochylamy się nad twoim trupem.

Twój los bowiem się wypełnił, prędko poszło. Sprowokowałeś swój koniec, przywołałeś go. Czyżbyś inaczej zgromadził dokoła siebie kilku chłopców, jeszcze bardziej nieświadomych, jeszcze młodszych od siebie, by zabawić się z nimi w spisek? Na czyje życie chcieliście dokonać zamachu? Na waszego Fuhrera czy na jednego z jego satrapów? Twierdziliście, że wszystko się „całkiem odmieni” — to było przecież wasze najgorętsze pragnienie. Rewolucja narodowa, tak wam się zdawało, prawdziwa, szczerza, bezkompromisowa rewolucja — tak was haniebnie oszukano — powinna teraz wreszcie wybuchnąć. Czy nie wysłaliście nawet listu do pewnego człowieka na emigracji, który był kiedyś przyjacielem waszego fuhrera i tak się na nim zawiódł, jak wyście się zawiedli?

Wszystko się wydało, oczywiście, wszystko się wydało i pewnego rana przyszły po ciebie umundurowane draby — miałeś już z nimi do czynienia, to byli starzy znajomi — kazali ci wsiąść do samochodu, który czekał na dole. Niedługo się opierałeś. Wywieziono cię parę kilometrów za miasto, do lasu. Ranek był chłodny, marzęś, ale żaden z dawnych kolegów nie dał ci koca albo płaszcza. Wóz stanął i kazano ci przejść się kilka kroków. Przeszedłeś tych kilka kroków. Poczujesz raz jeszcze zapach trawy i wietrzyk poranny dotknął twego czoła. Trzymałeś się prosto. Może tamci w samochodzie zlekłiby się niewypowiedzianie dumnego wyrazu twojej twarzy; ale oni nie widzieli twojej twarzy, widzieli tylko twoje plecy. Potem huknął strzał.

Teatr Państwowy, na którego scenie nie wolno ci już było od kilku tygodni występować, otrzymał wiadomość, że padłeś

ofiara wypadku samochodowego. Przyjęto wiadomość spokojnie, nie zdradzając najmniejszej chęci jej sprawdzania. Panna Lindenthal powiedziała:

— To straszne, taki młody chłopak! Zresztą nigdy nie miałam do niego szczególnej sympatii. Wyglądał jakoś niepokojąco, czy nie uważa pan, Hendriku? Miał takie złe oczy...

Tym razem Hendrik nie odpowiedział swej wpływowej przyjaciółce ani słowem. Lękał się wywołać w pamięci twarz Hansa Miklasa. Ukazywała mu się jednak, czy chciał, czy nie chciał. Stała mu przed oczami całkiem wyraźnie w półmroku korytarza. Oczy były zamknięte, czoło błyszczało. Przekornie wydęte wargi poruszały się. Co też mówiły? Hendrik odwrócił się i uciekł szukając ratunku w zgiełku dnia, nie chcąc przyjąć wieści, którą mu to surowe oblicze przekazywało.

cipnym błaznem. Panna Lindenfhäl miała by niemal prawo być zazdrosna. Ale znamy przecież jej dobroduszość, a przy tym i ona ma słabość do Hendrika Höfgena. Jakim szacunkiem, jakim nimbem otacza aktora w szerokich kołach jego powszechnie znana i przez wszystkich komentowana przyjaźń z budzącym postrach grubasem.

Zaledwie małpy albo dzieci
odnajdą wiedzę w tej iskierce...

Słowa te wspomina Hendrik raz po raz, zbierając pochlebstwa i przesadne uprzejmości, którymi raczą go teraz koledzy, pisarze, damy z nowego „towarzystwa”, a nawet politycy. Czy słodki jak lukier szept niemieckiego nacjonalisty, monsieur Larue, istotnie dogadza jego podniebieniu? Czy delektuje się naprawdę pełnymi literackimi puentami doktora Radiga, światowymi grzecznościami pana Müller-Andreä? Przed starym przyjacielem Ottonem Ulrichsem wyraża się z pogardą o tej całej „przeklętej bandzie”. Ale czy nie łechcą go jednak miłe te zapewnienia szczerego oddania, te nie kończące się atencje? Czyż nie smakuje mu szampan przy stole monsieur Larue w hotelu „Esplanade”, którym raczy się w świetnym gronie efektownych młodzieńców z SS?

Hendrik miał wielu przyjaciół; nie brakowało wśród nich dość pociesznych figur. Taki na przykład poeta Pelz, którego wysoce pretensjonalną, niezrozumiałą, a jednak w jakiś tajemniczy sposób porywającą liryką zachwycali się do nieprzytomności młodzi ludzie, dziś przeważnie siedzący na wygnaniu. Benjamin Pelz, niski, krępy człowiek o łagodnych, błękitnych, zimnych oczach, obwisłych policzkach i grubych, okrutnie lubieżnych ustach, tłumaczył w poufnych rozmowach, że kocha narodowy socjalizm za to, że całkowicie zniweczy cywilizację, której mechaniczny porządek jest nie do zniesienia; za to, że wie dzie w przepaść, że wieje od niego woń śmierci, że rozsiewe niezmiernie cierpienia po całej kuli ziemskiej, która jest na najlepszej drodze do zwyrodnienia, stając się w połowie idealnie zorganizowaną fabryką, w połowie sanatorium dla cherlaków.

— Życie w demokracjach przestało być niebezpieczne — mówił z naganą poeta Pelz. — W naszej egzystencji zanikał

IX

W WIELU MIASTACH

Miesiące mijają, rok 1933, wielki rok, o ile wolno wierzyć dziennikarzom, którym ministerstwo propagandy dyktuje poglądy i przekonania. Rok spełnienia, tryumfu, zwycięstwa; rok chwały, w którym naród niemiecki zbudził się, w którym odnalazł siebie i swego fuhrera.

Jedno jest pewne, dla Höfgena był to rok świetny, radosny. Rozpoczął się od trosk, ale zakończył wśród samych pomyślności. Hendrik, tak giętki i obrotny, mógł z ufnością i w najlepszym nastroju zacząć rok 1934. Jest pewien względów elity. Cieszy się niewątpliwie łaskami premiera. Wielki człowiek osłania go swą szeroką, opiekuńczą dłonią. Dla niego Höfggen-Mefistofeles to błazen nadworny, dowcipny sowizdrzał, śmieszna zabawka. Od dawna przebaczył aktorowi jego podejrzaną przeszłość, uważając ją za kaprys artysty. Pomógł mu pozbyć się Murzynki i jej pejcza. Höfggen występuje w wielu pięknych rolach; gra w filmach i zarabia szalone pieniądze. Jest częstym gościem premiera. Z taką samą swobodą jak niegdyś do gabinetu dyrektora Schmitza albo panny Bernhard wchodzi teraz zarówno do urzędowego gmachu, jak do apartamentów prywatnych generała.

A więc trudno! Zostaję! za gościnność w darze
różne sztuki diabelskie chętnie ci pokażę

— wita Hendrik wszechpotężnego śmiałym cytatem z *Fausta*. Dla wszechpotężnego zaś nie ma miłszego odpoczynku po krwawych i pełnych chwały trudach, niż pożartować z dow-

coraz bardziej patos bohaterski. Widowisko, które nam dziś wolno oglądać, to narodziny nowego typu człowieka, a raczej odrodzenie prastarego, archaicznego, magicznego wojowniczego typu. Jakież to zapierające dech, piękne widowisko! Jakież pasjonujący proces! Niech pan będzie dumny, drogi panie Hófggen, że dane jest panu brać w nim czynny udział! — To mówiąc patrzył serdecznie na Hendrika swymi łagodnymi, lodowatymi oczami. — Życie nabiera rytmu i uroku, budzi się z odrętwienia, wkrótce nabierze znowu, jak w pięknych minionych epokach, porywistego, tanecznego ruchu. Na ludzi, którzy nie umieją patrzeć i słuchać, może ów nowy ruch działać jak wyuczony rytm marsza wojskowego. Głupców zwodzi pozorna sztywność archaicznego żołnierskiego stylu życia. Jakież to błęd! W istocie nie maszerujemy teraz, ale gnamy naprzód. Nasz ukochany fihrer porywa nas w ciemność i nicość. Jakże moglibyśmy, my, poeci, którzy mamy szczególnie stosunek do ciemności i do przepaści, jakże moglibyśmy go za to nie podziwiać? Nie jest, zaiste, przesadą nazywać naszego fuhrera boskim. Jest podziemnym bóstwem, które wszystkie wtajemniczone w wiedzę magiczną narody C2cily jako największą świętość. Podziwiam go bezgranicznie, gdyż bezgranicznie nienawidzę jałowej tyranii rozsądku i mieszczańskiego fetysza zwanego postępem, Wszyscy poeci godni tego miana są urodzonymi i zaprzysiężonymi wrogami postępu. Twórczość poetycka jest sama przez się nawrotem do świętych, wczesnych, poprzedzających cywilizację stanów ludzkości. Poezja i śmierć, krew i pieśni, morderstwo i hymny — harmonizują ze sobą. Wszystko z sobą harmonizuje, co sięga poza cywilizację i zstępuje głęboko w dół ziemi, w tajemnicze, niebezpieczne warstwy. Kocham katastrofę — mówił Pelz pochylając do przodu twarz o melancholijnie obwisłych policzkach i uśmiechał się przy tym, jak gdyby jego grube wargi delektowały się łakociami albo pocałunkami. — Pożądaję karkołomnych przygód, pożądaję przepaści, przeżyć, krańcowych sytuacji przenoszących człowieka poza nawias cywilizowanego świata, w ową dziedzinę, gdzie żadne towarzystwa ubezpieczeń, żadna policja, żaden komfortowy szpital nie bronią go już przed niemiłosiernym natarciem żywiołów i drapieżnego jak dzikie zwierzę wroga. Przeżyjemy to wszystko, może mi pan zaufać, doświadczymy rzeczy strasznych

— dla mnie nic nigdy nie będzie dość straszne. Jesteśmy wciąż zbyt łagodni — nasz wielki fihrer nie może jeszcze tak postępować, jak by chciał. Gdzież są publiczne kainie? Palenie na stosach humanitarnych gadułów i racjonalistycznych zakutych głów? — To mówiąc stuknął Pelz niecierpliwie łyżeczką o filiżankę od czarnej kawy, jak gdyby przywoływał kelnera, który mu zbyt długo każe czekać na autodafe. — Na co wciąż ta zbędna dyskrekcja, ten fałszywy wstyd, które kryją ów uroczysty akt tortur za murami, obozów koncentracyjnych? — zapytywał surowo. — I o ile wiem, palono dotychczas tylko książki — to nie jest. Ale nasz fihrer dostarczy nam jeszcze innych wrażeń, ufam mu całkowicie. Łuny na horyzoncie, rzeki krwi na wszystkich drogach i opętany taniec dokoła trupów, laniec tych, co przeżyli, tych, których jeszcze oszczędzono!

Poetę ogarnęła radosna ufność, iż najbliższa przyszłość przyniesie upragnione okropieństwa. Z wyszukaną uprzejmością, złożony nabożnym gestem ręce na piersiach, zapewniał Hendrika:

— Pan zaś, mój drogi panie Hófggen, będzie należał do tych, co z największą gracją potrafią skakać przez trupy. Pan na to wygląda, zaraz to po panu poznałem. Jest pan uroczym synem podziemi i to na pewno nie przypadek, że nasz premier tak pana wyróżnia. Posiada pan prawdziwy, produktywny cynizm radykalnego geniuszu. Niezwykle pana cenię, mój drogi panie Hófggen.

Podobnie dziwnych i wątpliwych komplementów wysłuchiwał Hendrik z drariskim uśmiechem i zagadkowym błyskiem oczu. Nie każdy miał równie głębokie i wyrafinowane powody, jak poeta Pelz, by odkryć w sobie miłość do narodowego socjalizmu. Inni oświadczaali po prostu:

— Jestem i pozostanę niemieckim artystą i niemieckim patriotą, ktokolwiek będzie rządził w mojej ojczyźnie. W Berlinie powodzi mi się lepiej niż gdziekolwiek na świecie i nie mam najmniejszej ochoty stąd wyjeżdżać. Zresztą nigdzie indziej nie mógłbym nawet w przybliżeniu zarobić tyle, ile zarabiam tutaj.

Tak oświadczył wieczorem przy stoliku w piwiarni gruby Joachim, aktor charakterystyczny. Z nim przynajmniej wiadomo było, czego się trzymać. Byłby wyemigrował i stał się pełnym temperamentu antyfaszystą, gdyby mu zaofiarowano

sutą gażą w Hollywood. Niestety, podobna oferta nie przyszła. Joachim, który należał niegdyś do najznakomitszych aktorów niemieckich, nie był już całkiem na poziomie. Dlatego też oświadczył z miną poczciwca w gronie kolegów:

— Czy jest gdzie tak dobre piwo jak tu, w naszej „Staro-miejskiej Piwnicy”? Może mi to kto powie?

Rozglądał się dokoła wyzywająco i nieco złośliwie. Jego duża, wyrazista twarz o gąbczastych policzkach i małych, podejrzliwych oczkach miała obłudną dobroduszość niedźwiedzia, co to wygląda tak śmiesznie i gapowato, a jest jednak najokrutniejszym z dzikich zwierząt. Pochlebcy zapewniali Joachima o jego wybitnym podobieństwie do pana prezesa Rady Ministrów. Wówczas aktor uśmiechał się wdzięcznie; wpadał natomiast w straszny gniew, kiedy dochodziły do jego uszu krążące o nim pogłoski, jakoby był półkrwi Żydem.

— Niech no ten łajdak się tu pokaże! — krzyczał Joachim, cały purpurowy. — Chciałbym wiedzieć, czy się odważy powtórzyć mi w oczy to bezczelne kłamstwo! Co za podłość! Tak ubliżyć Niemcowi!

Jednakże straszliwa plotka o aktorze charakterystycznym nie chciała ani rusz umilknąć. Szeptano sobie ciągle: „Z jedną z jego babek było coś nie w porządku.” Joachim ustalił przy pomocy detektywów, kim byli niegodziwi oszczercy. Kilka osób znalazło się w obozie koncentracyjnym za to, że rzuciło podejrzenie na babkę artysty.

— U nas nie wolno już rzucać oszczerstw bezkarnie — oświadczył Joachim z satysfakcją.

Odwiedził swoich najbardziej wpływowych przyjaciół i kolegów, by ich stanowczo, po męsku, zapewnić, że może gwarantować za czystość rasy swoich przodków.

— Z ręką na sercu — powiedział Joachim Hófgenowi, któremu złożył uroczystą wizytę pewnej niedzieli przed obiadem. — W mojej rodzinie wszystko jest w porządku. Wszystko tak, jak być powinno, nie mam sobie nic do wyrzucenia. — Patrzył spode łba oczami wiernego psa, jak zwykł czynić, kiedy grał role surowych ojców o złotym sercu, którzy zaczynali od straszliwej kłótni z synami, by się potem, wśród potoków łez, z nimi pojednać. — Każdego, kto waży się twierdzić, że jest inaczej, będę musiał, niestety, kazać zamknąć

— powiedział na zakończenie, miodowym tonem, znieważony Niemiec. — Żyjemy przecie w praworządnym państwie.

Hendrik Hófgen całkowicie solidaryzował się z tą opinią. Poczęstował kolegę z tak chwalebny zapałem broniącego swojej czci cygarami i znakomitym starym koniakiem. Godzina, którą dwaj aktorzy spędzili z sobą przed obiadem, upłynęła wesoło w atmosferze wzajemnego zaufania. Na pożegnanie objął Joachim kolegę Hofgena niezadarnym ruchem niedźwiedzia, który miał dźdy przeciwnika w uścisku, i poprosił, aby Hendrik przekazał panie Lindenthal serdeczne pozdrowienia.

Takich przyjaciół miał Hófgen teraz — byli to częściowo ludzie ciekawi, jak Pelz, częściowo o złotym sercu, jak Joachim. Gdzież jednak się podzieli ci, których niegdyś nazywał przyjaciółmi? Co się z nimi stało?

Barbara napisała mu z Paryża, że chciałyby się rozwieść. Formalności prawne będą w nieobecności obojga małżonków przeprowadzone szybko i łatwo. Nie potrzeba żadnych specjalnych powodów do rozwodu: sędziowie rozumieją, że człowiek na takim stanowisku jak Hófgen i z jego poglądami — wybitny artysta Pruskiego Teatru Państwowego i osobisty przyjaciel prezesa Rady Ministrów — nie może pozostawać w związkach małżeńskich z osobą, która mieszka za granicą jako emigrantka, nie ukrywa swoich przekonań wrogich dla państwa, a która zresztą, jak się niedawno okazało, nie należy do czystej rasy. Jej ojcu, tajnemu radcy, choć ciężko skompromitowanemu politycznie, nie ośmieliliby się przypisać żydowskiej krwi nawet zawodowi kłamcy prasy narodowosocjalistycznej. Jednakże to, co mu zarzucano, było, jeśli to możliwe, jeszcze gorsze i bardziej niewybaczalne; dopuścił się „pohańbienia rasy”: jego żona, córka generała, nie była czystą „aryjką”. Nie bez powodu dziadek Barbary, wyższy oficer, o którego zasługach militarnych wszyscy nagle zapomnieli, hołdował zawsze podejrzenie liberalnym przekonaniom. Również niespokojny umysł generałowej, przekraczający przyjęte i dopuszczalne w kołach wojskowych granice, znajdował teraz najprostsze, ale i niezwykle przykre wytłumaczenie. Generał nie należał do narodu niemieckiego, był człowiekiem niższego rzędu i semitą. Wilhelm II przymykał na to oko przez życzliwość, jednakże norymberska gazeta antysemita

wyciągnęła sprawę na światło dzienne. Generałowa była także półkrwi semitką: żydożerczy świstek mógł tego dowieść. Cóż znaczy jej wielka i świetna przeszłość, jej wspaniała uroda i godność? Marnemu niedomytemu pismakowi, który nigdy w życiu nie napisał jednego zdania poprawną niemiecką, wolno stwierdzić, że generałowa nie należy do społeczności niemieckiej.

Barbara miała więc z górą trzydzieści procent nie dobrej krwi w żyłach: już ta jedna okoliczność wystarczyłaby niemieckiemu sądowi jako powód do rozwodu. Jasnowłosi Nadreńczycy mogli wymagać małżonki nienaganej pod względem rasy. Ale takiej żony jak Barbara Hendrik i tak musiałyby się wyprzeć — nawet gdyby była gwarantowaną „aryjką”. Wstyd doprawdy, po prostu skandal, co ta kobieta wyprawia.

Nie opuściła Paryża od stycznia 1933, kiedy to tam przyjechała. Każdy, kto ją znał dawniej, mógł stwierdzić, że się zmieniła. Zniknęło wszelkie rozmarzenie, nie zdawała się skłonna ani do sentymentalnych, ani do wesołych żartów. Na twarzy jej ukazał się rys stanowczości: utkwiał między brwiami, panował nad całym czołem. Nawet jej chód — powłóczyła niegdyś trochę nogami — zdradzał teraz nową energię. Tak rusza się ktoś, kto ma przed sobą cel i nie spocznie, póki go nie osiągnie.

Barbara, która dotychczas zabijała czas drobnymi rysunkami i poważną Lekturą, łatwymi rozrywkami i smutnymi myślami, stała się teraz czynna. Pracowała w Komitecie opieki nad uchodźcami politycznymi z Niemiec. Poza tym zajmowała się wspólnie ze swoim przyjacielem Sebastianem i panią von Herzfeld wydawaniem czasopisma poświęconego sprawom przygotowań wojennych, tępienia kultury i bezprawia; czasopismo informowało świat o brudach i niebezpieczeństwie niemieckiego faszyzmu. Sebastian i pani von Herzfeld byli odpowiedzialni za redakcję, Barbara zajmowała się administracyjną stroną wydawnictwa. Ku jej własnemu zdziwieniu okazało się, że nie jest pozbawiona zdolności i zręczności w sprawach finansowych. Czasopismo musiało być samowystarczalne, nie otrzymywało żadnych subsydiów. Ukazywało się co tydzień w dwóch językach: niemieckim i francuskim. Miało zrazu szczupłe grono abonentów i nie było nawet drukowane, lecz powielane. W pół roku później z cienkiej

broszurki wyrosło spore czasopismo, które miało przyjaciół we wszystkich miastach europejskich poza Niemcami.

— W Sztokholmie czyta nas pięćdziesiąt osób, w Madrycie trzydzieści pięć, w Tel-Awiwie sto dziesięć — stwierdziła Barbara. — Z Holandii i Czechosłowacji jestem zadowolona. W Szwajcarii musi się poprawić. Gdybyśmy tylko mieli zręcznego przedstawiciela w Ameryce! To wszystko jeszcze o wiele za mało. Setki tysięcy powinny się dowiedzieć o tym, co mamy do powiedzenia. Jesteśmy tacy biedni — mówiła podczas „konferencji redakcyjnej”, która odbywała się u niej, w małym pokoiku hotelowym. — Nasi wrogowie wydają miliony na to, żeby ich kłamstwa docierały do ludzi, a my nie wiemy, skąd wziąć pieniądze na znaczki pocztowe.

Zacisnęła wąskie, smagłe ręce. Oczy jej stały się groźne jak zawsze, kiedy mówiła o znienawidzonych wrogach.

Zmienił się również Sebastian, którego dawniej interesowały tylko najbardziej wyrafinowane i zawiłe zagadnienia. Teraz starał się myśleć po prostu i pisać po prostu.

— Walka ma inne prawa niż trudna gra, jaką jest sztuka — mówił. — Prawo walki żąda od nas, abyśmy zrezygnowali z tysięcy niuansów i skoncentrowali się całkowicie na jednym temacie. Moje zadanie polega teraz nie na rozpoznawaniu lub kształtowaniu piękna, ale na działaniu — w miarę sił. Jest to najcięższa ofiara, którą składam.

Niekiedy ogarniało go zmęczenie — wówczas mówił:

— Brzydzę się tym. To nie ma najmniejszego sensu. Tamci są przecież o wiele od nas silniejsi, oni mają wszystkie szanse. To przykre i na dłuższą metę śmieszne grać rolę Don Kichota. Tęsknię do wyspy tak odległej, że wszystko, co nas dręczy, znajduje tam rozwiązanie i przestaje być rzeczywistością...

— Ale takiej wyspy nie ma — przerwała mu Barbara. — Nie raa jej i być nie powinno, Sebastianie! Zresztą nasi wrogowie nie są znów tak strasznie mocni. Nawet się nas trochę boją, bo każde słowo, każda prawda wypowiedziana przeciwko nim boli ich troszeczkę i odrobinę przyspiesza, chociaż odrobinę, ich upadek, który wreszcie musi nastąpić.

Tyle było w niej ufności albo tyle jej potrafiła okazać w chwilach, kiedy jej przyjaciela ogarniało zmęczenie.

— Wyobraź sobie — opowiadała mu — mamy dwóch nowych abonentów z Argentyny, to przecież wspaniale, przysłali nawet pieniądze.

Barbara trawiła pół dnia na pisaniu monitów do księgarni i central dystrybucyjnych w Sofii czy Kopenhadze, w Tokio czy w Budapeszcie w sprawie drobnych sum, z którymi zalegały.

Pomiędzy Barbarą i Heddą von Herzfeld wytworzyło się coś, czego nie można było nazwać przyjaźnią, było to jednak coś więcej niż stosunki łączące dwóch ludzi, którzy razem pracują. Barbara żywiła szacunek dla pani von Herzfeld: okazała się bowiem energiczna i dzielna. Była zupełnie samotna, miała tylko swoją pracę. Do czasopisma, redagowanego wspólnie z Sebastianem, przywiązała się jak matka do dziecka. Kiedy zeszyt ukazał się po raz pierwszy drukiem i w nieco lepszej szacie, Hedda rozplakała się niemal z radości. Objęła Barbarę ramieniem i powiedziała jej szeptem na ucho, chociaż nikogo oprócz nich nie było w pokoju, jak bardzo wdzięczna jej jest za wszystko. Barbara wpatrywała się długo w dużą, miękką, grubo pudrem przysypaną twarz pani von Herzfeld i skonstatowała, że rysy jej się zaostrzyły, a wyraz pogłębił. Ta zmiana pozwalała wnioskować, że w ciągu tego roku, który razem spędziły, Hedda stoczyła wiele walk wewnętrznych i miała wiele gwałtownych i gorzkich przeżyć. W pierwszych tygodniach pobytu na emigracji spotkała pewnego razu człowieka, który przed wielu laty był jej mężem. Może wiązała z tym spotkaniem pewne nadzieje. Okazało się jednak, że człowiek ów żyje w Moskwie z jakąś dziewczyną. Rzecz całkiem naturalna. Hedda była dość rozsądna, by to zrozumieć. A jednak wiadomość ta dotknęła ją jak coś nieoczekiwanego, zawiodły ją nadzieje, do których nawet przed sobą się nie przyznawała.

Czy myślała jeszcze czasami o Hendriku? Tylko raz, jeden jedyny raz, wspomniała przy Barbarze jego imię.

— Ciekawam, jak mu się tam powodzi? — zapytała cicho; była już późna noc, długo razem pracowały. — Czy mu dogadza ten tryb życia? Czy cieszy go nowa sława?

— O kim mówisz? — odpowiedziała Barbara pytaniem na pytanie, nie podnosząc oczu.

Pani von Herzfeld spąsowiała, usiłując uśmiechnąć się ironicznie:

— No, a o kimże? O twoim dawnym małżonku...

Barbara odrzekła sucho:

— Czy on jeszcze żyje? Zapomniałam nawet, że istnieje. Dla mnie umarł już dawno. Nie lubię widm przeszłości w ogóle, a zwłaszcza tak podejrzanych.

Odtąd nigdy już o nim nie mówiły.

Barbara odwiedzała czasem ojca, który mieszkał samotnie na południu Francji, nad Morzem Śródziemnym. Opuścił Niemcy natychmiast po pożarze Reichstagu, ku wściekłości i rozczarowaniu hordy narodowosocjalistycznych studentów, którzy zastali dom jego pusty, kiedy wpadli tam, by pokazać „czerwonemu radcy”, co „prawdziwie niemiecka młodzież” o nim myśli. „Prawdziwie niemiecka młodzież” była gotowa wychłostać starszego pana, uczonego światowej sławy, wpakować go do samochodu i odwieźć do najbliższego obozu koncentracyjnego. Banda szalała w wściekłości, kiedy zastała w willi tylko trzęsącą się ze strachu gospodynię. Chcąc jednak coś uczynić dla sprawy narodowego socjalizmu i nadać jakiś sens nocnej wyprawie, poturbowali trochę biedną kobietę i zamknęli ją w piwnicy, podczas gdy sami zabawiali się w bibliotece. „Prawdziwie niemiecka młodzież” deptała dzieła Goethego i Kanta, Woltera i Schopenhauera, Szekspira i Nietzschego. „To wszystko marksizm” — oświadczyli bezapelacyjnie młodzieńcy- w mundurach. Wrzuciwszy pisma Lenina i Freuda do ognia rozpalonego na kominku, odtańczyli dokoła taniec radości. W drodze powrotnej młodzi ludzie mogli śmiało skonstatować, że koniec końców spędzili bardzo miły wieczór w domu tajnego radcy.

— Ale gdybyśmy byli jeszcze nakryli tego starego świntucha — wykrzykiwali weseli chłopcy — toby dopiero była heca!

Tajnemu radcy udało się zabrać z sobą w kufrach najważniejsze papiery i niewielką część szczególnie umiłowanych książek. Po kilkumiesięcznym pobycie w Szwajcarii i Czechosłowacji osiadł na południu Francji. Wynajął mały domek; w ogródku było kilka palm i piękne kwitnące krzewy, miał też widok na morze.

Starszy pan bardzo rzadko oddala! się z domu i był prawie zawsze sam. Całymi godzinami spacerował po ogródku albo siedział przed domem, nie mogąc się napatrzeć do syta zmiennym barwom morza.

— To taka dla mnie pociecha — powiedział Barbarze — tak mi dobrze, że mam przed sobą tę piękną wodę. Przez te wszystkie lata, kiedy tu nie byłem, zupełnie zapomniałem, jak błękitne potrafi być Morze Śródziemne... Wszyscy Niemcy godni tego miana tęsknili za nim, czcili je jako świętą kolebkę naszej cywilizacji. A teraz ta kolebka ma być nienawidzona w naszym kraju. Niemcy chcą się przemocą wyzwolić spod jej łagodnej władzy i jej wielkich łask; myślą, że potrafią się obejść bez jej pięknej przezroczystej tafli, krzyczą, że im obrzydła. Ale w takim razie twierdzą, że obrzydła im własna cywilizacji. Czy chcą wyprzeć się wszystkich wielkich wartości, które sami podarowali światu? Tak by się zdawało... Ach, ci Niemcy! Ileż będą musieli jeszcze przecierpieć, a ileż inni przez nich wycierpią!

Rząd narodowosocjalistyczny zasekwestrował zarówno dom, jak majątek tajnego radcy; ogłosił, że profesor straci! obywatelstwo niemieckie. Bruckner dowiedział się z notatki we francuskiej gazecie, że przestał być Niemcem. W kilka dni po przeczytaniu tej wzmianki wziął się na nowo do pracy.

„Będzie to duża książka — pisa! do Barbary — nazwę ją «Niemcy». Ujmę w niej wszystko, co o nich wiem, czego się dla nieb obawiam, czego się po nich spodziewam. A wiem o nich wiele, wielu rzeczy się dla nich obawiam, ale wciąż jeszcze wiele się po nich spodziewam.”

Cierpiąc i rozmyślając pędził dni na obcym i ukochanym wybrzeżu. Mijały czasem tygodnie, a nie mówił ani siowa poza kilku francuskimi zdaniemami zamienianymi z dziewczyną, która zajmowała się jego domem. Dostawał mnóstwo listów. Ludzie, którzy byli niegdyś jego uczniami, a teraz przebywali na emigracji albo zropaczeni tkwili w Niemczech, zwracali się do niego o słowo pociechy czy też dobrej rady.

„Nazwisko pana pozostało dla nas symbolem innych, lepszych Niemiec” — odważył się napisać jakiś korespondent z prowincjonalnego miasteczka w Bawarii, co prawda zmienionym pismem i bez podania adresu nadawcy. Tego rodzaju wyznania i zapewnienia czytał radca ze wzruszeniem za-

prawionym goryczą. Myślą! przy tym: „Wszyscy ci, którzy tak czują i piszą, tolerowali, przyczynili się do tego, by kraj nasz stał się tym, czym jest dzisiaj.” Odkładał listy i otwiera! rękopis, który powoli rósł i wzbogacał się miłością i poznaniem, nienawiścią i buntem, głębokim zwątpieniem i mocną, chociaż tysiącem zastrzeżeń obwarowaną nadzieją.

Bruckner wiedział, że w małym miasteczku na południu Francji, oddalonym od miejsca jego zamieszkania najwyżej 0 pięćdziesiąt kilometrów, osiad! Teofil Marder z Nicolettą. Obaj panowie spotkali się kiedyś na spacerze i przywitali, nie umówili się wszakże na następne spotkanie i więcej się nie widzieli. Marder był równie mało usposobiony jak Bruckner do rozmowy i towarzysztwa. Satyryk wyzbył się nadmiernej, agresywnej arogancji. Oniemiał z przerażenia wobec katastrofy Niemiec. Tak jak Bruckner, przesiadywał godzinami w ogródku, w którym rosły palmy i kwitnące krzewy, wpatrzony w morze. Jednakże w oczach Mardera nie było ciszy ani zamyślenia; były niespokojne, płonęły, błędziły bezradnie i smutno po migocącej, szerokiej powierzchni morza. Jego sinawo zabarwione wargi poruszały się jak zawsze, ni to ssąc, ni to mlaskając; nie tworzyły już jednak słów, wychodziła z nich jedynie bezgłośna skarga.

Teofil, który zwykle tak wysoko nosił głowę, siedział teraz skulony. Ołowianej barwy ręce leżały na chudych kolanach z wyrazem takiego zmęczenia, jak gdyby ich nie miał już nigdy poruszyć. Tkwił bez ruchu, tylko jego oczy błędziły, a wargi wiodły swą żałośnie niemą rozmowę. Chwilami wstrząsał nim dreszcz, jak gdyby przeraził się widoku czyjejs zbyt strasznej twarzy. Prostował się wówczas z trudem i krzyczał głosem już nie chrapliwym, ale skrzeczącym, jak starzec:

— Nicoletto! Chodź! Proszę cię, przyjdź zaraz! — • żądał Teofil lamentując i grożąc zarazem.

Nicoletta przybiegała z domu.

Twarz jej miała wyraz zmęczenia i melancholijnej cierpliwości, nie licującej ze śmiało zarysowanym orlim nosem, zaciśniętymi ustami i wypukłym czołem. Policzki jej zaokrągliły się i nabrały miękkości, piękne, szeroko otwarte oczy straciły dawny wyzywający blask, który niegdyś tak fascynował i niepokoił. Nicolettą przestała być samowolną i dumną dziewczyną, robiła wrażenie kobiety, która dużo kochała

i dużo cierpiała. Poświęciła swoją młodość. Opętana uczuciem łączącym w sobie nieco chorobliwą historię z prawdziwą namiętnością i szczerym porywem serca, darowała swoją młodość człowiekowi, który leżał przed nią, zgnębiony, w fotelu.

— Co ci jest, Teofilu? — pytała; zachowała wzorową dykcję, choć tyle właściwych sobie cech straciła w ciągu tych lat. — Mogę ci w czymś pomóc, mój drogi?

On jednak jęczał tylko, jakby nie obudzony ze złego snu:

— Nicoletto, Nicoletto, moje dziecko... To straszne... To zbyt straszne... Słyszę krzyki tych, których w Niemczech torturują... Słyszę wyraźnie, wiatr je niesie przez morze... Pachołkowie katowscy grają na gramofonie podczas tej piekielnej procedury, to pospolity trik, zatykają usta ofiar poduszkami, żeby zdusić krzyki... Ale ja je słyszę... Muszę wszystko słyszeć... Bóg mnie pokarał obdarzając czulszym uchem niż wszystkich śmiertelników... Jestem sumieniem świata, słyszę wszystko! Nicoletto, dziecko moje!

Czepiał się jej kurczowo. Umęczone oczy błędziły po śródziemnomorskim krajobrazie, którego ciszę zakłócały teraz przerażające widma. Nicoletta położyła mu dłoń na gorącym i mokrym czole.

— Wiem o tym, Teofilu — mówiła z łagodną precyzją. — Słyszysz wszystko i wzrok twój wszystko przenika. Musisz złożyć światu rachunek ze swojej wiedzy; byłoby to z wielką korzyścią dla ciebie i dla świata. Powinieneś pisać, Teofilu! Musisz pisać!

Od roku błagała go, żeby zaczął pracować. Bolało ją to jego odrętwienie, nie mogła znieść tej rozpaczliwej, żalostnej bezczynności. Podziwiała go, uważała za największego człowieka spośród żyjących, nie chciała go widzieć na marginesie wypadków, ale w ich sercu: chciała, by działał, interweniował, wzywał świat do opamiętania, bił na trwogę.

On jednak odpowiadał:

— Co mam jeszcze napisać? Wszystko już powiedziałem. Z góry wiedziałem wszystko. Zdemaskowałem całe to oszustwo. Wywahałem zgniliznę. Nie masz pojęcia, moje dziecko, jak to ciężko mieć zawsze rację, tak straszliwie jasno widzieć wszystko. O moich książkach tak zapomniano, jak gdyby ich nigdy nie napisał. Zbiorowe wydanie moich dzieł spalono.

Moje przepowiednie przebrzmiały jakby bez echa — a jednak to wszystko, co się dzisiaj dzieje, ta cała nieopisana niedola, jest zaledwie skromnym posłowiem satyrycznym do mojego prozocznego dzieła. W moim dziele jest już wszystko napisane, wszystko zostało przewidziane z góry, nawet to, co jeszcze nastąpi, to najgorsze, końcowa katastrofa. Ja już to przecierpiałem, już temu nadałem formę. Cóż więc mam jeszcze napisać? Dźwigam na barkach cały ból świata. W moim sercu rozgrywają się wszystkie klęski, zarówno obecne, jak przyszłe. Ja — ja — ja...

Na tych dwóch literach, na tym „ja”, w którym jego zmacony umysł zatrząskiwiał się niby w pułapce, na tych dwóch literach umilkł. Głowa, którą przebyte cierpienia obdarzyły nowym pięknem, zdawała się teraz mieć szlachetniejszy, subtelniejszy i surowszy kształt, być precyzyjniej wyczelowaną niż kiedyś — głowa ta pochyliła się na piersi. Teofil zasnął nagle.

Nicoletta weszła z powrotem do domu. Zatrzymała się w chłodnej sieni. Powoli podniosła ramiona i zasłoniła twarz rękami. Chciałaby się rozszołchać, ale łzy nie napływały jej do oczu; za wiele ich wypłakała. Nicoletta szeptała w złożone dłonie:

— Nie mogę już. Nie mogę. Muszę stąd wyjechać. Nie wytrzymam tu dłużej.

Rozproszeni po różnych krajach, w wielu miastach mieszkali ludzie, których Hendrik nazywał kiedyś swymi przyjaciółmi. Jednym powodziło się nieźle; taki na przykład profesor nie mógł się skarżyć: szeroka, światowa sława, jaką zdołał sobie wyrobić, nie zużywa się nigdy. Mógł liczyć na to, że do końca życia będzie mieszkał w pałacach z barokowymi meblami i gobelinami albo w książęcych apartamentach pierwszorzędnym hoteli międzynarodowych. Nie chcą, by reżyserował w Berlinie, bo jest Żydem? Doskonale albo raczej — tym gorzej dla berlińczyków. Profesor poruszył majestatycznie językiem, wypychając to prawy, to lewy policzek — przez kilka dni chrząkał i mruczał zagniewany, doszedł wszakże do przekonania, że i tak, i tak w ostatnich czasach miał aż za dużo roboty. Niech więc berlińczycy sami sobie radzą ze swoim teatrem, niechaj „ten Höfgen” gra komedię dla swego fuhrera,

profesor ma w tym sezonie do wyreżyserowania jedną wielką operetkę w Paryżu, dwie komedie szekspirowskie w Rzymie i Wenecji i coś w rodzaju religijnego widowiska w Londynie. Poza tym czeka go jeszcze tournée *zjmrygą i miłością* Schillera i *Zemstą nietoperza* po całej Holandii i Półwyspie Skandynawskim, a na wiosnę musi być w Hollywood, gdyż podpisał kontrakt na wyreżyserowanie wielkiego filmu. Panna Bernhard i pan Kat2 administrują obu jego teatrami w Wiedniu, o nich może być spokojny, ci sobie poradzą.

Pan Katz wspominał ze smętkiem wesołe czasy, kiedy nabrał berlińczyków na ten swój dramat z życia mętów społecznych, *Wina*, podając się za hiszpańskiego neurologa.

— To były kawały wysokiej klasy! — mówił wypychając językiem policzki niemal równie majestatycznie jak jego szef Imistrz. — Kie pora teraz na tę całą dostojewszczyznę. — Pan Katz został definitywnie skazany na obracanie się w sferze przyziemnych interesów.

Panna Bernhard także wpadała w melancholię na myśl o Kurfurstendam, szczególnie o Hófgenie. „Jakież on ma cudowne, złe oczy! — wspominała z rozmarzeniem. — Najtrudniej mi darować narodowym socjalistom, że zdobyli mojego Hendrika, nie zasługują na coś tak pięknego.”

Mówiąc nawiasem, pozwalała teraz, by młody wiedeńczyk, wielki bon vivant wprawdzie nie tak demoniczny jak Hendrik, ale za to pełen galanterii i mniej wymagający-, mówił do mej „Rózo” i głaskał ją pod brodę.

Dora Martin rozpoczęła w Londynie L Nowym Jorku powtórny start; święciła triumfy, wobec których bladły wszystkie jej berlińskie sukcesy. Uczyła się angielskiego z zapalem ambitnej uczennicy albo awanturnika, który chce podbić obcy kraj. Mogła już teraz pozwalać sobie w obcym języku na podobne samowolne ekstrawagancje, jakimi niegdyś zdumiewała i czarowała Berlin. Przeciągała samogłoski, gruchała, zawodziła, chichotała, wydawała radosne okrzyki, śpiewała. Ruchy miała nieśmiałe niczym trzynastoletni chłopiec, a przy tym lekka była jak piórko, jak elf. Zdawała się improwizować niedbale i kapryśnie, w istocie zaś jej wielka inteligencja obliczała z góry każdy najsztubtelniejszy odcień drobnych, ale starannie obmyślanych efektów, którymi pobudzała oczarowaną publiczność do uśmiechu lub do szlochów. Sprytem

wyczuła, co podoba się Anglosasom. Była rozmyślnie o jeden ton bardziej sentymentalna, o włos bardziej kobieca i łagodna niż w Niemczech. Rzadziej sobie pozwalała na szorstki, ochryply głos, natomiast częściej wzruszała niewinnym, dziecięco bezradnym spojrzeniem szeroko otwartych oczu.

— Zmieniłam troszeczkę swój typ — stwierdzała chowając kokieteryjnie głowę w ramionach. — Tylko tyle, ile potrzeba, żeby się podobać Anglikom i Amerykanom.

Kursowała między Londynem i Nowym Jorkiem, tam i z powrotem; w obu miastach grywała tę samą sztukę setki razy z rzędu. W dzień kręciła filmy. Zdumiewała wytrzymałością i odpornością fizyczną. Jej szczupłe dziecięce ciało zdawało się niez mordowane, jak gdyby opętane demoniczną siłą. Amerykańskie i angielskie gazety chwalały ją, nazywając największą aktorką świata. Kiedy po przedstawieniu wstępowała na kwadrans do hotelu „Savoy”, orkiestra grała tusz i wszyscy obecni wstawali na jej cześć. Towarzystwo obu stolic anglosaskich składało hołd żydowskiej aktorce wygnanej z Berlina. Królowa angielska udzielała jej audiencji, książe Walii przysyłał jej bukiety róż do garderoby, młodzi amerykańscy autorzy pisywali dla niej sztuki. Dziennikarze, którzy przybywali czasem z Wiednia albo Budapesztu na wywiad z nią, zapytywali, czy nie miałaby ochoty zagrać jeszcze kiedy po niemiecku. Odpowiadała: „Nie, nie mam wcale na to ochoty. Nie jestem już niemiecką aktorką.” Zastanawiała się jednak czasem: „C o też mówią w Berlinie o moich nowych sukcesach? Czy też o nich wiedzą? Naturalnie, że tak. Ma m nadzieję, że się trochę złoszczą. Bo nikt się tam nie będzie cieszył z moich zwycięstw. Ten stutysięczny tłum, który udawał, że mnie kocha płomienną miłością, niech się chociaż przeze mnie złości, żeby całkiem o mnie nie zapomniał.”

Wyświetlano w Berlinie słynny angielski film, w którym Dora grała główną rolę. Trwało to jednak tylko parę dni, po czym wybuchła awantura. Minister propagandy nakazał „spontaniczne oburzenie”. Wysłano do kina esesmanów przebranych po cywilnemu. Z chwilą gdy twarz Dory Martin ukazała się w zbliżeniu na ekranie, banda ta, rozproszona po całej sali, zaczęła gwizdać, sykać i rzucać bomby cuchnące.

— Nie chcemy oglądać przeklętych Żydówek w niemieckim kinie — ryczeli przebrani pałkarze.

Trzeba było oświetlić salę i przerwać przedstawienie. Ciekawscy i śmiałkowie, którzy znaleźli się na tym podejrzanym seansie, opuścili kino w panicznym strachu. Jeśli ktoś z uciekających wyglądał na Żyda — a dość wielu Żydów przyszło zobaczyć Dorę Martin — zatrzymywano go i wymierzano baty. Ministerstwo propagandy poleciło szerzyć w Londynie pogłoskę, że liberalny rząd przepuścił ten film, ale publiczność berlińska nie znosi już podobnych obrazów, reakcja była natychmiastowa, gwałtowna i ostatecznie bardzo zrozumiała. Odtąd wszystkie filmy, w których występuje Dora Martin, będą zakazane. Kiedy Dora Martin dowiedziała się, że z jej powodu, a raczej z powodu jej ruchomego cienia na ekranie, maltretowano Żydów, skuliła się z obrzydzenia, jak gdyby zdjęty ją mdłości po spożyciu zatrutej potrawy.

— Łajdaki! — mruzczała, a oczy jej ciskały czarne płomienie gniewu. — Podłe, nikczemne łajdaki! — A kiedy tak wygrażała pięściami, z rozwianą dokoła twarzy rudawą grzywą, podobna była do bohaterskich postaci kobiecych swego plemienia, nawołujących do zemsty.

W wielu miastach mieszkali, w wielu krajach szukali schronienia: Oskar Kroge, na przykład, osiadł chwilowo „w Pradze. Nie był ani Żydem, ani komunistą, ale starym bojownikiem postępowej literatury; wierzył, że teatr winien być instytucją moralną, wierzył w odwieczne ideały sprawiedliwości i wolności; wbrew licznym rozczarowaniom nie chciał się wyrzec naiwnego i pełnego ufności patosu — nie było dla niego miejsca w nowych Niemczech. Postanowił wskrzesić szlachetne tradycje dobrych frankfurckich czasów i nie zwlekając począł szukać w Pradze ludzi, którzy by okazali zrozumienie dla jego entuzjazmu i dali mu do dyspozycji kilka tysięcy koron czeskich; zamierzał bowiem w jednej z piwnic na przedmieściu założyć teatr literacki. Znalazł ofiarodawców — co prawda nie nazbyt hojnych — znalazł piwnicę, paru młodych aktorów i sztukę, w której dużo się mówiło o „ludzkości” i „jutrzence lepszych czasów”. Pracował z młodymi aktorami i sztuka ujrzała deski sceniczne. Schmitz — dochował mu wiernie przyjaźni — miał się troszczyć o stronę finansową, podczas gdy Kroge, iuparty idealista, marzący o tym, co najwyższe i najpiękniejsze, wolał bujać w obłokach, pozostać w czystej sferze sztuki. Niestety, Schmitz był czasem

zmuszony ściągać go z tych wyżyn. Brakowało rzeczy najpożebniejszych; Kroge, stary mieszczański Cygan, który miewał trudności pieniężne, ale nigdy nie zaznał prawdziwej biedy, nie uwierzyłby, że można za tak śmiesznie małe sumy utrzymać nawet najskromniejszy teatr. Szło im jako tako, przynajmniej na razie, chociaż do kłopotów finansowych przyplątały się trudności natury politycznej: poselstwo niemieckie w Pradze intrygowało u miejscowych władz przeciwko przebywającemu na emigracji dyrektorowi Teatru Hamburgskiego, gdyż jego pacyfistyczne zapędy były im nie na rękę. Kroge i Schmitz bronili się wytrwale, nie ustępowali. Spadli przy tym obaj z ciała i bardzo się postarzelili. Schmitz stracił różową cerę, a na zatroskanym czole Krogego i dokoła ust rysowały się coraz głębsze bruzdy.

W wielu miastach i wielu krajach...

Julietta Martens, zwana księżniczką Tebab, córka królewska z Konga, znalazła zatrudnienie w jednym z małych kabaretów Montmartre'u: pomiędzy dwunastą a drugą w nocy wolno jej było demonstrować piękne ciało i kunsztowne stepowanie Amerykanom — coraz rzadszym w Paryżu, odkąd dolar zaczął spadać — paru żonatym Francuzom z prowincji i kilku sutenerom. Występowała prawie nago, odziana tylko w wąski biustonosz z zielonych paciorków, ciasne trójkątne majteczki z zielonego atłasu, przybrane na pośladku ogromnym pękiem zielonych piór strusich. Robiąc aluzję do upierzonej wspaniałości swego stroju Julietta twierdziła, że jest ptaszkiem. Powtarzała to kilkakrotnie: „Jestem ptaszkiem. Przyfrunęłam zza oceanu, żeby sobie tu, na Montmartrze, uwić gniazdko.” W istocie nie była wcale podobna do ptaszka, tak jak jej ponury pokój na rues des Martyrs nie był ani trochę podobny do gniazdko, ciemny, z oknem wychodzącym na ciasne, brudne podwórko, Jedyłą ozdobę nagich, poplamionych ścian stanowiła fotografia Hendrika Höfgena. Julietta podarła ją kiedyś w przystępie złości i bólu, ale potem starannie pozlepiła strzępki. Usta Henrika były trochę wykrzywione, co nadawało mu złośliwy wyraz; kreska kleju przecinała skośnie czoło, niby blizna; poza tym jednak uroda jego przywrócona została niemal bez skazy.

Pierwszego każdego miesiąca odbierała Julietta od portiera pewnego domu — nazwiska właściciela nie znała — niewielką

sumę pieniędzy, które jej nadsyła! Hófgem. Gaża w kabarecie i zasiłek z Berlina wynosiły tyle, że Julietta mogła z tego żyć, nie szukając zarobków na ulicy. Widywała mało ludzi, nie miała kochanka. O swoich przygodach berlińskich nie opowiadała nikomu, częściowo z obawy, że mogłaby stracić życie, a w każdym razie skromną zapomogę miesięczną, częściowo, by nie narazić Hendrika na nieprzyjemności. Serce jej bowiem o nim nie zapomniało.

Julietta nic nie zapomniała i niczego nie przebaczyła. Co najmniej raz na dzień wspominała z nienawiścią i grozą mroczną celę i przebyte tam cierpienia. Nosiła się z myślą zemsty, ale miała to być zemsta słodka i w wielkim stylu, nigdy zaś nędzna i małostkowa. Księżniczka Tebab spędzała długie godziny długich dni wyciągnięta na brudnym łóżku i marzyła. Wróci do Afryki, zgromadzi dokoła siebie wszystkich czarnych, będzie królową i wojowniczą władczynią Murzynów. Wtedy podburzy swój lud do powstania, powiedzie go na wielką wojnę z Europą.

Łąd zamieszkały przez białych ludzi chyli się do upadku: Julietta była tego całkowicie pewna, odkąd odwiedzili ją funkcjonariusze berlińskiego gestapo. Łąd zamieszkały przez białych musi zginąć; księżniczka Tebab postanowiła na czele swoich ciemnoskórych braci przejść w zwyczajnym pochodzie przez stolice Europy. Nie mająca równej w historii krwawa rzeź zmyje hańbę, jaką okrył się łąd zamieszkały przez białych. Zuchwali panowie staną się niewolnikami. Rozmarzona córka królewska widziała u swoich stóp Hendrika, niewolnika i kochanka. Ach, jakże go będzie dręczyła! Ach, jakże go będzie rozpieszczała! Pozbawione włosów czoło uwieńczy kwiatami, ale będzie musiał swój wieniec obnosić na klęczkach. Upokorzony i strojny ten nizeczemny, ten ukochany będzie kroczy w jej orszaku — on, jej najcenniejszy łup.

Tak marzyła czarna Wenus, a jej silne, szorstkie palce bawiły się czerwoną skórzaną szpicrutą.

Pewnego razu, w czasie wieczornego spaceru, w strumieniu ludzkim dążącym od kościoła Madeleine do Place de la Concorde, zobaczyła Julietta przechodzącą Barbarę. Zona Hendrika, która tak długo była obiektem zazdrości bądź też współczujących rozważań Julietty, szła teraz szybko, pogrożona w myślach. Julietta dotknęła leciutko czubkami palców jej

rękawa i powiedziała swym głębokim, szorstkim głosem: „*Bonsoir, madame*”, przy czym pochyliła trochę głowę. Kiedy zaczepiona podniosła zdziwiony wzrok, Murzynki już przy niej nie było. Barbara zobaczyła tylko jej szerokie plecy, ale i te przesłoniły wkrótce inne plecy, inne ciała.

W wielu miastach i wielu krajach... Jedni osiedli w Danii, drudzy w Holandii, inni znów w Londynie, w Barcelonie albo we Florencji. Jeszcze innych losy zagnały do Argentyny bądź do Chin.

Nicoletta von Niebuhr, a raczej Nicoletta Marder, znalazła się któregoś dnia w Berlinie. Z czerwonymi, choć już odrapanymi i podniszczonymi pudłami na kapełusze zjawiła się w mieszkaniu Hendrika Hófena przy Reichskanzlerplatz.

— Oto jestem — powiedziała starając się nadać oczom jak najbardziej wyzywający blask. — Nie mogłam już wytrzymać tam, na Południu. Teofd to cudowny człowiek, to geniusz, kocham go więcej niż kiedykolwiek. Ale wyłączył się poza nawias czasu i wymagań rzeczywistości. Stał się marzycielem, Parsifalem — nie mogę znieść tego. Czy rozumiesz, Hendriku, że nie mogę tego znieść?

Hendrik zrozumiał. Był zdecydowanym przeciwnikiem marzycieli i zachował tak konieczny kontakt z czasem i jego wymogami.

— Ta cała emigracja to dobre dla niedołęgów — oświadczył surowo. — Tym ludziom, co siedzą w miejscowościach kąpieliskowych na południu Francji, wydaje się, że są męczennikami, tymczasem są tylko dezerterami. My tu stoimy na froncie, tamci dekują się na tyłach.

— Chcę koniecznie wrócić na scenę — powiedziała Nicoletta.

Hendrik sądził, że to się da zrobić bez wielkich trudności.

— W Teatrze Państwowym mogę przeprowadzić mniej więcej wszystko, co mi się podoba. Cezar von Muck — no tak, on jest jeszcze intendentem. Ale premier go nie lubi, a minister propagandy osłania go już tylko ze względów prestiżowych. Wszyscy uważają, że Cezar jest marnym kierownikiem teatru. Repertuar daje nudny, najchętniej wystawiałyby tylko własne sztuki. Na aktorach się nie zna. Jedno, co potrafi, to robić olbrzymie deficyty.

Nicoletta, powróciwszy z emigracji do kraju, mogła liczyć, że otrzyma engagement do Teatru Państwowego. Najpierw jednak chciał Hendrik wystąpić z nią w Hamburgu — i to w tej sztuce, z którą robili swego czasu tournée po miejscowościach kąpielowych nad Bałtykiem, bezpośrednio przed ślubem Höfgena z Barbarą Bruckner. Teatr Artystyczny w Hamburgu był dumny, że może gościć u siebie dawnego członka swego zespołu, który tymczasem zdobył sławę i cieszył się przyjaźnią władzy. Obecny kierownik teatru, następca Krogego, pewien pan nazwiskiem Baidur von Totenbach, oczekiwał na dworcu Höfgena i jego towarzyszkę. Pan von Totenbach był oficerem armii czynnej, miał twarz pociętą bliznami i stalowobłękitne oczy, takie jak pan von Muck i tak samo jak on mówił saksońskim akcentem. Wykrzyknął:

— Witajcie, kolego Höfgen! — jak gdyby Hendrik miał za sobą chwalebna przeszłość oficera, nie zaś mocno podejrzana przeszłość bolszewika w sprawach kultury.

— Witajcie! — zawołało jeszcze kilka osób, które razem z panem von Totenbach pospieszyły na kolej powitać kolegę Höfgena. Była między nimi Hilda Motz, uściskała Hendrika ze łzami szczerego wzruszenia.

— Heż to czasu upłynęło! — wykrzykiwała dzielna kobieta połykując złotem, którego miała pełne usta. — I jak wiele wszyscy przeżyliśmy!

Nicoletta i Hendrik dowiedzieli się zaraz, że Hilda ma dziecko, dziewczynkę, spóźniony i nieco już zadziwiający owoc długoletniego stosunku z Petersenem, specjalistą od ról szlacheckich ojców.

— Typowo niemiecka dziewczuszka — powiedziała Hilda. — Nazwaliśmy ją Walpurga.

Petersen nie zmienił się ani trochę. Twarz jego zdawała się naga jak zawsze, bo mu brakowało brody wilka morskiego. Jego wesoły, pełen fantazji sposób bycia zdradzał, że się bynajmniej nie odzwyczaił od trwonienia ciężko zarobionych pieniędzy i latania za młodymi dziewczętami. Prawdopodobnie Hilda Motz kochała go w dalszym ciągu więcej niż on ją.

Piękny Bonetti pojawił się w czarnym mundurze esesmana, wyglądał olśniewająco. Dał do zrozumienia, że dostaje teraz jeszcze więcej listów miłosnych od publiczności niż dawniej. Rachelę Mohrenwitz nie należała już do zespołu.

— Ma przecież żydowską krew — syknęła Hilda zasłaniając usta dłonią, po czym zaczął nią wstrząsać obłeśny śmiech, jak gdyby powiedziała coś nieprzyzwoitego.

Rolf Bonetti skrzywił się z obrzydzeniem — może dlatego, że sobie przypominał, jak niegdyś „pohańbił rasę” z tą Rachelą. Demoniczne dziewczę — jak poinformowano Hendrika — usiłowało popełnić samobójstwo, kiedy prawda o nieczystości jej krwi stała się powszechnie wiadoma, w końcu jednak wyszła za mąż za fabrykanta obuwia, Czecha.

— Pod względem materialnym powodzi jej się na pewno bardzo dobrze, tam, za granicą... — powiedziała pani Motz z akcentem głębokiej pogardy, wskazując kciukiem w tył, przez ramię, ową „zagranicę” leżącą w jakimś nieprzyzwoitym oddaleniu.

Nowi członkowie zespołu — jasnowłose, trochę z gruba ciosane dziewczęta i chłopcy, dziarsko łączący nieco prostacką wesołość z surową dyscypliną wojskową — kazali się przedstawić wielkiemu Höfgenowi, starając się na wszelkie możliwe sposoby okazać mu swoje oddanie. Był dla nich księciem z bajki, pięknym, zaczarowanym królewiczem wzbudzającym zazdrość, przyjmującym podziw niby należny muharacz. Tak, zstąpił na krótką chwilę ze swoich szczytów, powrócił do przyziemnych stref, z których wyszedł. Zresztą okazał się bardzo ludzki, posunął się nawet tak daleko, że objął Hildę Motz za szyję.

— Ach, tyś się nic a nic nie zmienił! — mówiła rozmarzona ściskając jego rękę.

Petersen odezwał się z kąta: — Hendrik był zawsze dobrym kolegą — na co pan von Totenbach odrzekł dość surowo, zamykając dyskusję:

— W nowych Niemczech wszyscy są kolegami, bez względu na to, jakie stanowisko zajmują.

Hendrik chciał także przywitać się z panem Knurrem, portierem teatralnym, który od tak dawna nosił swastykę, starannie ukrytą wówczas, gdy Höfgen — bolszewik — niechętnie i z nieczystym sumieniem przemykał się przed portiernią. Czy stary członek partii nie zadrzy z radości, mogąc teraz uścisnąć dlori przyjaciela i faworyta pana prezesa Rady Ministrów? Ku zdziwieniu Höfgena pan Knurr przyjął go dość chłodno. W portierni nie było portretu führera, chociaż

miałby teraz prawo tam wisieć, bytoby to nawet pożądane. Kiedy Hendrik zapytał pana Knurra o zdrowie, ten burknął coś przez zęby, co zabrzmiało dość nieuprzejmie, a spojrzenie skierowane na Höfgena było pełne jadu. Nie ulegało wątpliwości: pan Knurr zawiódł się głęboko na swoim führerze i zbawcy, jak również zraził do całego wspaniałego ruchu narodowosocjalistycznego. Wszystkie jego nadzieje, tak jak wielu innych, podobnych mu ludzi — zostały gorzko zawiedzione. Höfgen zatem, przyjaciel generała lotnictwa, z przykrością przechodził nadal przed portiernią: stosunki jego z panem Knurrem nie poprawiły się ani trochę.

Hendrik odetchnął z ulgą, kiedy się przekonał, że w teatrze nie ma już ani jednego spośród maszynistów, komunistów, których niegdyś chętnie witał zaciśniętą pięścią i pozdrowieniem „Rotfront”. Nie miał odwagi zapytać, gdzie są obecnie. Może zabici, może uwięzieni, może na emigracji...

Wieczorem teatr był wyprzedany: hamburczycy radowali się widokiem swego ulubieńca, który zrobił w Berlinie tak fenomenalną karierę, najpierw przy profesorze, a teraz przy grubym prezesie Rady Ministrów. Nicoletta natomiast rozczarowała. Uważano, że jest sztywna, nienaturalna i nawet trochę niesamowita. Istotnie, odwykła od sceny. Ruchy miała sztywne, a głos dziwnie jej się zmienił: brzmiała w nim jakby głucha skarga. Zdawało się, że coś w niej zamarło i zarazem się złamało. W dodatku publiczność raził jej duży nos.

— Czy ona nie ma czasem trochę krwi żydowskiej? — szeptało w krzesłach parteru.

— Ależ nie — odpowiadały inne głosy. — Gdyby tak było, Höfgen nie pokazywałby się z nią publicznie.

Nazajutrz rano strzeliła Hendrikowi dziwna myśl do głowy: postanowił złożyć wizytę pani konsulowej Mönkeberg. Niech i ona zobaczy go w całym blasku, właśnie ona, która przez tyle lat upokarzała go swymi patrycjuszowskimi manierami. Barbarę, córkę tajnego radcy, zaprosiła od razu na herbatę. Dla niego zaś miała tylko subtelny, ironiczny uśmiech. Pojedzie teraz do starszej pani swoim mercedesem.

Ku wielkiemu rozczarowaniu dowiedział się od nowego właściciela willi, że pani konsulowa Mönkeberg umarła. To było do niej podobne! Ratowała się ucieczką przed spot-

kaniem, które mogło być dla niej niemiłe. Ci wielcy mieszczaństwo w wytwornym dawnym stylu, ci patrycjusze bez pieniędzy, ale ze szlachetną przeszłością, o delikatnych, uduchowionych twarzach — czy pozostaną zawsze nieprzystępni, czy nigdy nie będzie można ich osiągnąć? Czyż drobny mieszczaństwo, który stał się Mefistofeilesem, który zawarł pakt z krwawą potęgą, nigdy nie zazna rozkoszy tryumfu nad nimi?

Hendrik był zły. Nie udało mu się posunięcie, po którym obiecywał sobie wiele uciechy. Poza tym był dość zadowolony ze swego pobytu w Hamburgu. Pan von Totenbach powiedział mu na pożegnanie:

— Pan i cały zespół jesteście dumni, żeśmy pana gościli u siebie, kolego Höfgen!

Hilda Motz podała mu małą Walpurgę, prosząc na wszystko, by pobłogosławił to rozkrzyczane stworzenie.

— Pobłogosław ją, Hendriku — żądała Hilda. — Wtedy będą z niej ludzie. Pobłogosław moją Walpurgę!

Petersen również popierał jej prośbę.

Kiedy Hendrik wrócił z wycieczki, oznajmiła mu Lotta Lindenthal, że o jego osobie toczą się w najwyższych kolach gwałtowne dysputy. Prezes Rady Ministrów — „mój przyszły”, mówiła już o nim Lotta — był niezadowolony z Cezara von Mucka; wszyscy o tym wiedzieli. Ale nie orientowano się jeszcze, kogo generał lotnictwa upatrzył na następcę intendentą Pruskiego Teatru Państwowego: był to Hendrik Höfgen. Przeciwwstawiał się temu minister propagandy, a z nim również wszyscy wysocy dostojnicy partii o „radikalnych przekonaniach”, „stuprocentowi narodowi socjaliści”, nieubłaganie wrodzy wszelkim kompromisom, zwłaszcza w dziedzinie kultury.

— To nie uchodzi, aby tak wybitne, reprezentacyjne stanowisko powierzyć człowiekowi, który nie należy do partii, a na polu kultury ma za sobą najgorszą bolszewicką przeszłość — oświadczył minister propagandy.

— Dla mnie jest rzeczą obojętną, czy artysta należy do partii, czy nie. Najważniejsze, żeby coś umiał — odparł prezes Rady Ministrów, który przy całej swojej potędze i wspaniałości nieraz pozwalał sobie na liberalne kaprysy. — Pod kierunkiem Höfgena Pruski Teatr Państwowy będzie robił kasę.

Intendentura pana von Mucka jest zbyt kosztowna dla naszych podatników.

Jeżeli chodziło o karierę swoich protegowanych i ulubieńców, przypominał sobie pan generał nawet podatników, co w ogóle rzadko się zdarzało.

Minister propagandy wtrącił, że Cezar von Muck jest przyjacielem führera, wypróbowanym współbojownikiem, nie można go tak po prostu wyrzucić za drzwi. Generał lotnictwa zaproponował z humorem, żeby mianować autora dramatu *Tannenberg* prezesem Akademii Literatury — „nie będzie tam nikomu przeszkadzał” — a następnie wyprawić w jakąś piękną podróż.

Minister propagandy zażądał przez telefon od führera, który zażywał wyczasów w Górach Bawarskich, by nie dopuścić do oddania najwyższego stanowiska w teatrach państwowych Höfgenowi: nie można mu wprawdzie odmówić talentu i rutyny, ale to komediant, nie posiadający moralnych, ideowych kwalifikacji po temu. Pan prezes Rady Ministrów wszakże wyprawił już przed dwoma dniami kuriera do Alp Bawarskich. Führer, który chętnie unikał rozstrzygnięć, kazał odpowiedzieć ministrowi, że ta kwestia go nie interesuje, ma znacznie poważniejsze i donioślejsze sprawy na głowie. Pano- wie koledzy zechcą łaskawie załatwić to pomiędzy sobą.

Bogowie kłócili się. Sprawa ta stała się zagadnieniem prestiżowym pomiędzy ministrem propagandy i prezesem Rady Ministrów, pomiędzy kuternogą i grubasem. Hendrik zajął pozycję wyczekującą, nie wiedział sam, jakiego wyniku tej sprzeczki bogów sobie życzyć. Z jednej strony perspektywa objęcia stanowiska intendenta lechtała silnie jego próżność i chęć działania, z drugiej strony jednak ogarniały go wątpliwości. Jeżeli obejmie wysokie stanowisko oficjalne w tym państwie, wówczas osoba jego będzie raz na zawsze utożsamiana z reżimem: wiązał własny los z losami splamionych krwią awanturników — na dołą i niedołą. Czy chciał tego? Czy to było jego zamiarem? Czy nie słyszą! głosów w swoim sercu, które przed tym krokiem ostrzegały? Głosy nieczystego sumienia, a wraz z nimi głos strachu?...

Bogowie walczyli, decyzja zapadła: grubas zwyciężył. Wezwał Höfgena do siebie i zaproponował, całkiem oficjalnie, stanowisko intendenta Teatru Państwowego. Że zaś aktor

zdawał się bardziej zmieszany niż zachwycony i okazywał raczej zdumienie niż entuzjazm, prezes Rady Ministrów wpadł w gniew.

— Użyłem dla pana wszystkich moich wpływów! Człowieku, niechże pan teraz nie robi ceregieli! Zresztą fuhrer życzy sobie, żeby pan został intendentem — kłamał generał.

Hendrik wahał się jeszcze, częściowo z uwagi na głosy wewnętrzne, które nie chciały w nim zamilknąć, częściowo dlatego, że sprawiało mu rozkosz kazać się prosić temu splamionemu krwią potentatowi. „Jestem im potrzebny! — radowało się w nim wszystko. — Byłem już prawie emigrantem, a teraz wszechpotężny błaga, bym mu ratował teatry przed bankructwem!”

Poprosił o dwadzieścia cztery godziny do namysłu. Grubas pożegnał go mrucząc gniewnie.

Nocą naradzał się Hendrik z Nicolettą:

— Nie wiem — skarżyj się wysyłając spod półprzymkniętych powiek kokieteryjne, lśniące spojrzenie w przestrzeń. — Powiniennem — czy nie powiniennem?... To wszystko jest takie strasznie trudne... — Przechylił głowę w tył i wznosił szlachetną, przemęczoną twarz ku górze.

— Ależ naturalnie, że powinieneś! — mówiła Nicolettą wysokim, ostrym i słodkim głosem. — Wiesz przecie sam najlepiej, że powinieneś, że musisz. To jest twoje zwycięstwo, najmiłszy — gruchała, przy czym nie tylko usta jej, ale całe ciało wiło się jak wąż. — To tryumf! Zawsze wiedziałam, że taka chwila nadejdzie.

Zapytał ją, nie Odrywając zimnych, lśniących oczu od sufitu:

— Pomożesz mi, Nicoletto?

Usiadła przy nim, skulona, pomiędzy poduszkami łoża. Patrząc na niego promiennie pięknymi, szeroko otwartymi kocimi oczami, odpowiedziała czelując każdą sylabę:

— Będę z ciebie dumna, Hendriku.

Nazajutrz była jasna, piękna pogoda; Hendrik postanowił pójść pieszo do pałacu premiera. Niezwykły ewenement, jakim był tak daleki spacer, miał podkreślić uroczysty, świąteczny charakter tego dnia. Bo czyż dzień, w którym Hendrik oddawał całkowicie do dyspozycji splamionej krwią potęgi

swój talent, swoje nazwisko i swoją osobę, nie był dniem świątecznym, uroczystym?

Nicoletta towarzyszyła przyjacielowi. Był to bardzo miły spacer. Nastrój obojga był zarazem podniosły i wesoły; niestety, zaćmiło go trochę spotkanie, które czekało Hendrika i Nicolettę po drodze.

W pobliżu Tiergartenu przechadzała się starsza dama, imponująca wyniosłą postawą i piękną, białą, dumną twarzą. Miała na sobie perłowy kostium nieco staroświeckiego, lecz wytwornego kroju i trójkątny kapelusz z czarnego, błyszczącego jedwabiu. Spod kapelusza, na skroniach, wyglądały białe, okrągłe, ciasno zwinięte loki. Głowa starszej damy przypominała głowę arystokratki z osiemnastego wieku. Starsza dama szła bardzo wolno, drobnym, ale pewnym krokiem. Jej kruchą, delikatną, a jednak wysiłkiem woli wyprostowaną postać zdawała się otaczać aureola zaginionych epok; wówczas ludzie wymagali od siebie nawzajem piękniejszej i surowszej postawy aniżeli w naszych nerwowych, lecz nieco jałowych i kiepskich czasach, niebezpiecznie dążących do kompletnej Utraty godności.

— To generałowa — powiedziała Nicoletta, z szacunkiem zniżając głos. Zaczerwieniła się trochę. Hendrik także zaczerwienił się zdejmując lekki szary kapelusz i składając niski ukłon.

Generałowa podniosła do oczu lornion wiszący na długim łańcuszku z półszlachetnych błękitnych kamieni. Przez szkła, nie krępując się ani trochę, zlustrowała szczegółowo młodą parę, oddaloną od niej zaledwie o kilka kroków. Twarz pięknej staruszki pozostała niewzruszona. Nie odpowiedziała na ukłon aktora Hófgena i jego towarzyszki. Czy wiedziała, dokąd idą, jaki kontrakt podpisze za godzinę Hendrik, który był kiedyś mężem Barbary? Może się tego domyślała albo domyślała się czegoś w tym rodzaju. Zdawała sobie dobrze sprawę, co ma sądzić o Hendriku i Nicoletcie. Była konsekwentna i postanowiła nie mieć z tą parą nic wspólnego.

Lornion generałowej osunął się podzwaniając lekko. Starsza dama odwróciła się plecami do Hendrika i Nicoletty. Oddaliła się od nich drobnymi, z pewnym trudem stawianymi kroczkami, którym energia i dumna wewnętrzna postawa staruszki nadawała równowagę, a nawet pewien wigor.

x

GROŹBA

Intendent był łysy. Ostatnie, miękkie jak pela pasma włosów, które mu natura pozostawiła, kazał sobie zgolić. Nie wstydził się szlachetnie sklepionej czaszki. Z dumą i pewnością siebie nosił mefistofejesowską głowę; zapatrzył się w nią pan prezes Rady Ministrów. W bladej, nieco nalanej twarzy chłodne oczy podobne do klejnotów lśniły uwodzicielsko, jak zawsze. Nerwowo pulsujące skronie budziły szacunek i współczucie. Policzki zaczynały już trochę wiotczeć, natomiast podbródek w wyraźnym dołkiem pośrodku zachował całe swoje arystokratyczne piękno; kiedy intendent, jak to było w jego zwyczaju, wysoko podnosił głowę, wyglądał zarazem imponująco i uroczo; natomiast jeżeli ją schylał, tworzyły się fałdy na szyi i okazywało się, że ma właściwie podwójny podbródek.

Intendent był piękny. Jedynie osoby patrzące tak przenikliwie jak stara generałowa przez lornion, mogły zawyrokować, że jego uroda nie jest całkiem prawdziwa, niecałkowicie wrodzona i jest raczej wynikiem silnej woli niż naturalnym darem przyrody.

— Z twarzą swoją wyprawia to samo co z rękami — twierdzili ci złośliwi, przesadnie surowi krytycy. — Ręce ma szerokie i brzydkie, ale umie je tak zaprezentować, jak gdyby były strzeliste i gotyckie.

Intendent nosił się bardzo godnie. Monokl zastąpił rogowymi okularami w szerokiej oprawie. Trzymał się prosto, postawę miał zwartą w sobie, niemal sztywną. Uroku jego indywidualności nie kalał nadmiar tłuszczu, który zaczynał już

osadzać się na mięśniach. Mówił przeważnie głosem cichym, matowym, a jednak śpiewnym, łączącym w sobie dyskretne tony na przemian rozkazujące, kokieteryjnie żałosne i zmysłowo uwodzicielskie; jedynie w chwilach szczególnie uroczystych głos ten zdumiewał metaliczną barwą brzmienia.

Intendent potrafił również być pogodny. W repertuarze środków, którymi rozporządzał i uwodził, poważne miejsce zajmowała właściwa Nadrericyzkom wesołość, zaprawiona nieco zuchwałym, swoistym wdziękiem. Jak ten intendent potrafił żartować, kiedy chciał sobie zjednać zirytowanych maszynistów, opornych aktorów albo tak nieprzystępnych reprezentantów władzy! Wnosił promienie słońca na sale zebrań; wrodzoną i przez długie lata rutyny doprowadzoną do perfekcji krotocwliwość rozjaśniał ponure próby teatralne.

Intendent był lubiany. Cieszył się sympatią wszystkich niemal, którzy go znali; chwalono go, że jest ludzki, uważano go za porządnego chłopca. Nawet opozycja polityczna, która mogła wypowiadać swoje zdanie wyłącznie na tajnych spotkaniach, przy starannie zamkniętych drzwiach, zdawała się do niego usposobiona dość życzliwie. „To prawdziwe szczęście — mniemali przeciwnicy reżimu — że tak ważne stanowisko zostało powierzone Hófgeniowi, który, jak wiadomo, nie jest narodoWym socjalistą.” W tych zakonspirowanych, kołach twierdzono, że dyrektor Teatru Państwowego na wiele sobie wobec ministrów pozwala i wiele od nich potrafi uzyskać. Wprowadził Ottona Ulrichsa na pruską scenę — posunięcie równie ryzykowne jak chwalebne. Ostatnio zaangażował osobistego sekretarza Żyda czy też półkrwi Żyda. Młodzieniec ów nazywał się Johannes Lehmann, miał łagodne, złotobrazowe oczy, trochę jakby skapane w oliwie, i był oddany intendentowi jak wierny pies. Lehmann przyjął wiarę protestancką i był bardzo pobożny. Oprócz germanistyki i historii teatru studiował także teologię. Polityką nie interesował się wcale. „Hendrik Hófgen to wielki człowiek” — zwykł powtarzać i krzewił gorliwie to przekonanie w kołach żydowskich, z którymi miał kontakt dzięki stosunkom rodzinnym, i w kołach religijnych — opozycyjnych, z którymi łączyła go jego pobożność.

Hendrik pokrywał pobory wiernego Johannesesa z własnej kieszeni; chętnie ponosił pewne koszty, by mieć na usługi człowieka z rasy pariasów i w ten sposób imponować przeciw-

nikom reżimu. Koszty osobistego sekretarza „aryjczyka” byłby pokrył Teatr Państwowy, lecz intendent nie mógł żądać, aby kasa instytucji użyteczności publicznej wypłacała pobory „niearyjcykowi”. Prezes Rady Ministrów byłby może wybaczył mu nawet ten kaprys, Hendrikowi jednak zależało na tym, by ponieść ofiarę finansową. Dwieście marek miesięcznie, które wydawał, a które w jego budżecie grały minimalną, znikomą rolę, sownie mu się opłacały. One to bowiem nadawały dobremu uczynkowi szczególną wagę i znacznie zwiększały jego efekt. Johannes Lehmann stanowił poważną pozycję po stronie aktywów w bilansie owej „reasekuracji”, na którą mógł sobie Hendrik bez wielkiego ryzyka pozwolić. Była mu ona potrzebna, bez niej z trudem zniosłby swoją sytuację; nieczyste sumienie zakłócałoby mu szczęście, a to sumienie nie chciało, o dziwo, całkowicie zamilknąć, ono to sprawiało, że lęk przed przyszłością prześladował wielkiego człowieka nawet w śnie.

W teatrze natomiast, gdzie występował jako wysoki urzędnik państwowy, nie wydawało mu się wskazane zbytnio się narażać: minister propagandy i jego prasa patrzyli mu na ręce. Intendent był rad, jeżeli udało mu się uniknąć ostatecznego błamazu artystycznego, nie dopuścić do wystawienia całkowicie dyletanckich sztuk albo do zaangażowania absolutnie pozbawionych talentu aktorów — których jedyną zaletą były blond włosy.

Oczywiście teatr został całkowicie „odżydzony” — poczynając od maszynistów, inspicjentów i portierów aż do gwiazd scenicznych. Rzecz jasna, że przyjęcie jakiejś sztuki nie wchodziło w rachubę, jeżeli genealogia autora nie była aż do czwartego i piątego pokolenia bez zarzutu. Sztuk, w których można by się dopatrzeć tendencji sprzecznej z poglądami reżimu, w ogóle nie brano pod uwagę. W tych warunkach zestawienie repertuaru nastroczało duże trudności; nie można było bowiem polegać nawet na klasykach. W Hamburgu doszło do demonstracji i niemal buntowniczego aplauzu podczas przedstawienia *Don Carlota*, w chwili gdy markiz Poza żąda od króla Filipa „wolności myśli”. W Monachium przedstawienie *Zbójców* w nowej inscenizacji odbywało się dopóty przy wyprzedanej do ostatniego miejsca sali, aż rząd zabronił dalszego wystawiania sztuki. Młodzieńcze dzieło

Schillera podziątało niczym aktualny dramat rewolucyjny i porwało ludzi. Toteż intendent Hófggen nie odważył się na wystawienie *Don Carlota* ani *Zbójców*, choć byłby bardzo chętnie zagrał zarówno markiza Pozę, jak Franciszka Moora. Prawie wszystkie sztuki współczesne, które aż do stycznia 1933 roku należały do repertuaru każdej ambitnej sceny niemieckiej — wczesne, wciąż jeszcze potężne dzieła Gerharta Hauptmanna, dramaty Wedekinda, Strindberga, Georga Kaisera, Sternheima — zostały, z uwagi na ich rozkładowego, bolszewickiego ducha, z oburzeniem odrzucone; intendent Hófggen nie mógł sobie więc pozwolić na wystawienie którejkolwiek z tych sztuk. Młodszy, utalentowani dramaturgowie byli prawie bez wyjątku na emigracji albo żyli w Niemczech jak na wygnaniu. Cóż więc miał grać intendent Hófggen w swoim pięknym teatrze? Pisarze naródowosocjalistyczni, dzielne chłopaki w czarnych albo brunatnych mundurach, pisali rzeczy, od których każdy, kto miał jakieś pojęcie o teatrze, odwracał się ze zgrozą. Intendent Hófggen dawał zamówienia tym spośród działaczy narodowosocjalistycznych, w których wyczuwał choćby iskrę talentu; pięciu z nich kazał wypłacić po parę tysięcy marek zaliczki, zanim jeszcze przystąpili do pracy, chcąc wreszcie doczekać się jakiejś sztuki. Rezultaty okazały się opłakane. Dostarczono mu tragedie patriotyczne przypominające wypracowanie gimnazysty-histeryka.

— To doprawdy nie bagatela prowadzić w dzisiejszych Niemczech teatr na jakim takim poziomie — wypowiedział się Hendrik w poufnym kółku i oparł na rękach bladą, przemęczoną twarz, na której malował się wyraz lekkiego obrzydzenia.

Sytuacja była bardzo ciężka, ale intendent Hófggen dawał sobie radę. Z braku nowych fars wznawiał stare krotkowile i święcił wielkie sukcesy; teatr bywa! wyprzedany przez całe miesiące, choć wystawiano tracącą muszką francuską komedię, która bawiła niegdyś naszych dziadów. Sam grał główną rolę, ukazywał się publiczności w przedziwnie haftowanym kostiumie rokoko; jego wspaniale uszmińkowana twarz z czarną muszką na brodzie miała w sobie tyle pikanterii, że wszystkie kobiety w krzesłach parterowych chichotały z zachwytem, jakby je kto połechtał; ruchy jego były tak uskrzydłone, konwersację prowadził z taką werwą, że ów nieco rubasz-

ny, staroświecki żart sceniczny działał jak olśniewająca aktualnym dowcipem sztuka współczesna. Ponieważ Schiller ze swymi wiecznymi peanami na cześć wolności był nieco podejrzany, intendent zatem dawał pierwszeństwo Szekspirowi, którego prasa miarodajna proklamowała jako wielkiego Germanina, jako geniusza ludowego par excellence. Lotta Lindenthal, faworyta półboga, reprezentacyjna aktorka nowych Niemiec, mogła się odważyć na wystąpienie w roli Minny von Barnhelm, a więc w komedii, której autor był równie niemiły widziany z powodu swojej życzliwości dla Żydów, jak i za swoje zupełnie dziś nie na czasie, przesadne umiłowanie rozsądku. Ponieważ Lotta Lindenthal sypiała z generałem lotnictwa, przebaczone Gottholdowi Efraimowi Lessingowi *Natana mędrca*. *Minna von Barnhelm* okazała się także sztuką kasową. Dochody teatru, tak nędzne za dyrekcji Cezara von Mucka, rosły w oczach dzięki zręczności nowego intendenta.

Cezar von Muck, który na specjalne żądanie führera udał się z cyklem odczytów propagandowych na tournée po Europie, miałby powody do irytacji, gdyby był świadkiem tryumfów swego następcy. Irytował się istotnie, nie pokazywał tego jednak po sobie, przeciwnie, wysyłał karty z widokami Palermo albo Kopenhagi do swego „przyjaciela Hendrika”. Powtarzał w nich niezmordowanie, jak to pięknie i rozkosznie bujać na swobodzie poprzez obce kraje.

„My, literaci, jesteśmy przecież włóczęgami” — pisał w hotelu „Grand” w Sztokholmie. Wyposażono go bogato w dewizy. W swych po części lirycznych, po części bojowo nastrojonych felietonach, które nakazano publikować we wszystkich pismach, rozwodził się nad luksusowymi restauracjami, łóżkami zarezerwowanymi w teatrach i przyjęciami w ambasadach. Twórca dramatu *Tannenberg* odkrył w sobie wielkoświatowe gusta. Z drugiej strony traktował swoją wycieczkę rozrywkową jako szczytną misję moralną. Ów agent propagujący za granicą niemiecką dyktaturę, zarazem światowiec i literat — nazywał chętnie swoją podejrzaną działalność „duszpasterstwem”, podkreślając, że nie chce łapówkami werbować Trzeciej Rzeszy zwolenników, jak to czynił jego szef kuternoga, lecz tkliwymi piosenkami miłosnymi. Wszędzie miewał przygody równie pełne wdzięku jak znamienne.

W Oslo, na przykład, zadzwoniono do niego z najodleglejszej kabiny telefonicznej w Europie. Zatraskany głos z kręgu polarnego zapytał go: „Jak tam w Niemczech?” Z głębokim namysłem usiłował duszpasterz sklecić parę zdań, które zakwitłyby tam, w ciemnościach polarnych, niby przygarść pierwiosnków, sasank i pierwszych fiołków. Wszędzie było bardzo miło, jedynie w Paryżu piewca bitwy w mazurskich błotach poczuł się trochę nieswojo. Drażnił go tam duch militarno-wojowniczy, który był mu obcy i którego nie znosił.

Paryż jest niebezpieczny” — raportował autor do kraju, myśląc z głębokim wzruszeniem o uroczystym spokoju panującym w Poczdamie. Wśród wszystkich silnych przeżyć, jakich mu dostarczała podróż, Cezar von Muck tylko marginesowo i mimochodem intrygował zarówno listownie, jak telefonicznie przeciwko swemu przyjacielowi Hófgeniowi. Pisarz niemiecki odkrył w Paryżu przy pomocy jakichś szpiegów, agentów gestapo czy też członków poselstwa niemieckiego, że mieszka tam pewna Murzynka, z którą łączyły Hófgena niedozwolone, brudne stosunki, a którą jeszcze dziś utrzymuje. Cezar przezwyciężył wrodzony mu wstręt do wszelkiej romańskiej niemoralności i udał się do podejrzanego zakładu na Montmartrze, gdzie księżniczka Tebab występowała w charakterze ptaszka. Zamówił szampana dla siebie i czarnej damy; Julietta jednak, z chwilą gdy pomiarkowała, że ów nieznamy przybył z Berlina i chce się czegoś dowiedzieć o przeszłości erotycznej Hendrika Hófgena, powiedziała kilka pogardliwych i ordynarnych słów, po czym wstała, odwróciła się i wypięła piękny, strojny w zielone piórka pośladek. Temu nieprzystojnemu gestowi towarzyszył odgłos, który wydawały jej ściągnięte w ciup wargi, co wywoływało najfatalniejsze skojarzenia. Cały lokal bawił się znakomicie. Niemiecki bard został ośmieszony — zblamował się doszczętnie. Przewracał groźnie stalowymi oczami, walił pięścią w stół, wyraził swoje oburzenie silnie saksońskim akcentem i opuścił lokal. Jeszcze tej samej nocy poinformował telefonicznie ministra propagandy, że z życiem erotycznym nowego intendenta coś jednak nie jest w porządku. Nie ulega wątpliwości, w tym tkwi jakaś mętna tajemnica, ulubieniec prezesa Rady Ministrów ma swoją piętę Achillesa. Minister propagandy żywo dziękował swemu przyjacielowi poecie za ciekawe informacje.

Ale jakże było teraz trudno zaszkodzić człowiekowi stojącemu na czele Teatru Państwowego, ulubieńcowi władców i publiczności. Hendrik, powszechnie ceniony, mocno siedział w siodle. Jego życie osobiste sprawiało również jak najlepsze wrażenie. Młody pan intendent potrafił we właściwy sobie oryginalny sposób wnieść do swego domu atmosferę parriarchalną.

Sprowadzi! z Kolonii do Berlina rodziców i siostrę Josy. Zajmował z nimi dużą pałacową willę w Grunewaldzie. W apartamencie przy Reichskanzlerplatz (komorne Hendrik zapłacił za kilka miesięcy z góry) mieszkała chwilowo Nicoletta. Willa z parkiem, kortem tenisowym, pięknymi tarasami i obszernym garażem odpowiednio ustawiała młodego intendenta, stwarzała wielkopańskie tło, które mu było potrzebne, którego teraz chciał. Jeszcze nie tak dawno^ zda się, w lekkich sandałach i rozwianym skórzanym płaszczu, z monoklem w oku — rzucająca się w oczy, niemal humorystyczna postać — biegł przez ulice miasta. Jeszcze przy Reichskanzlerplatz zachowywał cechy Cygana, co prawda Cygana o zbyt kownym stylu życia. W Grunewaldzie dopiero stał się wielkim panem. Pieniądze nie odgrywały żadnej roli: jeśli chodziło o faworytów, piekło nie było skąpe, piekło płaciło; Hófgem, który nic więcej od życia nie wymagał oprócz czystej koszuli i butelki wody kolońskiej na stoliczku nocnym, mógł sobie teraz pozwolić na konie wyścigowe, liczny poczet służby i cały park samochodowy. Nikt albo prawie nikt nie miał mu za złe tej całej pompy. We wszystkich pismach ilustrowanych można było podziwiać piękne wnętrza, gdzie pan intendent odpoczywał po wytężonej pracy. „Hendrik Hófgem w ogrodzie swojej posiadłości karmi słynnego rasowego psa Hoppi”, „Hendrik Hófgem przy śniadaniu z matką w renesansowej jadalni”. Ludzie byli przeważnie zdania, że jest rzeczą słuszną i sprawiedliwą, aby człowiek tak zasłużony dla ojczyzny miał odpowiednio wysokie zarobki. Zresztą otaczający intendenta zbytek wydawał się znakomity i skromny w porównaniu z bajecznym, wyzywającym przepychem, na który sobie pozwalał jego pan i przyjaciel, generał lotnictwa, i którym chełpił się przed całym narodem.

Willa w Grunewaldzie stała się własnością młodego intendenta; nazwał ją „Hendrik-Hall”, kupił zaś za stosunkowo

niską cenę od dyrektora banku, Żyda, który wyemigrował do Londynu. W „Hendrik-Hall” wszystko było wytworne i z pewnością nie mniej wspaniałe niż niegdyś w pałacu profesora. Lokaje mieli czarne liberie ze srebrnymi wypustkami, jedynie małemu Bockowi pozwalano nosić się dość niedbale. Najczęściej chodził w brudnej kurtce w białe i niebieskie paski, od czasu do czasu w brązowym mundurze SA. Głupi chłopak o wodnistych oczach i sztywnych włosach, sterzcących na głowie jak szczotka, zajmował w „Hendrik-Hall” szczególnie uprzywilejowane stanowisko. Właściciel pałacu zachował go niby skromną pamiątkę minionych lat. Willy Bock został w gruncie rzeczy przyjęty tylko po to, aby się dziwować i zachwycać cudowną przemianą swego pana. Wywiązywał się z tego zadania i co najmniej raz na tydzień mówił: „Ale jesteśmy teraz piękni i bogaci. Na to po prostu nie ma słów. Jak sobie pomyślę, żeśmy kiedyś musieli pożyczać siedem marek pięćdziesiąt na kolację.” Mały Bock chichotał ze złością i wzruszeniem na samo wspomnienie.

— Poczciwa dusza — mówił Hendrik o nim. — Był mi wierny nawet w najgorszych czasach.

W podkreślaniu życzliwości, z jaką Höfgen mówił o małym Bocku, zdawała się tkwić nuta przekory. Pod czyim adresem, do kogo ją kierował? Przecież to Barbara nie chciała się zgodzić, by przyjął tego tak mu oddanego chłopca. W mieszkaniu ich w Hamburgu tolerowano tylko pokojówkę, która służyła dziesięć lat na wsi u generałowej; żeby się nic nie zmieniło w życiu jaśnie pani, córki tajnego radcy. Hendrik w całym blasku chwały nie był w stanie zapomnieć najmniejszych porażek przeszłości.

— Teraz ja jestem panem we własnym domu — powiedział.

Był teraz panem we własnym domu, którego próg przekraczali jedynie ludzie patrzący na niego z podziwem i złością. Rodzinie pozwalał dzielić z sobą uroczyste piękno swego życia, lecz zarazem dawał jej odczuć swoje kaprysy. Organizował niekiedy zaciszne wieczory przy kominku albo uroczyste poranki niedzielne w ogrodzie. Częściej jednak zdarzało się, że obnosił bladą twarz obrażonej guwernantki, zamykał się w swoich pokojach i głosem pełnym wyrzutu twierdził, że ma silną migrenę. „Bo muszę tak strasznie ciężko pracować, żeby wam,

nierobom, dostarczyć pieniędzy.” Nie mówił wprawdzie tego, ale manifestował w sposób ostentacyjny złością minę i rozdrażnienie. „Nie troszczcie się o mnie!” — prosił swoich bliskich, miał im jednak bardzo za złe, jeżeli przez parę godzin do niego nie zajrzeli.

Najszybciej dochodziła z nim do ładu matka, pani Bella. Traktowała swego „dużego chłopca” bardzo łagodnie, ale z pewną serdeczną stanowczością. Wobec niej rzadko tracił panowanie nad sobą. Zresztą był do niej szczerze przywiązany i dumny ze swej dystygowanej mamy. Pani Bella zmieniła się bardzo na korzyść i na każdym kroku dawała dowody, że dorosła do nowej, odpowiedzialnej pozycji.

Prowadziła duży dom swego sławnego syna z niezwykłym taktem i wielkim praktycznym doświadczeniem. Któż by się domyślił patrząc na tę wytworną matronę, że niegdyś, gdy dyżurowała w kiosku z szampanem, była przedmiotem złośliwych plotek? Było to już bardzo dawno, nikt nie pamiętał tych głupich, starych historii. Pani Bella jest teraz dyskretnie trzymająca się na uboczu, ale wybitną postacią berlińskiego towarzystwa. Została przedstawiona panu premierowi i była w najznakomitszych domach. Pod pięknymi siwymi włosami, na których znać fale trwałej ondulacji, inteligentna, pogodna jej twarz, tak podobna do sławnego syna, zachowała jeszcze świeży koloryt. Pani Bella ubiera się skromnie, ale starannie. Ma predylekcję do ciemnoszarych jedwabów w zimie, do perłowych — podczas letnich upałów. Kostium, który pani Bella podziwiała na pięknej babce swojej synowej, był perłowej barwy. Pani Höfgen szczerze ubolewała, że generałowa nie bywa w willi w Grunewaldzie.

— Chemie przyjąłabym tę panią w naszym domu — oświadczyła — chociaż ma podobno trochę krwi żydowskiej. Moglibyśmy przejść nad tym do porządku dziennego, prawda, Hendriku? Ale nie zadała sobie nawet tyle trudu, żeby zostawić nam bilet wizytowy. Czy ciągle jeszcze nie jesteśmy dla niej dość wytworni? W dodatku mam wrażenie, że się u niej nie przelewa — zakończyła pani Bella i pokręciła głową trochę ze współczuciem, a trochę z urazą. — Powinna by się cieszyć, że przyzwoita rodzina chce z nią utrzymywać stosunki.

Niestety, Kóbes Höfgen nie był tak reprezentacyjny jak pani Bella. Zdziwaczał, chodził stale w starej flanelowej

bonzurce, interesowały go głównie rozkłady jazdy, które wertował całymi dniami, i mały zbiór kaktusów — hodował je na parapecie okiennym. Golił się zbyt rzadko i chował się przed gośćmi. Opuścił go całkowicie właściwy Nadreńczykowi dowcip. Milczał przeważnie i patrzył bezmyślnie przed siebie. Tęsknił za Kolonią, chociaż tam komornik nie wychodził prawie z jego mieszkania, a wszystkie interesy handlowe zawsze kończyły się fatalnie. Jednakże walka o byt, którą lekkomyślnie, lecz uparcie musiał toczyć, lepiej mu służyła niż bezczynność przy ognisku syna zajmującego dziś tak wybitne stanowisko. Sława i świetność Hendrika były przedmiotem nieustannego zdziwienia, a nawet zgryzoty staruszka.

— Nie rozumiem, jak to się mogło stać! — mamrotał, jak gdyby zdarzyło się jakieś nieszczęście. Co rano przyglądał się zdumiony stosom listów, które nadeszły do jego potężnej i powszechnie uwielbianej latorośli. Kiedy Johannes Lehmann był zbyt przeciążony pracą, prosił czasem starego, by mu w tym lub owym drobiazgu dopomógł. Toteż staruszek spędzał nieraz cały ranek na podpisywaniu fotografii syna, umiał bowiem lepiej naśladować pismo Hendrika niż sekretarz. Jeśli intendent był w szczególnie łaskawym nastroju, zdarzało się czasem, że zapytał ojca:

— Jak się miewasz, papo? Często wydajesz się taki przygnębiony. Brak ci czego? Chyba się nie nudzisz w moim domu?

— Ależ nie, nie — burczał stary Hófggen czerwieniąc się pod nieogoloną szczecinę. — Mam przecież moje kaktusy, no i psy dużo radości mi sprawiają.

Tylko on karmił psy, nie dopuszczał do nich nikogo ze służby. Co dzień odbywał duży spacer z pięknymi chartami, z którymi Hendrik dawał się tylko fotografować. Psy lubiły starego, ale od Hendrika trzymały się z daleka, onieśmielone; wyczuwały widać, że się ich boi.

— To złe psy — twierdził i choć ojciec gorąco temu przeczył, upierał się przy swoim. — Zwłaszcza Hoppi jest zły. Na pewno mnie kiedyś okropnie pogryzie.

Josy miała własny, kokieteryjnie urządzone apartamencie na pierwszym piętrze willi. Dużo jednak podróżowała i pokoje stały pustką. Odkąd brat jej doszedł do władzy, wciąż zapraszano pannę Hófggen do występów w radiu. Śpiewała lekkie piosenki w gwarze nadreńskiej, miłą jej twarzyczkę widywało

się we wszystkich pismach radiowych. Miała sposobność do coraz to nowych zaręczyn i korzystała z niej oczywiście. Teraz nie mógł już pierwszy lepszy pretendować do jej ręki, musiała to być panią odpowiednią do jej obecnego stanowiska w świecie; pierwszeństwo mieli młodzi panowie w mundurach esesmanów, ich efektowne postacie ożywiały „Hendrik-Hall”.

— Hrabiego Donnersberga poślubię z całą pewnością — oznajmiła Josy.

Brat jej wyraził sceptyczne powątpiewanie. Josy się rozpląkała.

— Zawsze sobie ze mnie drwisz — skarżyła się wśród łkań.

Pani Bella zaczęła ją pocieszać, Hendrikowi także przykro było patrzeć na jej łzy; wszyscy zapewniali Josy, że tak ostatnio wyglądała. Istotnie wyglądała teraz znacznie bardziej pociągająco niż wtedy, kiedy Barbara ją poznała na dworcu miasta uniwersyteckiego na południu Niemiec. Może to dlatego, że stać ją było teraz na drogę suknie. Siodełko piegów na zadartym nosku dało się usunąć prawie bez śladu dzięki kłopotliwym zabiegom kosmetycznym.

— Dagobert zagroził mi, że ze mną zerwie, jeżeli te piegi nie znikną — powiedziała.

Młody Dagobert von Donnersberg miewał także swoje humory, nie tylko Hendrikowi wolno było sobie na nie pozwalać. Hófggen poznał hrabiego u panny Lindenthal, która lubiła otaczać się arystokracją. Dagobert — równie przystojny jak bez grosza, równie głupi jak rozpieszczony — otrzymał zaraz zaproszenie do „Hendrik-Hall”. Panna Josy zaproponowała mu wspólną przejażdżkę konną. Piękne wierzchowce Hendrika miały za mało ruchu: czas jego był na to zbyt drogi, poza tym konna jazda nie sprawiała mu przyjemności. Nauczył się jej z trudem do zdjęć filmowych i wiedział, że źle siedzi w siodle. Konie trzymał właściwie tylko dlatego, że tak pięknie wyglądały na fotografiach w pismach ilustrowanych; nigdy by się do tego nie przyznał, ale konie wierzchowe — tak jak mały Böck — była to spóźniona, rozpaczliwa i nedorzeczna zemsta nad Barbarą, której ranne przejażdżki tak go niegdyś złościły. Barbara tymczasem była daleko, nie myślała wcale o koniach, zajmowała się w Paryżu politycznymi uchodźcami i małym, bojowym czasopiśmie, zdobywała nowych prenumeratorów na Bałkanach, na Półwyspie Skandynawskim, w Ameryce

Południowej i na Dalekim Wschodzie... Panna Josy i jej Dagobert pojechali do parku. Miody hrabia zadurzył się trochę w wesołej dziewczynie. Ponieważ wiedział, że jej na tym zależy, zaręczył się z nią nawet, co mu nie przeszkadzało oczywiście rozglądać się za paniami, które mogły mu więcej zapłacić za jego tytuł. Na razie jednak nie pilno mu było zrywać z panną Höfgen, nie uważał również za wskazane zrażać do siebie rodziny cieszącej się względami premiera. Zresztą Dagobert bawił się dobrze w „Hendrik-Hall”.

Intendent starał się utrzymać dom w angielskim stylu. Whisky i dzemy sprowadzała pani Bella wprost z Londynu. Jadano bardzo dużo grzanek, siadywano chemie przy kominku, grywano w tenisa albo krokieta w ogrodzie. W niedzielę, jeżeli pan domu nie występował, goście przyjeżdżali już na południowy lunch i zostawali aż do późnego wieczora. Po obiedzie tańczono w hallu. Hendrik wkładał smoking twierdząc, że najlepiej się czuje w tym stroju. Josy i Nicoletta także zmieniały wieczorem toalety. Niekiedy przychodziły tej kompanii szalone pomysły do głowy: jechano przed wieczorem trzema samochodami do Hamburga na bumberkę w dzielnicy St. Pauli.

— Samochodów tu nie brak — powiedziała hrabia Donnersberg z lekkim odcieniem goryczy; gniewało go chwilami, że ten komediant opływa w dostatki, gdy on, arystokrata, ma płótno w kieszeni.

Intendent posiadał trzy duże wozy i kilka mniejszych. Najpiękniejszy samochód — olbrzymi mercedes z lśniąca srebrzystą karoserią — był to prezent od pana premiera; grubemu ofiarodawcy przyszła ładna myśl, by podarować wspaniałe wehikuł w chwili, gdy Hendrik wprowadzał się do nowej siedziby.

Intendent wydawał niechętnie i bardzo rzadko wielkie przyjęcia; lubił wszakże przyjmować gości bez ceremonii w „Hendrik-Hall”. Nicoletta należała już teraz całkiem do rodziny. Zjawiała się, nie zapowiadając się, na posiłki, radziła się Hendrika w sprawach zawodowych, na weekendy zaś przyjeżdżała z walizką. Walizka była dość duża, za dużą właściwie, by pomieścić suknię wieczorową, pidżamę i kosmetyczkę. Josy, dręczona ciekawością, zajrzała kiedyś po

kryjomu, co się w niej mieści. Ku wielkiemu zdziwieniu zobaczyła parę czerwonych lakierowanych butów z cholewami.

Nicoletta zamierzała rozwieść się z Teofilem Marderem. „Jestem znowu aktorką — pisała do niego. — Kocham Cię zawsze, całe życie nie przestanę Cię uwielbiać. Ale jestem szczęśliwa, że mogę znów pracować. W naszych nowych Niemczech panuje ogólny pęd, entuzjastyczna chęć pracy, której nie możesz sobie nawet wyobrazić w Twojej pustelni.”

Jedną z pierwszych czynności urzędowych Höfgena było zaangażowanie Nicoletty do Teatru Państwowego. Nie odniosła jeszcze dotąd sukcesu, który dałby się porównać z ówczesnym tryumfem w Hamburgu. Powoii jednak zaczęła się otrząsać z odrętwienia; głos i ruchy nabierały miękkości i życia.

— Uważaj, uczysz się na nowo gry scenicznej! — zapowiedział Hendrik. — Właściwie nie powinno się ciebie wpuścić na żadną scenę, ty wariatko! Ten twój wybryk w Hamburgu był naprawdę skandaliczny, nie mówię już, że w stosunku do tego biedaka, Krogego, ale w stosunku do samej siebie.

Mówiąc nawiasem, gdyby nawet Nicoletta okazała się najgorszą aktorką, zarówno koledzy, jak prasa traktowałiby ją z najwyższym szacunkiem, uchodziła bowiem za przyjaciółkę intendenta. Wiedzano, że ma wpływ na wielkiego człowieka. Występowała przy jego boku na oficjalnych uroczystościach. Chrzęszcząc metalowym pancerzem wieczorowej toalety towarzyszyła mu na bal prasy. Co to była za para: Hendrik i Nicoletta, oboje obdarzeni nieco perwersyjnym wdziękiem, dwa niebezpieczne i przeraźliwie czarujące bóstwa podziemnego świata. Poeta Benjamin Pelz wpadł na pomysł nazwania ich „Oberon i Titania”.

— Prowadzicie korowód taneczny monarchów podziemia — rozmarzał się poeta liryczny, dla którego dyktatura rasistowskiego faszystwu zdawała się jakimś krwawym i fantastycznym „snem nocy letniej”. — Zaczarowaliście nas waszym uśmiechem, waszym przedziwnym spojrzeniem. Jakże chętnie powierzmy wam nasze losy! Wprowadzicie nas pod ziemię, w najgłębsze jej warstwy, do magicznego piekła, gdzie krew spływa po ścianach, gdzie

wrogowie z sobą się parzą, zaś kochankowie mordują się nawzajem, gdzie miłość, śmierć i krew łączą się w orgiastycznej komunii...

Tak brzmiały balowe szeptki nowych Niemiec w najsubtelniejszej, najbardziej wyszukanej formie. Poeta Benjamin Pelz uchwycił ów styl. Był niegdyś trochę odludkiem, ale teraz stawał się coraz bardziej towarzyski i giętki. Nawykł szybko do wielkiego świata, do którego ekskluzywnych kół zapewniało mu wstęp jego na wskroś nowoczesne zamiłowanie do najgłębszych warstw podziemia, do magicznego piekła i słodkiego zapachu zgnilizny. Kierował sprawami Akademii Literatury jako jej wiceprezes, prezes bowiem, Cezar von Muck, swoje obowiązki duszpasterskie spełniał chwilowo za granicą. Benjamin był mile widzianym gościem w „Hendrik-Hall”. Wraz z panami Müller-Andreä, doktorem Radigiem i monsieur Larue należał do stałych bywalców willi w Grunewaldzie.

Wszyscy panowie uważali sobie za wielki zaszczyt i przyjemność, jeśli mogli ucałować dłoń dystygowanej pani Belli i zapewnić pannę Josy, że ślicznie wygląda. Pierre Larue flirtował trochę z małym Bockiem, na co patrzono z pobłażliwą życzliwością. Wesoło zwłaszcza bywało, kiedy zajeżdżał aktor charakterystyczny Joachim ze swoją zabawną żoną; kazał sobie podawać piwo litrami, marszczył tłustą twarz w wyraziste fałdy i powtarzał niezmiennie: — Mówcie, co chcecie, dzieci! Nigdzie na całym świecie nie jest tak pięknie jak w Grunewaldzie! — Od czasu do czasu wciągał Joachim kogoś do kąta, aby go zapewnić, że „z ręką na sercu!” wszystko jest z nim w największym porządku. — Przed kilku dniami musiałem znów kogoś wsadzić pod klucz, kto twierdził, że jest przeciwnie — tłumaczył aktor charakterystyczny mrużąc chytre oczki.

Niekiedy pojawiała się Angelika Siebert; nosiła teraz inne nazwisko, gdyż poślubiła swego reżysera filmowego. Młody małżonek był to piękny mężczyzna; miał gęste, kasztanowe włosy i szafirowe, duże, poważne oczy. On jeden w tym trochę zdegenerowanym towarzystwie wyglądał tak, jak naiwne serca-wyobrażają sobie niemieckiego bohatera, młodego rycerza bez trwogi i zmayı. Rzecz dziwna, że on jeden zdradzał skłonności do opozycji. Jego umysł, zarazem dziecięcy i dociekliwy, nie zgadzał się ze wszystkim, co się w Niemczech działo. Entuzjaz-

mował się pierwotnie narodowym socjalizmem, tym większe było teraz jego rozzarowanie. Zwracał się do Hendrika, dla którego talentu i wiedzy aktorskiej miał szczerzy podziw, z poważnymi, natarczywymi pytaniami.

— Pan przecież ma pewien wpływ na czynniki miarodajne — mówił młodzieniec. — Czy istotnie nie może pan powstrzymać najbardziej barbarzyńskich okrucieństw? Obowiązkiem pana jest poinformować prezesa Rady Ministrów o tym, co się dzieje w obozach koncentracyjnych... — Jasna, pocziwa twarz rycerza bez trwogi i zmayı czerwieniła się z zapału.

Hendrik jednak kręcił głową, zdenerwowany.

— Czego pan chce, mój młody przyjacielu — odrzekł ze zniecierpliwieniem. — Czego pan ode mnie żąda? Żebym parasolem powstrzymał wodospad Niagary? Czy sądzi pan, że byłoby to przedsięwzięcie mające widoki powodzenia? No więc! — zakończył butnie, jak gdyby raz na zawsze pokonał przeciwnika i przeciągnął go na swoją stronę. — No więc! — I uśmiechnął się swoim szelmowskim uśmiechem.

Czasem podobało się intendentowi całkowicie zmienić taktykę. Z cynicznym zuchwalstwem rezygnował nagle ze wszelkich upiększeń i usprawiedliwiał; biegał po pokoju z twarzą pokrytą nerwowym rumieńcem — nie był to jednak rumieniec wstydu — wstrząsany śmiechem, wykrzykując raz po raz na wpół ze skargą, na wpół z tryumfem: — A co, czy nie łądak ze mnie? Czy nie całkiem nieprawdopodobny łądak?!

Kółko przyjaciół bawiło się znakomicie, Josy aż klaskała w dłonie z radości. Tylko twarz młodego rycerza bez trwogi i zmayı była surowa i pełna niechęci, podczas gdy Johannes Lehmann, którego oczy miały tłusty połysk oliwy, uśmiechał się melancholijnie, zaś Angelika patrzyła na przyjaciela, przez którego wylała tyle łez, smutna i zaniepokojona.

Oczywiście, jeżeli byli goście pozostający w zażyłych stosunkach z władzą albo nawet stanowiący jej cząstkę, Hendrik nie mówił ani o wodospadzie Niagary, ani też o swoim nieprawdopodobnym łądactwie. Już w obecności hrabiego Donnersberga wystrzegał się nieostrożnych słów. Najwyższą zaś ostrożność, którą umiał łączyć z promienną wesołością, zachowywał, kiedy Lotta Lindenthal zaszczycała go swoją wizytą.

A zdarzało się nierzadko, że jasnowłosa, pełna macierzyńskiego wdzięku Lotta zjawiała się w „Hendrik-Hall”, aby zagrać w ping-ponga albo potańczyć trochę z panem domu. Jakież to było zawsze święto! Pani Bella kazała podawać wszystko, co miała najlepszego w spiżarni i piwnicach, Nicoletta rozpływała się w przesadnych komplementach na temat fiołkowych oczu wysoko usytuowanej pani, Pierre Larue przestawał się interesować małym Bockiem, a nawet stary Höfgen rzucał przez szparę w drzwiach ciekawe spojrzenia na damę z wielkim biustem, która wypełniała pokoje willi srebrzystym dziewczęcym śmiechem.

Któż to jednak wysiadł z gigantycznej limuzyny, która w tej samej chwili z groźnym szumem, niczym samolot, zatrzymała się przed podjazdem „Hendrik-Hall”? Przed kim otworzyły się skrzydła drzwi wejściowych? Któż wszedł z tak głośnym brzękiem szabli do przedpokoju? Kto wsunął swój olbrzymi brzuch kołyszący się na grubych jak słupy nogach, swoją majestatycznie sklepioną, migocącą orderami pierś do pokoju i stanął przed skamieniałym z podziwu zgromadzeniem? To on, grubas, który z mieczem w ręku pełni wartę przy boskim tronie. Przyjechał po swoją Lottę, chciał przy tym swemu Mefistofelesowi życzyć dobrej nocy.

Panna Lindenthal rzuciła mu się na szyję. Pani Bella zaś, która o mało nie zemdląła z dumy i podniecenia, zdołała zaledwie wyszeptać, a szept ten brzmiał jak jęk:

— Ekscelecjo... panie premierze, czym mogę pana poczęstować? Jakiś napój orzeźwiający? Może kieliszek szampa...
na?...

Dużo ludzi bywało w „Hendrik-Hall”, przyciągała ich tam sława i uprzejmość pana domu, wykwintna kuchnia, piwnica, korty tenisowe, dobór najlepszych płyt gramofonowych, cały imponujący luksus tego otoczenia. Różne osobistości spędzały tu najprzyjemniejsze godziny południowe, popołudniowe i wieczorne: aktorzy i generałowie, lirycy i wysocy dygnitarze, dziennikarze i egzotyczni dyplomaci, metresy i komediantki. Natomiast parę osób, które niegdyś łączyły z Hendrikiem Höfgenem bardzo zażyłe stosunki, nie brało udziału w tym wesołym, zbyt kownym trybie życia. Generałowa nie pokazała się nigdy w „Hendrik-Hall”, pani Bella na próżno oczekiwała jej biletu. Starsza pani była zmuszona sprzedać swoją posiad-

łość, zajmowała teraz małe mieszkanie niedaleko Tiergartenu. Coraz bardziej traciła kontakt z towarzystwem berlińskim, w którym niegdyś odgrywała tak wielką rolę.

— Nie zależy mi wcale na bywaniu w domach, gdzie jestem narażona na spotkanie morderców, ludzi obrażających moralność publiczną albo obłąkanych — oświadczyła dumnie i Lekko dzwoniąc łańcuszkiem opuściła lornion, przez który przypatrywała się bacznie swemu rozmówcy. Może przypuszczała, że nawet w „Hendrik-Hall” byłaby narażona na spotkanie typów zbrodniczych albo patologicznych, podejrzenie nie tylko bezpodstawne, ale wręcz karygodne, ponieważ dotyczyło domu, w którym bywali codziennie członkowie rządu.

Oprócz generałowej ktoś jeszcze trzymał się z daleka od posiadłości intendenta — mianowicie Otto Ulrichs. Nie zapraszano go, ale gdyby nawet otrzymał zaproszenie, nie byłby go przyjął. Był bardzo zajęty, i to w sposób, który wymaga zarówno krańcowego wytężenia sił fizycznych, jak i psychicznych. Zresztą Ulrichs począł stopniowo poddawać rewizji obraz kolegi Höfgena, który sobie wytworzył przed laty i zachowywał dotąd wiernie i cierpliwie. Ulrichs był człowiekiem bardzo dobronudnym, a nawet miękkim pomimo rewolucyjnego rozmachu. Do Höfgena miał niegdyś wielkie, niewzruszone zaufanie.

— Hendrik jest nasz! — odpowiadał ciepłym, przekonującym głosem każdemu, kto głośno podawał w wątpliwość, czy Hendrik zasługuje na zaufanie zarówno pod względem moralnym, jak politycznym. „Hendrik jest nasz!” Czy Ulrichs wierzył w to dziś jeszcze? Wyrzekł się wielu złudzeń, między innymi i tych, które dotyczyły Hendrika Höfgena. Stracił dawną dobronudność, stracił zwłaszcza dawną miękkość. Wzrok jego miał wyraz groźnej, przyczajonej powagi, tak mu niegdyś obcy. Jego oczy wyzbyły się sympatycznej szczerości, promieniowały teraz rozważną, przenikliwą, spokojną i skupioną siłą.

Twarz Ottona Ulrichsa miała napięty, czujny wyraz, ruchy jego były ostrożne i śmiałe, gotowe do skoku i do ucieczki, ruchy człowieka, który musi mieć się stale na baczności. A musiał naprawdę mieć się na baczności o każdej godzinie ciężkiego i niebezpiecznego dnia. Otto Ulrichs bowiem grał ryzykowną grę.

Pozostał członkiem zespołu Teatru Państwowego tylko po to, aby pójść za radą, której udzielił mu sam Hendrik, prawdopodobnie nie biorąc tego zbyt serio: używał swego stanowiska przy instytucji rządowej jako rodzaju zabezpieczenia tyłów — chroniło go przed zbyt dokładnym nadzorem i kontrolą funkcjonariuszy gestapo. Takie były przynajmniej jego nadzieje i rachuby. Może się łudził. Może obserwowano go od początku i pozwolono mu działać tylko czas jakiś, aby później tym pewniej schwytać go za kołnierz i znaleźć przy nim możliwie jak najobfitszy materiał obciążający. Ulrichs nie sądził, żeby już byli na jego tropie. Członkowie zespołu, którzy zrazu okrażali go nieufnie, teraz witali go z koleżeńską serdecznością. Udało mu się zjednać ich sobie prostym, naturalnym i pogodnym obejściem. Nauczył się bowiem sztuki maskowania się. Jego fanatyczna, do jednego celu zdążająca, do każdej ofiary gotowa płomienna wola nauczyła go przebiegłości. Był zdolny żartować nawet z Lotta Lindenthal. Zapewniał aktora charakterystycznego Joachima, że nie wątpił nigdy ani na chwilę o czystości jego rasy. Ostentacyjnie witał się z maszynistami przepisową formułą: *Heil*, po której następowało zniechęcone nazwisko dyktatora. Kiedy prezes Rady Ministrów zasiadał w swojej łoży, Ulrichs twierdził, że dostaje bicia serca ze wzruszenia, iż wolno mu grać przed tak wielkim człowiekiem. Serce biło mu naprawdę, ale pod wpływem silnego dreszczu, mieszaniny tryumfu i strachu, gdyż maszynista podnoszący kurtynę, z którym był w zmwowie, szepnął mu w chwili, gdy schodził ze sceny, coś w związku z projektowanym nielegalnym zebraniem. Niemal na oczach straszego grubasa, kata obwieszzonego najwyższymi odznaczeniami, ten mizerny aktor, mimo że dobrze poznał grozę izby tortur i obozów koncentracyjnych, miał odwagę prowadzić dalej swoją buntowniczą, wywrotową robotę przeciwko władzy.

Bezpośrednie zetknięcie z tymi okropnościami na krótko tylko odebrało mu siły. Przez pierwsze tygodnie po opuszczeniu tego piekła był w stanie zupełnego odrętwienia. Oczywiście jego widziały to, na co oko ludzkie nie może patrzeć i nie oślepnąć z nadmiernej boleści: naga, rozpętana, z największą pedanterią zorganizowaną męczemnością; bezwzględna i totalna podłość, która nie dość, że torturuje bezbronnych, ale jeszcze siebie

samą chwalebą i gloryfikuje swoje zbrodnie jako czyn patriotyczny, jako system wychowawczy stosowany wobec „destrukcyjnych, wrogich ludowi żywiołów”, jako niezbedną i sprawiedliwą służbę przebudzonej ojczyźnie.

— Chciałoby się wymazać tych ludzi z pamięci, jeśli się ich choć raz takimi widziało — mówił Ulrichs. Kochał przecież ludzi i stosunek do nich opierał na niewzruszonej wierze, że z nich kiedyś może jednak coś rozsądnego wyrośnie. Przewyciężył swoją ponurą apatię. — Jeżeli człowiek był świadkiem tego, co najgorsze — mawiał — wtedy ma do wyboru: odebrać sobie życie albo z jeszcze większą pasją niż przedtem prowadzić dalej robotę. — Był człowiekiem prostym i dzielnym. Silne nerwy odpoczęły po przebytych wstrząsach. Pracował dalej.

Nawiązywanie kontaktów z nielegalnymi kołami opozycji nie sprawiało mu żadnej trudności. Miał wielu przyjaciół wśród robotników i inteligencji, których nienawiść do faszyzmu była tak głęboko przemyślana i tak namiętna, że uchwała się nawet w nadzwyczaj niebezpiecznych i jak się zdawało, niemal beznadziejnych warunkach owej doby. Aktor Pruskiego Teatru Państwowego przyłączył się do podziemnej akcji przeciw rządowej. Tajne zebrania, druk i kolportaż zakazanych ulotek, pism i broszurek, sabotaż w fabrykach, podczas oficjalnych uroczystości dyktatury, przy transmisjach radiowych lub seansach filmowych — Otto Ulrichs zawsze brał czynny udział w przygotowaniach i należał do tych, którzy w akcji ryzykowali życie.

Wszystkie te demonstracje antyfaszystowskiego ruchu oporu traktował bardzo poważnie i w pełni doceniał ich wpływ na psychikę zalęknionego, obezwładnionego ze strachu społeczeństwa.

— Niepokoiimy rząd, dowodzimy milionom, które pozostały wrogie dyktaturze, ale nie mają odwagi same przed sobą się do tego przyznać, że pragnienie wolności jeszcze nie wygasło i mimo nadzoru całej armii szpiegów nadal żyje...

Tak myślał, mówił i pisał Otto Ulrichs. Nie zapomniał przy tym nigdy, że pomniejszych akcje nie są najważniejsze, że to właściwie tylko środek wiodący do celu. Celem zaś, wielką nadzieją pozostaje nadal: zjednoczenie rozproszonych sił oporu, pogodzenie sprzecznych interesów tak różnorodnej

pod względem społecznym i niejednolitej pod względem przekonań opozycji, stworzenie wspólnego frontu, rozbudowanie go; uaktywnienie frontu ludowego przeciwko dyktaturze.

— O to tylko chodzi, tylko o to — konstatował Otto Ulrichs.

Toteż uprawiał konspirację nie tyłko z towarzyszami partyjnymi i ludźmi podobnych co on przekonau. Więcej jeszcze zależało mu na nawiązaniu kontaktu z opozycyjnymi katolikami, byłymi socjaldemokratami albo bezpartyjnymi republikanami. Komunista natknął się zrazu na nieufność kół mieszczańsko-liberalnych. Dzięki gorącej i szczerzej elokwencji udawało mu się zazwyczaj przewyciężyć uprzedzenia.

— Ależ wy, tak samo jak narodowi socjaliści, nie chcecie wolności! — zarzucali mu demokraci.

Odpowiadał:

— Chcemy jej! Chcemy wyzwolenia. A w sprawie przysłego ustroju to już się pogodzimy.

— Nie macie miłości ojczyzny — mówili mu republikanie-patrioci.

— Gdybyśmy nie kochali ojczyzny — odpowiadał Otto Ulrichs — czy moglibyśmy tak nienawidzić tych, którzy ją poniżają i niszczą? I czy narażalibyśmy co dzień życie, żeby tę naszą ojczyznę wyzwolić?

W pierwszych tygodniach swojej nielegalnej roboty spróbował Ulrichs pewnego razu wprowadzić w te sprawy Hendrika Hófgena. Intendent wszakże przestraszył się, zdenerwował i nawet rozgniewał.

— Nie chcę nic wiedzieć o tym wszystkim — powiedział prędko. Nie wolno mi o tym wiedzieć, rozumiesz? Zamykam oczy, nie widzę tego, co robisz. Ale nie powinienes mnie w to wtajemniczać, pod żadnym pozorem.

Przekonawszy się, że nikt nie podsłuchuje, stłumionym wciąż głosem zapewni przyjaciela, jak ciężko i przykro mu jest tak się ciągle i konsekwentnie maskować.

— Zdecydowałem się jednakże na tę taktykę, gdyż uważam ją za najsłuszniejszą i najskuteczniejszą — szeptał Hendrik i spróbował jeszcze raz efektu konspiracyjnych spojrzeń, na które jednak Ulrichs już nie odpowiedział. — To nie jest

wygodna taktyka, ale muszę się jej trzymać. Znajduję się w samym sercu nieprzyjacielskiego obozu. Podkopuję jego potęgę od wewnątrz...

Ale Otto Ulrichs prawie go nie słuchał. Może w tej właśnie chwili stało się, że stracił złudzenia i poznał, kim jest Hendrik Hófggen.

Jakże mistrzowsko maskował się intendent! Było to w rzeczy samej osiągnięcie godne wielkiego aktora. Można by istotnie pomyśleć, że Hendrikowi Hófggenowi chodzi tylko o pieniądze, władzę i sławę, nie zaś o podkopywanie reżimu narodowosocjalistycznego.

W potężnym cieniu prezesa Rady Ministrów czuł się tak pewny, bezpieczny, że mógł, jak mu się zdawało, pozwolić sobie na to, by pokokietować niebezpieczeństwo, figlarnymi żarcikami prowokować katastrofę. W rozmowie telefonicznej z dyrektorem teatru w Wiedniu, od którego chciał wypożyczyć pewnego aktora, powiedział żałosnym, śpiewnym głosem, boleśnie przeciągając sylaby:

— Hm, mój drogi, za parę tygodni może i ja się u pana w Wiedniu zjawię... Nie wiem, czy utrzymam się tutaj jeszcze dwa tygodnie. Moje zdrowie — rozumie mnie pan — moje zdrowie jest tak strasznie nadwerężone...

A przecież istniały tylko dwie ewentualności, które mogłyby spowodować jego upadek: gdyby generał lotnictwa cofnął mu swoje łaski albo gdyby potęga generała miała się zachwiać. Jednakże grubas zdawał się dochowywać takiej wierności swemu Mefistofelesowi, jakiej się w kołach narodowosocjalistycznych w ogóle nie praktykowało i która wobec tego budziła zdziwienie. Poza tym gwiazda tłustego olbrzyma nie osiągnęła, jak się zdaje, jeszcze swego zenitu: zwolennik kary śmierci i sentymentalnych blondynek zdobywał coraz więcej tytułów, coraz więcej skarbów, coraz większy wpływ na sterowanie nawą państwową.

Dopóki padały na Hófgena promienie łaski grubasa, mógł nie brać poważnie podstępnych ataków kuternogi. Minister propagandy nie śmiał otwarcie występować przeciwko intendentowi. Przeciwnie, przywiązywał do tego wagę, by przy odpowiednich okazjach pokazywać się z nim publicznie. Poza tym utrzymywał pewien intelektualny kontakt z Hófggenem.

Jeżeli Hendrik potrafił zafascynować i zjednać sobie generała lotnictwa swoją diaboliczną światowością i cynicznym dwojactwem, to umiał również doskonale porozumieć się z szefem propagandy, „starym doktorem”; mówili przecież nie tylko tą samą gwara nadreńską, przez co rozmowy ich nabierały charakteru serdecznego i poufnego, lecz używali i nadużywali tej samej radykalnej terminologii. Höfgen potrafił, jeśli było potrzeba, paplać o „dynamice rewolucyjnej”, o „bohaterskim instynkcie życia” i o „krwawym irracjonalizmie”. Spędzał też jedną godzinę na ożywionej pogawędce ze swoim śmiertelnym wrogiem, co nie przeszkadzało oczywiście kuternodze dalej niemiłosiernie przeciwko niemu intrygować.

Cezar von Muck, powróciwszy ze swej przemiłej podróży za granicę, czynił wszystko, co było w jego mocy, aby szerzyć pogłoski o pewnej Murzynce, z którą — rzekomo — wiązały Hendrika jakieś niezdrowe stosunki seksualne, a która w Paryżu wiodła na jego koszt budzący zgorszenie, zbyt korny tryb życia. Z tą to osobą — tak głosiła fama — spotykał się Hendrik po kryjomu nie tylko po to, aby w dalszym ciągu „hańbić rasę”, ale używał jej jako łącznika z ciemnymi i niebezpiecznymi kołami emigracji, z tymi właśnie kołami — mówiono dalej — w których jego żona (rozwód przeprowadzono tylko pro forma) odgrywa dominującą rolę.

W Teatrze Państwowym nie mówiono o niczym innym, tylko o czarnej kochanicy intendenta; w redakcjach najpoważniejszych pism i w kołach nadających ton opinii publicznej wiedziano wszystko o ciemnoskórej damie, która tam, w Paryżu, roztaczała wszystkie blaski wielkiego Babilonu. „Ma u siebie trzy małpy, młodego lwa, dwie rosłe pantery i tuzin kulisów — twierdzono. — Knuje przy tym konszachty przeciwko państwu narodowosocjalistycznemu z francuskim sztabem generalnym, Kremlem, masonami i żydowską plutokracją.”

Hendrik postanowił ożenić się z Nicoletta, by położyć kres owym szkodliwym pogłoskom. Prezes Rady Ministrów był bardzo zadowolony z decyzji przebiegłego faworyta. Polecił surowo ostrzec tych wszystkich, którzy śmieją rzucać podziurzenia na intendenta. „Kto występuje przeciwko moim przyjacicielom, występuje przeciwko mnie” — podkreślił grubas z pogroźką. Kto wspomni jeszcze raz o istnieniu Murzynki,

niech wie, że będzie miał do czynienia ze straszną osobą generała lotnictwa i z jego tajną policją. W teatrze, na czarnej tablicy przy wejściu na scenę, przymocowano obwieszczenie, na którym można było wyczytać, że każdy, kto będzie szerzył lub nawet słuchał plotek o życiu prywatnym albo przeszłości pana intendenta, popełni czyn wrogi państwu. Poza tym wszyscy drżeli przed prywatnym aparatem szpiegowskim Höfgena. Było rzeczą niemożliwą ukryć cokolwiek przed tym niebezpiecznie chytrym człowiekiem, jeśli to go dotyczyło albo interesowało: wiedział wszystko dzięki małej armii szpiegów, których utrzymywał. Wszędzie miał swoje kreatury; gestapo mogło mu pozazdrościć tak doskonałego systemu szpiegowskiego.

Sam Cezar von Muck się zaniepokoił. Twórca dramatu *Tannenberg* uważał nawet za wskazane złożyć wizytę w „Hendrik-Hall” i pogawędzić z panem domu od serca, w saksońskiej gwarze. Nicoletta przyłączyła się do panów, którym pani Bella własnoręcznie podała smaczną, lekką przekąskę, i zaczęła nagle głośno, złośliwie mówić o Murzynach. Pan von Muck nawet nie drgnął, kiedy rozwiedziona pani Marder zapewniła go, że zarówno ona, jak Hendrik mają po prostu wstręt do czarnych.

— Hendrik dostaje mdłości, jeśli z daleka zobaczy kogoś z obmierźłej rasy — oświadczyła utkwwszy w Cezara bezlitosne spojrzenie lśniących, wesołych oczu. — Już sam zapach tych ludzi jest nie do zniesienia — ciągnęła dalej wyzywająco.

— Tak, tak — potwierdził pan von Muck. — To prawda. Murzyni śmierdzą.

I nagle wybuchnęli wszyscy troje długim, serdecznym śmiechem — intendent, poeta i śmiała dziewczyna.

Nie, temu Hendrikowi nic nie może zaszkodzić: rozumiał to pan von Muck, rozumiał też minister propagandy. Obaj postanowili być z nim na jak najprzyjaźniejszej stopie, czekając, aż wreszcie kiedyś nadarzy się sposobność, by go obalić i zlikwidować. Chwilowo był nieetykalny.

Grubas wyrobił mu audiencję u dyktatora, gdyż nawet do tej najdostojniejszej osoby dotarły słuchy o księżniczce Tebab. Posłany od Boga wyraził skrajne obrzydzenie; czarnych miał za coś niewiele lepszego od Żydów.

— Czy ktoś, kto obcuje z osobami niższej rasy, może posiadać dostateczną moralną dojrzałość, której wymaga stanowisko intendenta? — wypytywał führer nieufnie swoje otoczenie.

Hendrik miał więc za pomocą lśniącego oczu, śpiewnego głosu i szlachetnie biernej układności zjednać sobie największego Niemca, jaki kiedykolwiek żył na świecie, i przekonać go o swoich kwalifikacjach moralnych.

Owe pół godziny spędzone na prywatnej audiencji u Mesjasza wszystkich Germanów wydało się Hendrikowi męczące, a nawet dręczące. Rozmowa toczyła się dość opornie: fuhrer nie interesował się zbytnio dramatem, wołał opery Wagnera i filmy Ufy. Höfgen nie śmiał wspominać o swych insceniacjach oper: wszak za czasów niecnego „systemu” rozpętały taką burzę, że fuhrer mógłby sobie przypomnieć druzgocące wyroki, które Cezar von Muck ferował wówczas na te rozkładowe i zdradzające silny semicki wpływ eksperymenty. Hendrik nie wiedział w ogóle, o czym powinien mówić. Działała na niego obecność tego wcielenia władzy: był zmieszany i zalękniony. Niebываła sława otaczająca człowieka, który siedział naprzeciw, onieśmielała żadnego sławy aktora.

Władza zaś spoglądała wzrokiem nieruchomym, jakby ośleptym; na pozbawione wyrazu, uciekające w tył czoło spadał legendarny tłusty kosmyk włosów. Oblicze władzy było szarobiałe, nalane, jakby ulepione z rzadkiej, porowatej substancji. Władza miała bardzo pospolity nos, „prostacki nos” — ośmielił się pomyśleć Hendrik; podziw, który odczuwał, zaprawiony był buntem, a nawet szyderstwem. Aktor zauważył, że władza pozbawiona jest potylicy. Przez brunatną koszulę rysował się miękki brzuch. Władza mówiła cicho, oszczędzając zdartego, ochrypłego głosu. Używała trudnych słów, aby dowieść, że ma „wykształcenie”.

— Ze względu na doniosłą misję naszej nordyckiej kultury bezwarunkowo potrzebny jest wkład jednostki pełnej energii, świadomej rasowo i świadomej swego celu — cedziła władza, starając się w miarę możliwości stonować akcent południowo-niemiecki i mówić wyszukaną mową górnoniemiecką, która w ustach władzy brzmiała tak, jakby to gorliwy uczeń wydawał na pamięć wyuczoną lekcję.

Pot spływał ciurkiem z Hendrika, kiedy po dwudziestu pięciu minutach mógł wreszcie opuścić pałac. Miał wrażenie, że był w fatalnej formie, że sobie wszystko zepsuł. Jednakże tego samego jeszcze wieczora dowiedział się za pośrednictwem generała lotnictwa, że wrażenie, jakie po sobie zostawił, było nie najgorsze; nieśmiałość intendenta raczej miłe zdziwiła dyktatora. Führer nie lubił i uważał za niestosowne zuchwałstwo, jeśli ktoś próbował w jego obecności okazywać swobodę i zabłysnąć inteligencją. W obliczu władzy należało zachowywać pełne czci milczenie. Promieniejący Hendrik byłby prawdopodobnie wzbudził gniew Mesjasza Germanów. Ale Hendrik zmieszany i zalękniony otrzymał z ust wszechwładnego łagodny wyrok.

— To całkiem poczyty człowiek, ten pan Höfgen — powiedziała władza.

Prezes Rady Ministrów, który zbierał dla siebie tytuły, tak jak inni zbierają znaczki pocztowe albo motyle, sądził, że podobnymi odznaczeniami najbardziej uraduje przyjaciela. Uczynił Höfgena „radcą stanu”, potem „senatorem”. Intendent miał coś do powiedzenia we wszystkich instytucjach kulturalnych Trzeciej Rzeszy. Wraz z Cezarem von Muckiem i kilku umundurowanymi panami należał do prezydium „Senatu kultury”. Pierwszy „wieczór koleżeński” tego stowarzyszenia odbył się w „Hendrik-Halt”. Minister propagandy był obecny i śmiał się od ucha do ucha, kiedy panna Josy odśpiewała jeden z popularnych przebojów. Ni mniej, ni więcej, tylko sam Cezar von Muck akompaniował młodej śpiewaczce na fortepianie. Przyjęcie było rozmyślnie skromne: Hendrik prosił panią Bellę, by kazała podać tylko piwo i zwykłe bułki z kiełbasą. Umundurowanych panów spotkał zawód: tyle słyszeli o fantastycznym zbytku, jaki panował w willi intendenta. Cóż im przyszło z eleganckich lokai, jeżeli podawali tylko kanapki, takie same jak w domu? „Senat kultury” byłby pograżył się w głębokiej melancholii, gdyby minister propagandy swoim swobodnym sposobem bycia nie wytworzył pogodniejszego nastroju. Nie wiadano co prawda, o czym mówić. Kultura był to temat zbyt obcy większości senatorów. Umundurowani chętni się, że od lat chłopięcych nie przeczytali ani jednej książki; wolno im było chyba się tym szczycić, skoro tak powszechnie szanowany, zmarły tym-

czasem generał-feldmarszałek i prezydent Rzeszy (fuhrer zaszczylił jego pogrzeb swoją obecnością) postępował tak samo... Kiedy sędziwy powieściopisarz — którego beznadziejnie nudnych książek w ogóle nie czytano, ale oficjalnie bardzo je ceniono — zaproponował, że przeczyta rozdział ze swojej trylogii *Naród zrywa więzy*, powstała lekka panika. Kilku umundurowanych członków senatu zerwało się z miejsca, machinalnym, lecz groźnym ruchem chwytając za kabury; uśmiech ministra propagandy zniknął; Benjamin Pelz jęknął, jak gdyby otrzymał straszliwy cios w klatkę piersiową. Pani Bella uciekła do kuchni. Nicoletta wybuchnęła przesywającym śmiechem. Katastrofalną sytuację uratował Höfgen. Wszyscy byliby, rzecz prosta, zachwyceni i uszczęśliwieni, gdyby mogli wysłuchać możliwie najdłuższego rozdziału trylogii *Naród zrywa więzy* — zapewnił śpiewnym, przypochlebny głosem, z twarzą rozjaśnioną szelmowskim uśmiechem; jednakże godzina jest już dość późna, a tyle mają jeszcze naglających, aktualnych spraw do omówienia, umysły nie są w tej chwili dość skoncentrowane, by rozkoszować się wielką literaturą. Höfgen pozwala sobie zaproponować urządzenie specjalnego wieczoru, na który wszyscy przybyliby w pożądanym skupieniu. Senatorowie odetchnęli z ulgą. Stary pisarz epicki prawie płakał, takiego doznał zawodu. Pan Müller-Andreä zaczął od razu opowiadać brudne anegdoty z czasów, które tonem szczerego oburzenia nazwał „latami zepsucia”. Były to perły wybrane z niegdyś tak słynnej rubryki *Czyście się tego domyślali?* W dalszym ciągu wieczoru okazało się, że aktor charakterystyczny Joachim umie bardzo zabawnie naśladować szczekanie psów, jak również gdakanie kur. Lotta Lindenthal omal z krzesła nie spadła, tak się uśmieiała. Joachim bowiem zaczął z kolei naśladować papugę. Zanim goście się rozeszli, Baldur von Totenbach — był także senatorem i na kulturalne zebranie umyślnie przyjechał z Hamburga do Berlina — zaproponował, żeby stojąc odśpiewali pieśń o Horście Wesselu i po raz setny złożyli przysięgę na wierność fuhrerowi. Wszystkim wydało się to trochę uciążliwe, ale oczywiście musiało być wykonane.

Prasa zamieściła obszernie wzmianki o tym poufnym, a zarazem bogatym w podniosłe wrażenia intelektualne wieczorze koleżeńskim senatorów kultury w domu intendenta.

W ogóle gazety nie pominęły żadnej sposobności, by poinformować czytelników o patriotycznych lub artystycznych poczynaniach Hendrika. Zaliczano go do najwybitniejszych i najczynniejszych „krzewicieli niemieckiej kultury” i fotografowano niczym ministra. Kiedy najznakomitsi obywatele stolicy kwestowali na Pomoc Zimową na ulicach i w zamkniętych lokalach, intendent był nie mniej obiegany niż panowie z rządu. Ale wówczas gdy tamtych otaczał taki pierścień uzbrojonych detektywów i funkcjonariuszy gestapo, że lud niosący datki ledwo się do nich mógł dotrzeć, Hendrika stać było na to, aby poruszać się bez ochrony. Co prawda, wybrał strefę, w której nie groziło mu chyba zetknięcie z niebezpiecznym proletariatem: intendent zbierał na Pomoc Zimową w hallu hotelu „Adlon”. Nie omieszkał zejść też i do pomieszczeń gospodarskich; każdy kuchcik musiał wrzucić swój grosz do puszeki, do której przed chwilą delikatna rączka Lotty Lindenthal wsunęła banknot stumarkowy. Intendent da! się sfotografować pod rękę z opasłym szefem kuchni. Zdjęcie ukazało się nazajutrz na pierwszej stronie „Berliner Illustrierte”.

A już istna powódź fotografii Höfgena zalała prasę z racji jego ślubu. Wprowadził Nicolettę pod swój dach, świadkami byli pan Müller-Andreä i Benjamin Pelz; pan prezes Rady Ministrów przysłał jako prezent ślubny parę czarnych łabędzi — miały pływać po niewielkim stawie w parku „Hendrik-Hall”. Para czarnych łabędzi! Dziennikarze nie posiadali się z zachwytu nad oryginalnością prezentu; jedynie kilka starszych osób, na przykład generałowa, przypomniało sobie, że pewien dostojny przyjaciel sztuk pięknych ofiarował niegdyś swemu protegowanemu podobny upominek: mianowicie król bawarski Ludwik II — kompozytorowi Ryszardowi Wagnerowi.

Nawet dyktator złożył telegraficznie życzenia szczęścia młodej parze; minister propagandy przysłał kosz orchidei, które wyglądały tak jadowniczo, jak gdyby obdarowani mieli paść trupem z chwilą, gdy wciągną w nozdrza ich zdradliwą woń; Pierre Larue wystąpił z długim francuskim wierszem, Teofil Marder przeklął ich depeszą, mała Angelika, która właśnie urodziła dziecko, po raz ostatni opłakała swoją straconą miłość; we wszystkich redakcjach pochowano na dno

najgłębszych, najtajniejszych szuflad materiały dotyczące Höfgena i księżniczki Tebab; doktor Radig zaś podyktował sekretarce artykuł, w którym wychwalał Nicolettę i Hendrika, nazywając ich „najpiękniejszą i w najgłębszym znaczeniu tego słowa niemiecką parą”, „dwojgiem młodzieńczo świeżych, ale jednak dojrzałych ludzi, ze wszystkich sił służących nowemu społeczeństwu, ludzi czystej rasy i najszlachetniejszego gatunku”. Jeden tylko jedyny dziennik, który łączyły rzekomo bliskie stosunki z ministrem propagandy, odważył się napomknąć o podejrzanej przeszłości Nicoletty: wieszowano młodej małżonce, że porzuciła „emigranta, potomka semickiego plemienia, bolszewika w dziedzinie kultury, Teofila Mardera”, by na nowo wziąć udział w życiu kulturalnym narodu. Była to gorzka pigułka, choć subtelnie osłodzona. Nazwisko Teofila Mardera zabrzmiało jak przykry dysonans w pięknym koncercie artykułów gratulacyjnych.

Nicoletta przeprowadziła się z Reichskanzlerplatz do Grunewaldu przywożąc z sobą kufry-szafy i pudła na kapelusze. Pokojówka, która jej pomagała przy wypakowywaniu, była trochę zaskoczona widokiem czerwonych lakierowanych butów z cholewami; młoda jaśnie pani wytłumaczyła jej dobitnie, tonem ostrym jak nóż, że podobnego obuwia używa do stroju amazonki. — Potrzebne mi będzie do roli Pentezylei — wykrzyknęła z jakimś szczególnym tryumfem. To egzotyczne imię i lśniące kocie oczy jej pani tak przestraszyły pokojówkę, że nie śmiała stawiać dalszych pytań.

Wieczorem odbyło się w „Hendrik-Hall” wielkie przyjęcie — jakże skromne wydawało się zebranie w domu tajnego radcy z racji pierwszego ślubu Hendrika w porównaniu z tą wielce podniosłą uroczystością! Oberon i Titania, promieniujący niebezpiecznym czarem, poruszali się wśród tłumu gości. Oboje trzymali się bardzo prosto: on szedł z głową dumnie podniesioną, ona godnym ruchem unosiła błyszczący, chrzęszczący tren przetykanej metalem wieczorowej toalety, do której na ramieniu i we włosach przypięta fantastyczne szklane kwiaty. Twarz Nicoletty jaśniała ostrymi, sztucznymi barwami; twarz Hendrika zdawała się fosforyzować zielonkawą bladeścią. Widać było wyraźnie, że uśmiech jest dla obojga wysiłkiem, a nawet męką; wyglądali jak maski! Osłupiały ich wzrok zdawał się przenikać na wyiot osoby stojące na drodze

ich dumnej wędrowki, jakby to było powietrze. Cóż dostrzegali poza osłoną tych wszystkich fraków, mundurów obwieszonych błyszczącymi orderami i kosztownych toalet? Na co patrzyły ich oczy, że stawały się takie szklane pod półprzymkniętymi powiekami? Jakież to widma wyłaniały się, obdarzone tak złowrogą mocą, że uśmiech na ustach Hendrika i Nicoletty zamarł i przemienił się w bolesny grymas?

Może ich oczy spotkały surowy wzrok Barbary; była niegdyś ich przyjaciółką, a teraz w oddaleniu, na obczyźnie — oddzielona od tych dwojga przepaściami, przez które nie da się już przetrzeć mostu — spełnia swój poważny i ciężki obowiązek. A może ukazała im się groteskowa, męczeńska twarz Teofila Mardera, ni to ślepeca, ni to mędrca, naznaczona stygmatami tysiąca mąk, którymi pokutował za nieposkromioną pychę i szaleńcze egocentryczne zadufanie w sobie. Może ta twarz patrzyła teraz na Nicolettę żałośnie i gniewnie wyrzucając jej, że go opuściła, a wraz z nim swój własny, przekornie przez nią samą wybrany los. A może nie widzieli wcale twarzy jakiegoś określonego człowieka, tylko w mglistym, przytłaczającym skrócie obraz własnej młodości, sumę tego, co z nich być mogło, a co w zuchwałej pysze zaniedbali z siebie uczynić; może stanęła im przed oczami długa, haniebna historia ich zdrady, zdrady popełnionej nie tylko wobec innych, ale wobec siebie samych, wobec lepszej, czystszej i szlachetniejszej części ich własnej istoty, może stanęła im przed oczami gorzka niesława, ponura kronika ich upadku, ich poniżenia, które w oczach głupiego świata zdawało się wywyższeniem. Stopniowe wywyższenie doprowadziło oboje do tej zwycięskiej weselnej godziny; a wszak to ta zwycięska weselna godzina przypieczętowała ich wspólną klęskę. Należeli teraz do siebie na zawsze, ta para olśniewających, migocących, uśmiechniętych ludzi, tak jak należą do siebie na zawsze dwaj zdrajcy, dwaj zbrodniarze. Więzią, która skuje z sobą na zawsze tych dwoje winowajców, będzie nie miłość, lecz nienawiść.

Tak więc „Senat kultury” organizował poufne wieczory koleżeńskie; wysocy dostojnicy kraju zbierali na ubogich rodaków hojne datki, którymi finansowano propagandę zagraniczną Trzeciej Rzeszy; świętowano uroczystości weselne,

śpiewano pieśni i wygłaszano nieskończoną ilość mów — reżim zaś totalitarnej, bojowo-kapitalistycznej dyktatury kroczy! tymczasem dalej swoją drogą, a wzdłuż tej drogi piętrzyły się trupy.

Cudzoziemcy, którzy spędzili tydzień w Berlinie i kilka dni na prowincji — lordowie angielscy, węgierscy dziennikarze czy też ministrowie włoscy — wychwalali pod niebiosa idealną czystość i porządek panujące w tym upodlonym kraju. Zdaniem ich, wszyscy mieli uśmiechnięte twarze, więc stwierdzili stanowczo: „Cały naród kocha i czci swego fuhrera, opozycja nie istnieje”. W rzeczywistości zaś opozycja, nawet w samym łonie partii, była tak silna i tak groźna, że straszliwy triumwirat — fuhrer, grubas i kuternoga — musiał błyskawicznie interweniować i zadać jej piorunujący cios. Ten, komu dyktator zawdzięczał swoją armię przyboczną, do którego ongiś minister propagandy uśmiechał się czarująco, a głowa państwa wczoraj jeszcze nazywała „swoim najwierniejszym przyjacielem”, został pewnej nocy wyrwany ze snu przez fuhrera we własnej osobie, a w parę godzin później zastrzelony*. Zanim padł strzał, pomiędzy Mesjaszem wszystkich Germanów a jego najwierniejszym przyjacielem rozegrała się scena, jaka się na ogół nie zdarza pomiędzy tak wysokimi dygnitarzami. Najwierniejszy przyjaciel rzucił Mesjaszowi w twarz: „Ty jesteś łotrem! Zdrajca to ty!” Odważył się na tę szczerłość, wiedział bowiem, że ostatnia jego godzina wybiła. Z nim razem padły setki starych członków partii, którzy stali się zbyt oporni. Równocześnie zgładzono kilkuset komunistów, a że zaczęła się już rzeź w wielkim stylu, grubas, kuternoga i fuhrer polecili usunąć tych wszystkich, do których mieli jakąś pretensję osobistą, albo tych, którzy wydawali im się niebezpieczni w przyszłości: generałów, literatów, emerytowanych premierów; nie robiono żadnej różnicy, czasem zabijano nawet żony. „Głowy się potoczą” — tak zawsze mawiał fuhrer, a teraz nadszedł na to czas. „Była to mała «czystka»” — ogłoszono potem. Lordowie i dziennikarze

* Mowa o tzw. „nocy długich noży” — wymordowaniu 30 VI 1934 z inicjatywy Hitlera grupy jego przeciwników w NSDAP, przywódców SA z E. Robinem na czele, pod pretekstem rzekomo organizowanego przez nich zamachu stanu.

zachwycali się energią fuhrera: taki z niego łagodny człowiek, kocha zwierzęta, mięsa nie bierze do ust, a jednak mógł patrzeć bez zmruczenia powiek, jak giną jego najwierniejsi przyjaciele. Po tej krwawej orgii naród zdawał się kochać zesłanego od Boga jeszcze goręcej niż dotychczas; ci, których to oburzało i mierziło, kryli się gdzieś po kątach, samotni i rozproszeni.

Toczyły się głowy córek arystokratycznych rodów — twierdzono, że wypaplały coś, co państwo totalitarne chciało zachować w tajemnicy; znów spadły głowy, tym razem były to głowy dwóch wytwornych dam. Toczyły się głowy mężczyzn, choć nie ciążyła na nich żadna wina z wyjątkiem tej, że nie chcieli się wyrzec przekonań socjalistycznych; a wszak Mesjasz, który ich kazał stracić, zwał siebie socjalistą. Mesjasz twierdził, że kocha pokój, a kazał pacyfistów torturować w obozach koncentracyjnych. Zabijano ich, rodzinom wysyłano popioły w zapieczętowanych urnach z wiadomością, że ta pacyfistyczna świnia powiesiła się albo została zabita podczas ucieczki. Uczono młodzież niemiecką, że słowo „pacyfista” to obelga; młodzież niemiecka nie czytała już Goethego i Platona — nikt od niej tego nie wymagał — uczyła się strzelać, rzucać bomby, rozrywką jej były nocne ćwiczenia w terenie; kiedy zaś fuhrer mówił o pokoju, rozumiała, że to tylko żart. Ta wojskowo zorganizowana, zdyscyplinowana, wymuszowana młodzież miała tylko jeden cel, jedną perspektywę: wojnę odwetową, wojnę zdobywczą. Alzacja i Lotaryngia są niemieckie, Holandia jest niemiecka, Dania jest niemiecka, Czechosłowacja jest niemiecka, Ukraina jest niemiecka, Austria jest już tak dalece niemiecka, że w ogóle nie ma o czym gadać. Niemcy muszą odzyskać kolonie. Cały kraj przemienia się w jeden wielki obóz wojenny, przemysł zbrojeniowy kwitnie, jest to generalna mobilizacja w permanencji; zagranica zaś patrzy jak urzeczona na to imponujące, budzące grozę widowisko niczym królik na węża, który zaraz go pożre.

Ludzie bawią się pod rządami dyktatury. *Kraft durch Freude** to hasło dnia. Urządzane są nieustannie święta

* Kraft durch Freude (Siła przez radość)— • taką nazwę przybrała hitlerowska organizacja propagandowa, która urządzała różne imprezy rozrywkowe.

narodowe: Saara wraca do Niemiec — święto narodowe. Grubas żeni się wreszcie ze swoją Lotcą LLndenthal i każe sobie składać prezenty ślubne wartości wielu milionów — święto narodowe. Niemcy występują z Ligi Narodów; Niemcy odzyskują suwerenność militarną — same święta narodowe. Świętem narodowym staje się każde zerwanie układu, czy chodzi o układ wersalski, czy układ w Locarno, czy nieodzwonnie następujący po tym „plebiscyt”. Długim, nieskończenie długim świętem są prześladowania Żydów i publiczne stawianie pod pręgierz dziewcząt, które się z nimi dopuściły „pohańbiona rasy”; prześladowania katolików — dopiero teraz bowiem się dowiedziano, że nigdy nie byli wiele lepsi od Żydów, toteż wytacza im się blazenskie „procesy 0 przestępstwa dewizowe” za jakąś bagatelkę, podczas gdy wodzowie narodowosocjalistyczni przekazują olbrzymie sumy za granicę; wreszcie prześladowania „reakcji”, choć nie wiadomo dokładnie, co to znaczy. Marksizm został wyrwany z korzeniami, stanowi jednak nadal niebezpieczeństwo i pretekst do masowych procesów; kultura niemiecka jest „odżydzona”, ale stała się teraz tak pusta i nudna, że nikt się już nią nie interesuje; brak masła, ale armaty są przecież ważniejsze; w dniu pierwszego maja, który był zawsze świętem proletariatu, głądzi teraz coś o radości życia jakiś zapijaczony doktor — zapuchły od szampana trup. Czyż narodowi temu nie sprzykrzą się wreszcie tak liczne i tak wątpliwe uroczystości i obchody? Może już mu się sprzykrzyły, może już jęczy? Jednakże wrzask z megafonów i mikrofonów zagłusza ten jęk.

Reżim kroczy dalej swoją straszliwą drogą. A wzdłuż tej drogi piętrzą się trupy.

Kto się buntował, wiedział, co ryzykuje. Kto mówił prawdę, musiał się liczyć z zemstą kłamców. Kto usiłował prawdę krzawić i walczył o nią, temu groziła śmierć wraz ze wszystkimi okropnościami, jakie zazwyczaj poprzedzały śmierć w więzieniach Trzeciej Rzeszy.

Otto Ulrichs prowadził ryzykowną grę. Jego przyjaciele polityczni zlecali mu najtrudniejsze i najniebezpieczniejsze zadania. Żywiono przekonanie, a raczej nadzieję, że stanowisko w Teatrze Państwowym do pewnego stopnia go osłania. W każdym razie był w lepszym położeniu niż wielu jego kolegów żyjących w ukryciu pod fałszywym nazwiskiem

— w wiecznej ucieczce przed agentami gestapo, prześladowani przez policję niczym przestępcy, szczuci niby złodzieje albo mordercy w tym kraju, który dostał się w ręce morderców i złodziei. Otto Ulrichs mógł więc odważyć się na niejedno, co jego przyjaciółom groziłoby niechybną zagładą. Był zbyt odważny. Pewnego dnia został aresztowany.

W Teatrze Państwowym szły wówczas próby *Hamleta*, intendent grał rolę tytułową. Otto Ulrichs miał grać Gildens-terna. Hendrik przestraszył się, kiedy Otto Ulrichs nie przyszedł na próbę bez usprawiedliwienia, zrozumiał bowiem albo w każdym razie przeczuwał, co się stało. Wycofał się przed końcem próby, zespół pracował dalej bez niego. Skoro tylko intendent dowiedział się przez gospodynię Ottona, że trzej panowie w cywilu przyszedli po Ulrichsa z samego rana, kazał się natychmiast połączyć telefonicznie z pałacem premiera. Grubas pofatygował się sam do aparatu, stał się jednak od razu lakoniczny i roztargniony, gdy Hendrik go zapytał, czy wie coś o aresztowaniu Ottona Ulrichsa. Generał lotnictwa oświadczył, że go o niczym nie poinformowano.

— A skąd ja mogę wiedzieć! — powiedział trochę nerwowo. — Jeżeli nasi ludzie capnęli tego faceta, to na pewno coś przeskrobał. Ja tam od początku nie miałem do niego zaufania. Ten „Zwiastun Burzy” to musiała być diabelnie podejrzana spelunka... — A kiedy Hendrik odważył się jeszcze zapytać, czy nie dałoby się w jakiś sposób wpłynąć na złagodzenie losu Ulrichsa, grubas stał się całkiem nielaskawy. — Nie, nie, mój drogi, lepiej niech pan w tym palców nie macza! — rozległ się w aparacie jego ostry głos. — Byłoby daleko rozsądniej, gdyby pan pilnował swoich własnych interesów. — Brzmiało to jak pogróżka. Również aluzja do „Zwiastuna Burzy”, gdzie Höfgen przecież wstąpił jako „towarzysz”, brzmiała dość niemile. Hendrik zrozumiał, że ryzykuje utracenie najwyższej laski, jeżeli się nie przestanie troszczyć o los starego przyjaciela. „Przeczekałam parę dni — postanowił. — Kiedyś, jak grubas będzie w lepszym humorze, spróbuję z całą ostrożnością powrócić do tej sprawy. W końcu przecież uda mi się wydobyć Ottona z więzienia czy z jakiegoś obozu. Przez swoją głupią nieostrożność, przez swoje przestarzałe i dziecinne pojęcie o boharerstwie ściągnie na mnie najgorsze nieprzyjemności...”

Kiedy jednak upłynęły już dwa dni, a Hendrikowi nie udało się zdobyć żadnych wiadomości o Ulrichsie, począł się niepokoić. Nie śmiał po raz drugi nagabywać prezesa Rady Ministrów. Po długich namysłach postanowił zatelefonować do Lotty. Małżonka wielkiego człowieka, kobieta o złotym sercu, powiedziała przede wszystkim, że tak jej przyjemnie usłyszeć znów miły głos Hendrika. Zapewniał ją z pewnym pośpiechem, że i on zawsze odczuwa to samo słysząc jej głos, tym razem wszakże telefonuje z innej jeszcze przyczyny.

— Niepokoję się o Ulrichsa — powiedział Höfgen.

— Niepokoi się pan? Dlaczego? — odrzekła jasnowłosa ze swego buduaru w stylu rokoko. — Przecież on nie żyje. — Była zdziwiona, że Hendrik o tym jeszcze nie wie. Wydawało się to niemal zabawne.

— Nie żyje... — powtórzył Hendrik cicho. Ku zdziwieniu pani generałowej odłożył słuchawkę bez pożegnania.

Hendrik kazał się natychmiast zawieźć do prezesa Rady Ministrów. Wszechpotężny przyjął go w swoim gabinecie. Miał na sobie fantastyczny strój domowy, przy kołnierzu i mankietach obszyty gronostajami. U stóp jego spoczywał olbrzymi dog. Nad biurkiem, na tle czarnej draperii, błyszczała szeroki, wyszczerbiony miecz. Na marmurowym cokole stało popiersie führera, którego ślepe oczy utkwione były w dwie fotografie: jedna przedstawiała Lottę Lindenthal w roli Minny von Barnhelm, druga ową skandynawską damę, która niegdyś wiozła rannego poszukiwacza przygód przez całe Włochy. Dziś nad urną z jej prochami wznosi się olbrzymi grobowiec — lśniaca kopuła z marmuru i złoczonego kamienia; wdowiec chciał w ten sposób wyrazić zmarłej swoją wdzięczność, podczas gdy w istocie stawiał pomnik własnej pysze.

— Otto Ulrichs nie żyje — powiedział Hendrik od progu, gdzie się zatrzymał.

— Tak jest — odpowiedział grubas nie wstając zza biurka. A widząc, że bladeść przebiegła po twarzy Hendrika niby odblask białego płomienia, dodał: — To było, zdaje się, samobójstwo. — Powiedział te słowa bez zaczerwienienia.

Hendrik stał przez sekundę jak odurzony. Nieopanowanym ruchem, wyrażającym aż nazbyt jasno zgrozę, jaką przejęła go ta wiadomość, zakrył ręką czoło. Prezes Rady Ministrów ujrzał może po raz pierwszy całkowicie szczerzy, nie

wystylizowany gest Hófgena. Doznał zawodu przekonawszy się, że jego ulubieniec tak nie potrafi panować nad sobą. Wstał, wyprostował w całej okazałości swą przeraźliwie wielką postać. Wraz z nim podniósł się także straszny dog i zawarczał.

— Już raz dałem panu dobrą radę — powiedział generał lotnictwa z pogróżką w głosie — i powtarzam ją teraz, chociaż nie przywykłem czegokolwiek dwa razy powtarzać. Niech pan nie macza palców w tej sprawie.

To było wyraźne. Hendrik z dreszczem trwogi poczuł, jak blisko jest przepaść, na której skraju się od dawna poruszał, a w której otchłan mógł go stracić ten tłusty olbrzym, kiedy tylko mu przyjdzie ochota. Prezes Rady Ministrów stał ze spuszczoną głową; na jego byczym karku wystąpiły trzy grube, szerokie fałdy. Małe oczka rzuciły iskry, powieki ich były zaczerwienione i nawet białka oczu zabarwiły się purpurą, jak gdyby fala krwi uderzyła do głowy rozgniewanego tyrana i mgłą zasnuła mu wzrok.

— To nieczysta sprawa — mówił dalej. — Ten Ulrichs był zaplątany w paskudną aferę, miał wszelkie powody, żeby popełnić samobójstwo. Intendent Teatru Państwowego nie powinien się tak żywo interesować losem notorycznego zdrajcy stanu.

Generał ryknął wymawiając: „zdrajca stanu”. Hendrik poczuł zawrót głowy, tak blisko widział przed sobą otchłan. Bojąc się upaść, uczeplił się oparcia jednego z ciężkich renesansowych foteli. A kiedy poprosił o pozwolenie oddalenia się, prezes Rady Ministrów odprawił go niełaskawym skinieniem głowy...

Nikt w teatrze nie śmiał mówić o „samobójstwie” kolegi Ulrichsa. W jakiś tajemniczy sposób dowiedzieli się wszyscy, w jakich warunkach zginął. Nie był stracony, lecz na śmierć zamęczony. Najokrutniejszymi torturami usiłowano z niego wyrwać nazwiska jego współpracowników i przyjaciół. Był nieugięty. Gestapowców ogarnęła wściekłość, spotkał ich wielki zawód, gdyż i w mieszkaniu Ulrichsa nie znaleziono żadnych dowodów obciążających, nic pisanego, ani jednej notatki, ani jednej kartki z adresem. Straciwszy prawie nadzieję wydobyć z niego czegokolwiek i już tylko w chęci ukarania go za upór, wzmożono tortury. Może nawet nie wydano pachołkom katowskim wyraźnego rozkazu zabicia go;

ofiara umarła w ich rękach przy trzecim „przesłuchaniu”. Ciało Ulrichsa było już krwawą, bezkształtną masą. Jego matka, zamieszkała gdzieś na prowincji, która na wiadomość o samobójstwie syna zdziwiała, nieszczęsna matka nie poznałaby spuchniętej, popękanej, poszarpanej, zamazanej ropą, krwią i kałem twarzy, która niegdyś była ludzkim obliczem jej syna.

— Czy cię to bardzo dotknęło, Hendriku? — zapytała Nicoletta męża z dziwnie chłodną i rzekłbyś, niemal szyderczą ciekawością. — Martwisz się?

Hendrik nie śmiał podnieść na nią oczu.

— Znałem Ottona od tak dawna... — powiedział cicho, jak gdyby miał za co przeproszać

— Wiedział, co ryzykuje — tłumaczyła Nicoletta. — Kto gra, musi być przygotowany, że przegra stawkę.

Hendrik, dla którego ta rozmowa była bolesna, mruknął jeszcze: „Biedny Otto” — żeby cokolwiek powiedzieć.

Odparła szorstko:

— Dlaczego „biedny”? — i zaraz dodała: — Umarł dla sprawy, którą uważał za słuszną. To jest może nawet do pozazdroszczenia. — A po chwili odezwała się znów marząco: — Napiszę do Mardera, opowiem mu o śmierci Ottona. Marder podziwia ludzi zdolnych postawić życie na kartę dla jakiejś idée fixe. Lubi upartych. Byłby sam zdolny życie poświęcić przez upór. Może będzie uważał, że ten Ulrichs to była osobowość o wielkim zdyscyplinowaniu.

Hendrik machnął ręką niecierpliwie.

— Otto nie był żadną wybitną indywidualnością. To był prosty człowiek — prosty szeregowiec wielkiej sprawy...

Tu zamilkł, a przez jego bladą twarz przebiegł lekki rumieniec. Zawstydził się tego, co powiedział. Poczł wstyd, gdyż użył słów, których powagę poczuł głębiej niż kiedykolwiek — teraz, po śmierci Ottona. A że rozumiał wagę i godność takich słów — a rozumiał to w tej jednej, jak mgnienie oka krótkiej chwili — poczuł, że je zbeczcześcił pozwalając swoim wargom je wymówić. Poczł, że te poważne słowa brzmią w jego ustach jak szyderstwo.

Nikommu nie wolno było wziąć udziału w pogrzebie aktora Ottona Ulrichsa, który „popełnił samobójstwo ze strachu przed sprawiedliwą karą sądu ludowego”. Państwo kazało

zakopać zniekształcone zwłoki jak zdechłego psa. Jednakże matka zmarłego, pobożna katoliczka, przysłała pieniądze na trumnę i skromny nagrobek. W liście, prawie nieczytelnym, tak wyplamionym tłuszczem i łzami, prosiła, żeby jej dziecko pochowano po chrześcijańsku. Kościół się jednak temu oparł: za trumną samobójcy nie może iść żaden ksiądz. Stara kobieta w swojej ubogiej izdebce modliła się za straconą duszę syna. „Nie wierzył w Ciebie, dobry Boże, i wiele grzeszył. Ale nie był zły. Poszedł fałszywą drogą nie przez zatwardziałość serca, tylko dlatego, że uważał tę drogę za właściwą. Wszystkie drogi, którymi człowiek kroczy w dobrej intencji, muszą w końcu doprowadzić do Ciebie, dobry Boże. Ty mu przebaczysz i oszczędzisz wiecznego potępienia. Bo Ty widzisz serca, Ojczy wiekuisty, a serce mojego zbłąkanego syna było czyste.”

Stara kobieta nie byłaby w stanie zdobyć pieniędzy na trumnę i nagrobek, nie bowiem nie posiadała, ani grosza, ani żadnej rzeczy, która by się dała spieniężyć. Utrzymywała się z łatania i cerowania podartej bielizny, bywała nieraz głodna, teraz, kiedy Otto nie mógł jej już pomagać, będzie jeszcze ciężiej. Jakiś przyjaciel zmarłego przesłał bezimiennie z Berlina pieniądze na koszty pogrzebu z dokładnymi wskazówkami, dokąd należy je dalej przekazać. „Proszę mi darować, że nie wymieniam swego nazwiska — pisał nieznajomy. — Zrozumię pani z pewnością i uzna za słusne powody, które mnie do tej ostrożności zmuszają.”

Staruszka nic nie rozumiała. Popłakała trochę, dziwowała się, kręciła głową, modliła się i wysłała pieniądze otrzymane z Berlina z powrotem do stolicy. „Oni tam w miastach wszyscy widać pogłupieli — myślała. — Po co te pieniądze wędrowały po całych Niemczech, skoro pochodzą z Berlina i mają być wydane w Berlinie? Ale ten, co to zrobił dla mego Ottona, to z pewnością dobry i pobożny człowiek.” Odtąd wspominała zawsze w pacierzu nieznanego ofiarodawcę.

Tak więc nagrobek i trumna zamordowanego rewolucjonisty zostały zapłacone z wysokiej gaży, którą pan intendent pobierał od państwa narodowosocjalistycznego. Było to ostatnie i jedyne, co mógł zrobić Hendrik Hófgem dla swego przyjaciela Ottona Ulrichsa — była to ostatnia obelga, jakiej się wobec niego dopuścił. Hendrik wszakże poczuł pewną ulgę po wysłaniu pieniędzy do matki Ulrichsa. Sumienie jego

uspokoiło się trochę, zaś po stronie, po której w sercu swoim księgował „reasekuracja”, pojawiła się jeszcze jedna pozycja na jego dobro. Napięcie nerwów, w którym żył w ciągu tych ostatnich smutnych dni, nieco ustąpiło. Spadł ciężar przytłaczający serce. Zdołał skoncentrować teraz całą energię na Hamlecie.

Rola ta sprawiała mu trudności, na które nie był przygotowany. Jakże lekkomyślnie improwizował wówczas w Hamburgu rolę duńskiego księcia. Pocziwy Kroge wściekał się i jeszcze na próbie generalnej chciał odwołać przedstawienie.

„Nie będę tolerował u siebie takich świństw!” — ryczał pionier teatru intelektualnego. Hendrik przypomniał sobie tę chwilę i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Nie było już dziś nikogo, kto by odważył się w jego obecności i wówczas, gdy to jego dotyczyło, mówić o „świństwach”. Ale kiedy był sam i nikt go nie mógł słyszeć, Hendrik jęczał: „Nie dam temu rady!” Pracując nad Mefistem był od pierwszej chwili pewien każdej intonacji, każdego gestu. Książę duński był jednak oporny, bronił się. Hendrik walczył o niego. „Nie ustąpię!” — krzyczał aktor. A Hamlet odpowiadał mu na to, odwrócony, smutny, drwiący, nieskończenie wyniosły: „Tyś równy duchem temu, kogo pojąć zdołasz — nie mnie!”

Aktor krzyczał do księcia:

„Muszę cię zagrać! Jeśli przed tobą skapituluję, to znaczy, że skapitulowałem na całej linii. Ty jesteś próbą ogniową, którą postanowiłem przejść. Całe moje życie i wszystko, w czym zgrzeszyłem: moja wielka zdrada i cała ta hańba — w jednym tylko mogą znaleźć usprawiedliwienie, w moim artyzmie. Zaś artystą będę tylko wtedy, jeśli potrafię być Hamletem.”

„Nie jesteś Hamletem — odpowiedział książę. — Brak ci dostojności, którą człowiek zdobywa jedynie przez cierpienie i poznanie. Nie dosyć cierpiałeś, a to, co zdołałeś poznać, było dla ciebie mniej warte niż tytuł i stała gaża. Brak ci dostojności, boś jest małą mocarzą i kłownem ku rozrywce morderców. Zresztą nie jesteś ani trochę podobny do Hamleta. Spójrz na swoje ręce — czyż to są ręce tego, kogo uszlachetniły cierpienia i poznanie? Twoje ręce są grubo ciosane, choć je składasz tak wytwornie i gotycko. Poza tym cały jesteś za gruby. Przykro

mi zwracać ci na to uwagę, ale Hamlet z takimi biodrami, na Boga!” — Tu roześmiał się książę głucho i szydlerczo z mitycznej dali swej wieczystej sławy.

„Wiesz przecież, że na scenie wyglądam jeszcze bardzo smukło — krzyknął aktor zirytowany i obrażony. — Kazałem sobie naszkicować kostium, w którym nawet mój śmiertelny wróg nie pozna, że mam za szerokie biodra. To podłe z twojej strony, że mi o tym przypominasz teraz, kiedy jestem i tak strasznie zdenerwowany! Co ci na tym zależy, żeby mnie zranić? Czy mnie tak bardzo nienawidzisz?”

„A czyż ja cię nienawidzę? Skąd znowu! — książę wzruszył pogardliwie ramionami. — Nie mam w ogóle żadnego stosunku do ciebie. Nie jesteś mi równy. Mogłeś wybierać, mój drogi, pomiędzy dostojnością a karierą. No i wybrałeś. Bądź szczęśliwy, ale daj mi spokój!”

I szczupła postać zaczęła się rozpraszać.

„Nie puszczę cię!” — stęknął aktor raz jeszcze i wyciągnął do księcia obie ręce, o których Cień wyraził się tak pogardliwie; chwycił jednak próżnię.

„Tyś nie Hamlet!” — zapewnił go z oddali obcy władczy głos.

Nie był Hamletem, a jednak zagrał Hamleta — uratowała go rutyna.

— To będzie wspaniałe — mówił mu reżyser i koledzy czy to przez brak wyczucia, czy z chęci schlebiana intendentowi. — Od czasów wielkiego Kainza nie widziano takiej kreacji na niemieckiej scenie!

Hendrik tymczasem wiedział, że nie potrafi wydobyć z wierszy ich istotnej treści, ich tajemnicy. Postać, którą stwarzał, była ściśle retoryczna. Ponieważ czuł się niepewny i nie miał prawdziwej wizji Hamleta, robił eksperymenty. Z nerwową porywcznością zestawiał niuanse, drobne niespodziewane efekty, którym brak było wewnętrznej więzi. Postanowił zaakcentować męskie, energiczne cechy duńskiego księcia.

— Hamlet to nie człowiek słaby — tłumaczył kolegom i reżyserowi; wobec dziennikarzy wypowiadał się w tym samym duchu. — Nie jest bynajmniej zniewieściałą. Całe pokolenia aktorów popełniały ten błąd; przedstawiano go jako typ zniewieściałą! Jego melancholia to nie pusty spleen, jego

melancholia ma uchwytnie przyczyny. Książę występuje przede wszystkim jako mściciel swego ojca. Jest człowiekiem Odrodzenia — arystokratą do szpiku kości i nie pozbawionym cynizmu. Zależy mi głównie na tym, żeby odjąć mu owe żałosne, płaczliwe cechy, którymi go obarczyły dotychczasowe konwencjonalne ujęcia.

Reżyser, koledzy i dziennikarze uważali, że jest to pogląd bardzo nowoczesny, śmiały i nader interesujący. Benjamin Pelz, z którym Hófggen miewał długie rozmowy na temat Hamleta, entuzjasmował się koncepcją Hendrika.

— Tylko taki, jakim geniusz pański go wyczuł i zrozumiał, jest ten książę duński dla nas, ludzi dzisiejszych, cynicznych ludzi czynu, w ogóle do zniesienia — oświadczył Pelz.

Postać, którą Hendrik Hófggen stworzył z Hamleta, był to oficer pruski o cechach neurastenika. Wszystkim akcentom, którymi chciał zamaskować pustkę swojej gry, brakowało umiaru, były krzykliwe. Stoi oto sztywny, wyprostowany jak struna i w mgnieniu oka, z wielkim łoskotem, pada zemdlony. Zamiast skarżyć się — krzyczał i szalał. Śmiech jego świdrował w uszach, ruchy przypominały kurczowe drgawki. Głęboka, tajemnicza melancholia, którą nuał w sobie jako Mefisto — niezamierzona, nie zagrana, tylko oparta na zagadkowym, jemu samemu nie znanym prawie — tej melancholii brak było jego Hamletowi. Wielkie monologi wygłaszał we wzorowej, świetnej formie, ale tylko je „wygłaszał”. Kiedy intonował skargę:

O, niech to ciało, jakże nieugięte,
Stopi się, skropli i zamieni w rosę...”

nie było w niej ani melodii, ani mocy, ani piękna, ani rozpacz; nie wyczuwało się, co człowiek ów przemyślał i przecierpiał, zanim słowa te wymknęły się z jego warg; ani uczucie, ani poznanie nie uszlachetniły jego mowy; był to wciąż ten sam kokieteryjny lament, rozplywająca się, przypochlebna, mała skarga.

* Przekład Romana Brandstaettera.

Mimo to premiera *Hamleta* miała ogromny sukces. Nowa publiczność berlińska sądziła aktorów nie tyle wedle czystości i żarliwości artystycznej kreacji, ile wedle ich stosunku do władzy. Ponadto cała inscenizacja była tak pomyślana, aby zaimponować publiczności, składającej się z wyższych oficerów i żadnych krwi profesorów ze swymi niemniej bohatersko nastrojonymi małżonkami. Reżyser podkreślił nordycki koloryt szekspirowskiej tragedii w sposób prostacki i demonstracyjny. Akcja rozgrywała się na tle bryłowatych dekoracji odpowiednich raczej dla rycerzy Nibelungów. Na scenie pogrążonej w ponurym zmroku rozlegało się szczykanie mieczów i ochrypte krzyki. Wśród tych prostackich żołądków Hendrik poruszał się z tragiczną gracją. Raz pozwolił sobie na żart: przez kilka minut siedział przy stole i ukazywał tylko swoje ręce wstrząśniętej do głębi publiczności. Twarz pozostawała w cieniu; ręce leżały, uszmkowane, białe jak kreda, jaskrawo oświetlone promieniami reflektora, na czarnym blacie stołu. Intendent wystawił swoje niepiękne ręce na pokaz, jak klejnoty; czynił to zaś częściowo przez zuchwałstwo, aby się przekonać, na co jeszcze może sobie pozwolić, częściowo przez chęć samoudręczenia, gdyż cierpiał nad tą ekshibicją swych szerokich, ordynarnych palców.

„*Hamlet*” to reprezentacyjny dramat germański — oświadczył doktor Radig w swoim inspirowanym przez ministerstwo propagandy słowie wstępnym. — Książę duński to jeden z największych symboli Niemca. W nim znajdujemy część naszej najgłębszej istoty. Hólderin wszakże nam wypomniał:

Przecie i wy, Niemcy, jesteście
Ubodzy czynem, a bogaci myślą.

Hamlet jest więc także niebezpieczeństwem dla Niemca. Nosimy go w sobie wszyscy i musimy go przewyciężyć. Chwila bowiem wymaga od nas czynu, nie tylko myśli i rozkładowo działających refleksji. Opatrzność, która zesłała nam fuhrera, nakłada na nas obowiązek czynu w interesie wspólnoty narodowej, od której Hamlet, ten typowy intelektualista, oddala się i odgradza w swoich medytacjach.”

Wszyscy na ogół byli zdania, że Hófggen swoim ujęciem *Hamleta* zaznaczył wyraźnie ów tragiczny konflikt pomiędzy

gotowością do czynu i głębią myśli, która w tak ciekawy sposób odróżnia Niemców od wszystkich pozostałych typów ludzkich. Uczynił bowiem z księcia zawadiakę obarczonego nerwowymi zahamowaniami i przedstawił go tak publiczności mającej całkowite zrozumienie zarówno dla zawadiackich czynów, jak i dla najdziwniejszych objawów neurastenii.

Intendent, którego kostium był istotnie tak zręcznie skrojony, że nadawał mu postać wąskiego w biodrach młodzieńca, musiał wciąż wracać przed rampę. Wraz z nim kłaniała się publiczności jego młoda żona, Nicoletta Höfgen, która w roli Ofelii była wprawdzie nieco dziwaczna i sztywna, ale robiła wielkie wrażenie, zwłaszcza w scenach obłędu.

Prezes Rady Ministrów, mieniący się purpurą, złotem i srebrem, i jego Lotta, łagodnie promieniejąca w jasnoblękitnej toalecie, stali obok siebie w łoży i demonstracyjnie bili brawo. Było to pojednanie wszechpotężnego ze swoim błaznem nadwornym. Mefistofeles-Hendrik przyjął je wdzięcznym sercem. Błady i piękny w kostiumie Hamleta, kłaniał się głęboko dostojnej parze. „Lotta jest znowu we mnie zakochana” — pomyślał i równocześnie gestem wyrażającym znużenie, lecz pięknie zaokrąglonym, wskazał prawą ręką serce. Na wydatnych, z najwyższą starannością uszminkowanych purpurowych wargach pojawił się uśmiech wzruszenia; spod zaokrąglonych czarnych łuków brwi oczy stały uwodzicielskie, słodkie i zimne płomienie; bolesne, nerwowe pulsowanie skroni uszlachetniało jego oblicze, budziło współczucie, wzmagając jego przewrotny czar. Żona generała lotnictwa dawała mu znaki jedwabną chusteczką, błękitną jak jej wspańska szata. Generał uśmiechał się szeroko, „Jestem znowu w łaskach” — pomyślał Hamlet z ulgą.

Odmówił wszystkim zaproszeniom, tłumacząc się wielkim zmęczeniem, i kazał się odwieźć do domu. Ale kiedy znalazł się w swojej sypialni, pomiarkował, że o spaniu nie ma mowy. Był przygnębiony i podniecony. Głośny aplauz nie pozwolił mu zapomnieć, że nie stanął na wysokości zadania. Doceniał, że jest rzeczą dobrą i ważną, iż odzyskał łaskę grubasa, o którą już tak drżał. Ale nawet ten sukces, choć tak istotny i pełen znaczenia, nie mógł go pocieszyć: jego wyższe aspiracje, jego zdrowa ambicja poniosły dziś kompletną klęskę. „Nie potrafiłem być Hamletem — pomyślał posępnie. — Gazety będą

zapewniać, że byłem duńskim księciem w każdym calu. Ale to kłamstwo. Grałem źle, nieszczerze, stać mnie jeszcze na tyle samokrytyki. Kiedy sobie przypomnę ten głuchy ton, którym zadeklamowałem: «Być albo nie być?», wszystko się we mnie zżyma...”

Osunął się na fotel stojący przed otwartym oknem. Sięgnął po książkę, lecz zaraz ją odłożył, zdenerwowany: były to *Fleurs du mai*, przypomniały mu Juliettę.

Przez okno widać było ciemny ogród, skąd dolatywały pomieszane zapachy i wilgoć. Hendrika przebiegł dreszcz, otulił się mocniej szlafrokiem. Jakiż to był miesiąc? Kwiecień czy początek maja? Poczuli nagłą gorycz i smutek, że od tak dawna uchodzi jego uwagi zbliżanie się wiosny i jej piękna przemiana w lato. „Ten przeklęty teatr — pomyślał z bólem i złością — to on mnie zjada, przez niego marnuję życie.”

Siedział z przymkniętymi oczami, kiedy nagle usłyszał gruby głos:

— Halo! Panie intencencie.

Hendrik aż podskoczył.

Jakiś człowiek wdrapał się z ogrodu na okno — wyczyniście akrobatyczny, gdyż mury były gładkie. Głowa jego i ramiona ukazały się w ramie okiennej. Hendrik bardzo się przestraszył. Zastanawiał się przez parę sekund, czy to wizja, rezultat podrażnionych nerwów. Ale nie, człowiek nie wyglądał, jakby był wytworem halucynacji, bez wątpienia — to żyjąca istota. Miał szarą czapkę z daszkiem i brudną błękitną bluzę. Górna część twarzy tonęła w głębokim cieniu, dolną część porastała rudawa, szczeciniasta broda.

— Czego pan chce?! — krzyknął Hendrik szukając ręką dzwonnka stojącego na biurku.

— Nie wrzeszcz tak! — powiedział nieznajomy, którego głos nie był pozbawiony pewnej rubasznnej dobroduszości. — Przecież ci nic złego nie zrobię.

— Czego pan ode mnie chce? — powtórzył Hendrik tym razem trochę ciszej.

— Przychodzę tylko, żeby ci przekazać pozdrowienia — powiedział człowiek w oknie. — Pozdrowienia od Ottona.

Twarz Hendrika zbielała jak jedwabny szal, którym miał owiniętą szyję.

— Nie wiem wcale, o jakim Ottonie pan mówi. — Głos jego był głuchy.

W odpowiedzi rozległ się krótki śmiech, brzmiał zatrważająco.

— No, o co się założyliśmy, że sobie przypomnisz? — zapytał przybysz z żartobliwą pogroźką. Zaraz jednak spoważniał i mówił dalej: — W ostatniej kartce, którą dostałem od Ottona, było wyraźnie napisane, że mamy cię pozdrowić. Nie myśl aby, że przyszedłem tu dla przyjemności. Ale szanujemy życzenie Ottona.

Hendrik zdołał tylko wyszeptać:

— Jeśli pan zaraz stąd nie odejdziesz, wezwę policję.

Nieznajomy roześmiał się na to niemal serdecznie.

— Byłbyś do tego zdolny, towarzyszu! — krzyknął wesoło.

Hendrik otworzył, jak mógł najdyskretniej, jedną z szuflad biurka i wsunął rewolwer do kieszeni. Miał nadzieję, że nieproszony gość w oknie nic nie zauważy, ale tamten krzyczał, pogardliwym ruchem zsuwając czapkę z czoła:

— Mogłeś spluwę zostawić w szufladzie, panie intendentie. Nie ma celu pukać — będziesz miał z tego tylko nieprzyjemności. Czego się boisz? Powiedziałem przecie, że ci tym razem nic złego nie zrobię.

Nieznajomy był znacznie młodszy, niż się Hendrikowi zrazu wydawało. Przekonał się o tym teraz, kiedy cień czapki nie padał już na czoło. Ujrzał piękną, dziką twarz o szerokich, słowiańskich kościach policzkowych i dziwnie jasnych zielonych oczach. Brwi i rzęsy były tej samej rudawej barwy co gęsta i sztywna szczecina na brodzie. Zresztą i cera nieznajomego miała jaskrawy ceglasty odcień; taką cerę miewają ludzie, którzy cały dzień pracują na powietrzu albo się wylegują na słońcu.

„Może to wariat — pomyślał Hendrik i ta ewentualność, chociaż właściwie otwierała najgorsze perspektywy, trochę go uspokoiła, niemal pocieszyła. — Bardzo prawdopodobne, że to wariat. Gdyby był przy zdrowych zmysłach, nie składałby mi przecież tej szaleńczej wizyty, którą może życiem przypłacić, a z której nikomu nic nie przyjdzie. Żaden człowiek rozsądny nie stawiałby tyle na jedną kartę po to tylko, żeby mnie trochę nastraszyć. To nie do pomyślenia, żeby mu Otto taką rzecz polecił. Otto nie był nigdy skłonny do ekscentryczności. Wiedział, że siły są nam potrzebne na poważniejsze rzeczy...”

Hendrik podszedł bliżej do okna. Przemawiał teraz do tego człowieka tonem perswazji, nie wypuszczał wszakże z ręki rewolweru spoczywającego w kieszeni szlafroka.

— Wynoście się stąd, człowieku! Radzę wam po dobremu. Ktoś ze służby może was zobaczyć. Każdej chwili może tu wejść moja żona albo matka. Narażacie się na najgorsze niebezpieczeństwo i po co? Dla takiego głupstwa! Wynoście stę wreszcie! — krzyczał Hendrik rozdrażniony, gdyż postać w oknie ani drgnęła.

Nieznajomy, zamiast usłuchać życzliwej rady Hendrika, odparł głosem o znacznie głębszym brzmieniu i z całkowitym spokojem:

— Powtórz twoim przyjaciołom z rządu, że Otto kazał im powiedzieć na godzinę przed śmiercią: „Nigdy w życiu nie byłem tak święcie przekonany o naszym zwycięstwie jak teraz.” Był już wtedy okaleczony na całym ciele i ledwo mógł mówić, bo usta miał pełne krwi.

— Skąd pan o tym wie? — zapytał Hendrik dysząc ciężko.

— Skąd o tym wiem? — Gość wybuchnął znowu krótkim, przerażająco wesołym śmiechem. — Od jednego esesmana, który był przy nim do końca, a który właściwie jest nasz. Zapamiętał wszystko, co Otto powiedział w ostatniej godzinie: „Zwyciężymy! — powtarzał co chwila. — Kiedy człowiek zaszedł już tak daleko jak ja, to się nie myli — powiedział. — Zwyciężymy!”

Gość, oparty oburącz o parapet okna, pochylił teraz tułów naprzód i groźnie wpatrywał się w pana domu błyszczącymi zielonymi oczami; może to były oczy obłąkanego?

Hendrik odskoczył, sparzony tym wzrokiem jak płomieniem, i wykrztusił:

— Po co pan mi to wszystko opowiada?

— Po to, żeby się dowiedzieli twoi dostojni przyjaciele! — wykrzyknął nieznajomy, a w głosie jego zabrzmiał złośliwy, cierpki tryumf. — Żeby się te wielkie łotry dowiedziały! Żeby się pan prezes Rady Ministrów dowiedział!

Hendrik przestał panować nad nerwami. Chwyciły go dziwne drgawki; ręce podskakiwały do twarzy i znów opadały, wargi dygotały, gałki oczu wychodziły z orbit.

— Co to wszystko ma znaczyć! — wybuchnął, a na ustach pokazało się trochę piany. — Do czego zmierza właściwie ten

teatralny żart? Czy chce mnie pan szantażować? Wyłudzić ode mnie pieniądze?... Proszę, mam tu coś. — Sięgnął bezmyślnie do kieszeni jedwabnego szlafroka, gdzie znajdował się rewolwer, bynajmniej nie pieniądze. — A może chce mnie pan tylko nastraszyć? To się panu nie uda. Myśli pan, że drzę na myśl o chwili, kiedy dojdziecie do władzy — bo oczywiście kiedyś do niej dojdziecie. — Intendent wyrzucał z siebie słowa, zbielewały wargi drgały, biegał wielkimi, podobnymi do skoków krokami. — Przeciwnie! — wykrzyknął przeszywającym głosem i zatrzymał się nagle na środku pokoju. — Dopiero wtedy będę wielki. Pan może myśli, że się na wszelki wypadek nie zabezpieczyłem? Oho! — tryumfował historycznie intendent. — Jestem w jak najlepszych stosunkach z waszymi kołami. Partia komunistyczna ceni mnie, ma mi dużo do zawdzięczenia.

Odpowiedział na to szyderczy śmiech:

— Tak to sobie ślicznie ułożyłeś — krzyczał ów straszny gość w oknie. — „W jak najlepszych stosunkach z naszymi kołami?” Nie tak znów z nami łatwo, mój przyjacielu, nie tak z nami łatwo. Staliśmy się nieprzejednani, życie nas tego nauczyło, panie intencencie; wdrapałem się tu naumyślnie, żeby cię o tym powiadomić: staliśmy się nieprzejednani. Mamy dobrą pamięć, mamy nawet świetną pamięć, mój przyjacielu. O nikim nie zapomnimy. Wiemy, kogo trzeba najpierw powiesić.

Na to Hendrik zdołał już tylko wykrztusić:

— Wynoś się pan do diabła... Jeśli się pan za pięć sekund nie wyniesie, wezwę naprawdę policję i wtedy zobaczymy, kto z nas pierwszy będzie wisiał.

Hendrik drżał z wściekłości, chciał rzucić czymś w tę zjawę, a nie znajdując nic odpowiedniego, zerwał z nosa rogowe okulary. Z chrapliwym krzykiem cisnął je w kierunku okna. Ale ten mizerny pocisk nie trafił w przeciwnika i roztłukł się z lekkim brzękiem o ścianę.

Straszny gość zniknął. Hendrik pospieszył do okna, żeby jeszcze coś za nim rzucić.

— Jestem niezbędny! — krzyczał intendent w ciemność ogrodu. — Teatr mnie potrzebuje, a każdemu rządowi teatr jest potrzebny. Żaden rząd nie może się obejść beze mnie!

Nie otrzymał odpowiedzi, po rudobrodym akrobacie nie było już ani śladu. Wehłonał go chyba nocny ogród. A nocny

ogród szumiał czarnymi drzewami, ciemnymi krzakami, na których kwiaty białą matowo. Ogród stał w górę pomieszczone zapachy i orzeźwiający tchnienie. Hendrik otarł wilgotne czoło. Schylił się, podniósł okulary i stwierdził z przykrością, że się stłukły. Powoli, nieco chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój; trzymał się mebli, macając rękami jak ślepiec, oczy jego bowiem zasnuwała jeszcze mgła przerażenia, a przy tym brak mu było okularów, do których nawykł.

Padając na niski, szeroki fotel poczuł, jak nieskończenie jest zmęczony. „Co za wieczór! — pomyślał i zdjęła go głęboka litość nad sobą, kiedy sobie uprzytomnił, przez co przeszedł. — Przecież to mogłoby obalić najsilniejszego — tu zakrył wilgotną twarz rękami. — A ja nie jestem najsilniejszy.” Przyjemnie byłoby teraz trochę popłakać. Ale nie chciał wylewać łez, których nikt nie widzi. Po tych wszystkich okropnościach, jakie miał za sobą, sądził, że należy mu się teraz pocieszająca obecność drogiej istoty.

„Straciłem wszystko — skarżył się w duchu. — Barbarę, mego dobrego anioła, i księżniczkę Tebab, ciemne źródło mojej siły, i wierną przyjaciółkę, panią von Herzfeld, i nawet małą Angelikę — wszystkie postradałem.” W wielkim rozżaleniu zdawało mu się, że zmarły Otto Ulrichs jest go dzien zazdrości. Nie cierpi już, wyzwolił się, nie grozi mu samotność w tym życiu pełnym gorczy. Ostatnie jego myśli były przepojone wiarą i dumną nadzieją. Czyż nawet Miklas nie jest go dzien zazdrości, Hans Miklas, ten przekorny, mały nieprzyjaciel? Godni zazdrości są wszyscy ci, którzy wierzyli, a po dwakroć godni zazdrości, którzy w upojeniu wiary oddali życie...

Jak znieść ten wieczór? Jak przeżyć tę godzinę, w której czuł swoją zupełną bezradność, godzinę pełną trwogi i tęsknoty, tęsknoty błędzącej w pustce, rodzonej siostry rozpaczki? Hendrik poczuł, że nie jest w stanie znieść choćby jeszcze kilku minut samotności.

Wiedział: nad nim, w buduarze, czeka jego żona — Nicoletta. Prawdopodobnie pod lekką jedwabną suknią ma na nogach wysokie, miękkie buty z błyszczącej czerwonej skóry. Szpicruta leży na toalecie pomiędzy słoikami, tubami kremów i flakonami, jest zielonej barwy. Julietta miała szpicrutę czerwoną, buty jej zaś były zielone...

Hendrik mógł pójść na górę do Nicoletty. Zacznie zaraz sznurować usta na powitanie, otwierać jak najszerzej lśniąca, kocie oczy i powie coś żartobliwego, wzorowo akcentując słowa. Nie, Hendrik nie tego chciał teraz, nie to było mu tak pałaco potrzebne.

Ręce, którymi zasłaniał twarz, opadły. Jego zmacony wzrok starał się rozeznąć w mrocznym pokoju. Z trudem udało mu się odróżnić bibliotekę, duże fotografie w ramkach, dywany* brązy, wazony i obrazy. Tak, było tu pięknie i wytwornie. Zaszedł wysoko, nikt mu tego nie może zaprzeczyć. Intendent, radca stanu, senator zbierał dziś owacje w roli Hamleta, a teraz odpoczywa w komfortowym gabinecie swej wielkopańskiej rezydencji...

Hendrik jęknął znowu. Wtem drzwi się otworzyły. To weszła pani Bella, Jego matka.

— Zdawało mi się, że słyszałam u ciebie głosy — powiedziała. — Czy miałeś gości, mój drogi?

Powoli obrócił ku niej bladą twarz.

— Nie — odrzekł cicho. — Nie było tu nikogo.

Uśmiechnęła się.

— Jak to się można pomylić!

Podeszła do niego bliżej. Teraz dopiero zauważył, że idąc nie przestawała robić na drutach. Była to jakaś duża robota z białej wełny — pewnie będzie z tego szal albo sweter.

— Tak mi przykro, że nie mogłam dziś być w teatrze — powiedziała nie odrywając oczu od drutów. — Ale wiesz, miałam migrenę, niedobrze się czułam. No, jakże było? Z pewnością wielki sukces? Opowiedzże mi trochę!

Odpowiedział machinalnie, utkwivszy w nią wzrok, który zdawał się patrzeć ponad nią, a równocześnie chłonać ją z jakąś nieprzytomną żądzą:

— Istotnie — sukces.

— Mój biedaku! — powiedziała pochylając się.

Wtedy zaczął płakać. Pochylił tułów naprzód, oparł się na kolana matki, ramionami wstrząsały spazmami.

Pani Bella nawykła do ataków nerwowy, którymi ją ogarnął. Instynktownie zrozumiała, że to nie ten, inny, głębszy i poważniejszy powód niż poprzednio, których widoku jej nie szczędził.

— Ale co się stało?... co się stało... — powiedziała, tak podobna do twarzy syna, jednakże z głębszym, a zarazem bardziej doświadczone, przysuszone, całkiem blisko. Czuła jego łzy na swoich rękach, ruchem objął ją za szyję, jakby chciał się jej przywiesić. Potargały się fale trwałej ondulacji. Słuch jej się jęczy i szlocha. Serce jej wezbrało współczuciem, rozumiała wszystko. Zrozumiała całą jego historię, przegraną i rozpaczliwą a niedoskonałą skądinąd, dlaczego tu leży i szlocha.

— Ależ, HeinzL. — szeptała. — Ależ, HeinzL. / Nie jest przecież tak źle... Ależ, HeinzL.

Pod wpływem jej słów, pod wpływem wspomnień młodości, które jego ambicja i pycha odrzuciła, jeszcze gwałtowniejsze, po chwili jednak uciśnięte, ruchomiały. Twarz spoczywała, wsparta na jej ramieniu.

Upłynęły długie minuty, zanim wyprostował się, rzesach wisiały mu jeszcze łzy; policzki, zwyczajnie, laskich warg, szlachetna broda, którą tak dumnie nosił w chwilach Tryumfu, a która teraz drżała tak żłobkowo, to było zalane łzami. I przechylając nieco głowę, mokrą od łez twarz, Hendrik zawołał, wyciągając ręce, jakby dobiegł do piękny, żalonym, bezradnym, szukającym pomocy.

— Czego ci ludzie ode mnie chcą? Dlaczego? Dlaczego śladują? Dlaczego są tacy niemiłosierni? Dlaczego?

POSŁOWIE

Klaus Mann — urodzony w **1906** roku najstarszy syn Tomasza Manna — wcześniej poświęcił się literaturze. Pisał dużo i od bardzo młodych lat: pierwszym dramatem pochwalił się rodzicom jako chłopiec dwunastoletni, pierwsze opowiadanie opublikował w osiemnastym roku życia, pierwszą powieść — w dwa lata później. Kiedy w **1935** roku przystępował do pracy nad *Mefistem*, był autorem jedenastu wydanych książek, czterech dramatów oraz niezliczonych esejów, recenzji i artykułów, rozsianych po prasie niemieckiej, francuskiej i amerykańskiej.

Nie zawsze były to rzeczy o najwyższych walorach artystycznych. Młody pisarz zbyt mocno tkwił w atmosferze „złotych lat dwudziestych”, zbyt wiele było w jego książkach mżegzaltowanych nastrojów i sztucznych tragedii generacji, która pierwsze samodzielne kroki stawiała w hałasie nocnych lokali czasów poinflacyjnych, w synkopowym rytmie i często w narkotycznym rauszu. Klaus Mann, sam będąc jednym z jej przedstawicieli, poczuł się też i jej bardem. Pisał skandaliczne dramaty o młodych ludziach łamiących wszelkie bariery obyczajowe i wywoływał nimi — jak sztuką *Anja und Esther*, **1925** — wrzawę obejmującą całe Niemcy; pisał trudne, ciężkie i mówiące szczerze, niezupełnie zrozumiałe powieści w rodzaju *Der fromme Tanz* (*Nabożny taniec*, **1926**), wypowiadając w nich, poprzez szokujące intrygi miłosne, rozterki i bóle własnej młodości. W ten sposób szybko zdobył sławę. Głośno o nim było w całych Niemczech, tak że w **1925** roku Bertolt Brecht mógł postawić na łamach jednej z gazet berlińskich ironiczne pytanie: „Cały świat zna Klause Manna, syna Tomasza Manna. Tyko kto to właściwie jest ten Tomasz Mann?”

Oczywiście, nie cały świat znał Klause Manna, a i w Niemczech większość czytelników popołudniówek tylko niewyraźnie kojarzyła z jego nazwiskiem dwie informacje: pierwszą, iż jest on synem wielkiego pisarza, i drugą, że prowadzi prawdziwe życie złotego

młodzieńca — hałaśliwe, weso te i nie zawsze cnotliwe. Musiało minąć jeszcze parę lat, by zaczęto przypominać sobie także tytuły jego książek.

Była jednak i inna publiczność: młodzi ludzie, rówieśnicy pisarza, mówiący tym samym językiem, tak samo zmęczeni kanonami tradycyjnej sztuki, tak samo lekceważący konwenanse i nieodmiennie spragnieni sławy. Należała do nich aktorka Eryka Mann, starsza siostra Klause; była wśród nich Pamela Wedekind, córka nieżyjącego wielkiego dramaturga, była Thea Stemheim, również córka literackiej wielkości — Carla Sternudma, był cały zastęp młodych malarzy i pisarzy, był wreszcie i początkujący, bardzo zdolny i niezwykle ambitny aktor Gustaf Griindgens. Wraz z rodzeństwem Mannów i Pamelą Wedekind wystawił on najpierw *Anja und Esther*, a potem również i inną sztukę Klause, *Revue zu Vieren (Rewia we czworo, 1926)*, zostając tym samym jednym ze współautorów głośnych skandali teatralnych. Zależało mu jednak na rozgłosie. Był pełen energii, czuło się w nim jakiś elementarny talent aktorski i mocną wolę pokazania go światu. „To ta gorączkowa, pasjonacka chęć podobania się dawała mu rozmach i rozpęd, zarazem jednak pożerała go” — pisał później Klaus Mann w swoich wspomnieniach. „Jakże głęboki musi być kompleks niższości, jeśli trzeba go zagłuszać takimi fajerwerkami wdzięku! [...] Człowiek pewny siebie nie musiałby przybierać takich póż. Człowiek, który wiedziałby, że kocha go choćby jedna osoba, nie musiałby chyba bezustannie wszystkich uwodzić.”

Czarowi Gründgens ulegali nie tylko widzowie teatralni, ale i jego najbliżsi przyjaciele. Na Klause Manna wywierał on — jako osobowość i jako fenomen artystyczny — wpływ graniczący niemal z erotyczną fascynacją. Nie inaczej było i z Eryką, i kiedy w 1926 roku córka Tomasza Manna zdecydowała się wyjść za mąż za rokującego tak wielkie nadzieje aktora, można było sądzić, że umocni to tylko przyjaźń łączącą tę grupę młodych ludzi. Klaus Mann od początku był innego zdania. Wydawało mu się, że ta para zupełnie do siebie nie pasuje, bał się o siostrę, narażoną na wybuchy i zmiany nastrojów niespokojnego i chwilami histerycznego wręcz przyjaciela, nie myślał też ani przez chwilę o zrezygnowaniu choćby z części swych własnych braterskich praw. Przywyk! bowiem do tego, że Eryka — osoba najbliższa mu w ciągu całego życia — jako siostra należała wyłącznie do niego, że w jej towarzystwie odbywał podróże, czytał jej fragmenty książek, nad którymi pracował, porozumiewał się z nią językiem symboli, których nie rozumiał nikt inny. Jak można było pogodzić to z pojawieniem się szwagra?

Podobne wątpliwości przeżywać musieli i świeżo upieczony mąż, zajęty wówczas bez reszty zdobywaniem nazwiska na scenach niemieckich i chyba niezbyt zadowolony z tego, iż żona bardziej przywiąza-

na jest do swego brata niż do niego. Kiedy w 1927 roku rodzeństwo Mannów wpadło na szalony pomysł odbycia we dwoje — bez żadnych środków finansowych — podróży dookoła świata, Griindgens wyraził stanowczy sprzeciw. Eryka nie usłuchała. Do Niemiec wróciła dopiero po kilku miesiącach, niedługo potem przeprowadzony został rozwód. Od rodziny Mannów młody aktor nie mógł już raczej spodziewać się poklasku dla swych głośniejszych sukcesów scenicznych.

Klaus Mann pisał tymczasem kolejne książki i świat literacki z wolna zaczynał liczyć się z jego zdaniem. To prawda, że był pisarzem o skomplikowanej naturze i nierównych możliwościach; prawda, że spod jego pióra wychodziły czasem utwory zdecydowanie nieudane i że nie wszystkim odpowiadały poglądy, jakie głosił — przy tym jednak musiała wzbudzać szacunek postawa moralna, której jako pisarz dawał wyraz. Nie związał się z żadnym obozem ani frakcją polityczną, nie zaprzysiągł żadnej doktryny: wierzył jedynie w powołanie intelektualisty, który — jako krytyczny analityk i rozumiejący sędzia — pozostać musiał wolny od tego rodzaju uwikłań. Jego prawem i obowiązkiem było dostrzeganie wszelkich nieprawidłowości, choćby i przybierać one miały gigantyczną postać systemu państwowego, wskazywanie ich ludziom i zwalczanie ich; jego niezbywalnym przywilejem — prawo do wierności samemu sobie.

Działa! w zgodzie z tymi zasadami. Był jednym z pierwszych członków rodziny Mannów protestujących otwarcie przeciwko wzbierającej w Niemczech fali hitleryzmu. Pierwszy pozbawiony został w 1933 roku obywatelstwa niemieckiego i bardzo wcześnie znalazł się na emigracji, gdzie od razu rozpoczął też intensywną działalność literacką i publicystyczną, wymierzoną przeciwko Trzeciej Rzeszy.

Wygnanie nie było dla niego tym samym, czym stać się miało wkrótce dla olbrzymiej większości innych niemieckich pisarzy, wśród nich i jego ojca: oderwaniem od znanego środowiska, niechcianą zmianą sposobu życia, poważną i zakłócającą pracę „skazą życiową”. Klaus Mann i tak nie miał domu, a raczej miał dom wszędzie tam, gdzie — w Paryżu, Amsterdamie czy w Nowym Jorku — rozpakowywał w pokoju hotelowym swoje walizki, rozmieszczał na stole książki i rękopisy, ustawiał maszynę do pisania, by za chwilę już zasiąść do pracy. Żył tak już od lat, od początku swej wczesnej samodzielności, jako emigrant nie zmienił zatem ani otoczenia, ani przyzwyczajęń. Zyskał natomiast bardzo wiele: odnalazł cel dalszego działania, ową „drogę”, o którą pytał w tytule swego pierwszego zbioru esejów. Celem i drogą była walka z wszelkimi postaciami faszyzmu.

Mefisto, napisany w drugim i trzecim roku emigracji, a wydany w roku 1936, początkowo w gazecie uchodźców niemieckich „Pariser Tageszeitung”, później zaś nakładem amsterdamskiej oficyny „Querido”, tylko pośrednio był narzędziem w tej walce. Klaus Mann bardziej chciał napisać powieść społeczną niż polityczną, bardziej studium postaw ludzkich niż ostrą krytykę reżimu. Siłę wyrazu nadały jego książce okoliczności. Napisana poza granicami Niemiec — działa się w Niemczech; traktowała o ludziach, których autor znał blisko z niedawnych Lat, a przy tym przedstawiała ich kontakty z dostojnikami Trzeciej Rzeszy, których same nazwiska wywoływały w emigrantach odruchy nienawiści. Z dawnej znajomości, przyjaźni nawet i owego instynktownego sprzeciwu skonstruował Mann historię ambicji, kompleksów i zbiegów okoliczności, które prowadziły ludzi do zaprzędania się reżimowi. Wydawało mu się to pracą potrzebną i znaczącą w tych właśnie czasach, gdy Niemcy podzielili się na mówiących „tak”, na protestujących oraz na tych, którzy milczeli. W ten sposób powieść teatralna zyskiwała sens polityczny.

Inaczej jednak odebrała *Mefista* publiczność emigracyjna i nieco innych szukała w nim treści. Książka zdobyła sobie natychmiast duży rozgłos jako tzw. „powieść z kluczem”, a zatem utwór, którego ambicją jest ukazanie — pod zmienionymi nazwiskami — ludzi znanych rak autorowi, jak i czytelnikom. Postać jej bohatera utożsamiono natychmiast z Gustafem Gründgensem, który istotnie objął wówczas w Niemczech urząd m.in. intendenta Preussische Staatstheater w Berlinie, placówki podlegającej Goringowi, składającej się z dwu scen: operowej oraz dramatycznej; często też pokazywał się u bolcu Göringa, z którym łączyć go miała bliska przyjaźń. Szukano i dalszych analogii, odnajdywano w powieści historię nieudanego małżeństwa Eryki Mann, postać Tomasza Manna, ekscentrycznego dramaturga Carla Sternheima czy wreszcie samego autora. I powiedzieć też trzeba, że poszukiwania te nie były wcale pozbawione realnych podstaw. *Mefisto* jest w istocie wielką rewią mniej czy bardziej zakamuflowanych wizerunków ludzi, których Klaus Mann znał osobiście, z którymi łączyła go przyjaźń, czasem może i miłość. Nie ma sensu zaprzeczać faktom oczywistym.

Także i autor nie zamierzał tego czynić. Jego protest, ogłoszony na łamach „Pariser Tageszeitung” w czerwcu 1936 roku i powtórzony potem w autobiografii *Der Wendepunkt (Punkt zwrotny)*, dotyczył nie tyle zastosowanej w powieści techniki posługiwania się żyjącymi „modelami”, ile zasadności określenia książki mianem „powieści z kluczem”. To prawda — pisał Mann — że Gründgens odegrał dużą rolę przy koncipowaniu postaci Höfgena, nie znaczy to jednak, że *Mefisto* jest jedynie powieścią o Gründgensie, że nie pragnie niczego więcej niż sensacji, że chce jedynie dać czytelnikowi przyjemność

szukania owego „klucza”. Nie chodziło przecież o przypadek pojedynczy, lecz o samo zjawisko; nie o konkretnego człowieka, ale o typ; nie o plotki towarzysko-rodzinne, ale o problem moralny. Problem, którego sedno stanowiła kariera artystyczna, oderwana pozornie od polityki, wspierająca jednak nieludzką władzę i uwierzytelniająca ją właśnie przez świetność dokonań teatralnych. Ośrodkiem zainteresowania Klaus Manna stał się człowiek, który — widząc w owych hitlerowskich „nowych czasach” szansę zaspokojenia swojej ogromnej ambicji (rozwinęcia tłumionych wcześniej talentów — zapomina czy też może nie chce wiedzieć, na czyjej występuje scenie i jaką gra na niej rolę. Wmawia sobie, iż służy wyłącznie sztuce, wszystko inne zaś usuwa z pola widzenia. Talent, przypadek i niemała doza zręczności pozwalają mu zejść bardzo wysoko, wysokość ta jest jednak i miarą jego upadku. To nie tylko Gründgens: takich ludzi było wielu. Ile podobnych karier widziała Trzecia Rzesza? Ile było ich wcześniej i potem?

Po wojnie aura skandalu, otaczająca *Mefista*, miała ponownie dać znać o sobie. Klaus Mann spędził lata 1939 — 1945 głównie w Stanach Zjednoczonych, początkowo jako emigrant i wydawca liberalnego pisma „Decision”, później, po uzyskaniu obywatelstwa USA, w szeregach armii amerykańskiej, wraz z którą odbył dużą część kampanii w Europie. Po upadku Hitlera, w atmosferze nadziei na polityczne i moralne oczyszczenie Niemiec, pragnął, by jego książki ukazywały się, jak kiedyś, głównie w rodzimych wydawnictwach. Natrafiał przy tym jednak na wiele dziwnych przeszkód, szczególnie zaś trudne do przeprowadzenia okazało się opublikowanie w Niemczech *Mefista*. Wypowiedział to ostatecznie wydawca bawarski Georg Jacobi, powołując się na szerokie wpływy Gründgensa i wysoką pozycję, jaką aktor zajmował wówczas w życiu publicznym kraju. Klaus Mann odpowiedział mu krótkim listem, prosząc o natychmiastowy zwrot egzemplarza powieści.

Było to w połowie maja 1949 roku i nie wiadomo, czy książka dotarła jeszcze do rąk jej autora. W nocy z 21 na 22 maja niespełna czterdziestotrzyletni pisarz, zmęczony niepowodzeniami, zniechęcony sytuacją polityczną, która zdawała się zapowiadać nową wojnę, i udręczony kłopotami prywatnej natury, popełnił w Cannes samobójstwo. „Świat był dla niego wielce niesprawiedliwy, pokaże się to jeszcze, gdy zebrane zostaną jego najlepsze rzeczy” — napisał Tomasz Mann w kilka dni później.

Dalsze losy *Mefista* świadczyły tymczasem, że na sprawiedliwość świata ta przynajmniej książka długo musiała poczekać. Ukazało się wprawdzie w 1956 roku jej wydanie NRD-owskie, a niedługo potem kilka przekładów — w RFN jednak, gdzie przygotowywano właśnie zbiorową edycję pism Klaus Manna, publikacja powieści o Höfgenie

w 1966 roku zakazana została wyrokiem sądowym. Grundgens nie żył wtedy od trzech lat, a inicjatorem procesu był jego przybrany syn. Rozpowszechnioną już część nakładu wycofano z handlu, zaś werdykt sądu stwierdzał autorytatywnie, iż *Mefisto* to „...powieść z kluczem, a nie dzieło artystyczne: powieść, w której Klaus Mann mści się na Grundgensie, ponieważ sądzi, że przez małżeństwo z nim splamiony został honor jego siostry.” Nie zdały się na nic trwające od 1971 roku pertraktacje i odwołania: wydanie zbiorowe ukazało się w niekompletnej postaci — *Mefisto* obłożony został w RFN administracyjną ekskomuniką.

Formalnie sytuacja ta nie zmieniła się do dziś. Książka zdążyła jednak odnieść na świecie wiele sukcesów, które sprawiły, że wydawcy zachodniemieccy coraz mniej byli skłonni pomijać jej istnienie pełnym zażenowania milczeniem. Po znakomitej paryskiej inscenizacji *Mefista* w reżyserii Ariane Mnouchkine, wobec rangi innych powieści Klause Manna, wreszcie i w obliczu rozgłosu filmu, jaki na podstawie *Mefista* nakręcił Węgier Istvan Szabó, wydawnictwo Rowohlt zdecydowało się pod koniec 1980 roku na ryzykowny krok: opublikowało *Mefista* wbrew zakazowi. Nakład niemiecki szybko osiągnął wysokość trzystu tysięcy egzemplarzy, powieść stała się w RFN bestsellerem sezonu, wywołała żywe reakcje w prasie — ale najmniejszy nawet głos protestu nie odezwał się ze strony oficjalnych urzędów. *Mefisto* mógł zacząć swe drugie publiczne życie.

Czytamy tę książkę w blisko pół wieku po jej powstaniu. Wielu z marginesowych bohaterów prawie już dziś nie dostrzegamy, choć kiedyś ich postawy, prezentowane i komentowane przez Klause Manna, budzić musiały spore emocje; wiele z tego, co w 1936 roku bulwersowało czytelników emigracyjnych, stało się tylko historią i mniej nas już interesuje, czy ktoś zachował się w rzeczywistości tak, jak chce tego autor. Są jednak i takie treści *Mefista*, które — w oderwaniu od barwnej i groteskowej wizji życia teatralnego w Trzeciej Rzeszy — do dziś zachowały aktualność i aktualne pozostaną tak długo, jak długo istnieć będzie problem wyboru między zasadami moralnymi a ambicją. Głównie za ich sprawą lektura *Mefista* nie wymaga „klucza”.

Warszawa, lipiec 1982

Marek Wydmuch

SPIS RZECZY

Preludium	7
\ Hamburgski Teatr Artystyczny.	25
II Lekcja tańca	5°
III Knorke.	68
IV Barbara.	9*
V Małżonek.	117
VI Na to po prostu nie ma słów.	150
VII Pakt z diabłem. / ' ' 184	
VIII Po trupach.	214
IX W wielu miastach.	238
X Groźba.	265
Posłowie.	315